

WCIĄGAJĄCA,
PRZERAŻAJĄCA powieść,
której nigdy NIE ZAPOMNĘ.
MEGAN ABBOTT

DZIEWCZYNY w ogniu

ROBIN
WASSERMAN

Prószyński i S-ka

ROBIN
WASSERMAN

DZIEWCZYN
w ogniu

Przełożył
Bartosz Kurowski

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

GIRLS ON FIRE

Copyright © 2016 by Robin Wassermann

All rights reserved

Projekt okładki

Magdalena Zawadzka

Zdjęcie na okładce

© Stephen Carroll/Arcangel Images

Redaktor prowadzący

Monika Kalinowska

Redakcja

Renata Bubrowiecka

Korekta

Sylwia Kozak-Śmiech

Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8097-715-0

Warszawa 2016

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

www.proszynski.pl

Że nie znał wiek złoty

Zimowej martwoty,

Młodzieniec z dziewczyną,

Jak jasność niewinną,

Nadzy bawią słoneczną godziną.

William Blake

(Przełożył Adam Pomorski)

Królowa kłamstw, dzień za dniem, w sercu mym.

Kurt Cobain

DZIŚ

Dostrzeż je w ich złotej godzinie, tę powódź dziewcząt na haju ekstazy ostatnim dzwonkiem: pakują się do autobusu miejskiego, składają z niezbornych kończyn, rowków między piersiami wyzierających ze staniczków Wonder Bra, poobgryzanych paznokci dłubiących przy gotowych do erupcji pryszczach, dolnych warg – zagryzionych, oczu – zmrużonych w skazanej na porażkę próbie powstrzymania łez. Dziewcząt w kraciastych sukienkach zaczynających się tak wysoko nad kolanem, że w głowie się nie mieści, wykorzystujących szarpnięcie autobusu, by całym ciałem wpaść na obiekt swych uczuć: „Ups, sorki, gościu, nie chciałam wbić ci cycuszka w twarz, a w kieszeni masz komórkę czy może tak bardzo ucieszyłeś się na mój widok?”.

Rzucam ci wyzwanie: spróbuj ich nie dostrzec. Dziewczęta, wszędzie dziewczęta. Opierają się o sklepowe witryny i tak bardzo usiłują wyglądać niedbale, kołyszą papierosami i wydmuchują obłoki dymu, stukają w komórki, psiocząc, że z mamy taka suka. Podciągają sukienki pod monopolowym z nadzieją, że jeśli pokażą wystarczający kawał nogi, trafi im się wódka. Dziewczęta w alejce z kosmetykami, bezsilnie wpatrzone w wystawiony lakier do paznokci, jakby mogły usłyszeć twą bezgłośną zachętę, by zgarnęły te wiśniowe czerwienie do torebki, poddały się pokusie i spełniły oczekiwania, by się ugięły.

Ugnij się: wybierz sobie dwie, świata poza sobą niewidzące, zestaw dobrany niczym wizja z przeszłości. Niewyróżniające się – ot, dwa razy nikt, tyle że razem są

radioaktywne, razem świecą. Zagnieżdżone na tylnym siedzeniu autobusu, ramiona splecione, czoła w pocałunku.

Zatęsknij za tym, jak w sobie toną.

Pójdź za nimi od przystanku na plażę, na której ta dominująca – bo zawsze jedna dominuje – potrząśnie głową, rozsypując kręcone włosy. Ma zawodowo nałożony makijaż i aż za duże, stworzone do całowania usta buraczanej barwy. Druga w ogóle nie jest umalowana, jej włosami zaś, idealnie prostymi i utlenionymi na platynę, trzepocze oceaniczny wiatr. Patrz, jak lizą lody włoskie, omiatając różowymi językami spiralne stożki. Patrz, jak wywijają gwiazdy pośród spienionych fal, jak wsysają z lepkich palców osad po chipsach, jak dzielą się parą dousznych słuchawek i wpatrują w chmury, a ich tajemna muzyka rzeźbi kształty na niebie.

Spróbuj się pohamować, nie wyłaniaj się nad nimi, nie rzucaj cienia podeszłego wieku, nie ostrzegaj o przyszłości milenijnego pokolenia, kresie dni – dni takich jak ten – nie uświadamiaj, że ważna jest każda cukrowana minuta, nie wbijaj im do głowy, jak mocno muszą się trzymać.

Pohamuj się, bo wiesz, jakie są dziewczęta: nie słuchają. Może lepiej powalić je na ziemię, zaciągnąć do morza. Niech ta doskonała chwila okaże się ostatnią. „Odejdźcie teraz, dziewczyny, bo w tym życiu lepiej wam już nie będzie”, a potem rzucić je falom. Niech zniosą je poza krawędź świata.

Siłą rzeczy wzrok musi się ich ucześcić, wszak nie sposób nie pamiętać, jak było, kiedy było właśnie tak. Siedzenie tam w drzeniu, gdy słońce zniża się na horyzoncie, nad falami wieje zimny wiatr, a niebo płonie czerwienią, gdy wokół dziewcząt gęstnieje ciemność i żadna z nich nie wie, jak mało zostało im czasu, nim ogień się wypali.

Wspomnij, jak bosko było płonąć.

MY

styczeń–marzec

1992

DEX

Przed Lacey

Ciało wreszcie znaleźli w niedzielę po zmroku, gdzieś między *60 minutami* a *Światem według Bundych*. Zapewne bliżej Andy'ego Rooneya niż Ala Bundy'ego, gdyż wieściom, nawet takim, rozniesienie się musiało zająć trochę czasu. Pośród drzew na pewno trzeba było sporo zrobić: otoczyć miejsce ostrzegawczą żółtą taśmą, sfotografować plamy krwi, wsunąć zwłoki do ambulansu, który przybył na marne, schować broń do torebki – takimi działaniami, jeśli telewizja nie kłamie, kieruje uniwersalna logika, wdrażany jest ustalony scenariusz, który nawet naszym żalonym Keystone Kops pomógł uporać się z niełatwą koniecznością dotykania ciała, oglądania i wachania tego, co z niego zostało po trzech dniach i nocach w lesie. Kto wie, jak później wyglądał oficjalny przebieg spraw, dokąd zabrano zwłoki, kogo obarczono zadaniem powiadomienia rodziców, jak wydobyto pocisk, co stało się z bronią i listem. Nieoficjalnie złe wieści robiły to, co umieją najlepiej: rozchodziły się. Ojciec zawsze lubił powtarzać, że w Battle Creek nie zesrasz się we własnym łóżku, żeby nie pojawił się sąsiad z zamiarem podtarcia ci tyłka, a choć mawiał to przede wszystkim, żeby zagrać na nerwach matce, było w jego słowach ziarno prawdy.

Telefony zawsze odbierała matka.

– Znaleźli go, tego chłopca z twojej szkoły – oznajmiła, gdy program zastąpiła reklama, a my starannie unikaliśmy nawzajem swego wzroku, kierując spojrzenia ku tańczącym na ekranie

olbrzymim butelkom coca-coli.

Powiedziała, że znaleźli go w lesie, że znaleźli go martwego. Że sam to sobie zrobił. Zapytała, czy był moim przyjacielem, a ojciec zauważył, że odpowiedziałam na to pytanie już wtedy, kiedy zaginął, ledwie go znałam i nic mi nie jest, na co matka odparła: „Dajże jej mówić za siebie”. „Któż jej broni?”, zdziwił się ojciec, na co matka do mnie: „Chcesz o tym porozmawiać?”, ojciec zaś: „A wygląda, jakby chciała?”.

Nie chciałam. Powiedziałam im, że może później, co było kłamstwem, i że wolałabym zostać sama, co było prawdą, i żeby się o mnie nie martwili, bo ze mną wszystko w porządku. Co było nie tyle prawdą czy kłamstwem, ile wymogiem chwili.

– Przykro nam, pannico – rzekł ojciec, gdy zaczęłam się ewakuować, i były to ostatnie słowa, które padły w moim domu na temat Craiga Ellisona oraz tego, co sobie zrobił w lesie.

Nie był moim przyjacielem. Był dla mnie nikim, może nawet kimś mniej. Za życia kojarzył mi się z koszulkami Big Johnson i kretyńsko zwisającymi džinsami, spod których wystawały bokserki i kawałek rowa. W zimie – z koszykówką, wiosną – z lacrosse, a przez okrągły rok – z głupią blondynką o sadystycznych skłonnościach, technicznie od przedszkola moją koleżanką z klasy, ale pod każdym istotnym względem mieszkanką jakiegoś alternatywnego wymiaru, w którym ludzie wiwatują na szkolnych imprezach sportowych, a w sobotnie wieczory piją i brandzlują się przy Color Me Badd, zamiast siedzieć w domu i oglądać *Złotka*. Za życia Craig był – można rzec – czymś odrobinę mniej niż suma części składowych mięśniaka, a kiedy kilka razy nasze drogi się skrzyżowały i raczył dostrzec moje istnienie, mogłam liczyć na to, że

przepychając się, doda grzecznościowo jakąś dowcipną uwagę do „Ruchy, lachon, ruchy!”.

Ale po śmierci przeszedł transformację: męczennik, ósmy cud świata, ofiara, przypowieść ku przestrodze. Do poniedziałku rano jego szkolna szafka stała się miszmaszem papierowych serduszek, pluszowych misiów i proporczyków drużyn koszykarskich, przynajmniej dopóty, dopóki woźni nie zostali poinstruowani, że mają to wszystko usunąć – lękano się, że zbyt duży szum wokół sprawy może wywołać wśród nas naśladowczy trend. Wyznaczono termin ogólnoszkolnego apelu żałobnego. Potem, pod wpływem wyżej opisanej paranooidalnej logiki, termin odwołano. Później znów go wyznaczono, aż wreszcie wypracowano kompromis, który przybrał formę godziny łzawych wspominek i pokazu slajdów przy akompaniamencie instrumentalnych wersji piosenek Bette Midler, uzupełnionej o zalew ulotek informacyjnych ogólnokrajowego telefonu zaufania dla samobójców.

Ja nie płakałam. Jakoś nie było mi po drodze.

Wszystkim uczniom młodszych klas nakazano przynajmniej raz spotkać się ze szkolnym psychologiem. Termin mojej wizyty wypadł kilka tygodni po śmierci Craiga, wciśnięto mnie pomiędzy szaraczków, a sama wizyta przebiegła zdawkowo: Czy miewałam koszmary? Czy nie mogłam powstrzymać płaczu? Czy potrzebowałam pomocy? Czy byłam szczęśliwa?

Nie, nie, nie, odpowiedziałam, i tak, ponieważ ze szczerości nic by mi nie przyszło.

Psycholog osuszył sobie pachy i zapytał, co w śmierci Craiga Ellisona wzburzyło mnie najbardziej. Nikt nie używał tego roku słowa „samobójstwo”, chyba że było to absolutnie konieczne.

– Leżał w tym lesie trzy dni – odpowiedziałam – czekając, aż ktoś go znajdzie.

Wyobrażałam to sobie jak poklatkowy film ukazujący kwitnienie kwiatów: zwłoki wypuszczające ze świstem ostatnie gazowe wyziewy, psujące się mięso, grzebiące w ziemi jelenie, maszerujące mrówki. Linia drzew zaczynała się zaledwie kilka przecznic od mojego domu i zastanawiałam się, co mógłby ze sobą przynieść dmący z odpowiedniego kierunku wiatr.

Chociaż to nie zwłoki najbardziej mnie wzburzyły, daleko im było do tego. Najbardziej zadziało na mnie odkrycie, że ktoś taki jak Craig Ellison też miał tajemnice – że miał prawdziwe ludzkie emocje, wcale nieróżniące się od moich. Najwyraźniej zresztą głębsze, ponieważ jeśli ja miałam zły dzień, oglądałam kreskówki i pochłaniałam paczkę doritos, on zaś poszedł do lasu z ojcowskim pistoletem i wystrzelił sobie dziurę w tyle głowy. Miałam kiedyś świnkę morską, która nie robiła nic poza jedzeniem, piciem oraz kupkaniem, i gdybym odkryła, że jej wewnętrzny niepokój bije na głowę mój, byłabym równie poruszona.

Wówczas, o dziwo, psycholog zrobił woltę i zapytał, czy wiem coś o sprofanowaniu trzech kościołów w Halloween. Na ich drewnianych drzwiach wymalowano do góry nogami krwawoczerwone krzyże.

– Oczywiście, że nie – odparłam, chociaż wiedziałam to, co wszyscy, czyli że trio ćpunów zaczęło przejawiać zainteresowanie czarnym lakierem do paznokci oraz pięcioramiennymi gwiazdami i przez cały tydzień, który pozostał do Halloween, chełpiło się, jak to przypomni światu, skąd w nazwie „diabelska noc” wziął się diabeł.

– Sądzisz, że Craig mógł coś o tym wiedzieć? – zapytał.

– A czy on tej samej nocy nie... no, wie pan?

Psycholog skinął głową.

– To chyba nie za dużo.

Sprawiał wrażenie nie tyle rozczarowanego, ile dotkniętego osobistym afrontem, jakbym właśnie zniszczyła jego moment jak z *Napisala: morderstwo* – wnikliwy przypadkowy obserwator odkrywa mroczną prawdę kryjącą się za potworną zbrodnią.

Nawet dla tych, którzy darzyli Craiga większym uznaniem niż ja – a może właśnie dla nich – samobójstwo pozostawało nierozwiązaną łamigłówką. Był dobrym chłopcem, a przecież każdy wie, że dobrzy chłopcy nie robią takich złych rzeczy. Był szkolnym rozgrywającym, zaliczył zwycięski sezon, miał otwartą na robienie łoda dziewczynę. Logika dyktowała radość. Musiały być jakieś okoliczności łagodzące, mawiali ludzie. Może narkotyki z rodzaju tych, które każą ci wybiec przez zamknięte okno, bo wierzysz, że umiesz latać. Może źle potoczyła się gra w rosyjską ruletkę, nie dotrzymano paktu romantycznej miłości, przyzwany został mrok, jakaś krwią skalana magia wiodąca swe ofiary w diabelską noc. Nawet ci, którzy akceptowali fakt, że doszło do zwykłego samobójstwa, zachowywali się, jakby była to nie tyle decyzja osobista, ile choroba komunikacyjna, którą Craig przypadkiem się zaraził i którą mógł przenieść na nas jak chłamydę.

Przez całe moje życie Battle Creek niezawodnie sprawdzało się jako miejsce, w którym nic się nie dzieje. Najdziwniejsze tego roku nie było to, że coś wreszcie się stało, ale że – jakby miasto miało wspólny, pierwotny jaszczurczy mózg zdolny wejrzeć w przyszłość – wszyscy wstrzymywaliśmy oddech w oczekiwaniu na to, co nastąpi dalej.

Dzięki jakiemuś niedookreślonymu związkowi przyczynowo-skutkowemu, który dyrekcja szkoły odkryła między depresją a bezbożnością, nowa pośmiertna polityka kazała nam spędzać trzy minuty każdej godziny wychowawczej na cichej modlitwie. Craig chodził do mojej klasy, siedział na ukos po mojej prawej. Byliśmy na tyle mądrzy, żeby nie patrzeć wprost na jego ławkę. Przed laty, podczas zaćmienia Słońca, wykonaliśmy wszyscy małe kartonowe pudełka ze szparami, przez które mogliśmy patrzeć w ciemność, ostrzeżeni, że spojrzenie gołym okiem wypali nam siatkówkę. Z punktu widzenia fizyki od początku nie miało to dla mnie sensu, ale sens miała poezja: konieczność wkręcenia się w patrzenie na coś bez widzenia tego czegoś. To właśnie robiłam teraz, pozwalałam sobie zerkać na ławkę Craiga tylko podczas tych trzech minut bezgłośnej modlitwy, gdy pozostali mieli zamknięte oczy i pochylone głowy, jakby potajemne spojrzenie w jakiś sposób się nie liczyło.

Ciągnęło się to przez kilka miesięcy, kiedy coś – nic tak dobitnego jak dźwięk, bardziej klepnięcie niewidzialnej dłoni w ramię, niewypowiedziany szept, zapewniający, że „do przeznaczenia tędy” – zmusiło mnie do oderwania wzroku od lakierowanej powierzchni, którą Craig zrył mnóstwem rysunków przedstawiających kutasy z jajami, i skierowania go ku dziewczynie w przeciwnym rogu sali, o której wciąż myślałam jako o nowej, choć była z nami od września. Spojrzenie szeroko otwartych oczu utkwione miała w ławce Craiga, ale potem już nie. Przeniosła je na mnie. Wpatrywała się we mnie, jakby czekała na rozpoczęcie występu, i dopiero gdy wywróciła oczami i okazała się wyśliznęła, zrozumiałam, że tej właśnie okazji wyglądałam. Potem jej środkowy palec uniósł się, wskazując sufit, wskazując niebo – nieomylnie Pana naszego na

wysokościach – a kiedy opuściła wzrok, by znów spotkał się z moim, mój palec z własnej woli podniósł się w identycznym salucie. Uśmiechnęła się. Gdy nauczyciel ogłosił, że trzy minuty minęły, jej dłonie znów grzecznie leżały na blacie... dopóki jednej nie uniosła i nie oświadczyła, że modlitwa w szkole, nawet milcząca, jest niezgodna z prawem.

Lacey Champlain nazywała się jak striptizerka i ubierała jak kierowca ciężarówki, we flanelowe koszule i ciężkie buciorzy, a my, odcięci od świata w miejscu, które Lacey nazwie później „rowem w tyłku zachodniej Pensylwanii”, jeszcze nie rozpoznawaliśmy w tym przysięgi na wierność złożonej grunge’owi. Nowa dziewczyna w szkole, w której od czterech lat nie pojawił się nowy uczeń, opierała się skategoryzowaniu. Miała w sobie jakąś zaciętość, która z kolei opierała się atakom, stała się więc dwunogą wersją ławki Craiga, na którą najlepiej zerkać kątem oka. Ale teraz patrzyłam na nią wprost, ciekawa, jak też udaje jej się wytrzymać niesławne, budzące grozę spojrzenie pana Callahana.

– Masz jakiś problem z Bogiem? – zapytał Callahan. Był też naszym nauczycielem historii i zasłynął tym, że opuszczał całe dziesięciolecia i wojny na rzecz wyjaśniania, jaką bzdurą jest datowanie węglem i że wszystkie przypadkowe mutacje w historii nie tłumaczą ewolucji ludzkiego oka.

– Mam problem z tym, że zadaje mi pan to pytanie w instytucji finansowanej z podatków publicznych.

Lacey Champlain miała ciemne, niemal atramentowe włosy, zawijające się na wysokości podbródka niczym u chłopczycy z lat dwudziestych. Błada skóra i krwistoczerwone usta sprawiały, że nie musiała stylizować się na gotkę, ponieważ była nią z natury – urodzona wampirzyca. Paznokcie miała identycznego koloru co usta, tak samo buty, zasznurowane po

łydki i wyglądające na stworzone do tratowania. Tam, gdzie u mnie występował bezład wypukłości i wklęsnięć, ona miała coś, co bez przesady można było nazwać figurą: wzniesienia i doliny, wszystkie właściwych rozmiarów i ukierunkowane jak trzeba.

– Jeszcze jakieś sprzeciwy z loży szyderców? – zapytał Callahan, mierząc nas jedno po drugim tym swoim wzrokiem, wyzywając do uniesienia ręki. W dniu, w którym z rana oficjalnie nas poinformował, że Craig już nie wróci, jego twarz zapadła się w sobie i w zasadzie nigdy nie odzyskała dawnego wyglądu, ale choć od tamtej pory jego onieśmielającemu spojrzeniu ubyło surowości, pozostało wystarczająco groźne, by wszyscy się zamknęli. Uśmiechnięty niczym po zwycięskim meczu powiedział Lacey, że jeśli modlitwa ją krępuje, to nikt jej tu siłą nie trzyma.

Więc Lacey wyszła. Jak głosi plotka, zajrzała do biblioteki, po czym z tomem konstytucyjnych praw w jednej ręce i numerem telefonu do Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich w drugiej pomaszerowała pros-to do gabinetu dyrektora. Tak skończył się przelotny flirt liceum w Battle Creek z cichymi modlitwami.

Sądziłam, że coś może z tego wyjść, z tej naszej wspólnej niemej sekundy. Przez kilka następnych dni obserwowałam ją ukradkiem, czekając na jakieś potwierdzenie, że coś między nami zaiskrzyło. Jeśli zauważyła, niczego nie dała po sobie poznać, a kiedy odwracałam się, by na nią zerknąć, ani razu nie odwzajemniła mego spojrzenia. W końcu zaczęłam czuć się jak idiotka i żeby nie wyjść na żalostną, pozbawioną przyjaciół ofiarę losu, która wprzęga okruch przypadkowej relacji w rozbudowaną fantazję o bliskości, oficjalnie zapomniałam o istnieniu Lacey Champlain.

Nie żebym była żałosna i bez przyjaciół, a już z pewnością nie według hollywoodzkich standardów, które ukazują nas jako cyncate czirliderki albo osamotnione kujonki. Zawsze w porze lunchu udawało mi się znaleźć miejsce przy tym czy innym stole i miałam kilka pewnych, wymienialnych dziewczyn do odpisywania pracy domowej lub sporadycznych zajęć w grupach. Mimo to marzenia o najlepszej przyjaciółce zaspokajałam moimi Barbie, a także innymi przedmiotami dzieciństwa, i porzuciłam nadzieję, że Battle Creek zaoferuje mi coś choćby przypominającego bratnią duszę. Innymi słowy: byłam samotna od tak dawna, że aż o tej samotności zapomniałam.

Zapomniałam, że to wrażenie alienacji, żalu za czymś, czego nigdy nie miałam, krzyku w pustkę ze świadomością, że nikt go nie usłyszy, nie było niczym innym niż elementarnym aspektem życia.

Całkowicie równe płaskowyzę istnieją tylko na przedstawiających Ziemię ilustracjach w podręcznikach do szkół podstawowych. Nawet moja starannie zorganizowana egzystencja, na którą składały się szkoła, prace domowe, telewizja i zerowy stopień introspekcji, miała swe wzniesienia i niziny. Doliną był na przykład odbywający się dwa razy w tygodniu wuef, a tej zimy, podczas której – kiedy tylko temperatura przekroczyła dziesięć stopni – drżałyśmy na boisku do koszykówki w durnych białych spódniczkach, bardziej przypominał nawet kroczenie ciemną doliną, w której dziewczyna Craiga ze swą paczką sługusek obsadzała bazę, ja zaś trzymałam się lewego pola i jakże lękałam się zła.

Dziewczyna Craiga. Określenie to miało się do Nikki

Drummond jak „ekszona Seana Penna” do Madonny. Mimo nagród za osiągnięcia sportowe przed swym pamiętnym ostatnim wyczynem Craig się nie liczył, Nikki Drummond zaś, przynajmniej w habitacie, którego granice wytyczał ogół uczniów liceum w Battle Creek, była boginią. Wypolerowana na wysoki połysk księżniczka o oczach stale pytających: „Kto? Ja???” i dąsie wiśniowoczerwonych ust sunęła korytarzami w chmurze uwielbienia i zapachu kojarzących się z deserami perfum – waniliowych, cynamonowych lub imbirowych – choć niczym nie zdradzała, że mog-łaby zniżyć się do czegoś równie prostackiego jak jedzenie. Nikki, podobnie jak czcicielki u stóp jej ołtarza, robiła sobie pasemka na grzywce rozjaśniaczem Sun-in, a trampki LA Gear ukwiecała mazakami – czerwone i żółte stokrotki roztańczone na nieskazitelnej bieli. Dziewczyny, które darzyła względami, a także część tych, których nie darzyła, robiły się na jej obraz i podobieństwo, ale nie można było mieć wątp-liwości co do hierarchii dowodzenia. Rządziła Nikki, służba kornie słuchała.

Nie byłam jedną z jej służek i częściej niż rzadziej uważałam to za powód do dumy.

Po śmierci Craiga Nikki na krótko otoczyła aura świętości. Myślałam, że zetknięcie się z tragedią musi człowieka zmienić, więc obserwowałam ją uważnie na wuefie, podczas godziny wychowawczej, na korytarzu przy to znikającym, to powracającym miejscu kultu, ciekawa, kim się teraz stanie. Ale Nikki stała się tylko bardziej Nikki. Nie oczyszczona, ale wydestylowana: esencja suki. Podśluchałam ją w dziewczęcej szatni dwa tygodnie po zdarzeniu, jak rozmawiała z parą dwórek głosem obliczonym na podsłuchiwanie:

– Niech sobie mówią, co chcą – rzekła i – co niewiarygodne – wybuchnęła śmiechem.

– No ale mówią, że go zdradzałaś – odparła Allie Cantor teatralnie zgorziona. – Albo że byłaś... – Ściszyła głos poniżej poziomu słyszalności, ale mogłam sobie dopowiedzieć brakujące słowa, wszak i do mnie dotarły plotki. Beatyfikacja jako pokłosie niewytłumaczalnego samobójstwa nie trwała długo. „...w ciąży”.

– Co z tego?

– To, że chodzą słuchy, że zrobił to przez ciebie – wyjaśniła Kaitlyn Dyer głosem łamiącym się na każdym słowie.

Dziewczyny Nikki konkurowały o to, która da najlepszy pokaz bólu, choć ja się zastanawiałam, skąd pomysł, że zyskają tym względy królowej. Zniosła przecież tyle dni ku pamięci, tyle wrednych plotek, i nawet brew jej nie drgnęła.

– Można to uznać za jakieś tam pochlebstwo, nie? – Nikki przerwała, coś w jej głosie sugerowało, że słodziutko się uśmiecha. – Znaczący, nie myślę, że ktoś mógł-by się dla mnie zabić, taka arogancka nie jestem. Ale muszę przyznać, że to możliwe.

Słowo – przede wszystkim to słowo: „pochlebstwo” – się rozeszło, poszeptywania ucichły. Jeszcze wiele miesięcy później zdarzało mi się obserwować Nikki, zwłaszcza kiedy była sama. Chciałam przyłapać ją na chwili człowieczeństwa. Może potrzebowałam dowodu, że powinnam jej żałować, bo brak współczucia wydawał się barbarzyństwem, a może był to tylko zwierzęcy instynkt. Nawet najgłupsza zwierzyna łowna wie, że nie wolno odwracać się plecami do drapieżnika.

Większość z nas na tym etapie edukacji szkolnej opanowała umiejętność przebierania się w strój gimnastyczny bez odsłaniania milimetra nagiej skóry więcej, niż było to konieczne. Nikki nigdy nie zawracała sobie tym głowy. Jej stanik zawsze pasował do majtek, a kiedy znudziło ją popisywanie się płaskim

brzuchem i doskonałymi krągłościami, które wciskała w jeden pastelowy komplet satyny za drugim, potrafiła jakoś sprawić, że nawet obowiązkowa tenisowa spódniczka wyglądała na niej dobrze. Ja zaś, w obwisłych babcinych majtochach i ze sflaczałymi miseczkami C pęczniejącymi wśród rozciągniętej koronki, w spłowiałym białym stroju, przez który moja skóra nabierała gruźliczej bladości, traktowałam lustro jak wroga. Zatem tego dnia, kiedy po raz pierwszy w lutym było na tyle ciepło, żeby grać na dworze, nie przyjrzałam się sobie, wychodząc z szatni, i dopiero na boisku, w połowie pierwszej rundy, zauważyłam, że wszyscy, którzy się śmieją, śmieją się ze mnie. Niczego nie rozumiałam, dopóki Nikki Drummond nie przesunęła się dyskretnie na ławce rezerwowych i nie wyszeptała z chichotem, że może powinnam wsadzić se w pizdę tampon.

W tym koszmarze nie było opcji „i wtedy się obudziłam”. Była natomiast krew. Była plama. Lepiłam się, ciekło ze mnie i gdyby Nikki podsunęła mi nóż, z radością przejechałabym nim po żyle, lecz zamiast tego dała mi to jedno słowo, którego dziewczyny jej pokroju nie powinny używać i które od tej pory gwarantowało, że ktokolwiek na mnie spojrzy, zobaczy Hannah Dexter i pomyśli: pizda. Moja pizda. Moja cieknąca, zakrwawiona, ohydna pizda.

Może powinnam wzruszyć ramionami. Dziewczyny, które potrafiły zbyć pewne rzeczy śmiechem, umiały też z nimi żyć. Zamiast tego płonęłam w furii i we łzach, z dłońmi przyciśniętymi do uświnionego tyłka, jakby dzięki temu mogli odwiedzić to, co zobaczyli, zęby Nikki łyskały w śmiechu biela jej sukienki, i nagle w jakiś sposób znalazłam się w gabinecie pielęgniarki, wciąż zaryczana i wciąż krwawiąca, wuefista zaś wyjaśniał, że zdarzył się „wypadek”, że się „upaćkałam”, więc

może trzeba mnie obetrzeć, obmyć i pod opieką rodzica bądź opiekuna odesłać do domu.

Zamknęłam się w dostosowanej dla niepełnosprawnych łazience z tyłu gabinetu, „wsadziłam se w pizdę tampon”, przebrałam się w niepoplamione džinsy, przewiązałam kurtkę w pasie, przemyłam twarz z łez i spróbowałam wyrzygać się do kibla, ale tylko się krztusiłam. Gdy wreszcie wyszłam, zobaczyłam Lacey Champlain, która czekała, aż pielęgniarka uzna, że jej ból głowy to brednie, i odeśle ją na zajęcia, lecz naprawdę – przynajmniej tak to sobie opowiadałyśmy później, gdy chciałyśmy, żeby w naszej historii znalazł się pierwiastek nieuchronności – na jakimś głębszym, podskórnym poziomie czekała na mnie.

Pomieszczenie pachniało alkoholem do dezynfekcji. Lacey pachniała Bożym Narodzeniem – imbirem i goździkami. Słyszałam, jak w swoim gabinecie pielęgniarka narzeka przez telefon na nadgodziny i skarży się, że gdzieś tam jakaś tam okazała się totalną dziwką.

I wtedy Lacey popatrzyła na mnie.

– Kto to był? – zapytała.

Nikt, tylko ja, fatalne wyczucie czasu, obfity wpływ i bezlitosny dyktat białej bawełny. Ale ponieważ śmiech grał w tym równie ważną rolę jak plama, „pizda” równie ważną jak wyciek z niej, nie mogłam pominąć Nikki Drummond, a gdy już wypowiedziałam jej nazwisko, Lacey wygięła kącik ust, jej palec igrał na twarzy, jakby podkręcała niewidzialnego węża, a ja skądś wiedziałam, że niczym bardziej zbliżonym do uśmiechu mnie nie obdarzy.

– Nachodzi cię czasem ochota, żeby po prostu to zrobić? Jak on? – zapytała.

– Zrobić co?

Obrzuciła mnie za to spojrzeniem, które często potem widywałam. Mówiło, że ją rozczarowałam, że Lacey spodziewała się po tobie czegoś lepszego, ale że da ci jeszcze jedną szansę.

– Skończyć z sobą.

– Może. Czasami.

Nigdy nie wypowiedziałam tego na głos. To tak, jakby nosić w sobie utajoną chorobę i ukrywać przed wszystkimi jej zaraźliwość. Coś we mnie oczekiwało, że Lacey odsunie się ze zgrzytem krzesła.

Ale ona wyciągnęła lewą rękę i odwróciła ją przegubem do góry, pokazując żyły.

– Widzisz?

Widziałam blade ciało pokryte pajęczynami błękitu.

– Co?

Postukała palcem we właściwe miejsce, wyblakłą białą kreskę długości kciuka ukośnie przecinającą nadgarstek.

– Niezdecydowane cięcie – powiedziała. – Znak, że opuściła cię odwaga.

Chciałam tego dotknąć. Poczuć wypukłe brzegi blizny, bijący pod nimi puls.

– Naprawdę?

Niespodziewane parsknięcie śmiechem.

– Oczywiście, że nie naprawdę. Zacięłam się kartką papieru. No daj spokój.

Albo się ze mnie nabijała, albo nie. Albo była taka jak ja, albo nie.

– W każdym razie, gdybym chciała to zrobić, to na pewno nie w ten sposób – dodała. – Nie nożem.

– A jak?

Potrząsnęła głową i wydała z siebie „m-m”, jakbym była dzieckiem sięgającym po papierosa.

- Pokażę ci, jak ty pokażesz mi pierwsza.
- Znaczy co?
- Jak byś to zrobiła.
- Ale ja nie...
- Nie ma znaczenia, czy rzeczywiście byś się na to zdobyła
- przerwała mi, a ja widziałam, że moje szanse gwałtownie się kurczą. – Metoda zabicia się to najbardziej osobista decyzja, jaką można podjąć. Mówi o tobie wszystko, nie sądzisz?

Dlaczego odpowiedziałam jej tak, jak odpowiedziałam? Bo widziałam, że zaczynam ją męczyć, a bardzo tego nie chciałam, bo byłam na krawędzi, skonana, i nadal czułam, jak w dzinsy sączy mi się wilgoć, bo miałam serdecznie dość zachowywania dla siebie tego, co uważałam za prawdę.

– Więc strzelając sobie w łeb, Craig na swój sposób ogłosił: „Moja dziewczyna jest pizdą, a to jedyny sposób, żeby zerwać z nią na dobre”? – powiedziałam, po czym dorzuciłam: – Może to najmądrzejsze, co w życiu zrobił.

Nie musiała mi później mówić, że w tym momencie podbiłam jej serce.

– Jestem Lacey – przedstawiła się, znów wyciągnęła dłoń, tym razem przegubem w bok, i podałyśmy sobie ręce.

– Hannah.

– O, nie! Nienawidzę tego imienia. Jak masz na nazwisko?

– Nie zwalniała uścisku.

– Dexter.

Skinęła głową.

– Dex. O niebo lepiej. Z tym już da się coś zrobić.

Urwałyśmy się ze szkoły.

– Taki dzień aż się prosi o cukier i alkohol w obfitych

ilościach – powiedziała Lacey. – A może i o frytki. Wchodzisz w to?

Jeszcze nigdy nie wagarowałam. Hannah Dexter nie łamała zasad. Dex natomiast bez zastanowienia wymaszerowała za Lacey ze szkoły, myśląc nie o konsekwencjach, ale o „wsadzeniu se w pizdę tamponu” i o tym, że jeśli Lacey zasugeruje, byśmy spaliły tę budę, Dex może na to pójść.

Jej buick, ostatni rzech, łapał tylko częstotliwości AM, ale Lacey przymocowała do deski rozdzielczej stary magnetofon kasetowy w stylu Barbie. Podkręciła dźwięk na maksa, wrzaski jakiegoś maniaka uwięzionego w piekielnej komnacie młotów pneumatycznych i elektrowstrząsów, ale kiedy zapytałam, kto to jest, wniosłam z jej nabożnego szeptu, że myliła to z muzyką.

– Dex, poznaj Kurta.

Oderwała wzrok od drogi na czas potrzebny, by odczytać wyraz mojej twarzy.

– Naprawdę nigdy nie słyszałaś Nirvany?

Aż za dobrze znałam ten rodzaj fałszywego niedowierzania: „Nikki naprawdę nie zaprosiła cię na imprezę na basenie?”, „Naprawdę nie masz swatcha?”, „Naprawdę nigdy się nie całowałaś / nie trzepałaś nikomu konia / nie obciążałaś / się nie rżnęłaś?”. Nie przeszkadzał mi w tym zawołowany snobizm, lecz implikowane politowanie, że mogę być tak niewyobrażalnie nedorobiona. Ale nie w wypadku Lacey. Jej litość przyjąłam jako coś słusznie mi się należącego, ponieważ dostrzegłam teraz, że to faktycznie niewyobrażalne: nie znać Nirvany. Widziałam, jaką radość czerpie z utrwalania naszych ról: jej – rzeźbiarza, mojej – gliny. W tamtym samochodzie, gdy coraz więcej mil dzieliło nas od szkoły, Hannah od Dex, przedtem od potem, niczego nie chciałam bardziej, niż sprawić jej radość.

– Nigdy – odrzekłam, a ponieważ wypadalo, dodałam też: –

Ale brzmi niesamowicie.

Jechałyśmy, słuchałyśmy. W porywie uniesienia Lacey otworzyła okno i wykrzyczała ku niebu słowa piosenki.

Tamten buick... Antyczny, rzeźący, cętkowany ptasimi odchodami, a przecież nawet tego pierwszego dnia czułam się w nim jak w domu. Miłość od pierwszego wejrzenia, jakbym już wtedy wiedziała, że będziemy nim uciekać z miejsc wykroczeń. Jego schowek wypełniały hałdy map, buteleczki spękanego lakieru do paznokci, kasety ze składankami przebojów, opakowania z Burger Kinga, prezerwatywy do użycia w nagłej potrzebie, zakurzone paczki papierosów. Jego skórzane fotele emanowały odorem tytoniu, chociaż Lacey, której babcia zmarła na raka płuc, nie tykała papierosów.

– Należał do pewnej nieżyjącej już pani – wyjaśniła tego pierwszego dnia. – Trzy kompletne czyszczenia wnętrza, a cholerstwo nadal śmierdzi fajkami i pieluchami dla dorosłych.

Jakby był nawiedzony. Podobało mi się to.

Z biegiem czasu zrozumiałam, że Lacey żyła prowadzeniem auta. Zawsze organizowała nam jakieś wycieczki: na miejsce lądowania UFO, na zjazd demokratów, gdzie udawałyśmy groupies Rossa Perota, na zjazd republikanów, gdzie udawałyśmy komunistki, do restauracji dla zmotoryzowanych w stylu lat sześćdziesiątych z obsługą jeżdżącą na rolkach i do Big Mac Museum, co było totalnym obciachem. Przede wszystkim służyły za pretekst, żeby się przejechać. Ale tego pierwszego dnia nie wymyśliła żadnego celu, robiłyśmy kółka. Wystarczał sam ruch.

Było w tym coś błogo otepiającego, w monotonii zarówno drewnianych domów, jak i betonowej linii ze spoiną pośrodku, w dniu rozwijającym się przed nami, gdy jeździłyśmy wokół miasta. Próbowałam sobie wyobrazić, jak w jej oczach

prezentowało się zawzięcie idylliczne Battle Creek ze swoimi antykwariatami i lodziarenkami, pustymi witrynami i rdzewiejącymi znakami informującymi o zajęciu hipotecznym, ze swoją arogancką pychą, każdym wymuszonym uśmiechem i każdą łopoczącą flagą, uparcie podkreślającą, że to właśnie jest prawdziwa Ameryka, że jesteśmy solą ziemi i krwią tego kraju, że nasz płaski zielony zaułek Pensylwanii to odgradzony raj, nietknięty przemocą i grzechem tak rozpowszechnionymi we współczesnym świecie, że jedyne troski matek tego miasta to odpowiednia kruchość ciasta i ogrodowe chwasty, ojcom wystarcza jedno piwo po kolacji i nigdy nie sięgają ukradkiem pod spódniczki sekretarek, synowie i córki zaś przeżywają wyłącznie problemy na miarę bohaterów sitcomów i co tam hormony czy bluzki odsłaniające plecy, są przecież na tyle rozsądni, by zaczekać. Gdy coś poszło na opak, gdy złote dziecko wetknęło sobie lufę w usta i rozchlapało mózg na wilgotnej ziemi, mog-ło to tylko świadczyć o inwazji bądź złapaniu wirusa, ingerencji ich, nigdy zaś o rozpadlinie w głębi naszych serc. Gdy zapada noc, łatwo rozmyślnie ignorować to, co dzieci robią w ciemności.

Nie, spojrzenie na dom jej oczami było niemożliwe, podobnie jak nie można spojrzeć na swoją twarz oczami nieznajomego. Tego lękałam się najbardziej: że Battle Creek jest mym zwierciadłem. Że Lacey spojrzy na jedno, zobaczy drugie i oba odrzuci.

– Nie mogę uwierzyć, że masz samochód – odezwałam się. Ja nie miałam nawet prawa jazdy. – Gdybym też miała, wyjechałabym stąd i już nie wróciła.

– Chcesz? – zapytała Lacey, jakby łatwo było na dobre wynieść się z Battle Creek metodą na Thelmę i Louise, jakbym mogła stać się inną dziewczyną, przeciwieństwem samej siebie,

po prostu powiedziaławszy „tak”.

Może było trochę inaczej, może nie objawiło mi się to w jednym jaskrawo oczywistym rozbłysku. Może i zrzucenie z siebie całego życia Hannah Dexter zajęło więcej czasu, niż trwa jedna przejażdżka samochodem – dogłębne zapoznawanie się z właściwymi zespołami, powolna, lecz stała eskalacja wykroczeń, flanele i glany, farbowanie włosów, grzybki i czelność, by pogwałcić choć kilka przykazań – ale dziś pamiętam to właśnie tak. Tak to wtedy odbierałam. W tym samochodzie miałam wrażenie, że mogę wybrać, czy chcę stać się Dex. Wszystko, co nastąpiło później, było zaledwie formalnością.

– Jeśli natychmiast ruszymy, przed północą możemy być w Ohio – powiedziała Lacey. – A za dzień czy dwa znajdziemy się w Górach Skalistych.

– Jedziemy na zachód?

– Pewnie, że na zachód.

Zachód, jak stwierdziła Lacey, był pograniczem. Końcem świata, miejscem, do którego uciekało się w poszukiwaniu złota, Boga lub wolności, domeną kowbojów, gwiazd kina, desek surfingowych, trzęsień ziemi i niemiłosiernego słońca pustyni.

– To jak? Chcesz?

Tego roku Lacey trzykrotnie, jak kusicielka z bajki, prosiła, żebym z nią wyjechała, a ja za każdym razem odpowiadałam „nie”, wyobrażając sobie, jaka to jestem rozsądna, skoro opieram się pokusie dzikiego wypadu. Nie rozumiałam, że prawdziwa dzicz czeka na mnie w Battle Creek – niebezpieczeństwo kryło się w pozostaniu.

Tamtego razu nie odpowiedziałam „tak” ani „nie”. Roześmiałam się tylko, więc zamiast do ziemi obiecanej Lacey zawiozła nas nad jezioro. Znajdowało się trzydzieści kilometrów

za miastem, miało plażę dla rodzin, dok dla rybaków, trzciny i cienie dla kochanków oraz usiane pustymi puszkami grząskie dno dla pozostałych. Tego dnia było samą ciszą i przestrzenią: bezlistne gałęzie zwieszające się nad szarym brzegiem, opuszczone doki, w których duchy niegdysiejszych dzieci skakały z niewidzialnych pontonów, by zanurkować w roziskrzonym błękicie. Nadeszła już zima, jezioro należało wyłącznie do nas. Bywałam już tutaj, choć nieczęsto, gdyż moja matka nie cierpiała plaży, ojciec zaś – wody. Robiąc babki z piasku na plaży pełnej dzieci żyjących w reklamie L.L. Bean, siedzących w cieniu parasoli, ojcowskimi ramionami wrzucanych do wody, zawsze czułam się jak aspołeczna połowa komiksowego duetu Goofus i Gallant: dobrze ułożony Gallant buduje zamek z fosą, zasypuje matkę piaskiem, ćwiczy unoszenie się na wodzie w pozycji na kłodę i robi stójki na mulistym dnie jeziora. Niewychowany Goofus leży z książką na ręczniku i podczas gdy matka nanosi ołówkiem poprawki w dokumentach z pracy, a ojciec otwiera kolejne piwo, uczy się taplać w miejscu, ciekawy, kto uratuje go przed utonięciem, skoro żadne z rodziców nie umie pływać.

Lacey wyłączyła silnik i muzykę, pogrążając nas w niezręcznej ciszy.

Odetchnęła głęboko.

– Uwielbiam to miejsce zimą. Wszystko martwe. Zupełnie jakby znaleźć się w wierszu, nie sądzisz?

Odpowiedziałam, że sądzę.

– Piszesz wiersze? – spytała. – Widać, że z takich jesteś. Tych od słów.

Znów potwierdziłam, że tak, że piszę, choć z prawdą wiązała to ledwie wątła nić. Gdzieś w moim pokoju walał się stosik zapomnianych pamiętników, w każdym kilka stron

drętwych wpisów przeciw kilkuset czystym kartkom.

Upamiętniały, jak niewiele mam do powiedzenia. Wolałam historie innych ludzi, ale dla Lacey mogłam zostać dziewczyną, która tworzy własne.

– A widzisz?! – triumfowała. – Jesteśmy sobie obce, a jakbyśmy już się znały. Też to czujesz?

Chociaż wszystko, co jej powiedziałam od wejścia do samochodu, było obliczonym na pozyskanie łask kłamstwem, odbierało się to jak prawdę. Wydawało się, że mnie znała, lub też pytanie po pytaniu przywoływała do nowej formy istnienia, było więc zupełnie sensowne, że musi znać tę dziewczynę na wylot. Wiedza to prerogatywa stwórcy.

– O jakiej liczbie myślę? – zapytałam.

Zmrużyła oczy, przyłożyła palce do skroni.

– O żadnej. Myślisz o tym, co stało się w szkole.

– Nieprawda.

– Chrzanisz. Myślisz, choć z całych sił się przed tym bronisz, bo jeśli będziesz to roztrząsała, jeśli na serio się w tym zakisisz, to zaczniesz płakać, wrzeszczeć i polerować kastet. Wtedy robi się paskudnie, a takich zagrań nie lubisz.

Było to jednak troszkę deprymujące, że ktoś tyle o tobie wie.

– Czego się boisz, Dex? Jeśli się wkurzysz, naprawdę wkurzysz, co najgorszego może się zdarzyć? Sądysz, że wystarczy chcieć, by Nikki Drummond mózg wyciekł przez uszy?

– Chyba powinnam wracać do domu – odparłam.

– Jezu, popatrz tylko na siebie! Bledziuchna i wije się jak piskorz. Porządnie się wkurwić to żaden śmiertelny grzech.

Uwierz mi.

Ale taki gniew nie był czymś mądrym. Odczuwanie go było

bezcelowe.

Bolało.

– „Wsadź se w pizdę tampon” – powiedziałam, bo mógł to być sposób, żeby ten gniew wyegzorcyzmować. Przegnać z głowy, rozsiać po świecie.

– Że co?

– Tak powiedziała Nikki. Dzisiaj.

Lacey gwizdnęła.

– Ale pojebane. – Potem zaczęła się śmiać, lecz nie ze mnie. Tego byłam pewna. – Mała Miss Doskonałości, a gęba unurzana w rynsztoku. To dopiero, kurwa, groteskowe. – I chwilę później jakimś cudem śmiałyśmy się obie.

– Wiesz, dlaczego cię tu przywiozłam? – zapytała, kiedy wreszcie doszłyśmy do siebie.

– Żeby zapсихоanalizować mnie na śmierć?

Obniżyła głos do tonu seryjnego mordercy:

– Ponieważ tutaj nikt nie usłyszy twojego krzyku.

Gdy zastanawiałam się, czy nie wkroczyłam właśnie w akt trzeci filmu klasy B, jednego z tych, w których bohaterka zgadza się, by podwiózł ją nieznajomy, i kończy, unosząc się twarzą w dół, na falach jeziora, Lacey podeszła do granicy wody, odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła wrzeszczeć. To było piękne, ten przyływ słusznej wściekłości, i ja też takiego zapragnęłam.

Wtedy ucichł, a Lacey odwróciła się do mnie.

– Twoja kolej.

Podjęłam próbę.

Stałam tam, gdzie ona stała, moje kedsy przykryły ślady jej butów. Przesunęłam spojrzeniem po wodzie, na której unosiły się kawałki kry. Ich migotanie miało w sobie coś pierwotnego. Patrzyłam na zamglone moim własnym oddechem powietrze, zacisnęłam pięści w rękawiczkach, żeby było mi cieplej, żeby

nabrać sił.

Stałam tuż nad wodą i bardzo, tak bardzo chciałam krzyczeć dla Lacey. Udowodnić jej, że ma rację, że jesteśmy takie same. Że czuję to, co ona. Że zrobię to, co powie.

Nie wydobyłam z siebie głosu.

Lacey ujęła mnie za rękę. Pochyliła się, dotknęła głową mojej głowy.

– Popracujemy nad tym.

Następnego ranka Nikki Drummond znalazła zakrwawiony tampon wciśnięty w otwór wentylacyjny swojej szafki. Tego samego dnia po południu dopadła mnie w łazience dla dziewcząt i gdy myłyśmy ręce, unikając swojego wzroku w lustrze, wysyczała: „Co jest, kurwa, z tobą nie tak?”.

– Dzisiaj, Nikki? – I popatrzyłam na nią, Meduzę z Battle Creek, i nie zamieniłam się w kamień. – Nic a nic, kurwa, nic a nic.

LACEY

Ja przed tobą

Skoro naprawdę chcesz się dowiedzieć wszystkiego, Dex – a cokolwiek to warte, jestem cholernie pewna, że dostaniesz więcej, niż dasz radę przełknąć – powinnam rozpocząć od tego, że zanim wszystko się zaczęło, byłam taka jak ty. Może nie do końca, nie tak gorliwie nieświadoma, by zapomnieć o tym, czego nie chciałam zauważać, ale wystarczająco.

Mieszkałyśmy przy plaży.

Nie, to kolejne z tych pięknych kłamstw, którymi cię karmiłam, które agencje nieruchomości i dwulicowi komiwojażerowie wciskają łatwowiernym dusigroszom; którymi raczyli się nasi ojcowie założyciele, kiedy nazwali swoje główniane skupisko stacji benzynowych i galerii handlowych Shore Village, chociaż leżało dwadzieścia minut drogi od najbrzydszej plaży w Jersey. Mieszkałyśmy między wypożyczalnią wideo Blockbuster, tanią lokalną smażalnią hamburgerów i pustą parcelą, na której w niedzielne poranki pijacy wyrzygiwali sobotnie noce. Żyłyśmy same, wyłącznie we dwie, chociaż w domu przeważnie była tylko jedna z nas. Kelnerowanie, uganianie się za zespołami muzycznymi, chłanie i pieprzenie się nie zostawiały wiele czasu na matkowanie, kiedy więc byłam już na tyle duża, żeby samodzielnie usmażyć sobie jajecznicę, Loretta zaczęła zostawiać mnie w domu w towarzystwie kota. Któregoś dnia kot uciekł – nawet tego nie zauważyła.

Biedna Lacey, myślisz sobie. Biedna, niekochana Lacey

z matką dziadową i ojcem, który nie płaci alimentów, i właśnie dlatego nie opowiadam ci o takich rzeczach. Dla ciebie wszystko jest albo bajką, albo drugorzędnym filmem, technicolor albo czerń i biel, a po co miałaś wyobrażać mnie sobie w jakiejś dusznej norze, piekle tanich przyczep kempingowych, po co miałam wysłuchiwać: „Och, Lacey, musiało być ci tak ciężko!” czy „Och, Lacey, jak wyglądają kupony na jedzenie i czym pachnie zaniedbanie?” lub, co najgorsze: „Och, Lacey, nie martw się, ja cię rozumiem, mam swój uroczy domek, ojca, który wszystko wie najlepiej, różane, kurwa, sitcomowe życie, ale w głębi duszy jesteście takie same”.

Obywałam się tym, co miałam, a miałam zapach oceanu, kiedy wiatr wiał w odpowiednim kierunku, miałam też samą plażę, kiedy udało mi się złapać stopa. Wydaje mi się, że nad wodą dorastasz inaczej. Ze świadomością, że zawsze jest jakaś droga wyjścia.

Moją okazał się dziewiętnastoletni młody gniewny z włosami na brylantynę i w kurtce Jamesa Deana; koczował w pustym mieszkaniu poniżej naszego, bo jego matka była dozorczynią i dała mu klucz. Recz jasna czytał Kerouaca. Choć może tak naprawdę go nie czytał, może po prostu strategicznie układał sobie książkę na kolanach, kiedy drzemał na tandetnym metalowym krzeselku na pustej działce, z której zrobił sobie prywatną strefę opalania. Na pewno nie czytał Rilkego, Nietzschego, Goethego ani żadnych innych nadpleśniałych paperbacków, które w kółko sobie pożyczaliśmy, kiedy krztusiłam się jego wiśniówką, a on uczył mnie palić. Przeważnie był zbyt leniwy, żeby przeczytać więcej niż pięć początkowych stron, ale przez Kero-u-aca może i przebrnął, bo Jack mówił jego narzeczem, narkomańskim, pretensjonalnym językiem ojczystym erotomanów obiboków.

Nazywał się Henry Schafer, ale kazał mi mówić do siebie Shay, i nie zrozum mnie źle, Dex, nawet wtedy, piętnastoletnia i skłonna do uniesień, nie uważałam tego za miłość. Miłość – być może – była piętrzącą się w moim pokoju stertą książek, bootlegami, które mi podrzucał, żeglowaniem po Schuylkill w jego zdezelowanym oldsmobilu, Filadelfią na horyzoncie, artystowską South Street, sklepami zaopatrującymi ćpunów, zadymionymi nocami na obskurnym zapleczu, spędzanymi na słuchaniu poezji zaangażowanej, żarem ciała, kiedy po raz pierwszy zarzuciłam kwas, słoną skórą, gdy lizałam własną dłoń. Miłość nie była tym, co na życzenie robiłam Shayowi w sypialni mojej matki, która akurat wybyła w poszukiwaniu sposobu na wyruchanie Metalliki, nie była jego kleistą mazią w moich ustach ani bolesnym wpychaniem palca w tyłek, na pewno nie miała nic wspólnego z tym, że nakryłam go, jak wciskał swojej dziewczynie język w ucho, ani z udawaniem następnej nocy, że od początku zakładałam jej istnienie i że oczywiście rozumiałam, czym to było, a czym nie, i że nic w tym złego, nic zdrożnego, że niby dlaczego nie miałabym mu służyć do zabijania czasu, podczas gdy ona była czymś tam zajęta, i owszem, powinnam być wdzięczna, że zawsze używał prezerwatywy, no bo jakiego jeszcze potrzebowałam dowodu na to, że o mnie myślał.

Nie tego chcesz słuchać. Nie o tym, jak uważnie przeczytałam te książki, z początku tylko po to, by zrobić na nim wrażenie. Że słuchałam Jane's Addiction i The Stone Roses, ponieważ powiedział mi, że tacy jak my powinni to robić, że kiedy zapytał mnie, czy mech zarostu nad jego górną wargą jest *cool*, odparłam, że tak, chociaż tu akurat zgadzałam się z jego dziewczyną: jego usta wyglądały wtedy jak cipka przed osiągnięciem dojrzałości płciowej. Tamtą noc spędził ze mną,

nie z nią, i tylko to się liczyło, ale wciąż nie chcę przez to powiedzieć, Dex, że widziałam w tym miłość.

Najbardziej lubiłam go śpiącego. Wtulonego we mnie przy zgaszonych światłach, całującego moją szyję pośród snów. W ciemności ciała mogą być kimkolwiek.

Działo się to, zanim skończyłam szesnaście lat, przed nawróceniem mojej matki, która odrodziła się w opiekuńczych ramionach AA, a potem znów na drodze Bydlaka i Pana jego. Tego właśnie roku odkryłam, że wszyscy mieli gdzieś, ile lekcji opuszczę, dopóki jakoś zaliczałam sprawdziany na tróję z plusem, a gdy już fatygowałam się na zajęcia, to w topach, dzięki którym mogłam przeginać z eksponowaniem piersi. Strategia ta okazywała się efektywna także wtedy, gdy moja matka zapuszczała płytę Bon Jovi, podkreślała dźwięk, aż pękały bębny, po czym śpiewała, tańczyła i piła, póki nie pojawiał się dozorca i nie zaczynał narzekać na hałas i niezapłacony czynsz. Był to również rok, w którym zaczął klepać po tyłku mnie, a nie ją, ona zaś przestała mnie zauważać, pomijając noce, kiedy lepka od cudzego potu wkradała się późną porą do domu, wpełzała do mojego łóżka i szeptała, że jestem wszystkim, co ma, że ona jest wszystkim, czego mi trzeba, podczas gdy ja udawałam, że śpię.

Ze Shayem było mi lepiej, nawet jeśli tylko odrobinę. Myślałam, że może razem uciekniemy. Jebać tę jego laskę. Zostaniemy Kerouakiem i Cassady, w szaleńczym tańcu przemierzemy serce kraju, upijemy Pacyfiku, jadąc, byle jechać. Sądziłam, że oboje rozumieliśmy, że tam – jakiegokolwiek tam – zawsze będzie lepsze niż tutaj, tak samo jak sądziłam, że rzucił szkołę, ponieważ prawdziwej inteligencji nie sposób wziąć w karby, że akceptuje finansowe wsparcie rodziców, ponieważ pisze powieść, a prawdziwa sztuka wymaga poświęceń. Pokazałam mu jakieś denne wiersze i uwierzyłam, kiedy uznał je

za dobre.

Shay się nie liczy. Był narkotykiem miękkim, tanim odjazdem po kleju na ścieżce ku transcendencji. Był jak przedmiot zamówiony z katalogu: cytował oczywiście Allena Ginsberga, ćpał oczywiście przy The Smiths, oczywiście jarał kreteki, używał czarnej konturówki, a jego dziewczyna imieniem Willow dmuchała szkło i zrobiła mu na walentynki fajkę wodną. Shay ma znaczenie tylko dlatego, że zalegliśmy kiedyś w piwnicznym studiu jego kumpla przecznicę od Schuylkill, a gdy już osiągnęliśmy stan totalnego odlotu, ktoś wyłączył mecz Phillies, nastawił 91,7 i wtedy w moje życie wszedł on.

Kurt.

Kurt wrzeszczący, Kurt w szale, Kurt w agonii, Kurt w rozanieleniu. „Jebani pseudopunkowi pozerzy”, uznał Shay i sięgnął do wyłącznika, a kiedy poprosiłam, żeby zostawił, tylko się roześmiał. Odszukanie tej piosenki zajęło mi cały następny tydzień, pod jego koniec ukradłam album *Bleach*, a kilka kolejnych trwało amputowanie Shaya z mojego życia, choć już wtedy z kogoś niewiele znaczącego stał się kimś nieznaczącym nic.

A potem, jak to się mówi o miłości, zapałałam. Gdy ogień trafi na podatny grunt, wiadomo, że płonie coraz intensywniej. Nawet nasze Pierdułowice Kościelne miały jeden porządny sklep muzyczny z wielkim koszem na bootlegi i towary przecenione. Za marnych trzydzieści dolców i ślimaka z urzędującym za ladą jednym wielkim pryszczem dostałam, czego mi było trzeba. Wtedy zamknęłam się w pokoju i – nie licząc sporadycznych wypadów do sklepu muzycznego oraz jednej bardzo niedogodnej przeprowadzki na koniec świata – spędziłam ten i następny rok na nadrabianiu zaległości: Melvins, gdyż byli ulubionym zespołem Kurta, Sonic Youth, bo

to dzięki nim Kurt się wybił, Pixies, bo kiedy już wiedziało się wszystko o grunge'u, wiadomo było, że od nich się zaczął, Daniel Johnston, ze względu na T-shirt Kurta, poza tym gość siedział w wariatkowie, uznałam więc, że przydadzą mu się tantiemy, do tego naturalnie bootlegi Bikini Kill za w pełni słuszną furję ruchu Riot Grrrl, i wreszcie Hole, bo odnosiło się wrażenie, że jeśli nie będziesz słuchać Courtney, to osobiście odwiedzi cię w domu i spuści ci wpierdol.

I wtedy, jakby Kurt doskonale wiedział, czego i kiedy potrzebuję, ukazało się *Nevermind*. Zabarykadowałam się i słuchałam dopóty, dopóki nie poznałam każdej nuty, każdego taktu i pauzy – wagary w imię wyższej edukacji.

Uwielbiałam to. Uwielbiałam jak sonety Szekspira, kartki Hallmark i tym podobny szajs, jakbym chciała kupić temu kwiaty, zapalić świece i zagłaskać chujostwo na śmierć.

Nie mówię przez to, że bezmyślnie wypisywałam w zeszytach „Lacey Cobain” albo że ściskając nogi, wyobrażałam sobie, jak stoję pod jego drzwiami w trenczu i czarnych majtkach z koronką. Po pierwsze, Courtney wydłubałaby mi oczy drutem kolczastym. Po drugie, odróżniam rzeczywistość od fikcji, a rzeczywistość to nie ja pieprząca Kurta Cobaina.

Ale – Kurt. Kurt ze swoimi wodnistymi niebieskimi oczami, włosami anioła i cieniem zarostu, którego pocieranie na pewno by parzyło. Kurt, który sypia w pasias-tych piżamach z pluszowym misiem do towarzystwa, który w ogólnokrajowej telewizji zagrał w kulki z konserwatywnymi ćwokami z rodzinnych stron i sprzedał francuski pocałunek Kristowi, który włożył sukienkę na wywiad w Headbangers Ball tylko dlatego, że mógł, który ma dość kasy, żeby kupić i roztrzaskać setkę gitar z najwyższej półki, ale lubi Fender Mustang,

ponieważ nad tym tanim badziewiem po prostu musisz się zniecać równie mocno, jak je kochasz, jeśli chcesz, żeby miało brzmienie. Bóg rocka, bóg seksu, anioł, święty – Kurt, który patrzył na ciebie z ukosa, spod tej zasłony złotych włosów, wzrokiem takim, jakby widział całe zło, które się w tobie kłębi. Głos Kurta i ból przezeń zadawany. Mogłabym żyć i umrzeć w tym głosie, Dex. Pragnęłam się do niego wczłgać, jednocześnie miękkiego i bezlitosnego jak brzytwa, do tego głosu tnącego mnie do krwi: ciepłej śliskości i życia. Nie potrzebowałam prawdziwego Kurta, nie potrzebowałam, żeby żyjący, oddychający i rżnący Courtney Kurt rzucił mnie na łóżko, odgarnął włosy z oczu i położył się na mnie nagim ciałem, kilometry jarzącej się bielą przeświecającej skóry. Nie potrzebowałam tego Kurta, ponieważ miałam jego głos. Tę jego część, która się liczyła. Ten Kurt należał do mnie. Tak jak ja do niego.

Wiem, Dex, że go nie lubisz. To urocze, jak próbujesz udawać, ale widzę, że łypiesz na jego plakat spode łba niczym zazdrosny chłopak. Co jest ironiczne. I niepotrzebne. Bo wiesz, jak się czułam, kiedy odkryłam Kurta? Tak jak wtedy, kiedy odkryłam ciebie.

DEX

Nasza historia

Buty wykonano z wytrzymałej czarnej skóry, miały gumowe obcasy, żółty karbowany bieżnik, po osiem dziurek z wystrzępionymi sznurówkami – klasyczne martensy, takie jak jej, tyle że te były moje.

– Naprawdę? – Bałam się ich dotknąć. – Nie, niemożliwe.

– Możliwe. – Wyglądała, jakby ustrzeliła dla mnie niedźwiedzia, zarzuciła go na ramię i w pojedynkę przydźwigała do naszej jaskini, byśmy go upiekły, a potem się nim żywiły, i naprawdę takie miałam wrażenie. Jakby zapewniała mi środki do przetrwania. – Przymierz.

Po dwóch tygodniach znałam Lacey na tyle dobrze, żeby nie pytać, skąd je wzięła. Była zwolenniczką wyzwolenia, jak sama to ujmowała, redystrybucji dóbr tam, gdzie najbardziej chciały przynależeć. Te buty, powiedziała, chciały należeć do mnie. Do Dex.

A Dex była wtedy taka: ścięte na krótko kręcone włosy – podskakujące sprężynki, beż z pasemkami błękitu, szyja okolona naszyjnikiem z czarnej skóry, używane okulary z oprawkami à la Buddy Holly, o numer za duże flanelowe koszule z drugiej ręki, kraciaste warstwowe sukienki babydoll, szkarłatne rajstopy, a teraz idealnie dopełniające całości czarne wojskowe glany. Dex znała się na grunge'u, Seattle, Kurcie i Courtney, a jeśli czegoś nie wiedziała, gotowa była ściemniać. Dex wagarowała, piła coolery, olewała pracę domową na rzecz pracy z Lacey, czyli nauki gitarowych riffów oraz rozszyfrowywania zawilosci

filozofii i poezji, a także żyła w ciągłej obawie, że Lacey zrozumie swój błąd. Hannah Dexter chciała przestrzegać zasad. Nigdy nie okłamywała rodziców, ponieważ nie widziała takiej potrzeby. Bała się, co ludzie o niej myślą, nie chciała, żeby o niej myśleli, a tym bardziej zwracali uwagę na jej nos, wklęsły podbródek, brzuch, biodra, brwi, uda, obgryzione paznokcie, płaski tyłek, naprzemiennie ropiejącą i łuszczącą się, stale pokrytą kraterami pryszczki skórę. Hannah chciała być niewidzialna. Dex chciała, żeby ją zauważano. Dex łamała zasady, łgała i dotrzymywała tajemnic, była nieokiełznana czy też chciała taka być. Hannah Dexter wierzyła w dobro i zło i życzyła sobie sprawiedliwego świata. Dex będzie kreowała własną sprawiedliwość. Lacey ją nauczy.

Powiedziała mi, że to nie była transformacja. To było objawienie. Powiedziała, że maski nie są dla mnie. Nie byłam stworzona do życia w świecie, który zmuszał mnie do ukrywania tego, kim naprawdę jestem. Tak długo się chowałam, że zapomniałam, gdzie mam samej siebie szukać. Lacey obiecała, że mnie znajdzie. „Gotowa czy nie, oto nadchodzę”.

– Wiem, co sobie myślisz: jestem najbardziej wielkoduszną osobą, jaką poznałaś – oznajmiła, kiedy sznurowałam buty. – I jakie masz szczęście, że łaskawie dzielę się z tobą moim doskonałym gustem.

– Jakbym trafiła szóstkę w totalizatorze przyjaźni – odparłam, uznając, że sarkazm jest najbezpieczniejszą drogą do prawdy. – Codziennie przed snem szepczę światu podziękowania.

Po raz pierwszy była u mnie w domu. Z radością odkładałabym to w nieskończoność, nie z obawy, że za dużo się o mnie dowie, ale właśnie że nie będzie czego się dowiadywać. Dom mieliśmy wystawny, lecz jakiś taki na pół gwizdka,

zawalony pozostałościami po wszystkim tym, czym znudził się mój ojciec: nieukończony małpi gaj, sterty nieoprawionych zdjęć i nieprzeczytanych książek impulsywnie kupionych pod wpływem puszcanych o północy kryptoreklam, niezawieszane maski plemienne z czasów poronionej i krótkiej antropologicznej wyprawy w krainę rzeźby. Detrytus mojej matki z kolei poświęcony był samodyscyplinie i samodoskonaleniu: kalendarze, podwójnie podkreślone notatki na post-itach, zapomniane listy rzeczy do zrobienia, ulotki o medytacjach i relaksacji, kasety wideo z aerobikiem. Były to dwa domy w jednym, połączone morzem gratów, do których nikt się nie przyznawał, tandetnych pamiątek z ledwie pamiętanych podróży, nieużywanych od śmierci dziadka popielniczek, haftowanych jaśków, całości zaś dopełniała fosa zbrązowiałych chwastów i szkaradnie zarośnięty ogródek warzywny, za którego założenie winą rodzice obarczali siebie nawzajem. Tapeta w beżowe i jasnobrązowe paski, stolik do kawy po dziadku zasłany wysyłkowymi książkami Time-Life, plakaty z egzotycznymi krajobrazami, których nigdy nie widzieliśmy. Oczami Lacey mogłam ujrzeć ten dom takim, jakim był w rzeczywistości: pospolity piętrowy budynek cichej rozpaczy, strefa zero rodziny, która niczym szczególnie się nie pasjonuje, jeśli nie liczyć usilnych prób naśladowania życia, jakie wiodą ludzie oglądani w TV.

Lacey opowiedziała mi o kwantowej niekompatybilności, właściwościach tak sobie przeciwnych, że samo istnienie jednej niwelowało jakikolwiek potencjał drugiej. Pojęłam to nie lepiej od innych lasujących mózg teorii, które lubiła klepać, przekonana, że wiedza o wszechświecie w całej jego dziwacznej osobliwości była kluczem do wzniesienia się ponad to, co nazywała naszym pospolitym piekłem żywych trupów, ale

obecność Lacey w mojej sypialni ostatecznie zilustrowała mi wspomnianą teorię: buciory Lacey depczące po moim turkusowym włochaczu, jej oczy rozświecające się przelotnie na widok wypchanego żółwia, którego wciąż trzymałam wtulonego między poduszki, przeszłość i przyszłość Hannah Dexter w zgubnym kursie na zderzenie, materia i antimateria zapadające się w czarną dziurę, która pochłonie nas obie. Tłumaczenie: byłam pewna, że Lacey zniknie raz na zawsze, jeśli zobaczy mnie w moim środowisku naturalnym.

– Twoi starzy mają barek, nie? – spytała. – Zajrzyjmy do niego.

Oczywiście nie miał zamka, wszak nie ulegało wątp-liwości, że można mnie bezpiecznie zostawić ze zbierającą kurz sporą ilością whisky, szkockiej i marketowego wina. Może to glany dały mi odwagę, żeby zejść na dół i pokazać Lacey ciemną szczelinę za zapomnianymi gramami planszowymi i nieprzeczytanymi książkami Time-Life, w której mieszkały butelki.

– Szkocka czy rum? – zapytałam z nadzieją, że zabrzmiało to, jakbym jedno od drugiego odróżniała.

– Troszkę z kolumny A, troszkę z kolumny B.

Pokazała mi, jak nalać na dwa czy trzy centymetry z każdej butelki, a następnie uzupełnić ubytek wodą. Zmieszałyśmy wszystkiego po trochu w jednej szklance, po czym kolejno pociągnęłyśmy po obrzydliwym łyku.

– Napój bogów – wykrztusiła jakoś Lacey, gdy już skończyła się dławić.

Napiłam się jeszcze raz. Paliło, ale dobrym ogniem.

Podłogę dużego pokoju pokrywał szorstki włochacz w brązowe i pomarańczowe paski, który dotychczas uważałam za odrażający, ale Lacey zwała się nań, ułożyła w pozycji orła

i stwierdziła, że nie jest zły. Teraz, dzięki jej aprobachie i ciepło szumiącemu w głowie alkoholowi, wydawał się niemal komfortowy. Położyłam się obok niej, rozłożyłam ręce, aż zetknęłyśmy się opuszkami palców, i marynowałam się w napoju bogów oraz nawiewie nagrzanego powietrza ciągnącego z otworu wentylacyjnego. Opływały nas dysonansowe akordy z najnowszego bootlega Lacey i starałam się usłyszeć w nich to, co ona – obietnicę rogu mgłowego, że oto nadpływa okręt, który zabierze stąd nas obie.

– Powinnyśmy założyć klub – oświadczyła Lacey.

– Ale kluby są dla frajerów. – Wymówiłam to jak pytanie.

– Właśnie!

– No to...

– Dex, nie mówię o klubie szachowym. Ani jakimś w rodzaju „poczytajmy starszym ludziom, to dostaniemy się do college’u”. Mówię o klubie klubie. Wiesz, takim jak w książkach. Domki na drzewach, tajne szyfry, tego typu rzeczy.

– Jak w *Moście do Terabithii*?

– Udajmy, że wiem, co to jest, i powiedzmy... że tak.

– Ale żeby nikt nie umarł.

– Dobrze, Dex, nikt nie umrze. A przynajmniej nikt z klubu.

– Lacey!

– Żartowałam! Skup się na przysiędze krwi, nie na krwawej ofierze.

– To co będziemy robiły? Klub musi coś robić.

– Znaczący poza składaniem ofiar z dziewic?

– Lacey!

– Kluby są głupie, bo zajmują się sprawami bez znaczenia.

Ale nasz będzie inny. Będzie... klubem ontologicznym.

– Klub badający istotę egzystencji?

– I za to cię kocham. Myślisz, że na tym wygwizdowie choć jedna osoba poza tobą kuma, co znaczy „ontologia”?

– Statystycznie?

– Daj spokój, Dex, powiedz to. Zobaczysz, nie będzie bolało.

– Co mam powiedzieć?

– Że kochasz mnie z tego samego powodu.

– Z tego samego powodu...

– ...kochasz mnie.

– ...kocham cię.

– Naturalnie będę przewodniczącą klubu. Ty możesz być wiceprzewodniczącą, sekretarzem i skarbnikiem.

– I żadnych innych członków.

– To się rozumie samo przez się. Tylko pomyśl, Dex, będziemy mogli czytać Nietzschego, Kanta, Kerouaca, rozpracowywać powody, dla których ludzie robią to, co robią, i dla których we wszechświecie jest coś zamiast niczego, albo rozważać, czy istnieje Bóg. Będziemy wykradać się do lasu i dawać po uszach Kurtem, jak głośno zechcemy, zamykać oczy i próbować, bo ja wiem... zjednoczyć się z siłami życia czy czymkolwiek. Dodatkowa korzyść, jeśli wkurzymy tym innych.

– Więc w gruncie rzeczy będziemy nadal robiły to, co do tej pory?

– W gruncie rzeczy.

– Żadnych regularnych zebrań ani nic takiego.

– No.

– Żadnych domków na drzewie.

– A umiałabyś taki zbudować?

– No a co z tą przysięgą krwi?

– Heloł?! A AIDS?

– Nie sądzę, żeby naprawdę można było...

- Przysięga krwi w sensie metaforycznym, Dex. Nadążaj.
- Czyli nie będzie to prawdziwy klub?
- Nie, Dex, nie będzie prawdziwy. To byłoby frajerskie.

Gdybyśmy naprawdę założyły klub, ontologia musiałaby ustąpić pola ulubionej aktywności Lacey, czyli dokonywaniu wiwisekcji złych uczynków naszego wspólnego wroga, Nikki Drummond. Od lat nie cierpiałam jej dla zasady, ale po zdarzeniu – tak o tym mówiłyśmy, bo lepiej było zapomnieć słowa typu „plama”, „krew” i „pizda” – znienawidziłam ją z konkretnych powodów, które Lacey ochoczo pomagała mi wziąć pod lupę. „Jakiemu człowiekowi potrzeba powodu, by nienawidzić diabła?”, lubiła powtarzać, kiedy pytałam ją, dlaczego w ogóle wzięła Nikki na celownik, pozostawało mi więc wyciągnąć wniosek, że Lacey nienawidziła Nikki, ponieważ Nikki tak otwarcie nienawidziła mnie.

- To socjopatka – skwitowała teraz Lacey, robiąc rowerek.
- Zero emocji. Pewnie dla zabawy morduje zwierzątka.
- Myślisz, że ma na podwórku osobisty cmentarzyk dla zwierzaków? Króliki z powyrywanyimi ogonami i tym podobne?
- Wyobraź sobie te możliwości – powiedziała. – Mog-łybyśmy ekshumować zwłoki. Zadbać o sprawiedliwość dla małego Tuptusia. Pokazać światu prawdziwą Nikki.

To był nasz stały temat: gdyby tylko udało nam się zdemaskować robaczywe serce Nikki. Gdyby tylko świat poznał prawdę. Gdybyśmy miały amunicję do przypuszczenia frontalnego ataku.

Poprzedniego dnia kuliliśmy się za nią na zdezelowanych krzesłach auli, cierpiąc w oczekiwaniu na koniec apelu, na razie trzeciego w tym roku poświęconego kultowi Szatana. Od czasu śmierci Craiga nikt w Battle Creek nie był takim idiotą, by przywoływać diabła, a ściśle rzecz biorąc, przynajmniej nie od

listopadowego poranka, kiedy to banda pogrążonych w żałobie sportowców dopadła Marka Troslopa, Jessego Gorina oraz Dylana Aspa i powiesiła ich za kostki na drzewie. Widziałam, jak dyndali nad szkolnym parkingiem, wszyscy widzieliśmy, jak tych trzech wynędzniałych ćpunów, rozebranych do skarpet i bokserek, trzęsło się w śniegu. Była to kara za sprofanowanie połowy miejskich kościołów w noc śmierci Craiga Ellisona, kara za starania jednoznacznie ukierunkowane na nastraszenie ludzi, a może za powodzenie tych starań. Ofiarny dar dla Nikki, ich nieutulonej w żalu bogini, która – nawet jeśli plotki były zmyślane, nawet jeśli tego nie zleciła – przyjęła go życzliwie. „Takie rzeczy w takim miejscu”, powtarzali ludzie po tym, jak znaleziono zwłoki Craiga, jakby niemożliwością było, żeby podobna potworność zdarzyła się na naszym wychuchanym podwórku. Ale w Battle Creek stale zdarzały się potworne rzeczy: chłopcy bili innych chłopców do krwi i przywiązywali ich do gałęzi, a dziewczyny takie jak Nikki ze śmiechem pokazywały tych drugich palcami.

Po tym Jesse, Mark i Dylan skończyli z rysowaniem kredą pentagramów na koszulkach. Przestali się chełpić, jacy to są groźni, włamywać do laboratorium biologicznego i kraść płody świń. A jednak parę miast na zachód stąd odkryto kilka zaszlachtowanych w „rytualny” sposób krów, a w kolejnym mieście, na wschodzie, rzeka wyrzuciła na brzeg dziewczynę w naszym wieku, nagą i siną, a także, w sposób, którego nikt nie chciał sprecyzować, pohańbioną; tutaj, w domu, Craig nadal był martwy. Ostatni mówca rzucił ze sceny, że coś niedobrego dzieje się z dziećmi, a mówiąc „dzieci”, miał na myśli nas. Coś niedobrego działo się z dziećmi, wobec tego byliśmy tutaj, była tu też Nikki Drummond, przycupnięta dokładnie przed nami, a jej lśniący, spięty różową gumką koński ogon dawał odpór

każdemu, kto chciałby zasugerować, że „coś niedobrego” dzieje się także z nią.

– Słyszałaś, że przeleciała Micaha Crossa w pokoju nauczycielskim? – zaczęła Lacey teatralnym szeptem i popatrzyła na mnie wyczekująco.

– Słyszałam... że Andy’ego Smitha.

Na nic lepszego nie wpadłam, było to zresztą oczywiste kłamstwo (Andy starannie to ukrywał, ale gdyby był bardziej pedalem, wystawiliby go w sklepie rowerowym), lecz Lacey z aprobatą skinęła głową.

– To akurat w dziewczęcej szatni – wyszeptała.

– Fakt. Trudno nadażyć.

– Wyobraź sobie, jak ona się czuje.

– Trudno sobie wyobrazić, że czuje cokolwiek.

Przy Lacey łatwiej było znaleźć właściwą odpowiedź, i to od razu, a nie kilka dni później, pod prysznicem, gdzie mogły to docenić tylko nadpleśniałe kafelki i twarz w lustrze.

– Nie żebym miała coś do zdrowego życia seksualnego.

– Oczywiście, że nie.

– Ale moim zdaniem to trochę smutne, kiedy ktoś dupą usiłuje zdobyć popularność.

Lacey była niesamowicie dobra w odgrywaniu zimnej suki. Powiedziała mi, że tajemnica udawania kogoś innego kryje się w tym, że nie udajesz. Przekształcasz się. Aby pokonać potwora, musisz stać się jego ucieleśnieniem.

– Wręcz tragiczne – uzupełniłam.

– Tragiczne to jest pierdolenie się, żeby zapomnieć, jaką się jest żalostną zdzirą.

Doskonała główka nie drgnęła nawet raz. Nikki Drummond nie należała do dziewczyn, które się obruszają. Tym lepiej bawiłyśmy się, próbując ją sprowokować.

Tego popołudnia u mnie w domu, z całą pewnością wystarczająco pijane, leżałyśmy na dywanie i snułyśmy fantazje, jak to ukrytymi kamerami nagramy grzechy Nikki i objawimy je zaślepionym miłością rodzicom, ubóstwiającym ją nauczycielom i wszystkim zaślinionym debilom ustawiającym się w ogonku, by zająć w jej majtkach miejsce Craiga. Przez to, przez Kurta i wirowanie sufitu, gdy tylko zbyt intensywnie zaczynałam się weń wpatrywać, nie usłyszałam zajeżdżającego na podjazd samochodu, trzaśnięcia frontowych drzwi, mokasynów cicho stąpających po dywanie, w ogóle mało co słyszałam, dopóki ojciec nie pochylił się nad nami i nie przemówił.

– Coś się stało z kanapą, pannico? – Zdjął okulary przeciwsłoneczne i popatrzył na nas zmrużonymi oczami. Winę za ich wrażliwość i czerwone obwódki zwał na alergię, matka zaś – na kaca. Moim zdaniem podobało mu się po prostu, że podróbka ray-banów tak dobrze pasowała do jego koziej bródki. – Czekać, niech zgadnę: przewróciliście się i nie możecie wstać.

– Nie powinno cię tu być o tej porze.

Za szybko wstałam, więc od razu musiałam się położyć, i właśnie wtedy zakradła się panika, ponieważ był tu mój ojciec, była Lacey, upiliśmy się (a już na pewno ja), on to przecież zauważy, będzie scena, jedna z tych okropnych, zupełnie nie *cool* scen, która napiętnuje mnie jako niewartą aż takiego zachodu i przepędzi Lacey gdzie pieprz rośnie.

Ale gdzieś pod tym łyskały w mroku zwierzęce ślepie, utajone i nieruchome: byłam pijana, było mi z tym dobrze, a jeśli komuś się nie podoba, niech się wali.

Ojciec chwycił Lacey za rękę i podźwignął ją na nogi.

– Zakładam, że to ty jesteś szczurołapem?

– Co? – zdziwiłam się.

Lacey odbiła rękę z niewoli i się zaczerwieniła.

– Prawda? To ty wabisz moją córkę na manowce muzycznej dziczy?

– Co? – powtórzyłam.

– Wolę myśleć, że moje cele nie są aż tak nikczemne – odpowiedziała mu Lacey nade mną. – A mój gust muzyczny jest o wiele bardziej wysublimowany.

Ojciec uśmiechnął się szeroko.

– O ile można to nazwać muzyką.

I od słowa do słowa pojechali po całości, Lacey występowała w obronie swego boga, ojciec zaś rzucał sformułowaniami godnymi nowofalowego postpunkowego awangardysty popu. Przerzucali się przy tym piłeczkami zupełnie nieznanymi mi nazwisk: Ian Curtis, Debbie Harry, Robert Smith.

– Joey Ramone nie jest godzien czyścić butów Kurtowi Cobainowi.

– Gdybyś zobaczyła go na żywo, śpiewałabyś inaczej. Wytrzeszczyła oczy.

– Widział pan Ramones na żywo?!

– Co? – powiedziałam jeszcze raz i poczułam nagłą potrzebę wdrapania się ojcu na kolana, chuchnięcia mu w twarz whisky, zmuszenia go, by mnie zauważył.

– Czy widziałem? – Posłał jej opatentowany uśmiech Jimmy’ego Dextera. – Robiłem im support.

– Grałeś w zespole? – zapytałam.

Nikt mnie nie słuchał. Nikt też szarmancko nie zaoferował mi dłoni, wstałam więc o własnych siłach i starałam się nie puścić pawia.

– Support dla Ramones??? – To był kurtowy głos Lacey. Dźwięczał w nim nabożny podziw.

– Cóż... Niedokładnie. – Kolejny uśmiech, zażenowane wzruszenie ramionami. – Graliśmy na parkingu przed Ravers, a dopiero oni robili support Ramones. Ale dzięki temu trafiliśmy na imprezę po koncercie. Walnąłem z Johnnym kielicha.

– Lacey też grała w zespole – wtrąciłam.

Opowiadała mi o tym: Pussycats, jak w tytule kreskówki, same dziewczęta, gitary przewieszane przez ramiona, Lacey z przepoconymi, splątanymi na twarzy włosami, wodząca językiem po mikrofonie, niesiona przez tłum na fali miłości. Nigdy więcej, oznajmiła mi, ani tutaj, w Battle Creek, ani gdziekolwiek indziej. „Że w ogóle usłyszeliśmy o grunge’u nawet tu, w samym środku niczego?”, powiedziała. „To jak te gwiazdy, które eksplodują tak daleko, że zanim się o tym dowiesz, są martwe od milionów lat. Spóźniłyśmy się. Przegapiłyśmy to. Trzeba być naprawdę żalonym, żeby udawać artystę, tworząc coś, co już zostało stworzone. A ja nie zamierzam wyjść na żalną”.

Byłam zazdrosna o ten zespół, o dziewczyny, które tworzyły jej Pussycats, ale również zadowolona, ponieważ, co oczywiste, nie mogłabym znaleźć się w żadnym zespole i gdyby założyła nowy, odciągnąłby ją ode mnie.

– Opowiedz mu o zespole, Lacey.

Ale albo nie chciała o tym opowiadać, albo mnie nie usłyszała.

– Jaki on był? – zapytała. Samym tchem wymówiła imię: – Johnny Ramone?

– Pijany. I cuchnął jak psie gówno, ale słuchaj, dał mi jedną ze swoich kostek do gitary. Miałem ochotę zbudować dla niej ołtarzyk.

– Mogę ją zobaczyć? – zapytała Lacey.

Ojciec się zaczerwienił, choć tylko nieznacznie.

– Zgubiłem ją, wracając do domu.

Oczyściłam gardło.

– Kiedy grałeś w zespole? I dlaczego nic o tym nie wiedziałam?

Wzruszył ramionami.

– Dawno temu, pannico. W innym życiu.

Matka słuchała muzyki wyłącznie w samochodzie, i to tylko Roda Stewarta, Michaela Boltona oraz – gdy była w szampańskim nastroju – Eagles. Ojciec, kiedy prowadził, wybierał między stacjami sportowymi a ciszą. Mieliśmy stereo, którego nikt nigdy nie używał, a w piwnicy pudełko płyt tak spaczonych od wilgoci, że nie wypadało wystawić ich na zeszłorocznej wyprzedaży garażowej. Dla rodziny Dexterów muzyka mogłaby nie istnieć. Tyle że teraz ojciec mówił o niej tak samo jak Lacey, jakby była religią, i nagle stał się obcy.

– Jak ktoś taki mógł spłodzić taką muzyczną analfabetkę? – zdziwiła się Lacey.

– Codziennie zadaję sobie to pytanie.

– Nie, nie kupuję tego. Wiesz, co z tego wynika, Dex? Że masz to gdzieś w sobie. Potrzebujesz tylko mojej pomocy, żeby to wydobyć.

Wspaniałomyślna ocena. Wszyscy wiedzieli, że wrodziłam się w matkę: rozmemlane beżowe kolory, kij w tyłku. Ale skoro Lacey dostrzegła we mnie ojca, to coś w tym musiało być.

– Dex? To niby ty, pannico? – Ojciec przyjrzał mi się, szukając dowodów obecności Dex.

– Bez urazy, panie Dexter, ale Hannah to kijowe imię – odezwała się Lacey.

– Mów mi Jimmy. I nikt nie poczuł się urażony. Pomysł wyszedł od jej matki. Zawsze uważałem, że to imię w sam raz dla zasuszonej staruszki.

Lacey się roześmiała.

– Właśnie.

Więc ojcu nigdy nie podobało się moje imię – kolejna rzecz, o której nie miałam pojęcia. A ja myślałam, że nazywa mnie „pannicą”, by mieć na własność część mnie, której nikt inny nie mógłby posiadać.

– Ale Dex? Tak, nawet mi się podoba.

„Dex” miało być naszym sekretem, kryptonimem nadanym temu, co kielkowało między nami a osobą, na którą Lacey mnie kształtowała. Ale skoro Lacey była gotowa przedstawić Dex światu, to uznałam, że ma swoje powody.

– Właśnie, Dex – potwierdziłam. – Szerz słowo.

– Twoja matka będzie zachwycona – wymruczał, a myśl ta ewidentnie spodobała mu się tak bardzo jak samo imię.

– To co, Jimmy, może masz ochotę posłuchać prawdziwej muzyki? – zaproponowała Lacey. – Dex ma gdzieś tutaj egzemplarz *Bleach*. A przynajmniej lepiej, żeby miała.

Wpatrzyła się we mnie, wyraźnie starając się wyczytać z mojej twarzy, czy powinna zostać, czy wyjść, ale nie mogłam przesłać wiadomości, której nie miałam.

– Innym razem – powiedział ojciec wreszcie, ponownie wsuwając okulary na nos. – Woła mnie teleturniej. *Piramida*. – Przystanął jeszcze na schodach. – Aha, Dex, może lepiej umyj tę szklankę przed powrotem matki.

Więc jednak zauważył. I nadal trzymał moją stronę.

– Nie mówiłaś, że twój tata jest *cool* – rzekła Lacey, gdy już sobie poszedł. Zabrzmiało to jak akt adoracji i – ogólnie rzecz biorąc – byłam dumna.

Za podszeptem Lacey popołudnia u mnie stały się rutyną

i było tylko kwestią czasu, zanim matka zaczęła nalegać, żebyśmy zaprosili „tę Lacey” na obiad, to wreszcie będzie mogła zobaczyć, cóż to za cudotwórczyni, przez którą jej mąż przekopał strych w poszukiwaniu gitary, a córka zaczęła paradować w strojach przypominających znoszone ubrania kierowców ciężarówek.

– Matka będzie dziwaczyć, co nie? – zapytałam, gdy porządkowaliśmy z ojcem pliki kuponów z megaokazjami od Publishers Clearinghouse.

W rodzinie to jemu przypadła rola marzyciela, to on kupował losy na loterię i strzegł stale rosnącej listy wynalazków, których nigdy nie zbudował. Ciągłe powtarzał, że właśnie dlatego nigdy nie podjął się „normalnej pracy”, jak nazywała to mama. Tylko nienormowane godziny – jak w jego obecnej fusze, prowadzeniu jedyne kina w Battle Creek – gwarantowały mu czas konieczny do zaspokojenia neodpartej potrzeby wcielania w życie systemów pozwalających szybko się wzbogacić.

Ten konkretny system był naszym sekretnym rytuałem, od kiedy wymyśliłam, że dzięki pieczołowitemu lizaniu tych znaczków i zaklejaniu koperty pocałunkiem na szczęście u naszego progu faktycznie zmaterializuje się ogromny czek na milion dolarów. Już dawno zapodziałam gdzieś kawałek papieru, na którym skrupulatnie wypisałam, czego to sobie nie kupię, gdy już będę bogata, ale lubiłam miętowe lody z czekoladowymi wiórkami, które szły w parze z tradycją, lubiłam też, że moja matka nie była jej częścią. Dziś grała muzyka, która też nie należała do tradycji, ale ojciec wyjaśnił, że The Cure to uniwersalne lekarstwo na wszystkie nasze bolączki. Poczekaj, aż przyjdzie Lacey, powiedział. Ona załapie.

Miała się pojawić w ciągu godziny. Matka upiekła lazanie,

bo nic innego nie potrafiła przyrządzić.

– Nie bądź dla niej za ostra, pannico. Chyba co do jednego możemy się zgodzić: na pewno nie jest dziwaczna.

Miał rację, normalność była jej wyznaniem. Nigdy nie sugerowała, że chce, bym była popularna – nieprawdopodobieństwo takiego zwrotu akcji musiało być wystarczająco wymowne – ale przy każdej okazji zachęcała mnie, żebym się wpasowała, żebym była ostrożna, a popełnianie błędów zostawiła sobie na później. „Kiedy będziesz starsza, będziesz miała więcej do stracenia, ale przynajmniej coś ci zostanie”, powiedziała mi kiedyś podczas wspólnego przeglądania albumów ze zdjęciami, tymi starymi, na których koślawo wstępowała w okres dojrzewania, pulchniejąc w zupełnie niewłaściwych miejscach, a od świeżo upieczonej studentki z policzkami jak czerwone jabłuszka i matki o przekrwionych oczach, trzymającej niemowlę na biodrze okrytym szpitalną koszulą, dzieliło ją tylko jedno odwrócenie strony, jakby kartki, które powinny znajdować się pomiędzy, wypadły, i może tak właśnie postrzegała swoje życie: że coś się w nim zagubiło. „Im człowiek młodszy, tym łatwiej mu ze wszystkiego zrezygnować”.

Obiad przypominał film grozy. Cztery osoby w wyłożonej boazerią jadalni, stłoczone przy jednym samotnym rogu długiego stołu, z którego na co dzień nie korzystaliśmy, podsuwające sobie przypaloną lazanię na wyszczerbionych talerzach z Kmartu. Matka krzywiła się z niezadowoleniem za każdym razem, kiedy z ust Lacey na ceratowy obrus tryskała mgielka okruszków czosnkowego pieczywa, Lacey udawała, że tego nie dostrzega, zbyt zajęta okopywaniem się pod ostrzałem pytań o pracę mamy, wyznanie ojczyma, nieistniejące plany wyboru studiów, każde jeszcze bardziej niemiłosiernie

konwencjonalne od poprzedniego, wszystkie wystarczająco poniżające, ale i tak były niczym w porównaniu z miażdżącym spojrzeniem mej rodzicielki, gdy na ochotnika oświadczyłam, że też zastanawiam się nad rocznym odpoczynkiem po maturze, ponieważ, jak powiedziała Lacey, szkolnictwo wyższe zostało wchłonięte przez system kapitalistyczny, zainteresowany jedynie zwiększeniem produkcji bezmyślnych automatów, mających stać się kolejnymi trybami finansowej maszyny, co matka skwitowała krótkim: „Przestań się popisywać”.

Zastanawiałam się, czy mnie ułaskawią, jeśli zabójstwo usprawiedliwię doznany upokorzeniem.

Lacey mówiła „tak”, „nie”, „proszę” i „bardzo dziękuję za przepyszny posiłek”, broń Boże nierozgotowany i – a jakże – należycie przyprawiony. Lacey mówiła, że w małych miasteczkach rodzą się ludzie o ciasnych horyzontach i dlatego toczy jednoosobową krucjatę przeciw tej postępującej ciasnocie, no, teraz już dwuosobową, skoro pozyskała mnie dla swojej sprawy. Lacey mówiła, że nie chodzi z ojczymem do kościoła, gdyż religia ma destrukcyjny wpływ na łatwowierne masy, i że nie będzie wspierała żadnej instytucji opowiadającej się za uciskiem intelektualnym, a kiedy matka, na pół apostatyczna wnuczka pastora, zasugerowała, że nie ma w tym niczego więcej nad moralne tchórzostwo aroganckiej młodości, które odrzuca to, czego nie rozumie, Lacey zripostowała: „Gdy się modlicie, nie bądźcie jak obłudnicy”¹, po czym dodała, że zarzucanie oponentom ignorancji jest tchórzliwą metodą uchylania się od odpowiedzi na rzeczowy argument, na co ojciec parsknął śmiechem, a mnie naszły poważne wątpliwości, czy którekolwiek z nas ujdzie z tego obiadu z życiem.

– No to jak się poznaliście, dwa szalone dzieciaki? – zapytała Lacey. – Wyglądacie na takich, którzy mają w zanadrzu

ciekawą historię.

Wtedy zrozumiałam, że ona też wyczuła, że sprawy wymykają się z rąk, ponieważ kto jak kto, ale moja matka na pewno nie wyglądała na osobę, która ma w zanadrzu ciekawą historię.

Z tym że jedną oczywiście miała, i to właśnie tę. Miłość od pierwszego wejrzenia, opowieść, której uwielbiałam słuchać nie tyle ze względu na szczegóły, ile na sposób, w jaki z upodobaniem razem ją przedstawiali, w jaki wtedy na siebie patrzyli, jak gdyby nagle im się przypomniało, że wiedzą życie, które sami wybrali.

Matka się uśmiechnęła.

– To było zaraz po college’u, kiedy czasowo pracowałam na zastępstwie w warsztacie samochodowym.

W języku Julii Dexter znaczyło to, że gdy wyszło źródło wsparcia finansowego, musiała przerwać studia i chwycić się byle jakiej papierkowej roboty, która miała trwać do końca lata, a nie całe życie. Moja matka w autobiografii stosowała tę samą kardynalną zasadę co przy dekoracji wnętrz: podkreślić pozytywy, a całą resztę osłonić kotarą.

– Delikatnie mówiąc, nie było to przyjemne popołudnie. Nie mogłam się doczekać, aż zamknę drzwi i w spokoju dokończę książkę, a tu do środka wmaszerowuje banda chuliganów cuchnących jak popielniczki i ubranych, jakby każdy uważał się za Bruce’a Springsteena. – Powiedziała to z czułością, jak zawsze. – A twój ojciec szczerzył się jak głupi...

Tu zwyczajowo przerwała, pozwalając ojcu wtrącić, że był zalany w trupa, po czym ona by wyjaśniła, że naturalnie nie jechał po pijaku, prowadził jego kumpel Todd, z którym ojciec przyjaźnił się tylko dlatego, że ten niepijący katolik zawsze chętnie siadał za kółkiem. Ale tym razem ojciec się nie odezwał.

Sama więc dokończyła opowieść, o wiele prężej niż zwykle:

– W drodze na imprezę złapali gumę i jak możecie sobie wyobrazić, byli nieźle podochoceni. Rzucali głupimi dowcipami, popisywali się przede mną, i to wcale nie dlatego, że im zależało, po prostu byłam jedyną dziewczyną w zasięgu wzroku. Najwyraźniej kierował nimi zwykły biologiczny imperatyw.

Tutaj ojciec zwykle mawiał: „Wyciągnij z tego lekcję, pannico”, ale dziś litościwie milczał.

– Wszyscy oprócz ojca Hannah. On jeden był cicho i to pierwsze zwróciło moją uwagę. Że nie był błaznem, a przynajmniej jeszcze się nim nie okazał. Potem zauważył, że czytam Vonneguta, i wyjął z kieszeni kurtki zrolowany paperback. Nie uwierzycie, co to było.

– Ta sama książka? – upewniła się Lacey.

– Ta samiutka.

To była moja ukochana część opowieści i bardzo chciałam, by Lacey ją usłyszała: że spotkanie było im przeznaczone. Że jednak mieli w sobie coś wyjątkowego, a co za tym idzie, ja też.

– Cóż, jego kumple pojechali się bawić, ale Jimmy został i w jakiś sposób nakłonił mnie do wcześniejszego zamknięcia interesu. Spędziliśmy noc na dachu, rozmawiając o Vonnegucie i pokazując sobie gwiazdozbiory. Żadne z nas się nie przyznało, że wymyślaliśmy je na poczekaniu. A potem, w idealnej chwili, nad Battle Creek zaczęło wschodzić słońce...

– I pocałował panią? – odgadła Lacey.

– Chciałabyś! Muszę przyznać, że ja też chciałam. Ale on tylko odprowadził mnie do domu, podał mi rękę i na tym się skończyło. Dwa dni czekałam, aż zadzwoni. Nie zrobił tego, wybrałam się więc do księgarni, w której pracował, i powiedziałam: „Chyba o czymś zapomniałeś”. Po czym

wpiłam się w niego ustami.

– Łaaadne – uznała Lacey, a następnie posłała mi spojrzenie mówiące: „A może twoja mama też jest *cool*?”.

– To wtedy zaczął na mnie mówić Gorące Wargi – dodała. Szczegół moim zdaniem makabrycznie żenujący, ale też doskonały. – Całe lata go tego oduczałam.

– Oczywiście łatwo się domyślić, dlaczego nie zadzwoniłem – odezwał się ojciec, a ja zastrzygłam uszami. Tej kody jeszcze nie słyszałam.

Z twarzy matki znikł rozmarzony uśmiech.

– James...

– Byłem taki pijany, że rano nic nie pamiętałem – ciągnął ojciec. – Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, kiedy pojawiła się jakaś dziewczyna, która twierdziła, że mnie zna, i pocałowała mnie, zanim zdążyłem zaprotestować. Nazywałem ją Gorącymi Wargami tylko dlatego, że zapomniałem, jak ma na imię!

– James – powtórzyła matka poprzez jego śmiech. Potem dodała to, co wcześniej nakazała mnie, ale zupełnie innym tonem: – Przestań się popisywać.

Dopóki tego nie powiedziała, nie zorientowałam się, że rzeczywiście szpanował.

Ojciec uśmiechnął się, jakby coś uszło mu na sucho, matka natomiast wstała, mówiąc, że zapomniała oddzwonić do pracy.

– Bardzo miło było cię poznać, Lacey.

Czekałam, aż ojciec za nią pójdzie. Nie poszedł.

– A co powiesz o swoich rodzicach, Lacey? – zapytał, jakby nie zauważył, że drzwi do sali tortur zostały otwarte, a my mogliśmy rzucić kajdany i wyjść.

– Nie sądzisz, że wystarczy tego przesłuchania jak na jeden dzień? – rzuciłam.

– Wyluzuj, Dex. – Lacey postukała paznokciami

o szklankę, po czym przesunęła palcem po jej krawędzi, aż zapiszczało.

Nigdy nie opowiadała mi o rodzicach ani w ogóle o czasach przed naszym poznaniem. Nie przeszkadzało mi to. Lubiłam wyobrazać sobie przeszłość, ten czas przed nami, jako pustkę, jakby Lacey przed Dex nie istniała tak samo, jak Dex nie istniała przed Lacey. Wiedziałam, że dorastała w New Jersey, w miarę blisko morza, chociaż nie dość blisko, że miała ojczyma, którego nazywała Bydlakiem, i ojca, którego lubiła bardziej, ale który w jakiś niejasny, acz definitywny sposób odszedł, że było nam lepiej razem niż osobno, jeszcze lepiej niż innym, i to wystarczało.

– Ojciec się zmył, kiedy byłam mała – odpowiedziała. – Od tamtej pory go nie widziałam.

– Przykro mi – odrzekł mój ojciec. Ja siedziałam cicho, bo co mogłam powiedzieć? – Tak postępuje tylko dupek.

Lacey uniosła brwi, zdziwiona doborem słów, a potem wzruszyła ramionami.

– Wyobrażam sobie, że jest piratem. Albo rabusiem banków. Albo w latach sześćdziesiątych był jednym z tych hipisowskich terrorystów i musi ukrywać tożsamość. Temu bym przyklasnęła. Ale może też być jednym z wielu, którzy nie płacą alimentów, przedkładają kutasa nad własne córki i zakładają nowe rodziny na drugim końcu miasta. – Roześmiała się, głośno i natarczywie, a ja starałam się nie uschnąć i nie umrzeć.

Powiedziała przy moim ojcu „kutas”! – Jezu, ale macie miny! To przecież nic wielkiego. Mama skołowała sobie nowiuńskiego męża i dziecko do kompletu. Nowy początek, powiada, najlepsze, co ją w życiu spotkało. Oczywiście prawdziwy nowy początek wykluczy mnie z gry, ale życie składa się z kompromisów, nie?

Domyślałam się, że nie miała ojca. Wiedziałam o Bydlaku. Ale nie o dziecku. O nim nawet się nie zająknęła.

– Przykro mi – powtórzył ojciec.

– Przecież właśnie mówiła, że to nic wielkiego – wtrąciłam, gdyż musiałam coś wtrącić.

– Słyszałem, co mówiła. – Wstał. – Co powiecie na gorącą czekoladę? Specjalność Jimmy’ego Dextera.

To było tylko nasze, jego i moje: gorąca czekolada w zimowe wieczory ze szczyptą pieprzu dodawaną jedynie po to, żeby mieć sekretny składnik.

– Jestem pełna. – Strasznie mi się nie podobało, że zabrzmiałam jak matka, której dieta nakazywała wyjść z jadalni, kiedy tylko w rozmowie pojawiała się czekolada; w ten sposób odstępowała nam jeszcze coś, co mogliśmy uważać za własne.

– A ja powinnam już iść – dorzuciła Lacey.

Od razu zapragnęłam odszczekać swoje słowa, zawołać „Tak!”, entuzjastyczne: „Tak, taplajmy się w gorącej czekoladzie, zapchajmy ciastkami, co tylko zechcesz, bylebyś została!”, częściowo dlatego, że nie miała ojca, więc choć na chwilę odmówiwszy podzielenia się moim, poczułam się złą osobą, ale przede wszystkim dlatego, że była Lacey, i gdy tylko traciłam ją z oczu, bałam się, że więcej się nie pojawi.

Ojciec uściskał ją na pożegnanie. Identycznym uściskiem obdarzał mnie, silnym i wchłaniającym. W tym momencie go kochałam – za to, że kochał ją w moim imieniu. Że nie był jakimś tam tatą, który miał ochotę uściskać Lacey, ale tym, któremu chciała zrewanżować się uściskiem. Mimo to następnego dnia po szkole zaproponowałam, żebyśmy zamiast do mnie poszły nad jezioro, dzień później – do jej ulubionego sklepu muzycznego, a w weekend, kiedy zapytała, u kogo będziemy spały, odpowiedziałam: „Może tym razem u ciebie”.

podejrzewając, że duma nie pozwoli jej okazać niechęci.

– Powinnaś o czymś wiedzieć – upредиła mnie Lacey.

Już dwadzieścia minut siedziałyśmy w buicku z wygaszonym silnikiem i wyłączoną muzyką. Na końcu podjazdu majaczył dom. Mogłam powiedzieć coś, co pozwoliłoby jej się zgrabnie wykręcić, ale chciałam zobaczyć, co kryje się w środku.

Odchrząknęła.

– Bydlak jest...

– ...bydlakiem? Rozumiem.

Dziwny był to widok: zakłopotana Lacey. Nie podobał mi się, a przynajmniej nie chciałam, żeby mi się podobał.

– Chcę tylko wyraźnie zaznaczyć, że każdego w tym domu uważam za wypadkową urodzenia i okoliczności. Nie łącz mnie z nimi. Jasne?

– Jasne. Jak dla mnie jesteście w zasadzie sierotami, na własną rękę wychowującymi się w dziczy.

– Żeby tylko – parsknęła. – Do dzieła! – dodała.

Ale nie przeszłyśmy do dzieła, nie od razu, bo najpierw ponownie włączyła odtwarzacz i wysłuchałyśmy jeszcze jednego kawałka. Lacey zamknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu, jakby przepadła w tym miejscu, do którego tylko Kurt mógł ją zabrać. Gdy jego wrzaski ucichły, nacisnęła „stop”.

– Chodź za mną.

Dwupoziomowy dom Lacey był zwierciadlanym odbiciem mojego, włącznie z tandetnym pokryciem fasadowym z aluminium, garażem na jeden samochód, dwiema i pół sypialniami oraz łazienką w głębi korytarza, a wszystko to odwrócone niczym wersja domu z równoległego wymiaru.

Miejsce to miało w sobie coś schizofrenicznego. Na zewnątrz było terytorium Bydlaka, same linie proste i sterylne powierzchnie. Pedantycznie przycięta trawa, lśniąca rywny, ekonomicznie zasadzone żywopłoty i równo rozmieszczone rośliny doniczkowe. Wewnątrz, w krainie Loretty, cała przestrzeń tchnęła klimatem lat sześćdziesiątych. Jakby jakiś kosmita usiłował złożyć do kupy amerykańską posiadłość, wzorując się na serialach, lecz bez rozróżnienia na stare i nowe. Kwiecista tapicerka zabezpieczona przejrzystymi plastikowymi pokrowcami, ciężkie pozłacane ramy z dumą prezentujące motelowe obrazy latarni morskich i ponurych stad bydła, menażeria figurek z chińskiej porcelany, uśmiechających się do mnie spoza fasetowanego szkła. Koronkowe serwetki, bardzo dużo serwetek. Ciężki drewniany krzyż zawieszony nad kominkiem, na gzymsie kominka oprawiona kopia *Modlitwy o pogodę ducha*. Dlatego wejście matki Lacey z oddechem pachnącym tym, w czym na obecnym etapie naszej przyjaźni potrafiłam rozpoznać dżin, stanowiło zaskakujący kontrast.

Lacey miała minę, jakby chciała otworzyć oszkloną szafkę i roztrzaskać młotem kowalskim kilka porcelanowych kotów.

– Mamo, czyś ty się w tym kąpała?

Matka Lacey miała długie czarne włosy – dłuższe, niż przystoi matkom – po dziewczęcemu podskakujące i postrzępione na końcach. Nałożyła tapetę topornego makijażu i tanie złote łańcuszki nikiące w czerwonym dekolcie na ramiączkach, a jej zaczerwienione oczy zrzuciłabym na karb nocnego płaczu dziecka, gdyby nie ten zapach.

– I nie możesz tego zakryć? – Lacey strzepnęła ręką w kierunku mokrych kólek otaczających matczyne sutki. – To odrażające!

Matka Lacey przycisnęła dłonie do przemoczonych miejsc.

Nowe potomstwo spłodzone przez rodziców w pewnym wieku zawsze było jakimś zgrzytem, wszak trudno o bardziej oczywisty dowód, że doszło do kopulacji. Ale matka Lacey nie potrzebowała dziecka, i bez niego nadawała wiadomość: „Oto kobieta, która uprawiała seks”.

– Nigdy nie zachodźcie w ciążę, dziewczyny – powiedziała.
– Macierzyństwo robi z kobiety cholerne krówsko.

– Ja też cię kocham – rzuciła Lacey oschle. – Na górę! – poleciła mi.

– Dziewczyny! – zawołała jej matka. – Dziewczyny, dziewczyny! – Jakby to słowo fascynowało ją równie mocno jak my. – Zostańcie. – Kozetka zaskrzypiała pod jej ciężarem. – Usiądźcie. Dotrzymajcie towarzystwa starej krowie. Opowiedzcie jej, jak to jest być młodą i wolną.

– Nikt nie kazał ci się rozmnażać w tym wieku – odparła Lacey.

– Kochanie, jasno przedstawiłaś swoje stanowisko w tej sprawie, podrzucając mi tamten stos ulotek o aborcji. – W tym momencie matka Lacey odchyliła głowę i wybuchnęła śmiechem tak uderzająco przypominającym śmiech Lacey, że pokrewieństwo wręcz rzucało się w oczy. – Ale gdyby nie mały Jamie, nie miałabym tego wszystkiego. – Jej ręce zatrzepotały przy bokach, leniwie obejmując dom, a może nawet miasto, całe życie.

– Nie miałabyś też dużego Jamiego – zripostowała Lacey. – Masakra.

Pijacki sceniczny szept:

– Lacey jest troszkę zazdrosna o młodszego braciszka.
– Lacey cię słyszy – odszepnęła Lacey równie głośno.
– To cały problem z jedynaczkami – podsumowała jej matka. – Cokolwiek zrobisz, i tak wyrosną na zepsute suki.

– Zgadza się, mam, zepsułaś mnie. To cały mój problem.

– Widzisz?

– Na górę, Dex – poleciła Lacey. – Już!

– Dex? – Głos matki osiągnął anielskie rejestry. – To ty jesteś tą sławną Dex?

Słyszała o mnie, byłem znana. Właśnie otrzymałam dowód, że się liczę. Kiedy po raz drugi poleciła mi usiąść, posłuchałam.

Lacey również usiadła. Zniesmaczona, pogodzona z losem.

– To co ci o mnie opowiadała? – zapytała jej matka.

Nic nie odpowiedziałam, co generalnie zgadzało się z prawdą.

– Spokojnie, nie obrażę się. Wiem, jakie wy, dziewczyny, jesteście. Nienawidzenie matek uważacie za swój etatowy obowiązek.

– Niezła fucha, jak już się na nią załapiesz – skomentowała Lacey.

– Kiedyś tak nie było, prawda, Lacey? Dziecko zawsze pilnowało się matczynego boku. Płakało i łapało mnie za nogę, jeśli nie chciałam zabrać go ze sobą. Co więc robiłam?

– Czekamy z zapartym tchem – burknęła Lacey.

– Zabierałam je ze sobą. Na każdą imprezę, na każdy koncert. Żałuj, że nie widziałaś jej w za dużym T-shir-cie Metalliki, z włosami, które nastroszyły się w aureolę aż potąd. – Zasalutowała w powietrzu trzydzieści centymetrów nad głową. – Dzięki niej dostałam się nawet kilka razy za kulisy. Bramkarze nie mogli się jej oprzeć.

– Zapytaj, co wtedy ze mną robiła – zwróciła się do mnie Lacey. – Trudno upilnować brzdąca, pieprząc się z obsługą techniczną.

– Zamknij gębę – szczerknęła jej matka. Przywoławszy całe zasoby godności, dodała: – W życiu nie pieprzyłam się

z technikami.

– Ach, te zasady – powiedziała Lacey.

– Teraz się nie przyzna, ale uwielbiała to. Jak myślisz, dlaczego tak przepada za muzyką? Ma ją we krwi.

Lacey prychnęła.

– To barachło trudno nazwać muzyką.

– Jakim cudem dorobiłam się takiej snobki?

– Jakim cudem dorobiłam się kogoś, kto pozwolił zmajstrować sobie bachora największemu ćwokowi w Jersey? Zadzwońmy do jakiegoś programu o niewyjaśnionych przestępstwach!

Gdybym tak się odezwała do matki (a było to kolosalne „gdybym”), najpewniej zakleiłaby mi usta taśmą samoprzylepną i sprzedałaby mnie do cyrku. Matka Lacey natomiast czule się uśmiechała. Wiąż między matką a córką, wersja według Champlainów.

– Wtedy nie była taka marudna – zwierzyła się matka Lacey. – Nie narzekała, kiedy pozwalałam jej do drugiej w nocy tańczyć po mieszkaniu. Było nam wtedy dobrze, prawda, Lacey?

Twarz Lacey złagodniała, choć niemal niedostrzegalnie. Może nawet była gotowa powiedzieć „tak”, docenić ten okrucieństwo, ale wtedy zagrzechotały drzwi wejściowe, obrócił się klucz w zamku i obie zeszywniały.

– Szlag! – rzuciła Lacey.

– Szlag – zgodziła się jej matka. – Zwykle wraca później.

Już na równych nogach Lacey rzuciła matce paczkę gumy.

– Będziemy na górze – oznajmiła i tym razem nie czekała, aż za nią pójdę.

Czmychnęłam po schodach w ślad za nią, gdy drzwi się otwierały, skrzypiąc jak w najlepszym horrorze, za mną – monotony szept: „Pozbieraj się, pozbieraj się, pozbieraj się!”.

Lacey wciągnęła mnie do pokoju, zanim zdążyłam ujrzeć potwora.

Mrok, pokój Lacey, głos Kurta podkreślony tak, by wchłaniał wszystko, co działo się na dole. Ona w swojej czarnej koronkowej piżamie, ja w T-shircie ze Snoopym i bokserkach ze sklepu charytatywnego. Nasze śpiwory stykające się na całej długości. Głosy w ciemnościach. Samotne razem sieroty.

– Ani razu? – upewniła się Lacey.

– Ani razu – potwierdziłam.

– Nie wykańcza cię to?

– Aż tak mi się nie spieszy.

– O Boże, chyba nie... nie czekasz do ślubu, prawda?

– Po prostu mi się nie spieszy. No i póki co żaden facet nie dobija się do drzwi.

– A gdyby się dobijał?

– Jaki on jest?

– Kto?

– Ten gość, Lacey. Który chce mnie uwieść.

– Ojej, nie wiem, jakiś tam gość. Uważa, że ociekasz seksem.

– Kocham go?

– Skąd mam wiedzieć?

– A on mnie kocha? Dla niego też będzie to pierwszy raz?

Sądzi, że to ważne? Zauważy, że z boku wyglądam trochę, jakbym była w ciąży...

– Nie wyglądasz, jakbyś była w ciąży.

– Kiedy dużo zjem...

– Każdy, kto za dużo zje, wygląda, jakby był w ciąży.

– Zastanawiam się tylko, co sobie pomyśli, kiedy zobaczy

mnie nagą. I czy będę wiedziała, co pomyślał. Czy odczytam jego myśli, spojrzawszy mu w oczy? Czy...

– Jezu, nie wiem, dobra? Jest, kurna, urojony! Ale załapałam. Czekasz na księcia z bajki. Świece, kwiaty, książkę czarusa itepe, itede. – Zaśmiała się. – Dex, to wygląda zupełnie inaczej. Tyłtasz się, jest dziwnie, obrzydliwie i fantastycznie.

Opowiedziała, jak z tego czegoś pewnego gostka wykopiało mleko, kiedy wyciskała mu pryszczę, bo przecież faceci są pokręcani i pod tym względem nie wolno ich nie doceniać. „Wykipiało mleko” było jej wymysłem, podobnie jak „strzeliło wieczko”, „Etna przemówiła” czy „pianka z szampanka”. Nie całkiem za tym nadażałam. Była poetką ejakulacji.

– Nie potrzebuję księcia z bajki. Po prostu... kogoś lepszego niż zwykły młotek z Battle Creek walący konia w tatowym oldsmobilu. Czegoś lepszego niż, ja wiem...

– Nikki i Craig?

– Właśnie. Robią to, czego się po nich spodziewasz, bo tego się po nich spodziewasz. Jak w jakiejś dołującej bajce. *Nudna i Bestia.*

– Ludzie bywają zaskakujący, Dex. Skąd możesz wiedzieć, jakie perwersje i szaleństwa odchodziły w tym oldsmobilu...?

Przerwałam jej ciśnięciem poduszki w twarz, bo ostatnie, o czym chciałam myśleć, to goła Nikki wijąca się w pornograficznych pozach pod przyszłymi zwłokami.

– Po prostu sądzę, że gdzieś tam musi być coś lepszego – powiedziałam.

– Dex, przyjaciółko droga, choć raz mówisz z sensem.

– Dziękuję.

– Ale ten... Jakieś pieszczotki już były, nie?

– Oczywiście. – Nie było.

– Która baza?

- Pytasz serio?
- Serio, Dex. Która baza?
- O tym rozmawiać nie będziemy.
- Jasne, luzik, nie musimy. Wiesz, nie jestem jakąś walniętą nimfomanką, możemy normalnie przeskakiwać z tematu na temat. O, polityka! Albo filozofia. Albo ogrodnictwo.
- Super. Co wybierasz?
- No to jak jesteś sama w domu, czy zdarza ci się... bo ja wiem... wyciągnąć ten stary plakat z Kirkiem Cameronem, który skitowałaś głęboko w szafie...
- Nie zdarza mi się.
- Oczywiście, że to też ci się zdarza, założę się zresztą, że głaszczesz go po twarzy, patrzysz w te jego wielkie nietomne piwne oczy, wsuwasz rękę pod kołdrę i...
- Jezu, Lacey! Zamknij się!
- No co, przecież to zupełnie normalne. A nawet zdrowe.
- Nie słucham cię! Nie słucham cię!
- Jesteś dorastającą kobietą, masz kobiece potrzeby...
- Nienawidzę cię!
- Ależ mnie kochasz.
- Chciałabyś.
- Dex, no sorki, ale wiesz, że mnie kochasz. Wiesz, wiesz, wiesz. Powiedz to. Powiedz!
- Nie powiem.
- Kochasz mnie, kochasz mnie, kochasz mnie, kochasz mnie.
- Zejdź ze mnie, Lacey.
- Najpierw to powiedz.
- A wtedy zejdziesz?
- Mowy nie ma!

Przeczekalałam ją, testując w głowie brzmienie słów,
a na języku ich smak.

– Niech będzie. Kocham cię, chociaż jesteś walniętą
nimfomanką.

Rzeczywiście nie zeszła.

Bez pytania wiedziałam, że nie powinnam wychodzić
z pokoju, ale Lacey spała, łazienka była w głębi korytarza, ja zaś
nie widziałam nic złego w podążaniu za głosami, a drogę w tym
domu – lustrzanej kopii mojego – znajdowałam w miarę łatwo.
Doskonale się orientowałam, jak nisko na schody mogę się
zakraść, żeby nikt mnie nie zobaczył.

Człowiek, którego Lacey nazywała Bydlakiem, był niższy
i chudszy, niż sobie wyobrażałam, siwiejące włosy miał
podgolone na wojskowy flat-top i nosił okulary w drucianych
oprawkach. Matka Lacey klęczała przed nim w białym staniku
i majtkach – pozycja modlitewna, oczy utkwione w czarnych
mokasynach Bydlaka.

– Przebacz mi, Boże – zaintonowała.

– Za to, że jestem pijaczką – podsunął.

– Za to, że jestem pijaczką. Za to, że jestem słaba. Za...

– Za uleganie pokusom mojej kurewskiej przeszłości.

– Za uleganie pokusom.

Mocno kopnął ją w brzuch czubkiem buta.

– Pokusom mojej kurewskiej przeszłości – poprawiła się.

Miałam wrażenie, że dzieje się to w telewizji.

Matka Lacey płakała. Gdzieś za mną zawtórowało jej
dziecko.

Spróbowała wstać, ale Bydlak przycisnął jej ramię dwoma
palcami i pokręcił głową. Kolana z powrotem opadły na

wykładzinę.

Dziecko się darło.

– Muszę do niego pójść – powiedziała matka Lacey.

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć. – W tonie głosu Bydlaka pobrzmiwała taka rzeczowość, jakby siedzieli naprzeciwko siebie przy stole i omawiali obciążenia karty kredytowej. Nawet ubrany był jak księgowy: plastikowa wkładka na długopisy tkwiła w kieszonce białej wykrochmalonej koszuli.

– Nie uczynisz memu synowi tego, coś uczyniła swojej córce – mówił.

Skinęła głową.

– Chcę to usłyszeć!

– Z Jamesem juniorem spiszę się lepiej.

– Będiesz miała dla siebie trochę szacunku.

– Będę miała.

– Koniec z tym szlajaniem się.

– Koniec – wyszeptała.

Dziecko płakało.

Poczułam dotyk na ramieniu, na tyle delikatny, żebym nie podskoczyła ze strachu. Choć może nie podskoczyłam, bo wiedziałam, że mogła to być tylko Lacey.

– W kuchni jest tylne wyjście – szepnęła.

Nie musiała mi tego mówić. Nasze domy zaprojektowano tak samo, włącznie z wyjściem ewakuacyjnym i wszystkim innym. Ruszyłam przodem, brnęłam przez ciemności, a każdy hałas tłumiły coraz bardziej świdrujące wrzaski dziecka. Musiałam zdławić impuls każący mi zawrócić, zabrać stąd i małego, i Lacey, ale przecież nie moim był bratem, poza tym to nie ja miałam samochód oraz prawo jazdy. Miała je Lacey. Nie było mi dane kogokolwiek uratować.

Ostrożnie zamknęła za nami drzwi, milczała, gdy wsiadałyśmy do samochodu i spadałyśmy stamtąd. Muzyka nie grała.

– Chcesz wrócić do domu – odezwała się wreszcie, a ja wiedziałam, że jeśli przytaknę, nadejdzie kres. Wszystko się skończy.

Zdążyłam pojąć: to był test. Może była nim cała wizyta u niej w domu. Przy Lacey rozróżnienie, czy sprawy toczą się własnym torem, czy nadają im bieg jej zakulisowe machinacje, było nader trudne, ale przypomniałam sobie, że zawsze bezpieczniej zakładać to drugie.

W testach byłam niezła. Sięgnęłam do magnetofonu Barbie, nacisnęłam „play”, a potem markowałam uderzenie w głowę przy każdym basowym akcencie Kurtowej muzyki.

– Jedźmy nad jezioro.

Jezioro w lutym: deszcz ze śniegiem i światło gwiazd. Miałyśmy je tylko dla siebie. Wiatr, woda, niebo i Lacey. Wszystko, czego było mi trzeba.

– Rodzice to durny wynalazek – oświadczyłam.

Wzruszyła ramionami.

– Tyczy się to wszystkich. Poza nami.

Mówiłyśmy na nie „nasze jezioro”, ale było takie na tej samej zasadzie, jak wszystko inne: bo świat, który dla siebie zbudowałyśmy, był tajemny i w pełni nasz.

Jesteśmy stworzeniami wodnymi, powiedziała mi, których miejsce jest z dala od lasu. Nie udzieliła innego wyjaśnienia, dlaczego nie wolno nam się do niego zbliżać. Las – za skarby świata, jezioro – w każdej chwili, ale mnie to pasowało. Nie mogłam się doczekać, aż się ociepli i zobaczę pływającą Lacey.

Oznajmiła, że oddycha wodą, i niemal jej uwierzyłam.

Deszcz ze śniegiem padał niemrawo, był oleisty jak ropa i przywodził na myśl kwaśne deszcze. Lacey wołała burze. Niebo czarne jak śmierć, potrzaskująca w powietrzu elektryczność, wrażenie wstrzymywanego tchu, jakby lada chwila coś miało pęknąć. Czasami udawało nam się dotrzeć nad jezioro przed pierwszym rykiem burzy. Wystawiałyśmy twarze na deszcz, mierzyłyśmy czas między błyskiem a gromem – „i raz, i dwa, i trzy” – dopóty, dopóki nasz oddech nie zgrał się z nawałnicą, bicie serc – z jej rytmem, dopóki nie wiedziałyśmy z całą pewnością, jak długo czekać na otwarcie ust, by nasz krzyk pochłonął grzmot.

Tyle że te godziny należały do Lacey. Ja preferowałam ciszę. Burza była niczym ktoś wchodzący między nas, o wiele bardziej zagniewany i interesujący niż ja w najśmielszych snach. Wolałam, kiedy byłyśmy zupełnie same.

Lacey wbijała spojrzenie w jezioro przemienione przez mrok. W ciemności woda była nieprzenikniona. Wyobrażałam sobie jarzące się w głębinach ślepie, ostre kły, głód, łaknienie. Stwory czyhające w ukryciu. Wyobrażałam sobie syreni śpiew, zew pośród ciemnicy, na który reagujemy i brodzimy w lodowatej wodzie, wsysane w dół, w czerń.

Podniosła kamień i wrzuciła go do jeziora.

– Kurwa mać!

– Kurwa mać – odrzekłam, jakbym się zgadzała, ponieważ cokolwiek ona przez to rozumiała, to ja też.

Chciałam jej powiedzieć, że nie ma znaczenia, co robili jej matka i ojczym, w końcu rozumiałam, że nie są częścią Lacey, a Lacey nie jest częścią ich, wybiła się przecież ku pełnej dojrzałości – bogini, czy to kwitnie wśród pól, czy topnieje w słońcu. Tamci ludzie, inni ludzie, byli nieważni, istnieli tylko

dla przyjemności odprawiania ich z kwitkiem, symulakry świadomości, chodzące, rozmawiające, imitujące życie wewnętrzne, lecz w środku puste. Zupełnie od nas różne. Sama Lacey mnie tego nauczyła, na głos czytając Kartezjusza. Nie poznamy innego wnętrza poza własnym, powiedziała. Nie ma nic prawdziwszego, bardziej uwierzytelnionego i zasadnego niż ty i ja. Chciałam jej przypomnieć tamte nauki: możemy stąd wybyć, życie jest okrutne na tyle, na ile mu pozwolisz, a Battle Creek jest nasze z wyboru, więc co stoi na przeszkodzie, by z wyboru je opuścić.

Chciałam jej powiedzieć, że choć byłam u niej i to i owo zobaczyłam, wcale mnie to nie odstraszyło, nic się nie zmieniło, ale ona już mnie знаła. Wyczułaby, że kłamię.

Chciałam, większością siebie chciałam ją ocalić.

Ale pod tym załęgła się zimna, niegodziwa ulga. Wtedy już potrzebowałam Lacey tak bardzo, że aż mnie to przerażało. Skoro miała tak schrzanione życie, skoro poza naszym zamkniętym kręgiem czekał ją tylko nieznośny bajzel, otwierała się przede mną możliwość – dotychczas niewyobrażalna – że ona też czegoś potrzebowała. I że jeśli zaliczę jej test, jeśli wpasuję się w określone przez nią ramy, tym czymś mogę być ja.

– Mój tata kochał wodę. – Znalazła kolejny kamień i cisnęła nim w jezioro. – Kiedy mieszkaliśmy w Jersey, często zabierał mnie do Atlantic City. Przed kasynem stał taki mechaniczny kucyk, więc zostawiał mnie przy nim z ćwierćdolarówkami. Kubeł by wypełniły. Miałam za nie jazdy na cały dzień.

– Siedzenia na koniu a siedzenia.

– Czulałam się jak w niebie. Zresztą wiesz, co się mówi o dziewczynach na koniach. – Oto wyjrzała cząstka tak dobrze

mi znanej Lacey i puściła do mnie oko. – Poza tym byłam głupia.

– Nie ma mądrych sześciolatków.

– Kiedyś obiecał, że zabierze mnie do prawdziwych kucyków. Zdaje się, że są w Wirginii takie plaże, na których ganiają sobie dziko po piasku. Gdzie nie spojrzysz, same kucyki, jakbyś cofnęła się w czasie czy coś.

– Chincoteague – odpowiedziałam. Z jedenaście razy czytałam *Misty of Chincoteague*, powieść o nieujarzmionej klaczy.

– Wszystko jedno. Skąd mam wiedzieć? Nigdzie nie pojechaliśmy.

Mogłam jej powiedzieć, że mój ojciec był mistrzem niedotrzymanych obietnic, że jak nikt poznałam smak rozczarowania, ale bałam się usłyszeć w odpowiedzi, że gównem wiem, co zresztą byłoby prawdą.

– Nigdy nie byłam nad oceanem – rzekłam. Słowa te okazały się magiczne, sprowadziły ją z powrotem.

Aż pisnęła.

– Żartujesz! – Pokazała palcem samochód. – Wskakuj!

Jechałyśmy sześć godzin. Buick podskakiwał i rzeził, odtwarzacz kaset połknął bootlega zajmującego trzecie miejsce na podium jej ukochanych, pomięte mapy Amerykańskiego Związku Motorowego wskazywały nam drogę, zawisłam na narciarza nad podejrzenie odbarwioną deską klozetową, umyłam ręce odstręczającym szarym mydłem, szukając w lustrze wskazówek, że stałam się dziewczyną, która dla przygody porzuca bezpieczeństwo domowych pieleszy, a w tym czasie jakiś kierowca ciężarówki usiłował obmacać Lacey na parkingu Roy Rogers. Jechałyśmy i jechałyśmy, aż wreszcie auto zboczyło z autostrady i zatrzymało się na zapiaszczonym

postoju. Dotarliśmy na miejsce.

Ocean był bezkresny.

Ocean tłukł, tłukł, tłukł o wybrzeże.

Trzymałyśmy się za ręce, Atlantyk obmywał nasze gołe stopy. Oddychałyśmy solą i mgiełką wodną pod zarannym niebem.

Dała mi to Lacey. Najogromniejszą rzecz, jaką do tej pory widziałam.

– Tak bym to zrobiła. – Jej cichy głos niemal zupełnie ginął w szumie spienionych fal. – Przyszłabym tu nocą, kiedy plaża jest pusta, i rzuciłabym na wodę dmuchany ponton.

Trzymałabym się go mocno, niech zanieś mnie tak daleko, żeby nikt mnie nie znalazł. Żeby nie mogła się rozmyślić.

Zabrałabym proszki nasenne matki, mojego walkmana i agrafkę.

A kiedy odpłynęłabym hen, hen, gdzie już nie słychać fal rozbijających się o brzeg, gdzie ponton kołysze się na wodzie i nie ma już nic poza mną i gwiazdami, zrobiłabym to.

W należytej kolejności, bo kolejność ma znaczenie. Najpierw proszki, potem agrafka, zaledwie maleńka dziurka w pontonie, w końcu trochę musi to trwać. Potem założyłabym słuchawki i wyciągnęłabym się na dnie, żeby móc patrzeć w gwiazdy, czuć wodę unoszącą włosy, i czekałabym, aż śpiew Kurta zabierze mnie do domu.

To niby ja miałam zwracać uwagę, wsłuchiwać się w chaos świata i wszystko rozumieć – Lacey mawiała, że to cała ze mnie radość – ale jak często zdarzało się tego roku, ona mówiła, a do mnie nic nie docierało.

– Za nic nie wypłynęłabym w te ciemności – skwitowałam, lecz nie zwierzyłam się, jak ja bym to zrobiła, choć już dawno wybrałam sposób, bo Lacey powiedziała, że trzeba go znać.

Skoczyłabym z czegoś, czegoś na tyle wysokiego, żeby połamać

się w locie. W Battle Creek nic podobnego nie było, ba! – nic nawet wystarczająco dużego, bym mogła sprawdzić, czy cierpię na lęk wysokości. Lacey mówiła, że pewnie tak. Jej zdaniem na taką wyglądałam.

Nie chciałam znaleźć się tam, na niebie, gdzie obejmę wszystko naraz wzrokiem, chyba że byłby to ostatni raz. Ponieważ wtedy bym się nie bała. Wtedy byłabym mocarna, myślałam, palce stóp wysunięte za krawędź, w mych rękach ta najcenniejsza z najcenniejszych rzeczy, którą mogę ocalić bądź unicestwić. Obierając tę metodę, masz władzę aż po kres.

Gdybym tak to zrobiła, przynajmniej przez chwilę, przed końcem, mogłabym latać.

Przespałyśmy się w samochodzie, ogrzewając wnętrze, na ile starczyło nam śmiałości, przytulone do siebie w poszukiwaniu ciepła. Choć raz Lacey pozwoliła mi wybrać muzykę. „W granicach rozsądku”, zastrzegła. Puściliśmy R.E.M., ponieważ podobał mi się miodowy głos wokalisty, wiedziałam też, że Lacey go lubiła. Zwinęła się na fotelu, ja zaś oparłam głowę na jej ramieniu. Śpiew kołysał nas do snu tutaj, na tym parkingu, a wody się przyglądały.

Gdy się obudziłam, niebo było szare, horyzont zaś stał w ogniu. Lacey spała. Podreptałam na bosaka do linii brzegowej, weszłam do wody. Igiełki lodu drażniły moje kostki. W świetle dnia ocean wydawał się łaskawszy i brakowało mi pontonu Lacey, na którym razem podryfowałybyśmy ku słońcu.

Nie słyszałam, jak pojawiła się za mną, zorientowałam się dopiero, gdy wzięła mnie za rękę. Wiedziałam, że mnie znajdzie.

– To wszystko, czego mi trzeba – usłyszałam. – Ty jesteś wszystkim. Tak jak ja jestem wszystkim dla ciebie, prawda? – To było zaklęcie, pieczęć łącząca nas na całe życie.

– Wszystkim – przytaknęłam, wyzbywając się z duszy

zgliszcz po pożarze. Wszystko musi odejść. Chciałam, by wchłonęła mnie cała.

– Tylko my – powiedziała Lacey.

Będziemy sierotami, będziemy duchami. Opuścimy powszedni świat, by zanurzyć się w inny, owoc naszej kreacji. Przed nami jazda na całość. Przed nami wolność. Taką złożyliśmy sobie obietnicę, i choćby cała reszta rozpadła się w pył, jej dotrzymamy.

1 Ewangelia wg św. Mateusza (6,5), za Biblią Tysiąclecia.

LACEY

Jeśli kłamałam

Mówisz, że chciałybyś wiedzieć, ale tak naprawdę wcale tego nie chcesz. Wolisz widzieć we mnie jakieś mityczne stworzenie rodem z twoich marzeń, jakiegoś, kurwa, leśnego duszka powołanego do życia tylko dlatego, że zamknęłaś oczy i tak bardzo go pożądałaś. Może i ci kłamałam, Dex, ale w najważniejszych kwestiach nawet nie musiałam sobie dupy zawracać, bo gdzie by ci zaświtało, żeby zapytać.

Jak więc cię okłamywałam?

W kwestii palenia, bo paliłam. Za twoimi plecami, jak smok, taki nikotynowielbłąd nasączający się na deszczowe, pełne Dex dni. Myślisz, że dlaczego w samochodzie zawsze jechało fajkami? Uznałaś, że to zażółcony od tytoniu duch poprzedniej właścicielki zakradający się nocą, żeby okadzić przednią szybę i wysyłać dymne sygnały do gwiazd? Nie, albo wiedziałaś, albo nie chciałaś wiedzieć.

W dniu, w którym powiedziałam ci, że nie palę, nie skłamałam, bo tego dnia nie paliłam. A moja babcia naprawdę umarła na raka płuc i dlatego wtedy rzuciłam, tak samo jak rzucałam kilka miesięcy wcześniej i dwukrotnie w zeszłym roku. Nie wydało. Twoja mądra i silna Lacey nie chowałaby pod materacem awaryjnej paczki, nie wyciągałaby jej z ukrycia po zimnych klopsach zjedzonych na obiad w towarzystwie Bydlaka, nie wystawiałaby głowy za okno i nie wydychała ciepłego dymu

w zimowe powietrze. Prawie jakby się nie liczył ten pierwszy mach po rzuceniu – było zimno, dym wyglądał jak para oddechu na mrozie. W końcu miał być bezwarunkowo ostatni.

Ale pierwszy mach nigdy nie jest bezwarunkowo ostatni. Może nie powiedziałam ci o tym, bo chciałam mieć jakąś tajemnicę. Co moje, to twoje, powtarzałyśmy. Ale co moje, to ważniejsze.

No dobrze, palę, ale blizny są prawdziwe. Ta na przegubie, którą pokazałam ci pierwszego dnia. Wtedy zaraz odszczekałam swoje słowa, ale zrobiłam to, co mówiłam, że zrobiłam. Tak, to też było prawdą.

No i nie grałam w żadnym zespole. Nigdy nie byłam boginią rocka, nie szalałam z gitarą, nie spadałam na plecy ze sceny, nie niosło mnie morze rozentuzjasmowanych rąk. Potrzebna ci byłam nieustraszona. Kiedy na mnie patrzysz, jestem nieustraszona. Ale nie zawsze patrzysz, a wtedy jest inaczej.

Zatem jak to zrobiłam, kiedy już się zdecydowałam?

Nożem. Lacey Champlain w wannie i z nożem.

Doszło do tego po Jersey, po Bydlaku, po Battle Creek, Nikki i Craigu, ale wciąż jeszcze przed tobą. Nikki i Craig byli bardziej przemilczeniem niż kłamstwem, ale według ciebie i tak pewnie powinni trafić na listę.

Zrobiłam to nożem w wannie, ponieważ tej metody nauczyłam się z filmów: gorąca kąpiel, gorąca krew, wszystko blaknie, wmyka się z rąk. Puściłam wodę, rozebrałam się i cięłam, ale tylko raz, w dodatku płytko, bo jednego z filmów się nie dowiesz: boli jak chuj.

Moja kochana mamusia powiedziałaaby ci, że przed Lacey

życie było szwedzkim stołem: tu sztach maryški, tam kac po pabście, rajski ogród według białej hołoty. Nic tylko matka i mój tatko, ciągly ochlaj i pieprzenie się, miłość i pokój, pa, pa, wyidealizowane lata siedemdziesiąte, no i tak wzięła i skończyła z brzuchem. Od tamtej pory, mówiłaby ci, żyła na skraju śmierci głodowej. Moja matka, pieprzona Joanna d'Arc z Battle Creek. Jeden pęknięty kondom, jedna aborcyjna wycieczka do jakiejś zapyziałej kliniki, gdzie nie była nawet w stanie posadzić tyłka na zardzewiałym składanym krzeselku, a co dopiero rozebrać się i dać wyskrobać lekarzowi z włochatymi knykciami, jedne oświadczyzny z dwoma sześciopakami i bez pierścionka. Jedno zasikane, obesrane, rzygające dziecko, które wolało się drzeć, zamiast spać. Na ślubie byłam wypukłością wielkości arbuza pod lichą suknią z koronką. Pobrali się w parku, a ponieważ pierdoły, że coś przynosi pecha, kompletnie ich nie ruszały, stali przed uroczystością obok siebie, trzymali się za ręce przy kontenerze na śmieci, pastorzyna do wynajęcia usiłował ogarnąć rzeczywistość, a piętnaścioro gości, którym zechciało się ruszyć dupę, starało się nie wyglądać na urżniętych ani naćpanych – przez szacunek dla uważających się za Bóg wie kogo rodziców pana młodego, którzy gdyby nie musieli, za skarby świata by nie przyjechali. Przyszli tatuś i mamusia spoglądali na siebie, odgrywając szczęśliwych i zakochanych na zabój, „choć wiedziałam, mawiała matka, że wyczekiwał końca, by się wreszcie narąbać, a twoje kopnięcia robiły mi, kurwa, dziurę w brzuchu, więc przede wszystkim starałam się nie porzygać”.

W dzieciństwie była to moja ulubiona historia, opowieść o ich ślubie, o tym, jak na nim byłam i nie byłam zarazem i jak to się stało, że przyszłam na świat. Dlaczego? Bo ojciec opowiadał ją inaczej, kiedy jeszcze siadał na brzegu mojego łóżka, mierzwił mi włosy i karmił mnie bajkami.

– Twoja matka nigdy nie była piękniejsza – mawiał. –
A wiesz, co było najśłodsze?

Teraz następowała moja kwestia, potrafiła ją zapamiętać
nawet czterolatka:

– Arbuuuz!

– Żebyś wiedziała, arbuż. Nie mogłem się powstrzymać,
pogłaskałem ją po brzuchu, jak teraz ciebie głaszczę po głowie,
cała ta falbaniasta suknia zaszeleściła mi pod ręką i wtedy to
powiedziałem.

– Koronkowa robota.

– Miałem na myśli sukienkę. Jak pięknie wyglądała, jaka
była w dotyku, jaką miałem chętkę na... no, tego nie musisz
wiedzieć. Ale twoja matka pomyślała...

– ...że mówisz o mnie.

– I tak stałaś się sobą, mały arbużiaku. Tak zostałaś Lacey2.

Kiedy miałam dziesięć lat, matka powiedziała, że znalazła
dla mnie imię w jakimś dennym romansidle.

– Ciesz się, że nie jesteś chłopcem – zaznaczyła – bo
dałabym ci Fabio.

Kłamanie o przeszłości było jej hobby. Zmyślanie, dzięki
któremu ona miała się poczuć lepiej, a ja gorzej.

„Twój ojciec odszedł, bo nas nie kochał”.

„Twój ojciec był skończonym nieudacznikiem, lepiej nam
bez niego”.

Chyba że akurat wpadła w zgoła odmienny nastrój:

„Wszystko zrujnował jebany bachor, jakżeby inaczej. Koniec
z pieprzeniem się na kuchennej podłodze, ani się człowiek
obejrzał, a tu nagle same pieluchy i rachunki, i jak ja mam go
winić, że spierdolił, też bym to zrobiła, gdybym pierwsza na to
wpadła”.

„Pił, zanim się pojawiłaś, ale nie był pijakiem”.

„Zanim się pojawiłaś, wszystko się układało”.

Jeszcze w Jersey, kiedy była w wyjątkowo dobrym humorze, opowiadała, jak się poznali na koncercie Van Halen, oboje zalani w trzy dupy. On był ochroniarzem, ona grupie, i dałaby wszystkiemu, co się rusza, byle dostać się za scenę.

Od pojawienia się Bydlaka mówiła o tym o wiele rzadziej – nie lubił, gdy coś mu przypominało, że nie był jej pierwszym. Ale czasami, kiedy na mieście grał w kręgle w imię Pana czy chuj wie czego, pijana i z zamglonym spojrzeniem nabierała ochoty na kolejną edycję *Oto twoje życie*. „Twój tata podarował mi wieszak na walentynki. Że też nie zrobiłam z niego użytku”.

Wiem to, co wiem.

Położył rękę na mojej nieuformowanej główce – dzieliły nas tylko cienkie warstwy matczynego łona oraz koronki – i powiedział „Lacey”, ponieważ już wtedy uważał, że jestem piękna.

„Zostałbym, gdybym mógł”, wyszeptał ostatniej nocy.
„Wrócę po ciebie”.

I wracał, czterokrotnie tego roku, dwukrotnie następnego, zawsze kiedy matka spała albo była w pracy, a ja nigdy jej o tym nie wspomniałam, nawet słówkiem. Czasami zjawiał się nocą i rzucał kamyczkami w moje okno, normalnie, kurwa, *Romeo i Julia*, wspinał się po treliazu i zakradał do mojej sypialni z pluszowym zwierzątkiem w zębach, jakimś okulałym króliczkiem lub trzynogim kotkiem, znalezionym gdzieś i przechowanym specjalnie dla mnie, bo wiedział, że lubię okaleczone. Przykładał palec do ust, ja moje gestem zasuwiałam i bawiliśmy się w poświacie księżycy cichutko jak myszy pod miotłą, udając, że może ten jeden raz słońce nie wzejdzie.

Kiedy przestał przychodzić, wiedziałam, że stoi za tym jakiś ważny powód. Lubiłam go sobie wyobrażać gdzieś daleko

na statku, we flocie handlowej albo jako chłopca okrętowego na jakimś prywatnym jachcie; tak, to mój ojciec huśta się na takielunku, pokrzykuje „Ahoj!” i „Ziemia na horyzoncie!”, zbija majątek, żeby móc wreszcie wrócić na stałe i zabrać mnie do siebie.

Tylko skąd miałyby wiedzieć, że trzeba mnie szukać w Battle Creek? Dobrze nam się działo w Jersey tylko we dwie: ja robiłam, co chciałam, a matka mi na to pozwalała. Rewanżowałam się podobną uprzejmością: udawałam, że biorę za dobrą monetę jej elastyczną definicję kelnerowania, nie zwracałam uwagi na korowód smutnych samotnych mężczyzn, miejscowych sprzedawców samochodów i pijanych turystów. Potem pojawił się Bydlak – jakiś potwór tu nadchodzi w welurowym garniturze. Bydlak James Troy, a ironia, że twój prawdziwy ojciec i mój przyszywany noszą to samo imię, jest bezcenna na tej samej zasadzie, na jakiej domem nazywa się zarówno dwie złęczone przyczepy kempingowe, jak i pałac Buckingham.

Mój James zachowywał się, jakby ciągle był w wojsku, mimo że tak naprawdę nigdy nie odbył służby wojskowej, chyba że za taką uznać zwolnienie dyscyplinarne z rezerwy po niecałym półroczu. Na co Purpurowe Serce komuś, kto może walczyć w imię Boga, bojówkarzowi szczytnej idei, działającemu za pomocą bankowości telefonicznej na rzecz Chrześcijańskiej Koalicji? Gość nie miał nic cenniejszego nad oprawioną fotkę George’a Busha z autografem. Reagana bym jeszcze uszanowała, może nawet Nixona, ale jakim fajfusem średniego szczebla trzeba być, żeby stawał ci na myśl o George’u H.W. Bushu?

„Mój James”, mówiła o nim od samego początku. „Mój James” wie, jak to jest, nie to, co ten sponsorzyna, bez przerwy

wiercący jej dziurę w brzuchu za xanax, jakby nie potrzebowała jakiegoś ogłupiacza, kiedy zabrakło piwa. „Mój James” mnie zawiezie, „mój James” zrobi mi obiad, „mój James” uważa, że aborcja to grzech, zresztą i tak zawsze chciał zostać tatą, a ty chciałaś być starszą siostrą, i popatrz, jaki śliczny pierścionek.

Ludzie pomyślą, że jest moje, tłumaczyłam jej. Że w imię przyzwoitości wychowujesz własnego wnuka, na co odparła, że ludzie powinni mieć więcej rozumu i nie zakładać, że akurat ona zrobiłaby coś w imię przyzwoitości.

Uważała, że lepiej jej z nim niż bez niego, może zresztą słusznie, ale nikt nie chce dostać na obiad psiego żarcia tylko dlatego, że smakuje lepiej od psiego gówna. Jeśli psie żarcie zostaje przeniesiony do siedziby głównej korporacji, mieszczącej się dogodnych trzydzieści kilosów od najdalszego wypizdowa, nie znaczy to, że doczepiasz przyczepę kempingową i gnasz ku zachodowi słońca, słuchając Barry’ego Manilowa i zatrzymując się co dwadzieścia minut na siku, bo młodszy braciszek w brzuchu uciska ci kolanem pęcherz.

Lato to najgorsza pora na przeprowadzkę do Battle Creek. Znaczący, żadna pora nie jest dobra na przeprowadzkę do Battle Creek, to jasne, ale tym, którzy nie mają wyboru, powinno się przynajmniej odpuścić przenosiny latem, wyładowywanie się z gównianego vana, pierwsze spojrzenie na gówniany dom i prawie że samozapłon jeszcze przed połową podjazdu.

Latem Battle Creek cuchnęło smażonym psim gównem. Miejscowi chyba tego nie dostrzegali, może dlatego że niczego innego nie znali. To samo można powiedzieć o tak zwanym jeziorze, do tego stopnia zarośniętym wodorostami, że wodę zauważałeś dopiero, jak w nią wlałeś, czego zresztą żaden lokalny głupek by nie zrobił, ponieważ Bóg jeden wie, co może żyć pod powierzchnią tego toksycznego szlamu. Albo o basenie

miejskim z chorobliwie zieloną wodą barwy chloru zmieszanego z sikami. Ale ponieważ latem w Battle Creek dosłownie nic innego nie było do roboty, pozostawał tylko wybór między basenem, jeziorem albo 7-Eleven, które jechało tymi obrzydliwymi pierogami z mięsem podpiekanymi w podgrzewaczu. No, chyba że postanowiłabym zamknąć się w domu na dwa miesiące, ale ponieważ mówimy o domu z Bydlakiem i jego nie do końca bękartim płodem, agorafobia nie wchodziła w grę.

Wybrałam spacer. To miasto się do nich nie nadaje w żadną pogodę, szczególnie letnią porą, ale był to równie dobry sposób na przeczekanie jak każdy inny. Jeśli żyjesz na terytorium wroga, warto zapoznać się z ukształtowaniem terenu. Nie żeby było szczególnie dużo do poznawania: główna ulica nazwana wprost pieprzoną ulicą Główną, na południe od niej wygwizdów, na północ – nie aż taki, zbyt wiele sklepów z rzeczami używanymi i jeszcze więcej zabitych deskami witryn, szkoła zbudowana jak więzienie i ta stacja benzynowa z gigantycznym hot dogiem na szczycie. Tyle łażenia, a dopiero na mapie spostrzegłam, że miasto ma kształt pistoletu z lasem wygiętym jak cyngiel.

Dzień, w którym trafiłam w tym lesie na Nikki, był dołująco upalny, powietrze gorące jak w rurze wydechowej, obie przechodziłyśmy do trzeciej klasy, ubrania od pasa w górę miałyśmy w zasadzie przezroczyście, sutki napierały na przepoconą bawełnę, ale Nikki była w takim stanie, że nie mogła tego zauważyć. Z początkiem września znajdziemy się w tej samej klasie, a co za tym idzie, ja stanę się jej podwładną, ona zaś moją królową, ale jeszcze o tym nie wiedziałam, a nawet gdyby, miałabym to gdzieś, i może właśnie to niewyobrażalne mignięcie czegoś nieznanego przykuło jej uwagę.

Nikki Drummond pijana o trzeciej w środowe popołudnie, upadła księżniczka Battle Creek. Podpierała drzewo na bagnach, butelka wódki na podołku, fajka w ustach, i tylko te przesuszane blond włosy – jak się okazało, szczotkowane na noc dosłownie setką pociągnięć – nasunęły mi przypuszczenie, że prawdopodobnie w trzeźwym świetle jesieni ci ludzie nie będą do mnie pasować. Ale do jesieni zostały dwa miesiące, ja zaś się nudziłam, kiedy więc Nikki zaoferowała mi butelkę, usiadłam obok niej i zdrowo pociągnęłam.

Zdziwiłoby cię, że wtedy stale chadzałam do lasu? Moje kreowanie się na jakieś mityczne wodne stworzenie z natury bojące się drzew było kolejnym słodkim kłamstwem specjalnie dla ciebie. Mało, że las z tymi wszystkimi cieniami i muzyką szeptów na wietrze mi odpowiadał – ten zielony labirynt, do którego mogłam uciec, by posnuć odrobinę własnych fantazji, był po prostu mój. Najbliższa ścieżka między drzewami zaczynała się jakiś kilometr od domu, ale pośród zieleni było gęsto i cicho i miałam wrażenie, że od Bydlaka i jego Battle Creek dzielą mnie miliony kilometrów. Równie dobrze mogłam być ostatnią osobą na Ziemi, wszystko i wszyscy szczęśliwi w połodze poza mną, drzewami, robakami i jeleniami. Lubiłam, gdy liście stawały się tak zbite, że nie było widać nieba.

Pierwszego dnia natknęłam się na starą stację kolejową, zaczerpnęłam tchu i zadumałam się, czy to nie moja wola powołała ją do istnienia. Ponieważ tu był kres cywilizacji: zapomniana stacyjka, przerdzewiałe tory i kolos wagonu towarowego śpiący między chwastami. Ty zapewne marnowałaś czas, próbując zawezwać wyobraźnię przeszłość, jakąś kwitnącą, zabieganą epokę zmierzających w bardzo ważne miejsca dam z parasolkami oraz panów z aktówkami i w fedorach, ale mnie stacja podobała się właśnie taka:

pomazana blaknącym graffiti, pełna potłuczonego szkła i ostrych krawędzi, zaginiona w czasie. To było pierwsze ze znalezionych przeze mnie miejsc, które wydało mi się niebezpieczne – przegniłe serce Battle Creek. Kraina apokalipsy, a dla mnie była jak dom.

Wyobraź sobie, jak się poczułam, kiedy Nikki wpakowała się z butami w mój świat.

– Nie znam cię – powiedziała, jakby istnienie poza jej świadomością było najgorszym rodzajem grzechu. Jakbym to ja była intruzem.

– Ja też cię nie znam. – Pociągnęłam jeszcze łyk, zanim przechwyciła butelkę.

– Ale ja znam wszystkich.

– Widocznie nie.

– Wszystkich. Wszystko. Co ci zostaje, kiedy już wszystko w życiu zaliczyłaś? Ha? Co wtedy? – Nikki Drummond bełkotliwymi słowami obnażająca swój egzystencjalny kryzys przed najnowszym zerem w mieście.

– Poważnie wątpię, że już wszystko zaliczyłaś. W końcu mieszkasz tutaj.

– Ja tu rządę – poprawiła mnie Nikki.

Roześmiałam się. Nie znałam jej wtedy na tyle, by wiedzieć, jaka pijana musiała być, skoro nie wydrapała mi oczu.

– Zaliczyłam Craiga. Raz i drugi, i znowu, i nuda, nuda, nuda.

– Za to on na pewno uważa cię za fascynującą.

Zamrugnęła wpatrzonymi we mnie wielkimi niebieskimi oczami, uśmiechnęła się. Nikki grasowała po świecie skrycie jak kot, ale tego popołudnia bardziej przypominała uwieszone gałęzi kociątko z jakiegoś drętowego plakatu ku inspiracji: „Trzeba się trzymać!”. Pazurzaste, ale rozkoszne.

Lacey Champlain w lesie z nożem wymierzonym w twoje serce, bo tak wygląda prawda: przed tobą była Nikki Drummond.

Piłyśmy, ona gadała. Poznałam świat według Nikki od A do Z, dowiedziałam się, jak to jest być doskonałą i popularną, być zestawem Nikki i Craig (takim samym jak Barbie i Ken) zapisanym w gwiazdach, gdyby były one kroniką szkolną na zszywkach, a tusz – nasieniem i piwem. Powiedziała mi, że należeli do siebie i jeśli okaże się, że nie potrafi go pokochać, to nie będzie umiała pokochać nikogo.

– Zerwij z nim – zasugerowałam.

– To też zrobiłam. Nie pomogło.

Zbyt leniwa i znudzona, żeby w środowie popołudnie zająć się czymś innym niż picie na umór i biadolenie. Prawdziwa tragedia, nie? Gdzie się podziały reklamy z Sally Struthers, obietnica, że nawet ty możesz podrasować biedną Nikki, i to za marnych kilka centów dziennie?

– Czasami tak się nudzę, że mogłabym, kurwa, umrzeć – oświadczyła. Siedziałyśmy tuż obok siebie z nogami zwisającymi z torów. – Czulaś się tak kiedyś?

Chciałam być kimś innym. Nie byłam tą samą dziewczyną co w Jersey. Nie byłam już dziewczyną Shaya, która trzymała się pół metra z tyłu, jeśli patrzyli niewłaściwi ludzie, i mówiła: „Tak, co tylko chcesz”, gdy należało odpowiedzieć: „Nie ma, kurwa, mowy”. Od bardzo, bardzo dawna nie byłam córeczką tatusia, a moja matka miała nowe dziecko do zmarnowania. Byłam dziewczyną Kurta i zależało mi, żeby to coś znaczyło. Może więc to ja pokonałam dzielącą nas przestrzeń i rozmazałam jej pastelowy błyszczek, ale z tego, co pamiętam, ona już była gotowa i najpierw nasze usta, potem języki, a potem całe ciała zespoliły się, jakbyśmy od początku miały taki plan.

Wyobrażasz sobie pewnie jakąś pornografię, obrzucanie się eksplodującymi pierzem poduszkami, dostawczynią pizzy chcące posmakować twego pepperoni. To było jak porno i dlatego też było interesujące. Brudne, dosłownie, bo tarzałyśmy się po gołej ziemi z gałązkami wplątanymi we włosy, z ciałami oblepionymi piachem i mchem, dyszałyśmy, pociłyśmy się i stękałyśmy, dwie dzikuski wychowane przez wilki.

Więc tak się to zaczęło: i przypadkiem, i nie. Umówiłyśmy się na następny dzień w tym samym miejscu, o tej samej porze i przy tej samej wódce, tyle że tym razem pojawiła się w towarzystwie Craiga Ellisona, swojego nudnego ciacha, jak go przedstawiła. Słyszał o całej akcji i chciał się załapać.

– Tylko popatrzeć – powiedział i za pierwszym razem rzeczywiście robił tylko to.

2 *Lacey, lacy* (ang.) – koronkowy.

ONE

Matka Dex wiedziała, że nie bez powodu lęka się o córkę. Powiedziano jej, że w tym cała tragedia powicia dziewczynki. Życie w strachu, być może przeznaczenie każdego rodzica, ale ze szczególnym wskazaniem na matki mające córki – kobieta wychowuje kobietę, wiedząc aż za dobrze, co może się wydarzyć. Właśnie to czaiło się w najszcześniejszych izbach porodowych, w których kolorowe baloniki wołały „Dziewczynka!”. Różowe cygara, kwieciste śpioszki i lęk.

Tak jej powiedziano.

A teraz strach powinien być większy niż kiedykolwiek. Wszystkie matki z Battle Creek bały się bardziej niż przedtem, ponieważ złudzenia, jakie żywiły wobec swych pociech, swojego domu i dyktatu nieuchronności, zgodnie z którym przyszłość miała być równie nieobfita w wydarzenia jak przeszłość, strzaskała kula, przeszywszy uprzednio pień mózgu młodego Ellisona. Tej pierwszej nocy matka Dex naprawdę się bała. Stała u boku Jimmy’ego w drzwiach do pokoju córki, obserwowali ją śpiącą, poznając smak niewyobrażalnego. Rachowali jej oddechy, niewymuszone unoszenie się i opadanie piersi, a matka Dex czuła, jak jej płuca szumią w synchronizacji z płucami córki, oddychają za nią tak jak w czasach niemowlęctwa, kiedy to siadała przy łóżeczku, delikatnie opierała opuszki palców na piersi maleństwa, ponieważ tylko wyczuwając rytm oddechu i trzepot bijącego serca, wciąż na nowo mogła się upewniać, że jej dziecko nadal żyje.

Po tragedii postanowili, że wszystko się zmieni. Naturalnie nie zmieniło się nic, wszak nie była to ich tragedia, a matka Dex

niewiele miała cierpliwości dla rodzicielek z Battle Creek, które wydawały się niezdolne do przyswojenia tej prostej prawdy. Chłopcom nie przystoi wrażliwość, chłopiec nie może paść ofiarą bólu, coś takiego wywraca na nice naturalny porządek rzeczy. To domena dziewcząt. Więc może było zrozumiałe, że po omacku nadal szukały innych odpowiedzi, tamte matki po tyłu miesiącach wciąż paplające o tym, co naprawdę się stało, o demonicznych wpływach i kulcie Szatana, o heavy metalu i krwawych ofiarach, ją jednak do furii doprowadzały te wszystkie szczerzące kły potwory pod łóżkiem, wymówka, by się nie martwić tym, co istotne: przedawkowaniami, wypadkami samochodowymi, AIDS, a przede wszystkim – dotyczyło to zwłaszcza matek synów przekonanych, że martwić należy się tylko o córki – wychowywaniem mimo woli małych protogwałcicieli, uważających, że po kolacji z winem dziewczyna będzie tak pijana, by bez narzekania połknąć wypełniający buzię wytrysk. Matka Dex nie знаła chłopaka Ellisonów, ale znała mnóstwo jemu podobnych. Tacy jak on istnieli od zawsze. Wiedziała też, że kłopoty, w które się wpakował (jeśli jakieś były), prawdopodobnie sam na siebie sprowadził. Wszystkie te matki były tak samo przejęte okropnościami mogącymi spotkać ich dzieci, jak niechętnie rozmyślaniu o tym, co może się stać za sprawą ich potomstwa. Być może dlatego matka Dex nigdy nie potrafiła wykrzesać w sobie zbyt dużego strachu o córkę. Jej córka nie należała do tych, za których sprawą coś może się stać.

Matka Dex doskonale zdawała sobie sprawę ze wstydu, jakiego jej narobiła. Ale córka nie mogła nawet przypuszczać, ile wstydu przyniosła matce. Że matka aż za często marzyła o jakiejś innej, ładniejszej i radośniejszej dziewczynie, wyobrażała sobie, jak popisuje się nią przed zachłyśniętym

z podziwu światem: „Patrzcie na moje prześliczne dzieło, dziwujcie się memu dokonaniu”.

Stworzyłaś dziewczynkę, pielęgnowałaś ją, kąpałaś, podcierałaś, kochałaś, utrzymywałaś przy życiu aż do dorosłości, no i masz – dorosła. Brzydka i nadąsana, marząca tylko o jednym: być dzieckiem, które nie ma matki.

Matka Dex, choć jej mąż i córka twierdzili coś wręcz przeciwnego, w rzeczywistości miała spore poczucie humoru. Na przykład przez wiele lat była zdania, że jej życie jest przekomiczne. Że została ociosana ze wszystkiego, czym była, wyglądzona na powierzchnię bez wyrazu i własnego imienia. Matka Hannah Dexter. Żona Jimmy’ego Dextera. Ty – jeśli czegoś chcieli, ona – jeśli nie. Odnosiła czasami wrażenie, że to, co wydawało się nieskończonością wyborów, okazało się lejkiem – życie zawężające się po każdej błędnej decyzji, każda pomyłka ograniczająca możliwości o połowę, nieustanne ściąganie w dół, aż nie będzie już gdzie spaść poza czarną dziurką bez dna.

Wybieranie sobie życia – to dopiero żart. Owszem, wybrała Jimmy’ego Dextera, ale dopiero po tym, jak stan postanowił wydrzeć jej stypendium naukowe, bo gubernator obciął fundusze na szkolnictwo. Owszem, wybrała czarującego gitarzystę z krzywym uśmiechem, który przez całą noc nie pozwalał jej zasnąć, cytując Vonneguta, debatując o Wietnamie, pozwalając jej pośród zawiesiny dymu papierosowego oraz kwasowych tyrad o drzwiach percepcji wierzyć, że wciąż była w college’u. Ale wybrała tamtego Jimmy’ego, nie tego, który nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie należy grać na gitarze przy śpiącym dziecku albo że przewijak nie jest odpowiednim podkładem do skręcania jointów. Pokochali się, ponieważ oboje rozpaczliwie pragnęli tego samego: lepszego życia. Bardziej znaczącego. Ani

razu nie przeszło jej przez myśl, że powinni też wziąć pod uwagę, jak zamierzają ten cel osiągnąć. Ona wierzyła w pracę, on był wyznawcą nadziei. W tym krył się największy żart: okazało się, że wcale nie pragną tego samego.

Do szczytu się nawzajem wydrażyli, ona i Jimmy, i teraz już nie nadawali się dla nikogo poza sobą. Przeważnie wychodziła z założenia, że nie trafiło jej się gorzej niż innym, świat przecież pełen jest pustych skorup, uśmiechniętych i wciąż trwających. Ale w niektóre dni, te najgorsze i te najlepsze, myślała o ucieczce.

Jej córka niedługo wybędzie do college'u. Kiedy nadejdzie ów czas, matka Dex być może również się wyniesie. Niemalże gryzła się możliwością, że on rzuci ją pierwszy, ale gdyby Jimmy jeszcze miał w sobie to coś, co skłania do odejścia, mogłaby pokochać go na nowo i zostać. Wyczekiwała wyjazdu córki, żeby już mieli to z głowy; nie chciała wyjazdu córki, chciała ją zatrzymać, krzyczeć: „nie dorastaj nie zmieniaj się nie odchodź”, ale wtedy pojawiła się Lacey i niedługo nie zostanie już nic do zatrzymania, ponieważ kawałek po kawałku odbierała jej dziecko.

Matka Dex wiedziała, jak to jest zatracić się w kimś silniej jaśniejącym, wpaść w pułapkę pola grawitacyjnego innego słońca. Wiedziała, co się dzieje, gdy wychodzi na jaw, że słońce jest tylko żarówką, i gdy żarówka się przepali. Wydawało się nie fair, że jej błędy nie zostały przekazane w kodzie genetycznym córki, że nie istniała żadna ewolucyjna adaptacja, żadna wrodzona biologiczna odporność na urok i blask. Obserwowanie zakochującej się córki budziło w niej niską zazdrość, czy jakie tam określenie wybrać – zazdrość, smutek, pamięć młodych dni, może nawet odrobinę tęsknoty za brzękiem gitary Jimmy'ego, za jego wzrokiem zawsze odnajdującym ją w rzadkim tłumie

i żalnymi piosenkami śpiewanymi ku poprawie nastroju. Przede wszystkim jednak czuła się przez to jak matka córce, jakby przyjęła komunię i stała się częścią kobiecej wspólnoty poza czasem i odległością, albowiem wreszcie, jak dawno temu zostało obiecane, matka Dex się bała.

MY

kwiecień–lipiec

1992

DEX

Plac zabaw diabła

Nic specjalnego nie zaszło, kiedy Lacey po raz pierwszy zorganizowała mi odlot. Powiedziała, że grzybki były za stare, zresztą przyjaciel jej kuzyna listonosza nie jest najbardziej wiarygodnym dostawcą, więc cholera wie, co nam dał. Osobiście skłaniałam się ku gandzi – była wszędzie i z tego, co słyszałam, nie mogła usmażyć ci mózgu, choć reklamy społeczne mówiły coś innego. Lacey jednak stwierdziła, że gandzia jest dla plebsu.

Za drugim razem wybrałyśmy się do kościoła.

Wiadomo, że nie do miejscowego. Pojechałyśmy do Dickinson, trzy miasteczka dalej, i zatrzymałyśmy przed pierwszym budynkiem, na którego dachu widniał krzyż. Pomachałyśmy jakimś starszym paniom kuśtykającym przez parking, a ponieważ nie były starszymi paniami z Battle Creek, nie wpadły na nic lepszego, niż nam odmachać. Założę się, że pomyślały: „Jakie miłe dziewczęta”.

Skubnęłyśmy grzybki. Lacey polizała mnie po policzku; robiła to czasami, kiedy była w dobrym nastroju, przelotnie i nieoczekiwanie niczym kot. „Nie mogę sobie wyobrazić, jak pan sobie da radę beze mnie”, zamruczała. Właśnie przerobiliśmy *Pigmaliona* na angielskim, ta kwestia ją zachwyciła. Mnie spodobała się inna: „Ale duszy twojej nie nakręcę. Zostaw mi duszę i zabierz sobie głos i twarz, one nie są tobą”³, lecz o wiele trudniej było wtrącić ją do rozmowy.

– Jak myślisz, kiedy się zacznie? – zapytałam.

Poprzednio zmieszałyśmy posiekane grzybki z czekoladowym puddingiem, żeby dały mniejszego kopa. Tym razem podeszłyśmy do sprawy bardziej purystycznie. Przypominało to żucie styropianowego kubka.

– Może już się zaczęło – roześmiała się. – Może w ogóle mnie tu nie ma, może jestem wytworem twojej wyobraźni.

Pokazałam jej środkowy palec i weszłyśmy do kościoła.

Zająć drewnianą ławkę i czekać, aż coś się stanie – to był pomysł Lacey. Czytała o jakimś eksperymencie, w ramach którego grupa ludzi naćpała się, poszła na mszę wielkanocną i doznała transcendentálnego przeżycia religijnego, przełknęłyśmy zatem, zamknęłyśmy oczy i – jak zapewniła, w celach wyłącznie naukowych – czekałyśmy na objawienie.

Lacey nieustannie powtarzała, że narkotykowe odjazdy innych są niemal równie nudne jak ich sny, ale gdy grzybki wreszcie zadziałały, dopiero w tym kościele poczułam się tak niesamowicie, tak niekwestionowanie sobą. Jakby świat specjalnie dla mnie przepoczwarzał się na nowo, ściany szepczące sakralne przesłanie, głos pastora: jasnobłękitne światło i gorąca kawa spływająca gardłem do mego utajonego ja, i stałam się mną jak nikt, kim byłam dotychczas, życie okazało się pytaniem, na które ja jedna znałam odpowiedź, a gdybym zamknęła oczy, świat poza mną, barwy-dźwięki-twarze, który istniał wyłącznie ku memu zadowoleniu, by się rozplynął.

Nie znalazłam w tym kościele żadnego Boga. Sama się nim stałam.

Pastor powiedział, że diabeł kroczy między nami.

Pastor powiedział, że w tym mieście żyje zło, a zapłatą za grzech jest śmierć.

Pastor powiedział, że krowy zdychają, kurczaki są zarzynane, martwe koty zwisają z płonących drzew, tak, oto

dowód, którego szukacie, że nastał kres dni, że pochłania was piekło, że Szatan chwyta was lodowatymi palcami, że tu, że tam, że wszędzie dzieci umierają, dzieci mordują, dzieci są zagrożeniem.

Pastor wyciągnął ręce ku parafianom, ku nam, a ja czułam chłód jego palców na ustach Lacey, bo przecież jej wargi były moimi, bo przecież co jej, to moje. Pastor powiedział, że diabelska pieśń wiedzie prostą drogą do piekła, ale gdy uniósł dłonie, chór rozśpiewał się głosem Kurta, ochrypłym i stęsknionym, a szaty chóru białe, a oczy chóru czarne, a głos Kurta wyśpiewał moje imię, „Byłaś i jesteś moja”, przekazał. Oczy pastora lśniły, krwawiły ściany, zdjęci lękiem bożym dobrzy parafianie zwrócili się ku nam jak jeden mąż, oczy ich wyglodniałe, ale wówczas Lacey rozżarzoną dłonią sparzyła me usta, jakby jeszcze przede mną wiedziała, że zaraz się rozwrzeszczę.

Drugą rękę położyła na mym kolanie, palce z początku zwinięte w pięść zaraz otwarły się, rozkwitły, odsłonił się kwiat, który wydzierała sobie na dłoni. Przestałam więc krzyczeć. Przyglądałam się kwiatu. Płatki spiły kolor z jej skóry. Jaśniały zielenią jak oczy Lacey, czerwienią jak jej usta i różem niczym jej język. Kwiat szeptał do mnie jej głosem, tłumaczył, że nie ma się czego bać. Wiara w to była jak oddychanie.

Po zakończeniu nabożeństwa mocno ścisnęła moją rękę i wyprowadziła mnie z kościoła. Otarła się ustami o moje ucho, pachniała purpurą, a kiedy wyszeptała: „Zaczęłaś się już dobrze bawić?”, nasz śmiech smakował jak cukierki.

Zabawa miała być nas niegodna. Zabawą było Battle Creek, bawili się przegrani, wędrujący z sześciopakami do lasu i obściskujący się w ciemnościach. To nie dla nas, brzmiał dekret Lacey, jak już ćpać, to tylko w imię wyższych celów.

Będziemy filozofkami, poświęcimy się wszelkim możliwym formom eskapizmu. Po nabożeństwie umknijemy na puste pole i spędzimy długie godziny na poszukiwaniach, póki nie uchwycimy sedna Piękna i Prawdy. Położymy się na trawie, w poszukiwaniu odpowiedzi przeczeszemy niebo, stworzymy dzieło sztuki, zrobimy coś, co uczyni nas rzeczywistymi.

Taki był plan na początku, kiedy wszystko wydawało się proste, ale nagle zrobiło się potem, srebrzyste i obce. I gdy wyruszyłyśmy na pole, podskakując i objając się we wnętrzu pikapa, nie byłyśmy same.

Chłopcy. Jedni w lśniących pantoflach i z kościelnymi sloganami na koszulkach, drudzy we flanelowych koszulach, dzinsach i brudnych butach. Wszystkim palce lepiły się od piwa i jechało im z ust, a żadnego z nich nie znałyśmy i byśmy nie polubiły, zamazane i zmieniające kształt twarze, obcy zdeterminowani, by pozostać obcymi. Nie nadążałam, czy było ich wielu, czy kilku, czy błagałyśmy, żeby nas tu przywieźli, czy żeby dali nam spokój. Czekałam, aż Lacey powie mi, że to nie dzieje się naprawdę, ale ona tylko narzekała na grząskie błoto i oddychanie gównem, a potem zapytała, czy zanim nadejdzie czas, mogłaby ponieść siekierę.

Wtedy spostrzegłam, że jeden z chłopców miał ze sobą siekierę.

Niebo różowiało, muczące krowy zionęły ogniem jak potwory z baśni, a ja usłyszałam swój głos, który mówił: „Nie, nie możesz”.

– Przecież jadasz hamburgery, co nie? – odezwał się chłopiec.

Usłyszałam śmiech Lacey i wiedziałam, że na pewno to sobie wyobrażam.

– Są moje – powiedział kolejny. – Ja decyduję, czy mają

żyć, czy zdechną. Jestem ich bogiem.

Wiedziałam, że coś w tym zgrzyta, ale umykały mi słowa, którymi mogłabym to uargumentować. Nim wyłapałam je we mgle, siekiera ze świstem przebiła skórę, trysnęła krew, a ja wrzasnęłam jednym głosem ze zwierzęciem.

Lepkie piwo, lepka krew. Roześmiani chłopcy pokazujący środkowy palec wyimaginowanej twarzy na niebie. Roześmiana Lacey pytająca, czy może potrzytać siekierę. Jej dłonie na toporze, moje na nim dłonie. Co jej, to moje. Czyjś głos mówi: „Nie bądź cipą”, czyjś głos prosi: „Nie zmuszaj mnie”, czyjeś kolana na ziemi, czyjaś pięść w parującej ranie, czyjeś zakrwawione palce rysujące na trawie pięcioramienną gwiazdę, czyjś oddech, czyjś szept, czyjeś łyzy. Czyjś głos udaje Lacey, niewyobrażalne słowa wzniecają łunę na niebie.

– Wymieniamy tę krew na krew naszych wrogów. Niech będzie nam dane ich zniszczyć.

Potem stała się ciemność, byłam w stodole, leżałam na sianie i doszłam do siebie w chwili, w której zimna dłoń wśliznęła mi się w majtki.

Po prostu powiedz „nie”, radzili w szkole, kiedy byliśmy jeszcze za małe, by choć wyobrazić sobie żądzę, więc powiedziałam „nie”, wyciągnęłam rękę, odepchnęłam ciało.

– No co ty – odpowiedziało i przesunęło nosem po moich piersiach.

Rude włosy, zarejestrowałam. Nie spodobały mi się. Lacey leżała ściśnięta między wsiokiem w kraciastej koszuli a belą siana, rozebrana do stanika i glanów.

Chłopaki od pługa, przeszło mi przez głowę, ale zaraz odepchnęłam tę myśl.

Walnęłam marchewkowy łeb i powtórzyłam, że nie.
– Mówiła, że uważasz mnie za słodkiego – zakwilił.
Obrzuciłam go wzrokiem: piegi i krzywy uśmiech,
błyszczące oczka i pyzata twarz. Może, pomyślałam. Ale
„słodki” nie znaczyło, że pragnęłam tego zwierzaka, mokrego
i nieporadnego, mięsa i kości. Pierwszy raz się pocałowałam, bo
stałam się przedmiotem wyzwania, czyjaś karą. Po raz drugi –
w ciemnościach, tym razem ktoś się pomylił. I oto szczęśliwy
numer trzeci, który powiedział, kiedy wstałam:

– Nigdy nie trafiają mi się ekstra sztuki. – I zaczął walić
konia na sianie.

– Lacey – powiedziałam. Płakałam. Chyba. – Lacey!

Wydała jakiś dźwięk. Trudno się mówi, wypisując
językiem wiadomości w czyichś ustach.

– Zostaw ich. – Rudy miał wyszczerbione paznokcie
i ropiejące wągry; bez sprawdzania wiedziałam, że ja też nie
trafiłam na ekstra sztukę.

– Lacey, chcę już iść. – Może zmuszałam się do płakania?
Łzom Lacey nie potrafiła się oprzeć.

– Koniecznie? – Nie patrzyła na mnie. Flanelowy ułożył ją
na beli i pocałował w gruzłowaty kręgosłup. – Nie możemy
zostać trochę dłużej?

Roześmiał się.

– Z tą długością toś trafiła w dziesiątkę. – Trzymał na niej
brudne łapy, palce usmarowane olejem silnikowym.

Lacey zachichotała. Ja nie mogłam się uwolnić od zapachu
krwi.

Gorący oddech na moim karku i:

– Bez obaw, dziecino, ze mną nie będziesz się nudziła.

– Lacey – powtórzyłam. – Lacey, Lacey, Lacey.

Zadziałało. Modlitwa, inkantacja. Moja moc czarownicy

lub łamiący się głos, albo po prostu jej imię jak słowa ulubionej piosenki wzywającej do domu.

– Zamkniesz się wreszcie? – rzucił flanelowy, ale Lacey prześlizgnęła się między jego rozstawionymi nogami i pozbierała fatałaszkę. Dotknęła mojego policzka.

– Naprawdę chcesz już iść, Dex?

Skinęłam głową.

– To chodźmy.

Flanelowy skrzywił się pogardliwie, od czego zrobił mu się prosiakowaty nos.

– A co my, do diabła, mamy zrobić?

– Jak dla mnie możecie sobie nawzajem obciągnąć – odpowiedziała mu Lacey, wzięła mnie za rękę i uciek-łyśmy.

– Przepraszam – powiedziałam, kiedy już bezpiecznie siedzieliśmy w samochodzie przy opuszczonych szybach, za nami niósł się szorstki głos Kurta, a chłopcy, pole, kościół i cała ta noc topnieli do opowieści, którą kiedyś będziemy sobie ze śmiechem opowiadały.

– Za co? – Lacey przyspieszyła jak zawsze, kiedy jej się nudziło, a ja wyobraziłam sobie palce jej stóp kurczące się na brudnym pedale. Lubiła prowadzić na bosaka.

Nie przepraszaliśmy, taka była zasada. Ani siebie, ani za siebie. Dokonywałyśmy własnych wyborów. Zrobiłyśmy z chłopcami na polu to, co zrobiłyśmy, tak jak na trawie, we krwi i na sianie. Podążałyśmy przed siebie, nie oglądając się w tył. Dzień za nami zasnuwał się mgłą, a ja próbowałam się temu poddać. Staralam się nie czuć wstydu.

Tę noc przespałyśmy na dworze i obudziłyśmy się mokre od rosy. Wmawiałam sobie, że to wszystko się nie zdarzyło, nie

było błysku siekiery ani wnętrzości parujących w poświęcie księżycy, nie było chłopców na polu ani w stodole. Zawieszonych między wyściółkami z trawy i nieba, już nie na odlocie, ale wciąż jeszcze nie do końca na ziemi, łatwo mi było w to uwierzyć.

Lacey obiecała, że nie grozi nam kac. Nie zdradziła, że będzie raczej w drugą stronę i obudzę się, wciąż jeszcze czując, że potrafię latać.

Słuchałam jej oddechu i starałam się zsynchronizować z falowaniem jej piersi. Liczyłam chmury i czekałam na jej przebudzenie – nie znudzona, nie załęczniona, ot, świadoma łaskotania trawy i westchnień wiatru. Dopiero kiedy wybudziła się z mruganiem, kiedy zobaczyła moją twarz i pogodnie powiedziała: „Dzień dobry, Lizzie Borden⁴”, z hukiem wróciłam na ziemię.

Usiadłam.

– Lacey... – Przełknęłam ślinę. – Zeszłej nocy...

Dotarł do niej wyraz mojej twarzy. Skorygowała podejście.

– Oddychaj, Dex. Żadnych odpałów przed kawą.

– Ale to, co zrobiłyśmy...

– Praktycznie rzecz biorąc, wyniosłyśmy się przez ciebie, zanim zrobiłyśmy cokolwiek – zauważyła i się roześmiała. – Ale mieliśmy durne miny!

– Nie chodzi mi o stodołę. – Sama nie wiedziałam, dlaczego to ciągnę. Nienazwane być może łatwiej bym wymazała. – O to wcześniej.

– Właśnie, musimy się przebrać, zanim ktoś nas zobaczy – odparła Lacey, szacując się wzrokiem, a ja zdałam sobie sprawę, że plamy na jej koszuli to krew. Na mojej też były.

Potrząsnęłam głową. Wszystko się trzęsło.

– Nie. – Lacey uspokoiła dłońmi moje ręce. – Nie, Dex.

I tak by to zrobili, z nami czy bez nas.

Być może to jakaś nuta pewności w jej głosie przywołała wspomnienie minionego apelu, po nim na pół zapomniane słowa z porannego nabożeństwa i fragmenty układanki same wskoczyły na miejsce.

– Wiedziałaś – stwierdziłam. Oczywiście, że wiedziała. Jak zawsze. – Celowo wybrałaś to miasto.

– Naturalnie. Byłam ciekawa. Ty nie?

Znałam prawidłową odpowiedź: ciekawość miała być naszym paliwem.

– Jak myślisz, Dex, co na tej farmie robią z krowami? – ciągnęła, kiedy jej nie udzieliłam. – Nie jesteśmy w *Pajęczynie Szarloty*.

– To było o świni.

– Którą mieli ubić, tak? – odparła Lacey. – W ten sposób funkcjonują farmy. To nie to samo, co zabicie komuś kota czy coś w ten deseń.

– Zabili komuś kota?

– Naprawdę chcesz usłyszeć odpowiedź?

Zapadła cisza, nie licząc owadów, ptactwa i wiatru.

– Dobrze się bawiłaś – powiedziała. Zabrzmiało to jak oskarżenie. – Śmiałaś się. Po prostu nie pamiętasz.

– Nie. Nie!

– Wiesz, że to był tylko kiepski żart? Banda złamasów ze słomą w butach chciała napędzić stracha swoim starym. Przecież nikt nie próbował naprawdę przywołać diabła.

– Oczywiście, że wiem.

Nie wiedziałam natomiast, a przynajmniej nie byłam aż taka pewna, czy miało to znaczenie, czy nie. Składanie ofiary może i było żartem, ale czy krew nie pozostaje krwią, a śmierć śmiercią?

– W każdym razie obserwowanie głupków odstawiających głupoty nie jest jakąś zbrodnią przeciw naturze.

– Ale to było więcej niż obserwowanie... Czyż nie?

– A jak ty to widzisz? – Lacey się roześmiała. – Myślisz, że skróciłaś cierpienia nieszczęsnej Mućce? Akurat ty?

Siedziałam po turecku. Lacey odwróciła się twarzą do mnie, przybierając identyczną pozycję. W dzieciństwie nazywałam to małpowaniem i bez ostrzeżenia atakowałam tym rodziców. Ty się drapiasz w nos, ja się drapię w nos. Matka nienawidziła tej zabawy. Ojciec, który wieki temu nauczył się na jakichś warsztatach aktorskich płakać na zawołanie, zawsze wygrywał. Ale z Lacey, pomyślałam, ta gra mogłaby się ciągnąć w nieskończoność.

Znów ujęła moje dłonie.

– Ile pamiętasz, Dex? Pytam serio.

Wzruszyłam ramionami.

– Wystarczająco?

– Mój pierwszy raz był podobny. Wszystko wydaje się jakby snem, prawda? Nie masz pewności, co wydarzyło się naprawdę, a co nie?

Wolno skinęłam głową.

– Ty masz inaczej? – spytałam. – Dla ciebie wszystko jest wyraźne?

– Przejrzyste jak kryształ. Dlatego mogę ci o tym opowiedzieć, uwzględniając drastyczne szczegóły albo...

– Albo...

– ...albo zaufasz mi, że wszystko gra i buczy. Że to dobre zdarzyło się naprawdę, a to złe było snem. Daj mi pamiętać, a sobie daj zapomnieć. Ufasz mi, prawda?

– Wiesz, że tak.

– No i?

– No i może być. Tak. Wszystko gra.

Uśmiechnęła się, ja się uśmiechnęłam. Na tym polegała ta zabawa.

– Chyba nie żałujesz? – zapytała Lacey.

Wiedziałam – bo przecież zawsze wiedziałam – co miała na myśli. Czy żałowałam nie tylko tego, co zdarzyło się w polu i do czego nie doszło w stodole, nie tylko kościoła i grzybków, ale wszystkiego, co mnie do tego przywiodło, Lacey i Dex, faktu, że jestem z nią na tym polu, mokra, trzęsąca się, poplamiona krwią, że jestem z nią gdziekolwiek. Wiedziałam też, co chciała usłyszeć.

– Niczego nie żałujemy, pamiętasz?

Nie żałuj, nie bój się, porzuć ostrożność – zasady Lacey. Graj według zasad i wygraj: nigdy nie bądź sama.

Musiałyśmy chodzić do szkoły, musiałyśmy odbębnić jedną czy dwie prace na angielski, wdawać się w pogaduszki z rodzicami i nauczycielami, opróżniać zmywarki do naczyń i kosić trawniki, odgrzewać w mikrofalce mrożone pizze na samotne obiady przed telewizorem, wduszać przycisk drzemki w ustawionych na szóstą rano budzikach, brnąć przez cały powszedni osad licealnego życia, ale nie to pamiętam. Gdzieś tam kraj podbiły tańce liniowe, Los Angeles zawrzało przez Rodneya Kinga, Bill Clinton się nie zaciągał, George Bush obrzygał Japończyka, wariatka z Long Island strzeliła w twarz żonie swojego faceta, Związek Radziecki skonał i pewien etap historii oficjalnie dobiegł kresu. Nic z tego się nie przedostało. We dwie tworzyłyśmy własny świat. Co pamiętam? Jazdy autostradą w buicku Lacey, próbę wciśnięcia do odtwarzacza jej jedynej kasety Pearl Jam, deszcz siekający mi w twarz w burzliwe

noce, bo okno po stronie pasażera zacięło się w połowie, stawanie się jednością z samochodem i drogą, Lacey wiecznie za kółkiem mimo codziennych obietnic, że nauczy mnie prowadzić. Ruch był naszym żywiołem.

Pewnego razu jechałyśmy całą noc, Lacey sączyła kolejne cole light, podczas gdy ja szukałam znaków wskazujących zjazdu i wypisywałam nasze imiona na zroszonej szybie. Gdy dotarłyśmy do mostu Waszyngtona, Lacey zatrzymała auto po stronie Jersey i obserwowaliśmy miasto dźwigające się ku świtowi. Potem zawróciłyśmy i pojechałyśmy do domu. Ponieważ nie chodziło o przyjazd do Nowego Jorku. Chodziło o udowodnienie, że możemy to zrobić. W gruncie rzeczy wyjazdy do Nowego Jorku to kolejna domena plebsu. Banał nad banały, jak mawiała Lacey. Gdy już uciekniemy, to do Seattle. Znajdziemy sobie mieszkanie w pobliżu Crocodile Café, gdzie zatrudnimy się jako kelnerki, żeby pić darmową wodę i sypiać z kapelami. Będziemy miały wielki puf i kota Ginsberga. Sprzedamy samochód, żeby mieć na czynsz za pierwszy miesiąc, za resztę kupimy butelkę wina i uczymy toastem, że już nie ma powrotu.

Myśli o tym tuliły mnie nocami do snu, wyobrażałam sobie wstęgi autostrad wijące się wskroś równinnej brązowej krainy, bałam się, że nie pojedziemy, bałam się, że Lacey pojedzie beze mnie. W niektóre poranki budziłam się razem ze słońcem, przekonana, że ją sobie wymyśliłam, i dzwoniłam do niej tylko po to, by się upewnić, że jeszcze jest.

Nie powtórzyłyśmy doświadczenia z grzybkami, nigdy nie rozmawiałyśmy o tamtej nocy na polu, a przynajmniej nie wprost, co ułatwiało wspomnieniom osunięcie się we

współdzielony sen. Ale od tamtej nocy Lacey miała dwie nowe fiksacje: dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co nazywała „jazdą z czczeniem diabła”, i znaleźć mi kogoś do łóżka. Obie przyprawiły mnie o gęsią skórkę, ale kiedy złapała mnie przed stołówką i powiedziała, że na parkingu czekają na nas dwie pieczenie przy jednym ogniu, zrobiłam, co mi kazała.

– Trzy pieczenie, jeśli mam być precyzyjna – dodała. – Tyle że jedna nie wierzy w prysznic, więc odpada.

I było ich trzech, obleśnych i na haju, jeden z wąsem niedorostka, jeden z ogoloną głową, jeden z pseudowięziennymi dziarami, którymi metodycznie pokrył całą rękę. Jesse, Mark i Dylan, chłopcy, których znałam od czasów, kiedy byli tak mali, by bawić się lalkami, a którzy teraz wyrosli na prawie mężczyzn, chcieli być niebezpieczni i przekonali niewłaściwych ludzi, że rzeczywiście są.

Moim zdaniem raczej nie zasłużyli na to, co zrobiono im jesienią, i na to, jak później się do nich odnoszono – jakby we trzech zaciągnęli Craiga do lasu, szeptali mu litanie do Szatana, a gdy się załamał, w ramach pokuty sami się pobili i zawiesili na tym drzewie. Jakby spotkał ich los sprawiedliwy, a nawet miłosierny. Mimo to nie chciałam być z nimi sama w tym zaułku.

Nie sama, przypomniałam sobie. Z Lacey.

Nigdy sama.

– Chcesz? – Jesse zaproponował Lacey macha z kurczącego się skręta.

Zbyła go machnięciem ręki. Mnie nie zapytał.

– Znacie Dex, prawda?

Mark prychnął.

– Ta. Ciągłe jesteś w żałobie po śmierci Barbie, Dex?

Jesse palnął go w tył głowy.

– Ciągłe bawisz się lalkami, Mark?

Znałam ich od przedszkola, kiedy jeszcze Mark podpalał lalki, Dylan kolekcjonował karty Garbage Pail Kids, a Jesse wysrał się raz za huśtawką na placu zabaw podstawówki tylko po to, by udowodnić, że może. Jeździliśmy z Jessem na rowerach i wyplataliśmy dla matek biżuterię z trawy na Święto Pracy. Potem skumał się z Markiem i Dylanem, a chociaż każdy z osobna wydawał się komunikatywny i niegroźny, takie swoje chłopaki, z którymi, jak dorosłiesz, możesz się całować, w paczce dziczeli, włóczyli się ulicami, obnażali zęby i wymachiwali kijami. Rozwalali bejsbolami skrzynki pocztowe i podrzucali gówna na progi sąsiadów, z czasem awansowali z deskorolkowców na deathmetalowców. Przed śmiercią Craiga byli tacy dumni z gnijących czaszek na T-shirtach i swoich czarnych trenczów, a stereo w ich furach ryczało o krwawiących oczach i demonicznych sercach. Pomyślałam teraz o wszystkich tych lalkach, kartach i żalonym stoisku z lemoniadą, na którym sprzedawaliśmy z Jessem kubki z zabarwioną na żółto wodą po dwadzieścia pięć centów sztuka, i zrobiło mi się głupio za tę moją rezerwę. Ale zaraz przypomniały mi się krwawe symbole na drzwiach kościołów, skrwawione siekiery na okrytych mrokiem polach, i uznałam, że jej brak byłby równie głupi.

– Spoko ten nowy imidż – rzucił Jesse i potarł palcem stopy mój but. – Mroczny taki.

– Chodzi mu o to, że ci cycki wyłażą – przetłumaczył Mark.

– Weź spierdalaj, cwelu.

– Sam spierdalaj.

Lacey przewróciła oczami, a ja w miarę możliwości próbowałam ukradkiem skontrolować mój dekolt. Całą sobą chciałam wynieść się z tej alejki.

– Pomożesz nam czy nie? – zapytała Lacey.

– Twoja kumpela ma nie po kolei w głowie – zwrócił się do mnie Jesse.

– Myśli, że ją, kurwa, nauczymy, jak się czci diabła – wyjawiał Dylan.

Mark nakreślił na piersi krzyż i przybrał transylwański akcent:

– Chcem wysać z ciebie kreeeeefff...

– Nie uważa nas, kurwa, za wampiry – sprostował Jesse. – Nie jest jakąś debilką.

– Bardzo ci dziękuję – wtrąciła Lacey.

– Tyle że jesteś, kurwa, debilką, jeśli zamierzasz bawić się w to gówno. Nie w tym mieście. A jakby kto pytał, to mu powiedz, że już nie mamy z tym nic wspólnego.

Minęło pół roku, od kiedy znaleziono w lesie złotego chłopca Craiga z mózgiem wsiąkającym w grunt, a pięć miesięcy, odkąd Jesse i spółka przekonali się na własnej skórze, jak bardzo Battle Creek chciało wierzyć w diabła. Wciąż uważnie nas obserwowało niczym chodzące granaty z dłońmi beztrosko kołyszącymi się zbyt blisko zawleczki. „My” znaczyło „my wszyscy”, każdy poniżej osiemnastego roku życia podejrzany z automatu, „my” przede wszystkim jako „oni”, paczka z alei imienia Kontenera na Śmieci, bo Craig Ellison umarł, choć wcale nie powinien, a coś takiego wołało o racjonalne wytłumaczenie, nawet jeśli „racjonalne” zdaniem rozdających broszury na parkingach Woolwortha i członków Stowarzyszenia Zamartwiających się Rodziców, które zmonopolizowało felietony prasowe, przekładało się na: „Nastoletnia gwiazda piłkarska ofiarą kultu Szatana i krwawych orgii!”.

Lacey o tym wszystkim wiedziała, musiała przecież. Ale

w tym momencie ją rozumiałam. Rozumiałam, że dlatego bardziej ją to nęciło, że cokolwiek aż tak napędzającego stracha prostaczkom należało zbadać dogłębnie. Że każdy na tyle głupi, by się bać, zasługiwał na strach. Że miałam być mądrzejsza.

– Wiem, o czym mówisz. – Lacey wystąpiła do przodu i dźgnęła Jessego w klatkę, dokładnie tam, gdzie krew tryskała z nadrukowanej twarzy Marilyn Mansona. Zdumiało mnie, że nie miała oporów przed dotknięciem go. – I wiem, co widzę.

– Nie ogarniasz, że to tylko muzyka? – W głosie Jessego brzmiało znużenie. – Marilyn, Ozzy, oni po prostu robią przedstawienie.

– Po pierwsze, nie ma czegoś takiego jak „tylko muzyka” – odparła Lacey. – Po drugie, to nie jest muzyka. Odgryzanie łba żywemu nietoperzowi nie ma nic wspólnego z muzyką, to żałosne zebranie o uwagę.

– Co to za szajs? – zapytał Dylan. – Przychodzisz do naszego domu, żeby obrzucać nas takim szajsem?

– Waszego domu? – powtórzyła Lacey, spoglądając na najbliższy kontener na śmieci. – Ładne mebelki.

Złapałam ją, pociągnęłam.

– Po prostu chodźmy stąd.

– Mam na kasecie kilka odcinków *Headbangers Ball* – oświadczył Jesse. – U mnie na chacie. Mogę wam pokazać, co tracie. Ale żadnych ofiar ze zwierząt, choćbyście nie wiem jak błagały.

Wystarczy, pomyślałam.

– W porządku, i tak nie...

– Z rozkoszą – przerwała mi Lacey.

Gdy podskakiwałyśmy obok siebie w samochodzie, jadąc

do domu, w którym nie byłam od trzeciej klasy podstawówki, Lacey powiedziała, że Jesse prawie na pewno chciałby wskoczyć mi w majtki i że powinnam na to pozwolić – „pozwolić”, właśnie tak to ujęła, jakby seks był siłą natury, której po prostu nie należy wchodzić w drogę.

Myślałam o tym na kozetce w wyłożonej drewnianą boazerią suterenie, w której wszystko wyglądało tak samo jak przed laty. Mark i Dylan skręcali jointy ze wzrokiem utkwionym w teledyskach Megadeth. Lacey wyciągnęła się na skórzanym fotelu jak najbliżej głośników, przybrała kurtową minę i czekała na iluminację. Jesse siedział tuż przy mnie, z ramieniem o milimetry od mojego, a było o wiele bardziej owłosione, niż kiedy widziałam je ostatni raz.

– Pamiętasz *Kids Incorporated*? – spytałam, ponieważ właśnie ten program dla dzieci oglądaliśmy, kiedy zachodziłam tu po lekcjach. Propozycja wyszła ode mnie, bo nie miałam w domu Disney Channel, ale to Jesse nauczył mnie choreografii, żebyśmy mogli tańczyć przed ekranem.

Jesse chrząknął. I tyle w temacie „pozwalania na to”, pomyślałam.

Miał kwadratową czaszkę, tłuste usta, no i te idiotyczne fałszywe tatuaże. Prawie, prawie mogłam sobie wyobrazić, jak się z nim całuję. Gdyby było ciemno, a ja zaraz po tym mogłabym się zdematerializować. Tego lata kończyłam siedemnaście lat; te sprawy powinny mnie intrygować.

Kiedy jakaś sąsiadka podczas wizyty u nas narzekała na lesbijskie dowcipy w telewizji, matka posłała mi szczególne spojrzenie i od tamtej pory zastanawiałam się, co sobie pomyślała, ale intrygowało mnie też, czy może dostrzegła we mnie coś, czego sama nie zauważałam. Kiedyś napomknęłam o tym Lacey, a ona zrobiła zeza.

– Kręcą cię dziewczyny? – zapytała, a gdy odpowiedziałam, że raczej nie, wzruszyła ramionami. – Więc pewnie jesteś hetero, bo obito mi się o uszy, że to podstawowy warunek.

Z tego, co wiedziałam, chłopcy też mnie nie kręcili. Lacey uważała, że pewnie coś jest ze mną nie tak, ja – że pewnie ma rację.

Dziś sędzę, że to nie była moja wina, że można usprawiedliwić młodszą wersję mnie za czytanie fraz w rodzaju „ogień rozpalał me lędźwie” i trudności z przyswojeniem konceptu płonienia z rozkoszy. Ale wtedy zawstydziała mnie swoboda, z jaką Lacey sunęła rozpostartymi palcami po brzuchu, po udzie, w tę ciemną przestrzeń pozostającą dla mnie lepką tajemnicą, i instynktownie wiedziała, jak się dotykać. Gdy raz pod przymusem zamknęłam się w łazience i zabawiałam główką od prysznicą, podczas gdy Lacey dopingowała mnie zza drzwi, czułam się tylko jak idiotka.

– Masz jeszcze mojego He-Mana? – zapytał Jesse, a ja się uśmiechnęłam, bo jednak pamiętał, jak bawił się swoimi figurkami z moimi Barbie, a także dlatego, że gdzieś na dnie szafy rzeczywiście go miałam.

– A ty ciągle udajesz, że nie zwinąłeś mojej She-Ra?

Kątem oka spostrzegłam jego rumieniec.

– Ej, była sexy. Metalowe bikini, Hannah. Me-ta-lo-we!

Na ekranie brunetka w kolczastym skórzanym gorsecie robiła fellatio pałeczce do gry na perkusji. Teraz ja się zaczerwieniłam.

– Ma na imię Dex – rzuciła Lacey, nie odrywając wzroku od występu.

– Przepraszam. – Delikatnie trącił mnie łokciem. – Dex.

– Nie szkodzi. Wszystko jedno.

– Mnie tam się podobało – wyznał. – Znaczy twoje imię. Ale Dex też jest spoko.

Oto jak wyobrażałam sobie przebieg wydarzeń, gdybym „na to pozwoliła”: Jesse Gorin wolniutko przesuwa rękę, nasze małe palce zupełnie od niechcienia się stykają, on odwraca moją dłoń i wystukuje na niej wiadomość alfabetem Morse’a, którego nauczyliśmy się w ciągu jednego deszczowego tygodnia w lecie przed trzecią klasą. Brzmi ona: „Pamiętam cię”. „Wciąż jesteśmy tacy jak kiedyś”, informuje. On mówi, że chce zrobić popcorn, i pyta, czy mu pomogę, ja idę z nim do kuchni i wyjmuję automat do popcornu z kredensu, w którym zawsze był, Jesse obejmuje mnie wtedy od tyłu, szepcze do ucha coś odpowiednio romantycznego, może nawet tylko moje imię, może samo „Hannah”, całuje mnie w kark, ja zaś się odwracam i trafiam w jego ramiona, moje włosy kołyszą się nad zlewozmywakiem, usta mam rozchylone, a język wie, co robić. I choć wrócilibyśmy do piwnicy, jakby nic się nie stało, choć smak naszych ust starłoby roztopione masło, to powstrzymywalibyśmy sekretne uśmiechy, zagryzając policzki i wiedząc bez słów, że coś się zaczęło.

Ale to było, zanim Lacey poprosiła, żeby pokazał jej, gdzie jest łazienka, i zanim oboje zniknęli na górze na całą resztę programu. Kiedy wrócili, długopisowe tatuaże Jessego były rozmazane od potu, Lacey zaś zeszła w koszulce włożonej na lewą stronę, czym z pewnością chciała coś udowodnić.

– Proszę bardzo – powiedziała w samochodzie, gdy już wracałyśmy.

– Za coś dziękowałam?

Wydawała się zdziwiona, że muszę pytać.

– Nie widziałaś, jak ten oblech wodził po tobie wzrokiem? Nie wiem, do czego by doszło, gdybym nie pomogła mu zrzucić

z krzyża.

– Myślałam, że tego chciałaś – zauważyłam. – Że miałam „na to pozwolić”.

– Z nim??? Jezu, Dex, naucz się wyczuwać żart. – Stała pod moim domem. – Zaslługujesz na coś o wiele lepszego.

Otworzyłam drzwi, ale zanim zdążyłam wysiąść, złapała mnie za przegub.

– Więc? – podsunęła.

– Więc?

– Magiczne słowo poproszę. Skromne, uprzejme docenienie mojego poświęcenia.

– A. Dziękuję.

Lacey postanowiła załatwić mi bardziej zadowolające fiucisko. Tak to określiła, wręczając mi marny falsyfikat dowodu osobistego i czarny gorset z koronką.

– Amandzie Potter – (urodzonej na Long Island, rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty, Strzelec; w kółko powtarzałam sobie te szczegóły, kiedy czekałyśmy na bramkarza) – coś się dzisiaj trafi – zapewniła Lacey, ale nie zdradziła, jak dowiedziała się o tym klubie, posępnej betonowej bryle przy autostradzie, ani dlaczego miał okazać się mym seksualnym zbawieniem. – I żadnych dyskusji.

Jej gorset był fioletowy i wydawało się, przynajmniej z mojego punktu widzenia, że łatwiej w nim oddychać. Na szyi zawiesiła sobie srebrny pentagram, kolejną używaną zdobycz, a zarazem dodatek do *Biblij Szatana* wygrzebanej wreszcie w jakimś antykwariacie nieopodal autostrady. Uwielbiała spojrzenia, jakimi obrzucali ją ludzie, kiedy miała go na sobie. Posłałam jej identyczne, gdy po raz pierwszy pokazała mi

książkę. Nie przypominała żadnej znanej mi Biblii. Była czarna, z wypukłą czerwoną pięcioramienną gwiazdą na okładce, a skóra cierpła od samego nazwiska autora: Anton Szandor LaVey.

Wydawało się rozmyślnie fałszywe, mógłby je przybrać diabeł we własnej osobie. Lacey już zdążyła podkreślić kilka ustępów:

„Cielesna natura wyjdzie z człowieka mimo oczyszczania i biczowań którejkolwiek religii światłości”.

„Kodeksy moralne nie posiadają w sobie wrodzonej świętości”⁵.

„Niech będą błogosławieni ci, którzy obalają złudne nadzieje, albowiem oni są prawdziwymi Mesjaszami”.

– Naprawdę nie chcesz, żeby ktoś cię w tym zobaczył – powiedziała i wcisnęła jej naszyjnik w rękę. – I naprawdę nie chcesz tego nosić.

Ciągle nie łąpała zasad obowiązujących w takich miejscach jak Battle Creek. Być metalem z trupem na T-shircie i obsesją na punkcie czarnego lakieru do paznokci to jedno, dziewczyną z pentagramem – zupełnie co innego. Zresztą bycie dziewczyną to zawsze coś innego.

– Najśmieszniejsze, że całkowicie się mylą – odrzekła mi Lacey. – Wychodzi na to, że w prawdziwym satanizmie chodzi o wolnomyślicielstwo i bycie sobą. Taką książkę mógłby napisać Stuart Smalley.

– Możemy o tym porozmawiać kiedy indziej?

– Przez „kiedy indziej” rozumiesz „nigdy”.

To się zgadzało.

– Powinnaś ją przeczytać – zasugerowała Lacey. – Sama zobaczysz. Sporo tam ciekawych rzeczy.

– Proszę, powiedz, że żartujesz.

– Żartuję – odrzekła i najłatwiej było założyć, że to prawda.

Klub nazywał się Beast, a bramkarz, bardziej

zainteresowany moim dekoltem niż datą urodzenia, machnięciem zaprosił nas do środka.

– Widzę ten twój uśmiech – oznajmiła Lacey, lokując nas przy barze. Pociągnęła mnie za koronki gorsetu. – Moc uderza ci do głowy.

Ledwie ją słyszałam poprzez muzykę, już zatraciałam się w zgiełku, stroboskopowych światłach i ohydny smaku piwa, które lała mi do gardła, ale wszystko to wydawało się dobre. Może dlatego że miała rację, byłam zachwycona tą mocą, swoimi piersiami ściśniętymi jak baleron, nagle zdolnymi czynić cuda. Przywykłam, że wszyscy gapią się na Lacey. Tej nocy gapili się na mnie.

Nie wiem, czy to gorset, alkohol, czy Lacey, co tak naprawdę zawiodło mnie do tej łazienki z jedną jedyną kabiną w towarzystwie jakiegoś gostka, który, jak sądziła, pracował za ladą naszego sklepu muzycznego. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście był Gregiem bogiem seksu, którego przez dwie soboty z rzędu podglądałyśmy zza regału z gospel, czy jakimś nieznanym wyznawcą grunge'u w grubej kamizelce i z konopną bransoletką, poszedł tam za mną, a kiedy otworzyłam usta, żeby się przedstawić czy może rzucić: „Sorki, że moja postrzelona kumpela wepchnęła cię do kibla”, wpakował w nie język. Pozwoliłam temu językowi chwilę się powić, smakując piwo, które wcześniej chleptał, i usiłując zdecydować, czy ręka ściskająca mój tyłek ściska go jak należy. Między tym a rejestrowaniem obecności bakterii i fekaliów na drzwiach ze szczętem zapomniałam o językowej kalistenice; moja dekoncentracja musiała być oczywista, bo w końcu wziął na wstrzymanie.

– Hej – zagadnął, wciąż w zasadzie muskając mnie ustami.

– No hej.

Na podłodze pełno było moczu, na ścianach – plakatów: Screaming Trees, Skin Yard, The Melvins, Soundgarden, a nawet Candlebox, których Lacey uważała za pozerów.

– Podoba ci się?

Wzruszyłam ramionami. Zapytał trochę późno, ale miło, że w ogóle.

– Wiesz, raczej nie robię tego w toaletach.

– Czego?

Nawet tutaj muzyka niewiarygodnie dawała po uszach.

– Nie robię tego w toaletach! – powtórzyłam głośniej.

– Nie, chodziło mi o piosenkę! Podoba ci się?

– A, pewnie.

– Najnowszy hicior Love Battery! – Dał krok w tył, przez chwilę markował grę na gitarze. Skrzywiłam się na myśl, jak oceniłaby to Lacey. – Zajebioza, co nie? Powinnaś posłuchać całej płyty, normalnie, kurwa, atomówka, lecą se kawałki, a tu JEB! Zabiera w inny wymiar. Czaisz?

– Jasne.

– Lot na wysokości *Star Trek*, kapujesz? Moja płyta też taka będzie.

– Nagrywasz płytę?

– No, oczywista, że jeszcze nie. Jak się kapela zbierze.

W końcu do tego dojdzie. Cierpliwość, mała. Cały sekret tkwi w cierpliwości.

– Znaczy, grasz w zespole?

– Tłumaczę ci, że jeszcze nie. Ale nad tym pracuję. Akcja się nakręca. Megaakcja!

– To... super.

– Masz ekstra balony. Mogę się między nie wsmyknąć?

– Obawiam się, że to fizycznie niemożliwe – odparłam, milej połączona, niżbym chciała, ale on już znalazł sposób na

wsunięcie palców w mroczną szczelinę gorsetu.

– Hmm. Są bardziej, eee... zwiotczałe, niż się spodziewałem.

– Och.

– Znaczy, nie zrozum mnie źle, tak bywa, jak są duże.

Przeważnie są trochę wiotkie. To w sumie nawet dobrze.

– Wielkie... dzięki?

– Czy ty może... tego... lubisz się ciągle dotykać?

– Eee... nie.

– Ja bym to robił przez cały czas, jakbym był dziewczyną.

Zwłaszcza gdybym miał, wiesz, twoje... Przez. Cały. Czas.

– Mogłoby ci to przeszkodzić w karierze muzycznej.

Spędził chwilę na próbach rozgryzienia, czy został poczęstowany żartem, a potem:

– Chcesz mi obciągnąć?

– Niespecjalnie.

– No tak. Wiesz, facet musi zapytać.

Wtedy to przepchnęłam się z powrotem do klubu i odszukałam Lacey. Zespół właśnie zaczynał, ten, o którym słyszała, że robił kiedyś support dla Nirvany, ale od pierwszych akordów było jasne, że jego skład dopiero niedawno nauczył się używać instrumentów. Nie miało to znaczenia. Lacey zapytała, jak poszło, czy misja „Rżnięcie” zakończyła się sukcesem, a ja zamiast odpowiedzi zarzuciłam na nią ramiona, ponieważ wypite piwo nareszcie mnie rozgrzewało i ponieważ chciałam ot tak, zwyczajnie tu być, z tymi wszystkimi śliskimi od potu ciałami wirującymi wokół nas. Pierwszy raz w życiu chciałam tańczyć.

– Upiłaś się! – zawołała, kiedy splotłam nasze palce i pociągnęłam ją w chaos ciał.

– Jeszcze za mało!

Okręciłam się z uniesionymi rękami, rozumiejąc wreszcie,

co to znaczy pragnienie i uleganie mu. Pragnęłam ruchu. Pragnęłam latać. Pragnęłam wyrzucić z myśli kutasy, języki, wszystkie naturalistyczne niepoprawności, jakie niesie ze sobą rzeczywistość. Pragnęłam, żeby moją rzeczywistością była ta chwila: ja i Lacey w zadymionych ciemnościach, pulsujące nad głowami światła stroboskopowe, drąca się kapela, strząsająca pot w tłum. Tłum, pojedynczy organizm złożony z nas wszystkich, sturęki, stunogi i stugłowy, jedno serce, bijące i bijące. Nieustanne potrącanie się, w żyłach dzikość i furia zamiast krwi. Śmiech Lacey w moim uchu, zapach jej szamponu jak chmura, jej włosy smagające mój policzek, a potem już nic, tylko ekstaza ruchu. Wszystko, ale to wszystko było możliwe. Nikt nie patrzył.

Lubiła poddawać mnie próbom, a ja miewałam trudności z odróżnieniem prawdy od gry. Kurt był rzeczywisty, to nie podlegało dyskusji. Podobnie my, Dex i Lacey. Świętości. Chłopcy jednakże służyli do zabawy i wymiany, warci byli tyle, ile suma ich części składowych: języków, palców i fiutów. Pan Bóg był kiepskim żartem, Szatan – praktycznie zaostrzoną dzidą. Lacey lubiła, kiedy ludzie brali ją za niebezpieczną. Ale to nie wyjaśniało, dlaczego pewnej nocy, kiedy zrzucono nam na barki niańczenie Bydlaka juniora, kazała mi przytrzymać wierzące się dziecko nad umywalką, sama zaś krwią z surowego steku narysowała na małym czółku odwrócony do góry nogami krzyż.

– Lacey, to obrzydliwe! – Nie było to właściwe słowo, ale najprostsze.

Dziecko zakwiliło i odsunęło się od umaczanego we krwi palca, lecz uciszyła je, pogłaskała drobne uszka i ostatecznie się

nie rozplakało.

– Po prostu trzymaj je nieruchomo.

Krew rozmazała się na czole wodnistym różem i spłynęła dziecku do oczu. Trzymałam je nieruchomo.

Lacey z kapłańską dostojnością delikatnie klepnęła je w mostek, w prawe ramię, lewe ramię, w czoło.

– W imię Mrocznego Ojca i demonów piekieł chrzczę cię w wierze Kościoła Lucyfera.

To tylko słowa, powtórzyłam sobie. Tyle w nich mocy, ile sami im jej nadamy.

Lacey powiedziała, że marzy o zobaczeniu miny Bydlaka, kiedy się o tym dowie, ale zanim położyłyśmy Jamesa juniora na noc do łóżeczka, starannie wytarła najmniejsze ślady krwi. Stwierdziła, że przetaczającą się przez Battle Creek falę hysterii Bydlak uważa za żenujące odwracanie uwagi, dowód ślepoty na prawdziwą wojnę toczącą się o dusze dzieci przeciw współczesnemu cerberowi liberalizmu, ateizmu i rewolucji seksualnej. Bydlak, mówiła Lacey, nie wierzy w satanizm, ale w Szatana, i jego zdaniem każdy myślący inaczej działa na rzecz diabła.

– Chcę być tylko twoją siostrą, niczyją inną – dodała też, dzięki czemu przeszłam do porządku dziennego nad tym, że kiedy tej nocy wychodziłam, czoło dziecka wciąż pachniało surowym mięsem.

Urodziny chciała obchodzić na cmentarzu, więc tam je obchodziłyśmy.

– Boisz się? – zapytała, gdy ostrożnie stawiałyśmy kroki w ciemnościach.

Wąskie alejki wiły się między rzędami nagrobków. Widziałam kamiennego anioła, iglicę otoczoną kamiennymi różami, pochyle i walące się krzyże, lśniące w promieniu latarki

złote lub lakierowane nazwiska na grobach.

– Duchów czy ciebie?

– Obie wiemy, Dex, że robisz pod siebie ze strachu przed przyłapaniem. – Przyłożyła latarkę do podbródka, rzucając na twarz widmową poświatę. – Na tym cmentarzu straszna jestem tylko ja.

Może i było głupotą, że nie wystraszył mnie ani jej wielki plan na tę noc, ani upieranie się przy nim, naleganie na zabranie świec, szpadli i postawienie ołtarza Panu Mroku, nic wielkiego, byle tylko napędzić plebsowi porządnego stracha.

– Na prezent urodzinowy wystarczy mi srające ze strachu Battle Creek – oświadczyła, a ja byłam gotowa pomóc.

Przystanęła przy niewielkim kwadratowym nagrobku i z impetem usiadła przy zwiędłych kwiatach u jego podstawy.

– Lacey... – Miałam wrażenie, że wypowiedzenie jej imienia może sprowadzić nieszczęście, przypisać do jej tożsamości jakiegoś drapieżnego ducha. Opowieści zawsze stawiały sprawę jasno: znajomość imienia daje władzę. Zdradzasz je na własne ryzyko. – Myślałam, że szukamy świeżego.

– Popatrz – wycelowała latarką w kamień.

Stało na nim: „Craig Ellison, ur. 15 marca 1975, zm. 31 października 1991”.

„Ukochany syn i brat”.

„Do boju, Badgersi!”.

– Do boju? – roześmiałam się. Jak czirliderka wymierzyłam w chmury zaciśniętą pięść. – Jezu, ale wiocha. Wyobrażasz sobie? Trafić do grobu jako duma drużyny Badgers z Battle Creek!

Nie odpowiedziała. Poczułam się, jakby jej sylwetka mnie osądziła.

– A co, jeśli to nie jest jedną wielką kpina? – odezwała się po chwili. – Wyobraź sobie, że plebs ma rację, że po lasach tańczą wyznawcy jakiegoś kultu diabła z twarzami pomalowanymi krwią. Orgie na kwasie. Że tak wygląda prawda o tym, co go spotkało.

Spróbowałam sobie wyobrazić Craiga Ellisona zawiązującego bezbożny sojusz z chłopakami z alei imienia Kontenera na Śmieci, zrzucającego sportową koszulkę, by hasać nago po lesie, pod wpływem uroku upuszczającego sobie krwi. Tam, w cieniu jego nagrobka, gdzie kamienne anioły osądzały nasze wtargnięcie, było to łatwiejsze, niż mogłoby się wydawać.

– A co, jeśli krajem sekretnie rządzą kosmici? – rzuciłam, rozpaczliwie pragnąc, by mój głos jak promień latarki zawrócił nas na właściwą drogę. – Co, jeśli burmistrz jest wampirem? Co, jeśli opętał mnie Szatan i zaraz wysę ci mózg? Sama w kółko powtarzasz, że w lesie...

– ...wszystko jest możliwe. Bo jest.

Dopiero wtedy zauważyłam, że płacze.

Prawie padłam obok niej. Płacz zupełnie do niej nie pasował.

– Co jest? – Położyłam rękę na jej ramieniu. Zaraz ją zabrałam. – No co?

– Kochasz mnie, tak? – Miała głuchy, martwy głos.

– Oczywiście.

– I jesteś dobrym człowiekiem.

– Cóż, odkąd cię poznałam, już nie. – Żart nie dotarł. Wbiła mi paznokcie w ramię.

– Nigdy więcej tak nie mów!

– Okej. Okej, Lacey, już dobrze. – Panika. Byłyśmy na cmentarzu, a ona dostawała świra, potrzebowała czegoś, czego nie umiałam jej dać, ponieważ kto jak kto, ale Lacey nie

powinna niczego potrzebować. – Jasne, że cię kocham. Oczywiście, że jestem dobrym człowiekiem. Powiedz mi po prostu, co jest grane, żebyśmy mogły wynieść się stąd w cholerę. – Ja też płakałam. To był odruch, jak zaraźliwe ziewanie albo puszczenie pawia od smrodu wymiocin.

– Jeśli powiem ci, żebyś coś zrobiła, a ty to zrobisz, to na kogo spadnie wina? – zapytała.

– Zależy, co miałabym zrobić, prawda?

– Nie powinno. Okoliczności nie powinny się liczyć. Mój pomysł, moja wina. Twoja, gdyby był twój.

– Tylko że posłuchanie cię byłoby już moim pomysłem. Moją decyzją. Nie jestem twoją marionetką.

– Nie? No chyba nie...

Delikatnie postukałam ją w głowę – najbezpieczniejszy rodzaj dotknięcia, na jaki wpadłam.

– Lacey, co się tam wyprawia? Wiem, kijowo, że nie żyje, nawet jeśli to Craig, ale przecież nic dla ciebie nie znaczył. – Ciekawa byłam, ile w tym prawdy. Może miało to sens w jakiś chory, niegodny jej sposób: żarliwa, nieuzasadniona nienawiść do Nikki, spontaniczny płacz za neandertalczykiem, słowa, które jakby utkwiły jej w gardle, niewypowiedziane, niewypowiadalne. – Zdradzał ją z tobą? Możesz mi powiedzieć. Zrozumiem, przysięgam. – Ale nie rozumiałam, nie że z kimś takim jak on, te mięsiste ręce zmagające się z jej sznurówkami, no ale miłość przecież powinna być dziwna. – Nie możesz myśleć, że to przez ciebie, nawet jeśli czuł się winny albo jeśli mu odbiło, bo z nim zerwałaś, cokolwiek się stało, to nie przez... – Zastanowiłam się, jak to jest zrobić coś i nie móc tego cofnąć. – Nawet gdybyś głośno życzyła mu śmierci czy coś w tym rodzaju, nie możesz się obwiniać, że to zrobił. Nie włożyłaś mu broni do ręki. Nie pociągnęłaś za spust. Niczemu

nie jesteś winna.

Podniosła na mnie wzrok i uśmiechnęła się. Jej twarz zanurzyła się w cieniu.

– Myślisz, że Craig zdradzał Nikki? Ze mną? – Roześmiała się wtedy, przepięknie, a ja nie wiedziałam, co było większą ulgą: to, że wspólnie uciekłyśmy tej chwili, czy to, że tak wyraźnie się myliłam. Potem pocałowała mnie w policzek. – Zawsze umiesz mnie pocieszyć.

„Skoro nie o to chodziło, to o co?”, chciałam zapytać, ale nie mogłam, skoro znów była szczęśliwa, nie kiedy złapała mnie za rękę, podniosła nas obie z ziemi i zakręciła nami, jakby grób był łąką, a księżyc – jasnym letnim słońcem.

– Nie wierzę! Pomyślałaś, że mogłabym go pokochać?

Jej śmiech był chichotem czarownicy, nasz taniec – obrzędem, do którego nie potrzeba zaklęć, tylko gorącej krwi płonącej w żyłach i uderzającej do policzków, wzywaniem bogów miłości czy jakiejś innej mocy, która zespoliła nasze dłonie i szeptała w nocny wiatr: „Jesteście jednością”.

I wtedy posunęłyśmy się za daleko.

– Tak zrobiłby Kurt – wyszeptała Lacey, co oczywiście ucinano wszelką dyskusję.

Ostrożnie otworzyłyśmy okno jej pokoju i zeskoczyłyśmy w krzaki na dole. Samochód robił za dużo hałasu, więc pierwszą przecnicę go pchałyśmy – bieg na luzie, poobijane o bagażnik ramiona. Gdy już było bezpiecznie, Lacey odpaliła auto, a ja wsunęłam się nerwowo na fotel pasażera z puszkami farby w sprayu śliskimi w spoconych dłoniach.

Lacey powiedziała, że Kurt raz poszedł siedzieć za namalowanie sprayem na bocznej ścianie banku:

„Homoseksualny seks rządzi!”, wysoko, wielkimi i jasnymi literami, niech się karki przyjrzą, przynajmniej te potrafiące czytać na tyle dobrze, żeby sobie powolutku przeliterować słowa. Wyrósł w miasteczku drewnianych chałup, opowiadała, pełnym tępaków, roznosił w pył swoją gitarą to, co wypełniało ich drobne mózdzki. Przed gitarą była farba w sprayu i były słowa.

– Tyle też mamy – stwierdziła Lacey. – Styknie.

– Przysięgam, że cię zabiję, jeśli nas aresztują – odparłam.

Pękaty, smutny, cały z cegły i kamienia ośrodek dla nastolatek w ciąży wbijał się głęboko w terytorium ostatnich szans. Za przychodnią, za centrum rehabilitacyjnym Sunrise, za Domem Weterana, gdzie bez problemu można było wycyganić darmowe pączki w trakcie spotkań Anonimowych Alkoholików, a nawet półtora kilometra za zamkniętym na głucho klubem ze striptizem, który przez trzy miesiące opływał w wypłaty miejskich ojców, zanim miejskie matki nie doprowadziły go do ruiny. Gdybyś to ty wpuściła w siebie oślizłego zwierzaka i trafiła kumulację na czarnej loterii, gdyby plemniki i jajeczka uczyniły swe cuda, to ty mogłabyś przełykać paniczny strach, wertować żółte strony, znaleźć wreszcie zbawienie w szarej bezokiennej bryle na autostradzie za fast foodem Friendly's. Mogłabyś pochodzić z Battle Creek, Marshall Valley, ba! nawet z dalekiej Saliny. Mogłabyś się zastanawiać, czy będzie bolało, czy będziesz żałować. Czy będziesz się bać.

Dopiero się zdziwisz, gdy dobrzy obywatele z ośrodka dla nastolatek w ciąży wręczą ci broszurę z Jezusem na okładce i objaśnią fakty. Opowiedzą o cudach i dziwach, pokażą zdjęcia nasienia, które nazywają dziec-kiem, i grzechu, który zwą morderstwem. A potem, jeśli nie wykazesz się ostrożnością, wycygną twoje nazwisko i numer telefonu, więc kiedy wrócisz

do domu, rodzice już będą czekać.

Lacey powiedziała, że to czyste zło, i na początku chciała spalić budynek do gołej ziemi.

Battle Creek nie było miastem edukacji seksualnej. Ale na placach zabaw i podczas kazań w szkółce niedzielnej wieści się rozchodziły, więc jeszcze przed gimnazjum dobrze wiedzieliśmy, co robić, i że będziemy smażyć się w piekle, jeśli to zrobimy. Tuż po tegorocznej Wielkanocy nasz higienista pokazał klasie dwa jabłka, po czym upuścił jedno na podłogę. Podniósł je, znowu upuścił.

– Które wolelibyście zjeść? – zapytał w końcu. – To ładne, lśniące i okrągłe? Czy obdarte, brudne i obite?

Lacey ukradła tego dnia brudne jabłko na lunch, a kiedy w tym samym miesiącu Jenny Hallstrom straciła cnotę z Brettem Konerem w kościelnej pakamerze ze środkami czystości, stwierdziłyśmy, że upuściła jabłko.

– Chyba już wiemy, co lubi jadać Brett – podsumowała Lacey.

To Jenny nam opowiedziała, co dzieje się za murami ośrodka. Zrobiła to, zanim ją odesłano; słyszałyśmy, że ma urodzić na Gwiazdkę.

Wieści zawsze się rozchodziły. W Battle Creek panowała taka zasada i być może dlatego rodzice tyle czasu spędzali na martwieniu się, kto co gdzie wsadza na tylnym siedzeniu czyjzego samochodu. Ponieważ, owszem, my będziemy smażyć się w piekle, ale to oni usłyszą o tym w kościele.

A teraz szłyśmy na paluszkach ku leżu zła jezusowych dewotów z nadzieją, że poskąpili na ochroniarzy.

Ja włożyłam polar z kapturem, Lacey – strój nocnego włamywacza, czarniuteńki z krwawą smugą szminki – takiego samego koloru była nasza farba w sprayu. Potrząsnęła puszką,

jakby miała już w tym doświadczenie, pokazała mi, jak ją trzymać i co naciskać. Czekałam, aż zacznie, chciałam się przyjrzeć, jak ona to robi. Dłoń miała pewną, litery były równe. Czekałam na alarm, syrenę lub mężczyzn w mundurach, którzy odciągną nas w noc, ale rozlegał się tylko syk farby i nieczuły śmiech Lacey, gdy pierwszy z naszych napisów załśnił pod lampami sodowymi:

„Fałszywa klinika aborcyjna! Strzeżcie się!”.

Slogany przygotowałyśmy z wyprzedzeniem, gdy matka Lacey upijała się na dole, a jej ojczym w imię Jezusa poszedł na kręgle.

„Wara waszym poglądom od naszych cipek!”.

„Bóg umarł”. Na ten Lacey szczególnie nalegała.

„Bóg umarł”, napisałam, bo było najkrótsze. Litery wyszły nierówno, B bardziej przypominało D, ale napisałam to. Nacisnęłam rozpylacz, brąz kamienia zmieniłam w czerwień, a Hannah Dexter w przestępcę. Czary.

Nie mogłyśmy jeszcze wrócić do domu, nie takie rozemocjonowane. Jechałyśmy donikąd, jechałyśmy szybko, ponieważ liczył się pęd. Pęd i muzyka, *Nevermind* w magnetofonie, głos Kurta łamiący się w krzyku, nasze krzyki jeszcze głośniejsze. Wrzeszczałam razem z Kurtem, za nic mając opinię ojca, że mój śpiew przypomina skrzeczenie szopa pracza, ani stwierdzenie Lacey, że dokumentnie myślę słowa. Śpiewałam tak, jak to słyszałam, ponieważ właśnie te słowa wydawały się właściwe: „Kochałem cię, odwrotu już brak, zabiłem cię, odwrotu już brak”.

Jechałyśmy przy zamkniętych oknach, by móc drzeć się tak głośno, jak tylko zapagniemy. Łatwo było sobie wyobrazić, że możemy w ogóle nie wrócić do domu, zjechać z urwiska lub dotrzeć na drugą stronę tęczy. Mknąć przez cały kraj,

zostawiając za sobą pożogę i ruiny. Lacey i Dex, jak Bonnie i Clyde, jak Kurt i Courtney, naćpane własnym szaleństwem, wypalające dziury w materii nocy.

– Powinniśmy zrobić to ponownie! – wrzasnęłam. –
Powinniśmy robić to stale!

– Co? Być poza prawem?

– Tak!

„Nie wracam!”, krzyknęłam i tej nocy, wyłącznie tej, kochałam Kurta tak, jak kochała go Lacey, kochałam Kurta jak ją.

Nie wracam!

Nie wracam!

3 Cytaty z *Pigmaliona* George’a Bernarda Shawa
w przekładzie Floriana Sobieniowskiego.

4 Lizzie Borden – Amerykanka oskarżona o dokonanie
w roku 1892 podwójnego morderstwa siekierą.

5 Ten i kolejne ustępy z *Biblii Szatana* w tłumaczeniu M.S.

LACEY

Dobre intencje

Nie jest to opowieść ku przestrodze o nadmiarze bądź niewłaściwym rodzaju pieprzenia się. Nie jest to opowieść o tym, że niegrzecznym dziewczynkom przytrafiają się złe rzeczy. Uprzedzam, bo znam cię, Dex, i znam twój sposób myślenia.

Opowieść, którą usłyszysz, tym razem będzie prawdziwa.

Dziewczyna poznaje dziewczynę. Może się w niej zakochuje. Na pewno jej pragnie. Dziewczyny piją, tańczą, pieprzą się, splatają palce ciemną nocą i wyszeptują swe sekretne ja, składają na krew przysięgę wierności i milczenia. Dziewczyna zdradza dziewczynę, traci ją, dziewczyna zostawia dziewczynę. Nie spodoba ci się ta opowieść, Dex, bo nie będzie to nasza historia.

– Tylko popatrzeć – powiedział Craig za pierwszym razem, kiedy przyszedł do naszego miejsca w lesie.

Bo już zaczęłam nazywać je w myślach naszym miejscem.

Przyniósł koczyk piknikowy matki, puszysty syntetyk obsyty z brzegu koronką, zresztą później się okazało, że wybrzydzał niemal patologicznie. Wysilek, by nadać temu, co się między nami działo, pozory czystości, był daremny. Ale ziemia była twarda i usiana potłuczonym szkłem, a koc ocierał się o skórę jak jedwab, więc krótko się z biedaka nabijałyśmy.

Powiedział, że będzie patrzył, ale nie dodał, że zamierza walić konia, gdy my się będziemy kotłować. Cóż, miał siedemnaście lat, więc może leżało to w podtekście. Było

zarówno obrzydliwie, jak i podniecająco. Obrzydliwie, bo... wiadomo. Podniecająco, bo czym innym jest zrobienie facetowi dobrze ręką i ustami – mechanizm skóry ocierającej się o skórę, śliskiej, bo mokrej – a czym zupełnie innym dokonanie tego bez jednego dotknięcia. Oto prawdziwa moc.

Może go to spłoszyło, bo przez jakiś czas się nie pojawiał. Chyba że Nikki nie życzyła sobie jego powrotu. Mogła chcieć mnie tylko dla siebie.

Z dziewczyną jest inaczej. Nie aż tak, jak byś się spodziewała, nie miękcej, bo Nikki Drummond nic miękkiego w sobie nie miała. Nadal skóra i pot, i wciąż byłam jej tajemnicą, podobnie jak wcześniej tajemnicą Shaya. Czymś wstydlivym, a w te klocki byłam dobra.

Craig wrócił po dwóch tygodniach. Przez dwa tygodnie tylko my, dzień w dzień spotkania w lesie i tarzanie się na poszyciu. Nie w pustym budynku stacji, gdzie mogłybyśmy opaść na starą kanapę, której zapleśniałe obicie poplamiały generacje płynów. Nie w zardzewiałym wagonie towarowym, gdzie Nikki, jak mówiła, słyszała knowania planujących zacisnąć się ścian. Zostałyśmy na otwartej przestrzeni, pod wścibskim spojrzeniem nieba, słońce i gwiazdy miały na co popatrzeć. Nie mówiłam jej o Kurcie, ona zaś nie wspominała o szkolnym balu. W ogóle niewiele gadałyśmy (oczko, kuksaniec, nie muszę nic dodawać, nie?), ale jeśli o coś zapytała, mówiłam prawdę i także przez to sprawy miały się inaczej.

Lubiłam jej smak, Dex. Lubiłam litera po literze wypisywać w niej językiem swoje imię. Jakbym ją znakowała tam, gdzie nikt nie dojrzy piętna. „Moja”.

Wprawiłam się w robieniu jej dobrze, i to chyba aż za bardzo, ponieważ na dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego, po tym, jak doprowadziłam ją do krzyku, odturlała się ode mnie,

przybrała pozycję płodową i się rozplakała.

– Co jest? – Przejechałam knykциями po jej kręgosłupie. Zawsze wtedy drżała. – No co?

Nikki nie zdarzało się płakać. Pod tym względem byliśmy takie same.

Nie zdarzało jej się płakać, a teraz płakała, więc dotknęłam jej ponownie i odgarnęłam jej włosy z twarzy – kiedy płaczesz z kimś na golasa, wydaje się to właściwym gestem – ona zaś usiadła, otrząsnęła się ze mnie i złego nastroju, odszukała ubranie, odszukała wódkę i się spiłyśmy. Następnego dnia po raz drugi przyprowadziła Craiga i oznajmiła, że ucziwie będzie pozwolić mu wejść do gry.

Albo z obojgiem, albo z nikiem – tak wyglądał sugerowany układ, a ja pomyślałam: Kurt by to zrobił, byłby dumny, że ja to robię, Bydlak zaś padłby trupem na miejscu. Pomyślałam, że mnie potrzebowała, że oboje mnie potrzebowali, a nie było źle czuć się potrzebną.

Pomyślałam, że czemu, kurwa, nie?

Craig nigdy nie był uroczy, ale z dziecięcym kogutem na głowie i wyćwiczonym spojrzeniem z ukosa spod tych długich rzęs, które zbrodniczo marnowały się na facecie, potrafił na takiego wyglądać. Jak na koszykarza był zwałisty, kark miał godny gangstera. Umiał się jednak uśmiechać tak, jakby wszystko było zupełnie proste, jeśli samemu niczego nie skomplikujesz. Umiał rozkochać w sobie każdego, pod warunkiem że chciał. To chyba była wspólna cecha jego i Nikki, ale ona musiała się wysilić, w zależności od potrzeby przemienić w odpowiednią dziewczynę. Craig musiał tylko intensywniej być sobą, trochę bardziej chłopakiem, jakiego wszyscy w nim widzieli.

Z początku nie chciał mu stanąć, nie pod moim wzrokiem

i nie w prezerwatywie, z której zrezygnował, kiedy Nikki przeszła na pigułki. Byliśmy onieśmieleni, a przynajmniej on, i choć słyszałam, jak pocierając go, gadał, szeptał słodkie bzdury swemu sflaczałemu mięśniowi, nigdy nie zdradził mi, co wtedy mówił. Nikki kilka razy delikatnie go tam pocałowała, co nic nie dało, potem równie delikatnie zaczęła całować mnie. To już pomogło. Patrzył, jak się do siebie dobieramy, i nie minęło dużo czasu, gdy zapragnął dołączyć, a wtedy, gdy Nikki sapała mi w ucho pod wpływem pracy jego palców, znalazł się we mnie, i być może ja też byłam onieśmielona, bo ten pierwszy raz był bolesny. Zrobiło się plugawie i chaotycznie. Ciała powinny łączyć się parami, jak na arce.

Sześć nóg, sześć rąk, trzydzieści palców, dziewięć otworów – trudno było dojść do ładu z tą matematyką, ale robiliśmy, co w naszej mocy, kiedy więc Nikki wgryzła mi się w sutek, a Craig tyłkiem przygniótł mi palce, nie protestowałam, bo wszystko to było zbyt ciekawe, zbyt nowe, żeby przerwać.

Nigdy nie lubiłaś gołych faktów, Dex, nie w tych kwestiach. Wolisz nie pamiętać, że też jesteś zwierzęciem, że bekasz, pierdzisz, srasz i co miesiąc krwawisz. Uważasz, że nieładnie mówić o takich rzeczach, a jeszcze mniej ładnie je robić, no chyba że w ciemnościach, kiedy nikt nie widzi. Zapewne nie chcesz więc słuchać o tym, że Craig był owłosiony jak goryl, przynajmniej dopóty, dopóki nie pozwolił nam tego wszystkiego zgolić z ciekawości, jakie to uczucie. Może i chciałybyś go zobaczyć w koronkowych majtkach Nikki, ale nie chcesz wiedzieć, że fiut troszeczkę wyginał mu się w lewo, a jajka miał pomarszczone jak cera staruszka. Albo że przeproszał, ledwie go wsadził i zaraz po wyjęciu, jakby się bał, że zacznę płakać albo wrzeszczeć, że gwałcą, jakby po prostu nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Wtedy, za pierwszym razem, odgrywaliśmy swoje role, czekając, aż rozlegnie się podkład muzyczny, aż wszystko zwolni, romantycznie się rozmyje i zastąpi spazmatyczne podrygiwanie brzydkiej rzeczywistości. Czekaliśmy na barwę sepii i blask świec, ale w końcu przywykliśmy do klejących się ubrań, niezręcznych pchnięć, plaskania ud Nikki, kiedy za mocno się ze sobą zderzały, stękania i przemieszanych śmiechów.

Nie czuj się jak głupia, nie mogłaś przecież wiedzieć. Nikt nie wiedział, a kiedy wreszcie zaczęła się szkoła, Nikki i Craig nie rozmawiali ze mną przy ludziach. Podobało mi się, że się tego wstydzą. Tajemnica była częścią zabawy. Podobało mi się, że Nikki mijają mnie na korytarzu, jakby nie wiedziała, że mogę zniszczyć jej życie jedną rzuconą na podatny grunt plotką. Podobał mi się jej zarozumiały i nadęty publiczny wizerunek, ponieważ tylko ja wiedziałam, jak wygląda ta twarzyczka, kiedy palce Craiga odprawiają w Nikki swą niezdarną magię.

Wtedy już robili to na moich oczach. Okazało się, że wszyscy lubimy patrzeć. Czasami najfajniejsze było właśnie patrzeć. Coś w tym jest, że gdy dwoje ludzi się pieprzy, zapominają o ukrywaniu swych sekretnych osobowości. Nawet po tak długim czasie odstawiali dla siebie przedstawienie, Nikki w zależności od humoru grała podekscytowaną i nakręconą albo znudzooną, ale nigdy zanadto nie odbiegała od „jaka to robię ci łaskę”, on z kolei za każdym razem szedł w „nie odmawiaj, daj”. Ale zawsze zdarzała się taka chwila. Ona zapomniała wciągnąć brzuch, on – miłośnie spojrzeć jej w oczy, zapominali o swojej obecności, ich seks nabierał cech masturbacji, cudze ciało – charakteru przypadkowości, ot, kolejne narzędzie do wykorzystania. Lubiałam stawać się przezroczysta, dematerializować się i patrzeć, jak puszczają im hamulce.

Nikki też lubiła patrzeć, ale nie dla samego patrzenia. W niej budził się Mussolini. Nie obserwowała, wydawała rozkazy, robiąc sobie z nas osobisty teatrzyk marionetek, nakazując przybieranie pozycji, które miały zadowolić nie tyle nas, ile ją.

Nie wiem, co Craig lubił najbardziej, zwłaszcza gdy już nowość, czyli dwie dziewczyny w akcji, zwietrzała. Nastąpiło to zresztą zdumiewająco szybko. Czasami sobie myślę, że nic specjalnie mu się nie podobało.

Każde z nas miało swoją kolej, ale niekiedy po prostu piliśmy i rozmawialiśmy. Opuszczona stacja była miejscem zaczarowanym, uświęconym, drzewa wchłaniały tajemnice. W lesie stawaliśmy się innymi ludźmi, cienistymi wersjami samych siebie. Nikki opowiedziała, jak jej bliski kuzyn zgwałcił ją na obiedzie w Święto Dziękczynienia. Gniótł ją na babcinej kołdrze w koronkowe wzory, a kiedy przycisnął usta do jej ust, żeby ją uciszyć – choć przecież nie krzyczała – smakował batatami i sosem do pieczenia. Ja im opowiedziałam, jak Bydlak chciał się mnie pozbyć po narodzinach dziecka, o czym dowiedziałam się z listu, który napisał do swojego pastora w New Jersey, kiepskiej imitacji Billy’ego Grahama z audycją w lokalnym radiu. Opowiedziałam im, że przechwyciłam też odpowiedź pastora, bogoboijną poradę, jak wymazać mnie z życia rodziny dla dobra reputacji i nasienia Bydlaka, a ponieważ poprzysięgliśmy sobie dochowanie tajemnicy, nie prawdomówność, dodałam, że miałam to gdzieś. Craig nam opowiedział, jak w gimnazjum zgodził się, żeby jakiś nieszczęśnik z drużyny koszykówki juniorów zrobił mu loda, potem wpadł w panikę i rozpuścił wieści, że dzieciak podglądał kolegów w szatni, a podczas rozgrywek zapaśniczych brał się za macanko. Gdy spuścili mu trzeci łomot, przeniósł się do szkoły

w innym hrabstwie.

– Nawet nie miałem poczucia winy – wyznał Craig. –
Znaczy że co, jestem jakimś psychopata?

– Prawdopodobnie – odpowiedziałam, a Nikki nie mogła przestać się śmiać.

Craig już nie żyje. Dziwne, nie? Był tutaj, był we mnie, upocony, obmierzły, może i był jakimś psychopata, ale teraz zostały tylko zwłoki. Ba, już niedługo nawet mniej: kości, proch i robaki. Na pewno nie jest duchem. Wiedziałabym, gdyby był, bo kurwa, nigdy nie zostawiłby mnie w spokoju.

Wiem, jak umarł, wiem też dlaczego, pod warunkiem, że pominiemy cały ten egzystencjalny lament: „Bożeż mój! Boże, czemu?”, bo w takim wypadku nikt nic nie wie, ale nie mogę powiedzieć, że poznałam Crai-ga. Miał młodszą siostrzyczkę, głupiutką szczerbulę z kucykami, która czciła go za to, że nauczył ją wykonywać rzuty osobiste i nastukał dręczącego ją łobuza z placu zabaw. Ale nie wiedziałam o tym aż do jej szczerbatej mowy pogrzebowej, a wtedy już nie mogłam sobie pozwolić na słuchanie. Traktowałyśmy go czasem jak naszą lalkę, mechanicznego kutasa, na którym mog-łyśmy pozować. Ślinił się, całując, złościł, kiedy wypił, i kochał Nikki na tyle, żeby być zazdrosnym, ale nie na tyle – a może nie dość należycie – żeby odwzajemniła uczucie.

Wciąż zdarzało nam się spotykać za jego plecami i właśnie wtedy opowiadała mi rzeczy, których nawet on nie wiedział, na przykład o swoich porannych przebieżkach. Zaczęły się, kiedy miała czternaście lat i ano-reksję, ale nie zarzuciła ich, gdyż polubiła bezludną ciemność piątej nad ranem. Wszystkim było wiadomo, że jej matka przez rok dawała wspólnikowi ojca z kancelarii prawniczej, ale nikt nie wiedział, jak żałosne zdaniem Nikki były jej powrót i błagania o wybaczenie, a tym

bardziej pozostanie przy mężu, który od tej pory ciosał jej kołki na głowie, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Wszystkim było wiadomo, jak łatwo Nikki zdobywała popularność, ale tylko mnie, jak mało ją obchodziła. Leciała z innymi w kulki i budowała swoje małe imperium, ponieważ przychodziło jej to bez trudu i było zabawniejsze od alternatywy, ale życie nie stawało się dzięki temu mniej gnuśne, a przyszłość znośniejsza. Lubiła patrzeć, jak inni się przed nią płaszczą, z tego samego powodu, dla którego dzieci podpalają mrowiska. Nie dlatego, że nadawało to jej życiu sens, ale że czasem trzeba sobie uatrakcyjnić popołudnie.

Wszystkim było wiadomo, że ona i Craig Ellison są sobie przeznaczeni, że miłość narzuciły im reguły królewskich zalotów, i zapewne ogół miał rację. On był jej pierwszym pocałunkiem w siódmej klasie, ona – jego pierwszym dojściem do drugiej bazy, ale nieuchronność zupełnie nie jest sexy, a przynajmniej nie tak jak bezimienna ósmoklasistka, która zwali ci konia w kiblu wrotkarni, więc na serio zeszli się dopiero w drugiej klasie liceum, pieprzyli się i wykorzystywali, pieprzyli i kłócili, i znowu pieprzyli. Nic dziwnego, że byli znudzeni.

Craig jakimś cudem wciąż miał swoje sekrety, potrafił skołować nam wszystko. Spróbowaliśmy heroiny – nazywał ją heleną, bo nie umiał nie być osłem – ale tylko raz. Ludzie nie zostali stworzeni, żeby czuć się tak dobrze i być tak szczęśliwymi. Koka była lepsza. Seks był po niej lepszy. Wszystko było po niej lepsze. Łatwiej było ją dostać i trudniej było coś spieprzyć, inaczej niż z herą, przy której omal nie podpaliłam włosów Nikki. Wtedy łatwo było się śmiać z takich rzeczy.

To tyle, to wszystko, co robiliśmy. Patrzenie, rżnięcie się, wciąganie i gadanie, splukać, czynność powtórzyć. Aż Craig

umarł i wszystko się skończyło. Nie wróciłam tam. Nie mogłam. Nie na tę stację, nie do tego lasu. Został zbezczeszczony. Nie nawiedzony, mówiłam, że nie wierzę w takie rzeczy. Po prostu zniszczony.

Nikt nie miał prawa się dowiedzieć, dopóki się z Nikki nie wygadamy, a poprzysięgłyśmy sobie milczenie. Ostatnia święta przysięga. Założyłam, głupia, że zwiąże nas na całe życie, ale z Nikki również widziałam się wtedy po raz ostatni. Może to ja byłam jej lasem, zbezczeszczonym i zniszczonym... Ale wiesz, co sobie myślę? Że myliłam się od początku, sądząc naiwnie, że zerwałam Nikki maskę i odsłoniłam jej prawdziwe oblicze, bo pod spodem były tylko kolejne maski. Mas-ki pod maskami, a w samym środku pusta przestrzeń, w którą jakaś wyższa moc zapomniiała wcisnąć duszę. Same zwierzęce popędy, żadnych czynności wyższych. Brak zdolności odczuwania bólu.

Winiła mnie.

Ona winiła mnie.

Ja się nie winię.

Nie zgadzam się.

Nie zrobiłam nic złego.

Słowo skauta, Dex. Z ręką na sercu i nadzieją na dołączenie do Craiga na wielkim niebieskim boisku do koszykówki: w niczym, kurwa, nie zawiniłam.

Nikt nie jest moją marionetką.

Obiecałaś mi to.

Po wszystkim – znowu samotna. Samotna w ciemności, z tajemnicą, koszmarami, widmami ich skóry, przebudzeniami

z nim we mnie i nią osuwającą się w dół mego ciała, niewidzialne dłonie, niewidzialne języki z pierwszym brzaskiem rozplywające się w nicość. Sama z matką, Bydlakiem i oczywiście dzieckiem, skarbem jebanym, który nie przestawał się drzeć, a oni do spółki trzymali mnie jak najdalej od niego, jakbym złapała jakąś zaraźliwą chorobę, jakbym w ogóle chciała go dotknąć, ponosić bądź – jak dobra starsza siostra – niańczyć ten ich rozwrzeszczany, obesrany owoc kryzysu wieku średniego, i jak tu mnie winić, że weszłam z nożem do wanny?

Retoryczne pytanie. Bydlak winił mnie za to, że dramatyzuję, matka – że wkurwiam Bydlaka, a terapeuta z dupy za to, że nie mam odwagi uczciwie stawić czoła moim problemom, że nie chcę zerwać bandaża z jątrzącej się rany, ale przynajmniej dał mi receptę, a potem już miałam głęboko gdzieś, kto mnie za co wini, nawet jeśli była to Nikki Drummond. Zwłaszcza jeśli była to Nikki Drummond.

Chmurne to były dni. Wpadłam w dryf. Gdzie mog-łam, puszczałam Kurta na pełny regulator, ale w duchu, gdzie musiałam, już cicho. Mogłabym, Dex, dryfować tak przez wieczność, tyle powinnaś wiedzieć.

Musisz zrozumieć coś ważnego: jakoś specjalnie cię nie szukałam.

Czasami rozmyślałam, jak by ją drażniło widywanie mnie z kimś innym, moja ręka wokół czyjejś talii, usta przy uchu szepczące sekret. Bolałoby, a ja nade wszystko pragnęłam jej cierpienia. Przyznaję się. Mogłam wybrać kogokolwiek, każdą z tych smutnych dziewczynek tańczących w głębi korytarza w identycznych kurtkach dżinsowych i kolorowych getrach, gibających się przy muzie, której kazali im słuchać chłopcy – New Kids albo nawet Sir Mix-a-Lot – odpowiadających nauczycielom „proszę” i „dziękuję”, a chłopakom, z którymi

widują się tylko w lesie: „Nie tak mocno” i „Przeleć mnie”. Smutnych dziewczynek z imponującymi grzywkami i skromnymi marzeniami. Obserwowałam je i myślałam o tym.

A potem przyszedł do mnie ty.

Nie zdziwisz się, że Nikki mi o tobie mówiła. Zdziwi cię, co takiego powiedziała, a brzmiało to mniej więcej tak: „Kto? Ona? Ta frajerka zawsze na mnie łąpie, jakbym jej szczeniaczka utopiła”, ja zaś, wybaczyć, Dex, odrzekłam: „Pewnie jest w tobie zakochana”, na co ona: „A kto nie jest?”, po czym, jestem pewna, zdrowo się uśmiełyśmy, pijane i na haju.

Taka jest prawda, Dex: zawsze gównem ją obchodziłaś. Tyle energii włożyłaś w nienawidzenie jej, a mimo to byłaś dla niej nikim. Dopóki nie uczyniłam cię kimś. Za to też mi nigdy nie podziękowałaś.

Przyglądałam ci się. Na głowie szopa niczym twoja prywatna chmura burzowa. Nierozróżnialne T-shirty z dyskontu, zawsze o numer za duże, jakby nawet ci nie zaświtało, co jest twoją największą zaletą, albo jakbyś chciała się upewnić, że nikomu nie zaświta. Zawsze w grubych szklach, z książką i umiarkowanym fochem, tym uśmieszkiem wyższości, który posyłasz ludziom, kiedy powiedzą coś niemądrego. Chyba nawet nie zdajesz sobie sprawy, że to robisz, mrużysz oczy i unosisz wargę, jakby głupota sprawiała ci fizyczny ból. Powiedziałaś mi kiedyś, że przede mną połowę czasu marnowałaś na zastanawianie się, dlaczego nie jesteś zbyt lubiana, popadałaś w obsesję na punkcie okularów, włosów, sposobu podwijania nogawek dżinsów, na jaką dokładnie grubość i wysokość. Nie miałam serca wyjaśniać, że nic ci nie mogło pomóc. Ludzie chcą wierzyć, że są piękni, inteligentni i dowcipni. Wyjątkowi. Nigdy

nie polubią osoby, której twarz ujawnia prawdę.

Ja w twojej twarzy zobaczyłam prawdę o Nikki. Była dla ciebie równie szpetna jak dla mnie. Chciałaś, żeby cierpiała. A ja pomogłam ci to osiągnąć, nawet jeśli nie byłaś tego świadoma. I znowu: proszę bardzo.

Znałam cię, zanim poznałaś siebie. Wyobraź sobie, że idziesz przez liceum, studia, życie złożone ze zmieniania pieluch, ogłupiających etatów, stowarzyszeń działkowiczów, szkolnych kiermaszów dobroczynnych i nigdy się nie poznajesz, tej twardej i tak bardzo, bardzo wściekłej. Bałaś się przyznawać do takich emocji, ale ja wyczułam za ciebie, jak się gotują. Słyszałam pokrywkę garnka, podzwanianie metalu niczym ostrzeżenie grzechotnika: nie zbliżaj się, bo pierdzielnie.

I co, kurwa, z tego, że tak zaczęłyśmy, że najbardziej pokochałam w tobie nienawiść do niej, że tak się ciebie uczepiłam, bo wyczuwałam jej wściekłość, wszak została zastąpiona, i to przez zupełne zero. No dobrze, połączyła nas Nikki. Co z tego?

Dex, nie liczy się, jak ani dlaczego na siebie trafiłyśmy. Ważne jest, że do tego doszło, i to, co było później. Doprowadź we właściwy sposób do zderzenia dwóch odpowiednich cząsteczek i masz bombę. To my, Dex. Przypadkowa synteza termojądrowa.

Opowieści o pochodzeniu są nieistotne. Najmniej ważne są narodziny. Ważna jest śmierć i to, jak się żyło. Żyłyśmy dla siebie, więc wszystko, co nas tutaj doprowadziło, musiało być słuszne.

DEX

Żądz przesilenie

A jednak mieli kamerę przemysłową. Dwa cienie na ekranie, twarze niewyraźne, ale wiek wystarczająco czytelny, żeby z samego rana po naszym sukcesie z graffiti do gabinetu dyrektora wparowało dwóch policjantów. Do południa rozeszła się wieść, że szukają dwóch dziewczyn posiadających farbę w sprayu, być może związanych z mrocznym podziemiem, dwóch dziewczyn o niebezpiecznych zamiarach. „Bóg umarł”, napisałyśmy – ja napisałam – nie zdając sobie sprawy, że wtrąci nas to w strach. W połowie lekcji angielskiego zabuczał radiowęzeł i przekazał złowieszcze ostrzeżenia dyrektora: nowe dowody wskazują na to, że w naszym gronie są wichrzycielki, że powinniśmy być czujni, że wszyscy – ze szczególnym wskazaniem na zbłąkane winowajczynie – jesteśmy narażeni. Magiel plotek był wniebowzięty, pochopne spekulacje błyskawicznie stłumiły poszepty o następnej wielkiej imprezie i wywołanym bulimią Hayley Green gwałtownym przypadku przeczyszczenia.

Dwie bezimienne dziewczyny zasłuchane w zew mroku. Czulałam na sobie ludzkie spojrzenia.

Spotkałyśmy się przy kontenerach na śmieci, jedna zimna jak lód, druga wariująca z przejęcia. Zgadnijcie, która była którą, macie trzy szanse. Nie był to dobry rok na zostanie młodocianym przestępcą.

– W najgorszym razie dopuściłyśmy się aktu wandalizmu, czyli wykroczenia – oświadczyła Lacey, każde słowo jak

wzruszenie ramion, lecz ja chciałam wbić jej do głowy trochę poczucia rzeczywistości.

– Wykroczenie? Lacey, za to też sadzają! Ale mamy przesrane.

Refren ten łomotał mi w głowie, od kiedy na godzinie wychowawczej zobaczyłam przez okno parkujący przy krawężniku radiowóz. Ale przesrane. Ale przesrane. Ależ totalnie i bezsensownie po uszy w gównie, szlaban, areszt, udupienie. Lacey mogła sobie udawać, że jest inaczej, ale niczego to nie załatwiało.

– Nikt nikogo nie aresztuje. Nie wiedzą nawet, że to my. I nigdy się nie dowiedzą, jeśli przestaniesz zachowywać się jak wariatka.

Ale problemem nie było moje zachowanie. Była nim Lacey. Miejscowi wystarczająco dużo o niej wiedzieli, żeby podejrzewać prawdę. A zwłaszcza Nikki Drummond. Jak się okazało, podejrzewała.

– Niech zgadnę: to był jej pomysł. – Osaczyła mnie w łazience na pierwszym piętrze, do której chadzałam, odkąd dorwała mnie w tej na parterze. – Obiecała, że w życiu nie wpadniecie. Zero konsekwencji.

– Masz jakąś obsesję na punkcie słuchania, jak sikam?

– Pomysły zawsze są jej, ale to ty za nie bekniesz. Już ona o to zadba.

– Pytam serio. Prześladujesz mnie po łazienkach? Takie zapędy coś znaczą.

– Sprowadzi na ciebie kłopoty, Hannah.

– A ty co, kino familijne? – Umyłam ręce, a potem rozsmarowałam trochę pomadki, by jej zademonstrować, że nie drżą. – Jeszcze raz: nie mam pojęcia, o czym mówisz. Najmniejszego.

– Możesz być pewna, że w to akurat wierzę.

– Odpierdol się – rzuciłam i wyszłam, trzaskając drzwiami.

Nie była to moja najbłyskotliwsza riposta, ale nie zniosłabym, gdyby to ona miała ostatnie słowo.

Ale i tak należało do niej. Kiedy weszłam tego popołudnia do szatni, przy mojej szafce czekał wicedyrektor z policjantem, kombinerkami i „anonimowym” donosem.

Rozpłakałam się, zanim otworzyli drzwi, choć wiedziałam, że niczego nie znajdą, bo nawet amatorscy, zadufani w sobie wandale nie byli tacy głupi, żeby przechowywać farbę w szkole, ale i tak było to upokarzające, w dodatku moją szafkę siłą otwierał policjant, jakżeż, kurwa, moje życie zmieniło się w ten film, i na chwilę przed tym, zanim uznali zawartość za niegroźną i pozwolili mi odejść mimo łez, obciążających lub nie, skłęłam Lacey i pomyślałam, nawet jeśli tylko przez sekundę, że Nikki miała rację.

Lacey tryskała energią, kiedy przechwyciła mnie na parkingu. Oficjalnie uszło nam na sucho.

– Bonnie i Clyde, no nie?

– W końcu ich zabili.

– Co cię ugryzło?

Nie mogłam wyjaśnić, że zwróciłam się przeciwko niej, choć tylko na krótko, że nie zasługiwałam ani na nią, ani na świętowanie, które proponowała. Zamiast tego powiedziałam, żeby podrzuciła mnie do domu. Pomyślałam, że jeśli zdążę do swojego pokoju, zanim się rozplączę, będę bezpieczna. Dzień będzie mógł się skończyć, a jutro wszystko zacznie się od nowa.

Za drzwiami czekał ojciec.

– Matka jest w twoim pokoju – oznajmił z apokaliptyczną miną.

– Co? Dlaczego nie w pracy?

– Po prostu do niej idź.

– Coś się stało?

Wyglądało, jakby ktoś umarł albo co najmniej był w drodze na tamten świat. Nie przychodził mi do głowy żaden inny powód, dla którego matka mogła wyjść z pracy w środku popołudnia, żadne inne zakończenie tego gównianego, dobijającego dnia.

Pokręcił głową.

– Obiecałem, że pozwolę jej zacząć, ale... powiedzmy, że oficjalnie jestem bardzo rozczarowany. A nieoficjalnie? – Puścił do mnie oczko.

Ale przesrane.

– Możemy udawać, że nie wróciłam do domu?

Pokazał schody.

– Ruszaj. Aha, pannico...?

– Tak?

– Nastaw się, że będzie ciężko.

Co znalazła: dwie puszki farby w sprayu, bo Lacey nalegała, żeby ich nie wyrzucać (ale przechowywać ich już nie chciała). Bibułki do skrętów i firkę, których nigdy nie używałam. Prezerwatywy, również nieużywane, za namową Lacey ikselki o smaku truskawkowym. Szminkę, zbyt szkaradną, żeby z niej korzystać, za to zwiniętą z Woolwortha, bo się dało. Podwędzone z barku zakurzone butelki. Polaroidową fotkę cycuszków Lacey zrobioną w jakimś nonsensownym celu, którego już nie pamiętałam.

Skąd wiedziała, że ma szukać: telefon do biura od bezimiennej „stroskanej przyjaciółki”, którą bez wątpienia była Nikki Drummond, troszcząca się tylko o to, żeby zniszczyć mi

życie.

Co powiedziała: „Jesteś rozczarowaniem. Jesteś zakałą. Masz, co oczywiste, szlaban”.

„Nie taką córkę wychowywałam”.

„Ciesz się, że nie zadzwoniłam na policję”.

„Nigdy więcej nie spotkasz się z tą Lacey”.

Nie płakałam. Nie zdradziłam Lacey, nie tym razem, nie na głos. Przyznałam się, oświadczyłam, że wszystko zrobiłam na własną rękę, a jeśli rodzona matka chce oddać mnie w ręce policji, z radością powiem im to samo. Uprzedziłam, że nie utrzyma mnie z dala od Lacey, dodałam, że jedyny zły wpływ w moim życiu siedzi na moim łóżku i trzyma dwie puszki farby w sprayu, jakby to były odbezpieczone granaty. Powiedziałam, że nikt, a zwłaszcza Lacey, nie będzie podsuwał mi pomysłów ani zmuszał do opowiadania się za tym, co słuszne. Jestem dorosła i jeśli chcę pokazać, że mam wyjebane na autorytety, to wyłącznie moja sprawa.

Westchnęła.

– To nie ty, Hannah. Za dobrze cię znam.

– Mam na imię Dex – odparłam i już nic więcej jej nie powiedziałam ani tego dnia, ani przez dwa kolejne. Ciche dni wciąż jeszcze były jedyną bronią, jaką dysponowałam.

Musiałam wydawać jej się śmieszna. Co najmniej tak, jak mnie śmieszny wydawał się ojciec, który pocieszał mnie za plecami matki i sporadycznie przypuszczał frontalne ataki z mętными odniesieniami do ich wspólnej posthipisowskiej przeszłości oraz dawno przegranych słusznych spraw i heroicznej obrony pozycji, chociaż matka za każdym razem gasiła go w sposób dający gwarancję, że oboje pocujemy się jak kretyni.

– Jimmy, przekonania feministek obchodzą ją nie bardziej

niż ciebie – usłyszałam jej głos po tym, jak cisnęłam przypalonego klopsa i wróciłam do swojego pokoju. – Jest po prostu zauroczona. Powinieneś znać to uczucie.

Odłączyła mój telefon, a tych na dole pilnowała.

– Nie, Hannah nie może podejść do telefonu – dosłyszałam tego sobotniego ranka. – Proszę, żebyś przestała dzwonić.

Wiedziałam, że Lacey nigdy nie przestanie.

Być może właśnie to okazało się katalizatorem, którego potrzebowałyśmy, żeby wreszcie uciec. Może w końcu zrzucę kajdany prowincjonalnego życia, oleję liceum, college i odium trudnej młodzieży, wskoczę do buicka Lacey, walnę pięścią w deskę rozdzielczą, udzielię tak długo odmawianego pozwolenia, powiem: „Idź na zachód, młody człowieku”, i wytyczę kurs ku wolności.

Kiedy w poniedziałek pakowałam się do szkoły, przemyciłam do plecaka mój fundusz ucieczkowy, całe dwieście trzydzieści siedem dolarów, dorzuciłam egzemplarz *Obcego w obcym kraju* i pierwszą z nagranych dla mnie przez Lacey składanek, tę z napisem JAK ZOSTAĆ DEX, nabazgranym w poprzek niezmywalnym markerem – same niezbędniki, tak na wszelki wypadek. Czekałam na nią na parkingu, rozpaczliwie pragnąc dowodu, że istnieje. Jednocześnie układałam w myślach plany zemsty, prezent dla Lacey, ponieważ przed ucieczką musiałyśmy odegrać się na wrogu. Zakradniemy się do Nikki przez okno i ogolimy jej głowę; nadetniemy szwy jej sukienki na szkolny bal, tylko na tyle, żeby zsunęła się, kiedy będą wkładać koronę na te idealnie ułożone włosy; wrobimy ją w puszczanie się; znajdziemy kogoś, kto złamie jej serce.

Marne to były pomysły, ściągnięte z *Bliźniaczek ze Sweet Valley High* i ledwie pamiętanych filmów o nastolatkach, ale dowodziły mej woli. Lacey dostarczy metodę.

Tyle że kiedy nareszcie się pokazała – nie jak ja godzinę wcześniej, podskakując z niecierpliwości, przekonana, że ta druga przeżywa to samo, ale dwadzieścia minut przed początkiem lekcji – i dopadłam ją na parkingu, nie chciała słuchać o moich mściwych knowaniach, nie współczuła weekendu udręki. W gruncie rzeczy wydawało się, że moje problemy nieszczególnie ją obchodzą.

– Mam się martwić? – zapytała. – Twoja matka może zadzwonić do mojej?

– Jeśli uzna to za odpowiednią torturę...

– Kurwa, Dex, to poważna sprawa. Musisz się dowiedzieć, czy zamierza gadać. Przekonać ją, żeby tego nie robiła.

– Będzie trudno, skoro z nią nie rozmawiam.

– To weź z nią, kurwa, rozmawiaj! Co z tobą nie tak?

– Bo ja wiem, Lacey? Może bycie więźniem we własnym domu doprowadza mnie do obłądu? Może to troszeczkę trudne, kiedy własna matka patrzy na ciebie jak na przestępcę, który może jej nocą wsadzić kosę? Może się trochę przejmuję, że zabroniła mi spotkań z najlepszą przyjaciółką, może sądziłam, że najlepsza przyjaciółka też się tym trochę przejmie.

– Przecież się spotkałyśmy. – Wyglądała na nieobecną, jak gdyby mogły istnieć jakieś ważniejsze sprawy do przemyślenia.

– Naprawdę tego nie łapiesz?

– A ty, Dex? Bydlak nie może się o tym dowiedzieć. Po prostu nie może.

– Aha, ale jak przyłapią mnie, to wszystko gra?

– Nie o to mi chodziło. Ale dobrze, w porządku. Na moje oko świetnie sobie radzisz.

– Och, czuję się po prostu fantastycznie, Lacey! Wszystko jest super.

– Nie zrozu...

– Zrozumiałam, że nie szkodzi, jeśli wpadnę w kłopoty, dopóki omijają ciebie. Chociaż cała ta pieprzona akcja była twoim pomysłem.

– Dex, czy możesz choć przez milisekundę wziąć pod uwagę hipotezę, że świat nie kręci się wokół ciebie?

Usłyszałam, jak wydobywa się ze mnie najobrzydliwszy śmiech świata.

– Powiedz mi, kurwa, że żartujesz.

Nic nie powiedziała. Zaklinałam ją, żeby to zrobiła. Powiedz coś. Cokolwiek. Napraw to.

– No? – ponagliłam. – Naprawdę? Cisza?

– Proszę, poproś matkę, żeby nic nie mówiła mojej.

– I tyle?

– I tyle.

Szkoła bez Lacey była cierpieniem, o tyle większym, że Lacey w niej była, tylko już nie moja.

To ja byłam wściekła. To ja miałam słuszość. To ja unikałam jej na korytarzach i zamiast zaczekać na nią po szkole, wracałam autobusem. Dlaczego więc czułam się, jakby to ona mnie porzuciła?

To przejściowe, powiedziałam sobie. Przeprosi, ja jej wybaczę i wszystko wróci do normy. Ale na widok Nikki nie potrafiłam wykrztusić słowa. Bez Lacey u boku było zupełnie inaczej. Wszystko, co chciałam powiedzieć, wszystkie „Pierdol się”, „Jak śmiałaś” i „Kto ci dał prawo” grzęzły mi w gardle i wiedziałam, w jakiej formie by wyszły, gdybym podjęła próbę. „Wygrałaś”.

Odezwałam się do matki w tamtym tygodniu, jeden jedyny raz. Poprosiłam tylko, żeby nie mówiła rodzicom Lacey

o swoich podejrzaniach. Nie ma dowodów, że Lacey cokolwiek zrobiła, przypominałam jej, a jako moja matka ma prawo niszczyć wyłącznie moje życie.

Do Lacey się nie odezwałam.

Do nikogo też nie dzwoniłam i nigdzie nie wychodziłam. Zaraz po szkole wracałam do domu i oglądałam telewizję, póki nie przyszła pora snu. Przerazało mnie, że życie pod szlabanem tak bardzo przypomina życie przed Lacey.

– Jak za dawnych dobrych czasów, co? – zagadnął ojciec, gdy przeczekiwaliśmy reklamy, by dowiedzieć się, która gałąź rodu wygra waśń. Na mojej twarzy musiało się odmalować, co o tym sędzę, bo dodał: – Mnie też jej brakuje.

W niczym to nie pomogło.

Oto co pomogło: piątkowego popołudnia zadzwonił telefon, ojciec odebrał i przekazał mi słuchawkę. Matka poszła na spotkanie YWCA pukać do ukrytej w duszy artystki na zajęciach z garncarstwa, a ponieważ zwyczajowo następowała po nich zakrapiana część towarzyska, niewątpliwie będzie miała co robić do późnej nocy. Byliśmy w domu sami. Ojcu nie miał kto przeszkodzić w łamaniu zasad, mnie nie miał kto zabronić wypowiedzenia niepewnego „halo”, po którym wreszcie na nowo zaczęłam oddychać, gdy usłyszałam jej głos:

– Przepraszam.

Chciałam zaczekać, aż powie to pierwsza, ale byłam podekscytowana jak szczeniaczek, więc nasze głosy się zgrały, nałożyły się na siebie desperackie, obu nam tak bardzo, bardzo przykro, tak spieszno, żeby to zakończyć, przeskoczyć do przodu, wszystko jedno, nic się nie stało, to już odległa przeszłość, błąha i nieistotna dla epokowej, niekończącej się naszej historii.

– Wymyśliłam, Dex – oznajmiła wreszcie. – Zemsta

doskonała.

– Na Nikki?

– Oczywiście, że na Nikki. Myślałaś, że pozwolimy jej wykręcić się sianem po tym, co ci zrobiła?

– To co to za plan doskonały?

– Nie teraz. Wieczorem. Słyszałaś o imprezie hipotecznej?

Wszyscy słyszeli. Opuszczony dom na skraju do połowy wybudowanego osiedla, na sto procent pusty, na uboczu i z przestronnymi sypialniami. Ojciec Nikki pracował w niegodziwym banku, więc co miesiąc czy dwa Nikki udawało się zdobyć adres oraz klucze. Lacey i ja miałyśmy być ponad to.

– Mam szlaban – przypomniałam, chociaż ojciec samymi ustami powiedział „W porządku” i skinął głową.

– Wymknij się. Warto, masz moje słowo.

To nie tak, że nie chciałam się z nią zobaczyć. Nie wiedziałam, o co chodzi.

– Lacey...

– Wpadnę po ciebie o dziewiątej. – Odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

– Wolę nie wiedzieć, dokąd się wybierasz – stwierdził ojciec. Sygnał telefonu wciąż dzwonił mi w ucho. – Będę mógł przekonująco zaprzeczyć. Tylko wróc przed matką.

A zatem szłam na imprezę.

Do dziewiątej wieczorem zasznurowałam się w czarny gorset, którego nie nosiłam od nocy w Beast. Lacey twierdziła, że zmieniał mnie w gotową do bitwy amazonkę. Zmieniał. Byłam gotowa. Lacey się nie pokazała. Siedziałam na schodkach ganku, czekałam, szminka tężała, włosy oklapły od wilgoci, czas płynął, serce biło, samochody przejeżdżały i przejeżdżały, i żaden się nie zatrzymał. Przełałam trochę szkockiej rodziców do bidonu – nasza mała wstępna impreza, a przynajmniej taki

był plan.

Większość wypiliśmy sama.

Dziewięta, dziewięta trzydzieści, dziesiąta. Zero Lacey. Dzwoniłam – nikt nie odbierał. Nie ma, kurwa, mowy, żebym wróciła, przebrała się w pizamę, wyjaśniała ojcu, dlaczego przedłożyłam zasady nad bunt, gapiła się w sufit i zastanawiała, czemu Lacey wystawiła mnie do wiatru. Impreza odbywała się zaledwie kilka kilometrów dalej, a ja miałam rower.

Bo byłam wściekła. Bo byłam zmęczona. Bo miałam wyżej uszu bycia kimś na doczepkę, kimś, za kogo się decyduje. Bo musiałam coś udowodnić. Bo byłam ciekawa. Bo wyglądałam zmysłowo i doskonale o tym wiedziałam. Bo oglądałam wystarczająco dużo filmów, w których szara myszka idzie na imprezę i odmienia swoje życie. Bo nienawidziłam Nikki i wierzyłam, że jeśli wleję w siebie dość piwa, uda mi się zawezwać odwagę i napluć jej w twarz. Bo Lacey by się to nie spodobało, a może byłaby zachwycona, a może powinnam, kurwa, raz na zawsze skończyć z roztrząsaniem, co się Lacey spodoba, a co nie. Bo przepełniały mnie wstyd i smutek, przez co znów robiłam się wściekła, ale dobrze mi było z tą furią, gdy pedałowalam, pompując w ciemności ku rozmigotanemu cieniowi, ku czemuś – jak czułam tej nocy z wiatrem w uszach i prastarą szkocką rodziców palącą gardło – bliskiemu przeznaczeniu. Bo wszystko jedno co, bo kto wie, bo nie była to noc, tydzień ani rok na „bo”, nie: dlaczego?, tylko: kto?, co?, kiedy?, gdzie?

Ja.

Błąd.

Po tym, jak powinnam się już czegoś nauczyć.

Tutaj. Masywne McMansion, sylwetki przesuwające się w oknach podświetlonych migotaniem świateł. Na imponującej werandzie dwóch gości w dżinsach z obniżonym krokiem, dopijających piwo przed powrotem do środka.

– Joł, dziś się upodlimy.

– Święte słowa, men.

– Mowa, bro.

Tego roku wśród najbielszych z chłopców zapanowała moda na mówienie, jakby wcale tacy nie byli, rzucali dziwnym slangiem i nosili zwisające spodnie niczym raperzy, których oglądali w telewizji. Właśnie oni udawali się tam, gdzie ja, co powinno być dla mnie sygnałem, że należy wsiąść na rower i wracać, ale zamiast tego wyjęłam z torebki bidon i dokończyłam szkocką. Jestem przestępczynią, wspomniałam. Szukają mnie gliny. Mam szlaban, zwiłam, aczkolwiek za przyzwoleniem rodzica, jestem niebezpieczna.

Im więcej piłam, tym łatwiej było mi w to uwierzyć.

Byłby to najmilszy dom, do jakiego kiedykolwiek zawitałam, gdyby nie został tak ewidentnie porzucony na pastwę losu. Opuszczano go chyba w pośpiechu: przez pozostawione na swoich miejscach stoły i dywany, mimo tłumy ciał kłębiącego się przy fatalnej muzyce, wionęło tu Pompejami. Dom miał niegdyś mieszkańca, lecz ten umknął naprędce, przygotował łyżeczkę do śniadania i poranną gazetę, wybiegł przez drzwi i zatrzymał się dopiero wtedy, gdy to coś, co nadciągało, nie mogło mu już zagrozić. Coś złego.

Nikki Drummond czekała w przedpokoju niczym szacowna nestorka posiadłości.

– Naprawdę? Hannah Dexter? Zaszczycasz nas swoją obecnością.

– Naprawdę. Obecna.

– Myślałam, że już zdążyli cię posłać do akademii wojskowej. Albo przynajmniej założyli ci szlaban.

Za mało jeszcze wypiałam, żeby na nią splunąć, przeniosłam więc uwagę na śliniącego się u jej boku mięśniaka. Marco Speck był cieniem Craiga, a teraz najwyraźniej chciał zostać jego następcą.

– Uważaj – ostrzegłam go. – Poprzedni musiał wpakować sobie kulkę w łeb, żeby się od niej uwolnić.

Popatrzył na mnie, jakbym znienacka jej przyłożyła.

– Jezu, Dex... To było nieczułe.

Byłam nieczuła.

Nikki tylko się uśmiechnęła. Podała mi drinka, którego bezzwłocznie wychyliłam, myśląc, że może to koniec, może jesteśmy kwita. Potem pchnęła ku mnie Marca, mówiąc, że na siebie zasługujemy i że jeśli mam zamiar narobić sobie wiochy, nie będzie mi w tym przeszkadzała. Kiedy powiedział, że przez te cycuszki ledwie mnie poznał, i dodał: „Nie no, łał!”, jedną ręką popieściłam swój dekolt, drugą zaś zawinęłam w jego rozpiętą na piersi koszulę, ponieważ Nikki się przyglądała. Może Lacey by mi doradziła: „Nie bądź taka jak oni”, ale z drugiej strony mówiła też: „O co tyle hałasu?”, „Na co czekasz?” i „Co za pieprzenie, tak wybrzydzać w kwestii pieprzenia”, zresztą wszystko jedno, i tak jej tutaj nie było. Drink smakował cytryną, cukrem i ogniem, Marco – orzeszkami. Jego oddech w moim uchu przypominał wiatr podczas jazdy na rowerze, zbieganie ze wzgórza w podmuchach letniego powietrza, „pozwolenie na to”. Potłuczone szkło chrzęściło nam pod stopami, wszystko chropowate, lepkie, pokryte brudem, jak dla mnie zapach seksu, taki, jak go sobie wyobrażałam: dym, zaschłe piwo, gnijący owoc. Łomotała muzyka, hardcore’owy rap. Napór nieznajomych robiących to, co nieznajomi robią po ciemku.

Marco possał moją szyję. Ręce Marca znalazły się w moich dłoniach, potem w majtkach, przyciskał się do mnie, pierś przy piersi, krocze przy kroczu w tym, co uchodziło za taniec, czułam na sobie jego twardość i prawie uwierzyłam, że mogę to zrobić sama, bez Lacey, poddać się żądaniu nocy, cisnąć się w jej żywe, bijące serce.

„Kurwa, co ty wyprawiasz?”

Pomyślałam, że odezwała się w mojej głowie, ale i tak odpowiedziałam na głos:

– Zamknij się!

– Niedoczekanie.

Nie mówiła w mojej głowie. To była Lacey, naprawdę ona, stała za mną, obejmowała mnie w talii, odciągała od Marca i jego gorącego potu, pchała między ciałami po schodach do dziecięcej sypialni, do smutnego zoo, korowodu odklejających się od ściany zwierzątek.

– Dex, kurwa! Co jest?

Nie była ubrana na imprezę. W białej żonobijce i spodenkach gimnastycznych w ogóle nie była ubrana na cokolwiek. Bez glanów, zero makijażu. To było najdziwniejsze: Lacey w tenisówkach.

– Nawet nie wiedziałam, że masz tenisówki – odrzekłam.

– Upiłaś się?

– Zaczęłam bez ciebie.

I już ją obejmowałam i mówiłam, jaka jest do dupy, że mnie wystawiła, ale wreszcie tu jest, tenisówki nie tenisówki, „Teraz wszyscy tańczymy”, to akurat wyśpiewałam, chwyciłam ją za przeguby i pomachałam w powietrzu jej rękami.

Potrząsnęła mną.

– Przetrzeźwiej, Dex! Co ci strzeliło do głowy?

– Uwielbiasz mnie pijaną.

– Jak pijesz ze mną. Kiedy mogę cię pilnować.
– Spóźniłaś się – powiedziałam i oderwałyśmy się od siebie. – W dodatku jesteś nie tu, gdzie miałaś być.
– A ty wpychasz język w Marca Specka. Obu nam nie idzie tej nocy.

– Lacey, Laaaaaaaaacey. Rozchmurz się! Jest imprezka!
– Kurde, muszę z tobą porozmawiać!
– A tak, zemsta – powiedziałam. Czynne non stop. – Zemsta. À la Monte Christo. No to jazda z tym koksem. Co masz?

– Co?
– Nikki Drummond. Mówiłaś, że masz plan doskonały. No to wal i niech to będzie czegoś warte.

– Bo mogłabyś być w jakimś lepszym miejscu?
Na przykład w majtkach Marca Specka? Już ci na to pozwalałam.

W tym momencie wróciłabym na imprezę, może nie po to, aby zerznąć Marca Specka, ale przynajmniej żeby się postarać, tyle że Lacey stanęła w drzwiach.

– Świetnie – powiedziała. – Szukasz zemsty? Plan jest taki: spalimy tę budę na popiół. I to już.

Wyjęła zapalniczkę. Nie wiedziałam, po co jej zapalniczka, dlaczego ją zapala i przysuwa do jednej z dziecięcych poduszek. Wpatrywałyśmy się w płomienie jak zahipnotyzowane.

– Chryste!

Wytrąciłam jej poduszkę z dłoni i zaczęłam deptać ogień, mocno, rozpaczliwie. Nie biegnij, padnij, tarzaj się, przeszło mi przez głowę razem z tymi wszystkimi pełnymi grozy nocami czwartoklasistki po pożarze domu Jamiego Fultona, kiedy to szkoła przysłała nam spis potrzebnych rodzinie ubrań, zawierający pozycję „bielizna dziewczęca, rozmiar mały”. Gdyby mój dom spłonął, moje ubrania obróciły się w popiół,

a inne dzieci w szkole dostały czarno na białym potwierdzenie, że potrzebuję ich zbędnej „dziewczęcej bielizny, rozmiar mały”... Uznałam, że lepiej zginąć w ogniu.

Płomienie zgasły. Jeśli trzeba coś zdeptać, nie ma jak martensy.

– Chcesz nas pozabijać?!

– Dom się spalił i jaki mamy efekt? Impreza Nikki, wina Nikki, całe miasto o tym wie. – Z twarzy Lacey wycierała jakaś dzikość, jakby naprawdę to zrobiła, jakby wciąż chciała to zrobić, bylebym się zgodziła. – To byłby jej koniec. No i pomyśl o ogniu, Dex! Środek nocy, płomienie. Czysta magia!

– Od kiedy to jesteś cholerną piromanką?

– Poznałaś plan, Dex. Wchodzisz czy nie?

– Albo naprawdę ci odwaliło, albo uważasz to wszystko za jeden wielki żart. Tak czy inaczej, pierdol się. – Wyrwałam jej z ręki zapalniczkę. – Ją sobie zatrzymam.

Rozległ się słaby śmiech.

– Przecież bym tego nie zrobiła. Jezu, Dex, trochę poczucia humoru!

Wierzyłam jej. Nie wierzyłam jej. Wnikanie w to mnie zmęczyło.

– Chciałam się tylko upewnić, że w mojej Dex zostało trochę Hannah – wyjaśniła. – Co by się ze mną stało bez tego głosiku ostrzegającego: „Nie, nie rób tego, Lacey, to niebezpieczne”? – Naśladowała mnie żalonym, piskliwym głosem, jak urzędnik bankowy odrzucający wniosek o kredyt.

– Nie robię za twoje pieprzone sumienie.

Wtedy musiała spostrzec, jaka jestem zła, pijana i jak bardzo mam dosyć.

– Daj spokój, Dex, no co ty, przecież żartowałam.

Przepraszam. Słuchaj, to wszystko było błędem. Ta impreza, ten

tydzień. Wymażmy to. Zaczniemy od nowa. Tym razem na serio. Do szczętu spalmy nasze życie. – Zanim zdążyłam się sprzeciwić, uciszyła mnie podniesieniem ręki. – To była metafora. Tym razem naprawdę to zrobimy, Dex. Ucieknijmy na zachód, jak planowałyśmy.

– Teraz? Zaraz?

– Czemu nie?

– Mam szlaban – przypomniałam jej.

– W tym rzecz. Jak twoja matka dowie się, że tu byłaś, będziesz miała szlaban przez całe życie. Jebać ją. Jebać ich wszystkich. Ruszajmy, Dex. Mówię poważnie.

– Tej nocy.

– W tej chwili. Proszę.

Przez jedno uderzenie serca wierzyłam jej i rozważałam to. Wskoczyć do buicka, wycelować w horyzont. Zacząć od nowa. Czy potrafię być dziewczyną, która wszystko zostawiła i odeszła? Czy potrafię być Dex, nareszcie, na zawsze?

Czy potrafię być wolna?

Jedno uderzenie serca. Z wybiciem następnego znienawidziłam ją za chwilę wiary w tę możliwość, bo czymże mogło to być, jeśli nie kolejną próbą, jakimś szalonym wyzwaniem, które powinnam zdławić w zarodku, bo – czyż właśnie tego nie przyznała? – takie było moje zadanie. Ja, zmoczony koc dławiący ją, ogień.

– Starczy tych bzdur – rzuciłam. – Wracam się bawić.

Gwałtownie pokręciła głową.

– Nie. Dex, musimy ruszać.

– Lacey, jeśli chcesz pomknąć ku zachodzącemu słońcu, nie krępuj się. Nie zamierzam cię powstrzymywać. Zamierzam wypić kolejnego drinka. Zamierzam się bawić.

– Nie musisz w ciągu pół minuty podejmować decyzji

o wyjeździe na dobre. Przepraszam, poniosło mnie. – Ujęła mój nadgarstek, ścisnęła mocno. – Ale przynajmniej stąd się wynieśmy. Proszę.

Powiedziała to po raz drugi tej nocy i prawdopodobnie od kiedy ją poznałam. Odprawianie jej z kwitkiem nie powinno być aż takie przyjemne.

– Idź, ja zostaję.

– Nie zostawię cię tu samej.

Wtedy zrozumiałam. Nie chciała, żebym była Dex nieokiełznaną, Dex wspaniałą. To była jej rola. Ja miałam być przydupasem. Trzymać gębę na kłódkę i wykonywać polecenia, okręcać się, podskakiwać, robić sztuczki jak tresowana foka. Słuchać się i przyklaskiwać w odpowiednich chwilach. Miałam zostać ukształtowana nie na jej obraz, ale na coś niższego.

Czy potrafię być dziewczyną, która odeszła?

– Proszę, idź – powiedziałam.

– Pilnowanie cię to nie mój obowiązek – powiedziałam – i *vice versa*.

– Mam gdzieś, co będzie dalej – powiedziałam.

Może nareszcie to ja poddawałam ją próbie. Może kłamałam, a może nie.

Lacey uwierzyła.

Wyszła.

Sztuka: tańczyć, jakby nikt nie patrzył. Albo jakby wszyscy patrzyli, podrygujące białe ciało, gdy przyciskasz się do džinsu, poliestru, mięśni wyrobionych dzięki lacrosse i pulsujących kutasów. Wić się w martensach i szarpać do umc-umc-umc hipopowej nawałnicy, pozwolić dłoni na przedostanie się przez cienki bawełniany ściągacz i wetknięcie palca w twoje gorąco

i wilgoć. Objąć najbliższe ciało, przycisnąć usta do szyi, karku, krocza, śmiać się z i głośniej niż, a jeśli będzie fajnie, zrobić to. Położyć na sobie ręce, głaskać się i pocierać, rozjęczeć. Zastanowić się, spojrzeć na te twarze, moich przyjaciół, na ich miłość i mnie jaśniejącą. Nie zastanawiać się. Okraczyć coś, krzesło albo ciało, opaść na nie, jazda, kowboju, ujeżdżaj ostro, gdy leją ci piwo na głowę, a ty wznosisz twarz ku strumieniowi, wystawiasz język na rozprysk goryczy, a potem, ponieważ o to wołają, zliź je z siebie, z ciała, z podłogi. Zarejestruj żar ciała, szalejący w głębi ogień, słony pot i słone łzy. Rozetnij dłoń o ostry odłamek stłuczonego szkła i wysmaruj się krwią. Niech podłoga opadnie, horyzont niechaj wiruje. Ssij skórę, wiruj w miejscu, wyrzuć ręce w górę. Na tym polega imprezowanie, jakby po prostu miało się wszystko gdzieś.

Kiedy Lacey po raz pierwszy zasznurowała na mnie gorset, obróciła mnie do lustra i kazała się przyjrzeć.

„Popatrz na siebie”, powiedziała. „Jakbyś się w nim urodziła”.

„Teraz widzisz, Dex?”, zapytała.

Widziałam: dziewczęca twarz pomalowana na ostre kolory, usta zaciśnięte w kpiarskiej przekorze. Dekolt rodem z romansu i czarna koronka. Włosy z pasmami lodowego błękitu i skórzane bransolety szepczące: „Zwiążże mnie, trzymaj mnie”.

„Popatrz na siebie”, poleciła Lacey, ale żadnej mnie nie było.

Pomyślałam: „Wyglądam jak ktoś zupełnie inny. Ależ ona piękna...”.

– Ej, ty, dziewczyno. Obudź się!

Zrobiłam, co umiałam najlepiej, czyli wykonałam polecenie i obudziłam się powoli, boleśnie, z niesmakiem w ustach, pulsującą głową i wrażeniem otchłannej pustki, jakbym nie jadła od wielu dni, choć na samą myśl o jedzeniu wszystkie narządy pragnęły wyrwać mi się z ciała i utworzyć ohydny kałużę u mych stóp. Obudziłam się, klnąc i mrużąc oczy, pragnąc, by ktoś wyłączył słońce. Poda mną roślinność, dzinsy i koszula mokre od potu. Dziwna koszula. Cudza.

Obcy krajobraz: przestrzeń nieskoszonego trawnika, suchy basen, szpaler drzew. Poszarzała biel ścian, wybite okna, zaśmiecone patio, pogniecione puszki po piwie.

Mężczyzna szturchający stopą moje udo, twarz głęboko w cieniu, złota odznaka połyskująca w porannym blasku.

– Dość tego. Wstawaj natychmiast!

Kiedy mnie dotknął, wrzasnęłam.

O mały włos ponownie nie odpłynęłam, z wysiłku, a także dlatego, że zakolebał się świat, gdy mężczyzna podciągał mnie do pionu. Potem jazgot jego słów: ochroniarz, wtargnięcie i śmieci, śmieci, śmieci, powtarzał to w kółko, ale niejasne było, czy miał na myśli puste puszki, potłuczone szkło i zużyte prezerwatywy, czy po prostu mnie.

Impreza dawno się skończyła, wszyscy sobie poszli. Zostawili mnie samą. Porzucili z odpadkami.

W pozycji stojącej zachlupotało mi we wnętrznościach. Myślenie przychodziło z trudem, jak raczkującemu bobasowi utrzymanie się na pulchnych nóżkach.

– Wsiadaj – powiedział, a ja zobaczyłam drzwi, przymocowanego do nich sedana, obite skórą tylne siedzenie i na samą myśl o jeździe samochodem zapragnęłam umrzeć.

– Mam rower – odpowiedziałam.

Roześmiał się psim śmiechem.

– Jest pan gliną? – zapytałam. – Aresztuje mnie pan?

– Po prostu powiedz, gdzie mieszkasz.

Nie wsiadaj do samochodu z nieznajomym, pomyślałam, spytałam, czy chociaż ma cukierka, i teraz to ja się śmiałam.

Może wciąż byłam pijana.

Nie podawaj nazwiska, numeru i stopnia służbowego, powiedziałyby Lacey. Zero dokumentów, zero adresu, zero konsekwencji. Musiałby porzucić mnie na poboczu, a ja mogłabym się przespać.

Nie pamiętałam tej nocy.

Niewystarczająco.

Pamiętałam zbierające mnie ręce, unoszenie się na cudzych ramionach, żyrandole nad głową, po nich gwiazdy, śmiech, ale nie mój. Palce ciągnące za suwaki i koronkę, głos mówiący: „Połóżcie ją tutaj”, drugi: „Odwróćcie ją, bo się udusi we własnych rzygach”, wszystkie naraz skandujące: „Rzy-gaj, rzy-gaj, rzy-gaj”, moją dumę tresowanej foki, gdy wykonałam komendę.

Bolało mnie wszystko, ale nie jakieś konkretne miejsce. To wydawało się ważne.

– Miejże trochę godności – powiedział mężczyzna, gdy już podałam mu adres i gdy przeprowadził mnie, z przerwą na wyrzyganie tego, co jeszcze we mnie zostało, przez podwórko. – Jeśli będziesz się zachowywać jak ulicznica, będą cię traktować jak ulicznicę.

Dostarczył mnie pod drzwi, które otworzyły się z impetem na pierwszy dźwięk dzwonka, jakby rodzice czekali. Oczywiście dotarło do mnie powoli, że czekali. Słońce wzeszło. Byłam zaginiona. Miałam wrażenie, że nadal jestem.

Glina okazał się ochroniarzem na budowie. Deweloper nie

wniesie oskarżenia.

– Ale następnym razem nie będziemy tacy wspaniałomyślni.

Matka była jak ze stali.

– Nie będzie następnego razu.

– Na pewno nie chce pan zabrać mnie do więzienia? – zapytałam nieglinę. Mój mózg wszedł na bieg umożliwiający uśmiechanie się. – Tam mogłabym mieć łatwiej.

Potem znów targnęły mną torsje. Ale nie zostało już nic.

Gdy odjechał, rodzice zamknęli za nami drzwi i zaczęła się długa seria uścisków. Próbowałam się odezwać, co zapewne wyglądało, jakbym zamierzała się wytłumaczyć, podczas gdy ja chciałam tylko powiedzieć: „Błagam, ostrożnie” i „Czy ktoś mógłby wyłączyć światło?”, ale matka ucięła tak stanowczym „nie!”, że na tym się skończyło, potem mocno mnie przytuliła, następnie przyszła kolej ojca i całe wieki tkwiłam w objęciach ich miłości, co prawie wystarczyło do utrzymania mnie na nogach.

– Umyj się – powiedziała potem matka. – Cuchniesz jak wysypisko miejskie.

– Prześpij się – powiedział ojciec. – Porozmawiamy później.

Wciągnęłam się po schodach. Miewałam już kaca, ale ten był odmienny jak New Coke, inny i jakże niewłaściwy. Zamknęłam się w łazience, puściłam wodę z prysznicą, odczekałam, aż się nagrzej, aż powróci do mnie noc.

Chciałam być czysta. Chciałam spać. Wiedziałam, że czeka mnie wyczerpujące rodzinne przesłuchanie, pouczenia i połajanki, że nie było mnie całą noc, że tak się martwili, że znów stracili do mnie zaufanie, a ja będę musiała to znieść, wiedząc o rozpaczliwej nadziei ojca, że go nie wydam, że jeśli

nie pisnę o tym, jak puścił mnie na imprezę, znajdzie sposób, żeby mi to wynagrodzić. Tak czy inaczej, znów dostanę szlaban. Oczywiście nie będzie obejmował szkoły, więc będę musiała stanąć twarzą w twarz ze wszystkimi, którzy widzieli, jak tracę nad sobą kontrolę, którzy wiedzą, co robiłam, cokolwiek to było. Rozlegną się szept, rozejdą plotki, które będę musiała ignorować, opowieści o tym, kto i co, a ja wbrew woli będę się im przysłuchiwała w próbie poskładania w całość fragmentów tamtej nocy. Będę głównym tematem, będę pośmiewiskiem, będę tym czymś, co zostawili na dworze ze śmieciami. To wszystko wiedziałam.

Nie mogłam natomiast wiedzieć, że redakcja lokalnego czasopisma zamieści nadesłany przez jakąś „oficjalnie zgorszoną” starszą panią list, dotyczący rozhasanych panien i szkodliwego współczesnego klimatu moralnego, idealnie uosobianego przez pijaną nimfomankę, którą półnagą i nieprzytomną znaleziono przed dawnym domem Fosterów, i choć w liście imię dziewczyny nie padnie, mój życzliwy ochroniarz zdradzi je swoim najdroższym i najbliższym i już wkrótce pół miasta będzie nazywało mnie dziwką, oczy sąsiadów skupią się na moich rodzicach, ich dzieci, wkurzone drakońskimi nowymi godzinami policyjnymi i regułami, obwinia mnie o wszystkie sposoby, na jakie mają przejebane, i nawet nauczyciele będą patrzeć na mnie inaczej, jakby widzieli mnie nagą. Nie mogłam wiedzieć, że stanę się sławna, Maria Magdalena z Battle Creek, że nie będę miała osobistego zbawcy, nikogo, kto ocaliłby mnie przed własną wyrodnością, nie licząc osądu miasta, „dla mojego własnego dobra”.

Nie mogłam wiedzieć, że będę przez to przechodziła sama. Że kiedy zadzwonię do Lacey, by opowiedzieć, co się wydarzyło, przeprosić bądź zaczekać na przeprosiny albo po

prostu siedzieć przy telefonie, dopóki nie rozkleję się i nie zacznę płakać, jej już nie będzie. Że spakowała się w środku nocy, dokładnie tak, jak obiecała. Że byłam zdana na siebie, ponieważ kazałam jej odejść, a ona odeszła.

Tego nie wiedziałam.

Kiedy więc rozebrałam się do naga w łazience, spojrzałam na siebie i zobaczyłam rzeczy, które wypisali mi niezmywalnym markerem na całym ciele, słowa nakreślone na moim brzuchu, piersiach i tyłku, etykiety, które nie zejdą, choćbym nie wiem jak mocno tarła, odręczne pismo, którego nie rozpoznawałam, ale widziałam, że nie należało do jednej tylko osoby: „zdzira”, „suka” i „dajka”, a także, zgrabnie tuż pod pępkiem i ze strzałką skierowaną w dół, „tu byliśmy”, pomyślałam: „Lacey”.

Lacey mnie ocali.

Lacey mnie pomści.

Lacey mnie obejmie i wyszepcze magiczne słowa, dzięki którym wszystko obróci się na dobre.

Weszłam pod prysznic, osunęłam się na ścianę i przyglądałam lśniącym w wodzie słowom, którymi obce ręce poznały nagą skórę, kiedy spałam. Cudze ręce rozbierające mnie, naciągające figi na uda, puszczone stanik bez ramiączek, żeby z trzaskiem wrócił na miejsce, sznurujące gorset. Wcześniej: cudze ręce robiące różne rzeczy. Cudze usta, cudze palce, cudze fiuty, całe ich mnóstwo, ja zaś, gdy oblewała mnie parująca woda, usiłowałam sobie przypomnieć, co zrobiłam, na co pozwoliłam, kim stałam się tej nocy. Parzyła mnie woda, paliła mnie skóra, a ja wciąż wierzyłam, że jakoś to zniosę, ponieważ wkrótce pojawi się przy mnie Lacey i nie będę sama.

LACEY

Więzy krwi

Bydlak wszystko spalił. W jebanym ogniu. Jak naziol.
– Heil chuj Hitler! – rzuciłam, a on przystanął na czas potrzebny, by zdzielić mnie w twarz, niezły ostry cios, od którego zadzwoniło mi w uszach, ale po którym, co oboje wiedzieliśmy, nie zostanie ślad. Następnie Herr Bydlak podszedł do własnoręcznie roznieconego stosu, ja zaś plułam, wrzeszczałam i dławiłam się zapachem roztopiającego się w płomieniach Kurta. Plastikowe okładki zwijały się w ogniu, płomienie wyjadały Kurtowi oczy, Nietzsche i Sartre szli z dymem. Byłoby *cool* – bardzo w stylu Seattle, bardzo w stylu Kurta – gdyby nie fakt, że chlapiący benzyną Bydlak unicestwiał całe moje życie. No i matka. Schowana w kuchni pichciła pewnie cukierki ślazowe i razowe krakersy, żeby Bydlak mógł se jedno drugim na zgliszczach świata przełożyć.

Dlatego się spóźniłam, kiedy miałam zabrać cię na imprezę, Dex. Moja, och, jakże niewybaczalna zbrodnia! Bydlak znalazł moją *Biblię Szatana* i rozum mu odebrało. Nawet nie potrafisz sobie tego wyobrazić, Dex, zapewniam cię. Nie wątpię, że w twojej wyobraźni, filmie bez ograniczeń wiekowych, starzy trują, wściekają się, zakładają tygodniowy szlaban, a potem wszyscy jedzą spaghetti na kolację i idą spać.

Nakreślę ci obraz, Dex. Życie według Lacey. Ja rozczochna po wyjściu z łóżka, w króciutkich spodenkach, z sutkami sterczącymi na baczność, a on nawet nie patrzył, tak bardzo zahipnotyzował go jego bezcenny ogień. Ja też nie

mogłam oderwać wzroku, płomienie pożerały każdą piosenkę, każdą stronicę, wszystko, co składało się na mnie, co dawało mi wytchnienie od tego zasranego życia. Czy tak czułaś się tamtej nocy, Dex, kiedy twoja matka znalazła te durne puszki farby, kiedy cię skrzyczała, biedactwo ty moje, i odebrała przywileje telefoniczne? Czy zrobiło ci się zimno w środku, jakby noc była skutą lodem sadzawką, czy miałaś poczucie, że wystarczy odrobina nieuwagi, a powierzchnia się załamie i opadniesz w głąbinę? Czy czułaś odrazę do własnego ciała, które zdradzało cię dygotem i gęsią skórką, do cichego, żalosego poskrzekiwania i jęczenia, które wydawałaś zamiast słów? Czy myślałaś: „Jestem ponad to”? Czy myślałaś: „Teraz jestem całkiem pusta, teraz już nic mi nie zostało”?

Nie, nie myślałaś. Bo tobie coś zostało. Ja.

Dzień, w którym zginęła muzyka. To powinna być metafora, nie show na żywo na moim podwórku, nalana twarz Bydlaka czerwona od blasku, tańczące w jego oczach miniaturowe płomienie, ręce cuchnące benzyną, diabeł we wsuwanych półbutach i garniturze z poliestru. Przyszły mi na myśl te zawodzące wdowy w Indiach, które rzucają się na stos pogrzebowy, bo po co dalej żyć, skoro jedyny powód istnienia stał się słupem dymu. Pomyśl o tym: odchodząca skóra, nagie mięśnie i perłowe kości, ciało stopione z plastikiem, wszystkie my popioły razem.

– Wstąpił w ciebie diabeł – powiedział Bydlak, gdy wepchnął mnie w kąt sypialni i zmusił do patrzenia, jak ją roznosi. – Wypędzimy go z tego domu ogniem, a potem ogniem wypędzimy go z ciebie.

Obie mamy naszego Jamesa. Mojego przyszywanego tatę

i twojego prawdziwego. Z tym że „przyszywanym” określa się gościa, który przekupuje cię sztucznymi perłami i cedekami Amy Grant, który nie skończy z pytaniami „Jak ci minął dzień?”, „Których nauczycieli najbardziej lubisz?”, „Dasz mi szansę udowodnienia, że potrafię cię kochać?”.

Bydlak udawał, że jest dla mnie miły, dokładnie tyle czasu, ile zajęło mu wskoczenie w majtki mojej matki. Twój James to inna para kaloszy. Twój Jimmy Dexter. Twój kochany tatko.

To zupełnie inna bajka, czyż nie?

Zdarza się, że ukrywam przed tobą pewne rzeczy, Dex, ale to po to, żeby cię chronić. Taka jest prawda: nie chciałam, żeby do tego doszło. Banalne, ale celne: kopnij piłkę, a potem zapytaj ją, czy chciała lecieć. Każda akcja wymaga równej, przeciwnie skierowanej reakcji. Nie możesz winić przedmiotu miotanego siłą inercji, nie możesz winić mnie, objijającej się we flipperze życia.

Kupujesz coś z tego?

Dobra, spróbujmy tak: moja matka i Bydlak mieli rację. Jestem nierządnicą Battle Creek. Mam w sobie diabła. Robiłam straszne rzeczy, ale to nie jest jedna z nich.

Mam dla ciebie kolejny banal: do niczego nie doszło. To powinno mieć jakieś znaczenie.

Pierwszy raz. Wczesna wiosna, cudowny poranek, jeden z tych, przez które łatwo się nabrać, że zimy wcale nie było, a lato nie okaże się do dupy. Drzwi się otworzyły, ledwie zdjęłam palec z dzwonka. Jakby na mnie czekał.

– Czy Dex może wyjść się pobawić?

– Dex nie ma w domu. – To było pierwsze, co polubiłam w twoim ojcu: sposób, w jaki nazywał cię Dex. Nie jak twoja matka, rozsiewająca wokół „Hannah to”, „Hannah tamto”, w dodatku tym nosowym głosem, jakby naprawdę chciała powiedzieć: „Nie dostaniesz jej, jest moja”. – Matka zabrała ją na zakupy do second-handu. Wielkie czyszczenie magazynów, same megaokazje, jak słyszałem.

– Brzmi ekscytująco – odparłam.

– Na kolanach błagałem, żeby mnie zabrały.

– Kto by nie błagał?

Uśmiechnął się szeroko. Jakbyśmy byli przyjaciółmi.

– Historia mojego życia. Wiecznie pominięty.

– Życie to nie je bajka.

– A świat jest okrutny.

Miał na sobie kolorowy sweter i sprane dżinsy, a jego czarne włosy przypominały zapuszczony trawnik, jakby dopiero wstał, choć było już południe. Podbródek pokrywał mu zarost, w kąciku oka miał małego śpioszka. Ja włożyłam czarne legginsy, a na nie szorty z obciętych dżinsów (te, o których mówiłaś, że mam w nich stalowe poślady) i top, w którym widać mi było cycki już centymetr powyżej sutków. Gdyby pofatygował się spojrzeć, mógłby mieć niezłe widowisko. Ale nie należał do tego typu ojców.

– To ja już chyba pójdę.

– Tylko nie wpakuj się w kłopoty. – Przemyślał to. – No, przynajmniej nie w za duże.

– Szkopuł w tym... – zaczęłam i być może zaczerpnęłam głęboko powietrza i zatrzymałam je w płucach, bo jakoś chciałam, żeby popatrzył.

Szkopuł tkwił w tym, że nie mogłam wrócić do domu.

W tym, że Bydlak znalazł moje prezerwatywy.

Dlatego cię szukałam, Dex. Chciałam, żebyśmy pojechały nad jezioro, gdzie zanurzę się w lodowatej wodzie, aż zaboli tak, bym zapomniała. Nie moja wina, że nie było cię, kiedy cię potrzebowałam.

– Szkopuł w tym...? – powtórzył twój ojciec, gdy nie dokończyłam.

– ...że... – Nie płakałam ani nic. Robiłam to, co Lacey, opierałam się o framugę, jedną ręką wsuniętą do tylnej kieszeni spodni trzymałam się za tyłek, a spojrzenie miałam utkwione w jego domowych butach. Brudne niebieskie trampki, oba niezasnurowane. Właśnie to mnie ujęło, te sznurówki. Jakby nie miał nikogo, kto uratowałby go przed upadkiem. – Ma pan niezawiązane buty.

Wzruszył ramionami.

– Tak lubię. – Wyszedł na zewnątrz, robiąc mi miejsce. – Może wejdiesz? Napijesz się czegoś?

Piliśmy gorącą czekoladę. Tym razem jeszcze bez dodatku whisky.

Z kubków unosiła się para. Wpatrywaliśmy się w siebie. Uśmiechnął się tatusiowym uśmiechem.

– No to jaki wyrok, Blondie?

Gdybyś kiedykolwiek usłyszała, że tak na mnie mówi, popatrzyłabyś na mnie nic niepojmującym wzrokiem, na te moje czarne włosy, i musiałabym opowiadać ci o Debbie Harry przy mikrofonie, o *Heart of Glass* i że w sumie mój styl to raczej Runaways, no ale Joan? Co to za ksywka? Zresztą i tak najbardziej liczyło się to, że potrafił dostrzec we mnie dziewczynę, którą byłam, która powinna mieć mikrofon do pieszczenia językiem, gitarę do roztrzaskania i scenę do postawienia w ogniu, że spojrzał na mnie i zrozumiał. Ale nie musiałam ci nic wyjaśniać, bo oboje bez uzgadniania

wiedzieliśmy, że to nie dla ciebie.

Ta ksywka była naszą pierwszą tajemnicą i kolejnym punktem wspólnym. Lubiliśmy nadawać rzeczom sekretne nazwy. Wiedzieliśmy, że jest w nich moc.

– Jak ci się podoba nasze miasteczko?

– Jest do dupy – odparłam.

– Ha, ha. – Nie był to śmiech, raczej przyznanie, że o śmiech aż się tu prosi.

– Ale Dex lubię – dodałam.

– Mądra dziewczyna. Piękno i intelekt. Pochwalam.

Gdyby był kimś innym, zwykłym facetem, nie tatą, albo gdyby chociaż był jak większość ojców, uznałabym to za sygnał, obdarzyła go mym uśmiechem żmii, dopiła napój i jednym przeciągłym ruchem języka zlizwała czekoladowe wąsy.

– Dziękuję, panie Dexter – odpowiedziałam.

– Muszę ci wyznać, że złamałaś mi serce. – Przycisnął rękę do piersi. – Dzięki tobie Dex wreszcie odkrywa muzykę, czyli...

– ...czyli nie ma za co.

– ...czyli dzięki tobie wyrabia sobie niepokojąco kiepski gust.

– Uważaj, staruszkule, zaczynasz gadać, jak przystało na twój wiek.

Poderwał się, nogi fotela zazgrzytały, a ja pomyślałam, że po ptokach. Przegięłam. Zwłaszcza że wymknął się z pokoju i zostawił mnie na pastwę rozważań, czy nie powinnam już wyjść, obdarzona zaufaniem, że nie wyniosę sreber.

Wkrótce wrócił z płytą w dłoni. Zdążył też zmienić koszulę.

– Kasety mnie nie interesują – oznajmił. – Nie dość wiernie rejestrują dźwięk. – Podał mi album. – Spróbuj jeszcze raz nazwać mnie staruszkulem. Od razu dupa za drzwiami. – Wyglądał

na dumnego z siebie, że przeklął, niczym osesek chwalący się kupą.

– Dead Kennedys?

– Znasz ich?

Wzruszyłam ramionami. Przynajmniej tyle nauczyłam się od Shaya: nigdy nie przyznawaj się do niewiedzy.

– Weź ją do domu. Odsłuchaj przynajmniej dwukrotnie. To rozkaz!

– Powaga?

Wiem co nieco o maniakach muzyki i ich kolekcjach płyt, Dex. Nie pożyczają byle komu swoich cennych dóbr.

– Powaga – odparł. – A następnym razem przynieś mi coś swojego. Będziemy udawali, że to uczciwa wymiana.

Następnym razem.

Tak to poszło, Dex, i trwało dalej. Gadaliśmy o muzyce. Gadaliśmy o nim.

Wiesz, że w wieku szesnastu lat rzucił na rok gitarę i nauczył się grać na perkusji? Chciał być jak Ringo Starr. Nie żeby uważał go za największego z Beatlesów czy coś, ale dlatego że pobożne życzenia i chęci szczerze nie zrobią z ciebie geniusza. Lennonem i McCartne-yem trzeba się urodzić. Ringów tego świata, zdaniem twojego ojca, tworzy szczęście i ćwiczenia w garażu rodziców. Jak dla mnie to marzenie o byciu czwartym z najlepszych było przeurocze.

Siedziałam z nim, aż w kubku zostało mi tylko mleko i rozmoczone grudki swiss miss. Potem podałam mu rękę.

– Dziękuję za gorącą czekoladę, panie Dexter.

– Po prostu rób dalej to, co robisz dla naszej Dex. – Nasza Dex, jakbyś była tylko nam znaną tajemnicą. Odprowadził mnie do drzwi. – I lepiej, żebyś odsłuchiwała tę płytę, młoda damo. Czekam na raport.

Zasalutowałam.

– Tak jest, panie Dexter!

– Dla przyjaciół Jimmy.

Nie Jim, ale Jimmy; sądził prawdopodobnie, że dodaje mu to chłopięcego uroku, ale tak naprawdę sprawiał wrażenie, że przydałby mu się nadzór dorosłych.

– Zostaliśmy przyjaciółmi?

– Przyjaciele Dex są... – odrzekł. – Ciąg dalszy znasz.

To były tylko rozmowy. Nie ma w nich nic złego.

Czasami urywałam się ze szkoły bez ciebie. Twój tata często był w domu w ciągu dnia. Częściej, niż powinien, jak byście pewnie z mamą powiedziały. Nawet za pierwszym razem nie zapytał, co tu robię. Nie zwracaliśmy sobie głowy udawaniem, że przyszłam do ciebie.

– Gorącej czekolady? – zaproponował.

– A może po fajce? – Rzuciłam mu paczkę winstonów light.

Wyszliśmy z nimi na podwórko za domem. Lubiłam wypuszczać dym na mróz, patrzeć, jak staje się mgiełką w powietrzu. Zupełnie jak oddychanie, tylko lepsze.

Zwróciłam uwagę na plamy na jego palcach, na sposób, w jaki postukiwał łyżeczką o usta. Na wypaloną w dzinsie dziurkę na jego lewym kolanie. Potajemni palacze zawsze się rozpoznają. Wieje od nas niezaspokojoną potrzebą, niewysłowionym pragnieniem. Jeśli interesuje cię moje zdanie, to on nawet nie lubi palić. Chyba robi to tylko dlatego, że mu nie wolno.

– Boże – westchnął, wydmuchując dym. – To dopiero coś!

Pierwszy mach zawsze jest najlepszy.

Nauczył mnie robić kółka z dymu. Później, kiedy już lepiej się znaleźliśmy, przypomniałam mu, jak się skręca jointy.

Ale tego dnia paliliśmy na stojąco, oparci o tylną ścianę. Beznadziejnie umeblowane patio z tymi wszystkimi winylowymi kwiatami i pastelowymi podusiami wyglądało na terytorium twojej matki.

– Mogę cię o coś zapytać, Blondie? – Lubił bawić się papierosem, rzeźbić w powietrzu rozżarzoną końcówką. A ja lubiałam na to patrzeć. Męskie ma dłonie ten twój tata. Na tyle duże, żeby koniuszki jego palców owijały się wokół moich, kiedy stykaliśmy się dłońmi. Wyginały się wówczas, jakby nadal chciały oplatać nieistniejącą gitarę. – Pytanie może się wydać niestosowne.

– Panie Dexter, ten etap już chyba mamy za sobą.

– Jimmy.

– Jimmy. – Lubiłam go prowokować, żeby mi o tym przypominał.

– Czy Dex ma... Znaczy, nigdy nie przyprowadziła chłopca do domu, ale to nie znaczy, że... Tak się zastanawiałem...

– Jimmy, pytasz mnie, czy twoja córka ma chłopaka?

– No, ten...

– A może chcesz wiedzieć, czy nie jest lesbą?

– Nie o to mi...

– Czy raczej martwisz się o jej wianek i na co go zarzuci?

– Eee, chyba pogubiłaś się w metaforach, Blondie. –

Uroczo starał się wyglądać na luzaka, choć skóra pewnie na nim pełzała.

– Nie pytaj mnie o Dex.

Tydzień wcześniej byliśmy w Beast, kiedy to tequila z lekka padła ci na mózg i rzuciłaś się na tamtego irokeza, jakby cię opętało. Zresztą rano niczego nie pamiętałaś. Co

wyprawiałaś, do czego dążyłaś, jak na mnie klęłaś, kiedy cię stamtąd wyciągałam, więc jak byś mogła docenić, że zabrałam cię do siebie, otuliłam własną kołdrą, zamiast porzucić na ganku starych, urzniętą, zaślinioną, na pół katatonicznego zdechlaka, niech go sobie rodzice przywracają do życia. Czasami cię oszukuję, Dex, żeby cię chronić i żebyś mogła oszukiwać samą siebie. Nawet nie chcesz wiedzieć, jak leciałaś na tego gostka w Beast. Tak samo nie chcesz wiedzieć, jak na tamtym polu, przy tych tępych wsiokach, ciągnęło cię do położenia łap na siekierze. Nie chcesz wiedzieć, jak się nią zamachnęłaś, jak mocno uderzyłaś, jak śmiałaś się na widok krwi.

Chowam twoje tajemnice za ciebie. Chowam je przed tobą. Nie zamierzałam mu ich wyjawiać.

– Nie interesuje cię, czy ja miałam chłopaka? – zapytałam.
– Czy byłam zakochana i taki tam szajs?

– Ten szajs to nie moja sprawa, Blondie.

– Kretyni, co do jednego. Faceci w moim wieku.

– Nie tylko w twoim – zauważył.

– Sugerujesz, że to ja powinnam przerzucić się na laski?

Nie patrzyliśmy sobie w oczy. Przeważnie tak było. On lubił opierać się o ścianę, chować za okularami przeciwsłonecznymi i wpatrywać w trawnik za domem, jak gdyby wyczekiwał jakiegoś ruchu; taki wzrok jaskiniowca: „To moja ziemia i będę jej bronił”. Dziki, jelenie, zbłąkani listonosze – na wszystko był przygotowany. Ja też skupiałam się na tym nieodległym miejscu, ale kiedy tylko mogłam, posyłałam mu spojrzenie. Czasami się przyłapywaliśmy. Lubiałam, jak się wtedy czerwienił.

– O mężczyznach wystarczy wiedzieć jedno – oznajmił. – To świnię. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi piękna dziewczyna.

– Jimmy, uważasz, że jestem piękna?

– Zrób z tym, co chcesz.

– Nie martw się o mnie – powiedziałam mu. – Wiesz, mam własnego tatę.

– Wiem. – Wówczas na mnie spojrział. – Musi ci być ciężko bez niego.

– Przecież nie umarł.

– Oczywiście, że nie.

Patrzył na mnie, jakby chciał położyć rękę na moim ramieniu. Nie pytaj, skąd ta pewność. Wiem, jak wygląda facet, który chce położyć na mnie łapy.

– Nie odszedł z mojego powodu, jeśli to ci chodzi po głowie.

– Nie chodziło.

– Matka wmówiła mu, że jest zerem. Powtarzaj coś komuś w kółko, a w końcu w to uwierzy.

Zaciągnął się papierosem, wydmuchnął obłok dymu.

– Mam nadzieję, że w to nie wierzysz, Jimmy.

– Słucham?

– Nie pozwól, by ci wmówiła, że jesteś zerem.

Oddawałam ci przysługę. Ktoś musiał mu przypomnieć, że naprawdę istniał, że nie był tylko wytworem wyobraźni twojej matki. Jak już ktoś uwierzy, że go nie ma, to pufff! Pewnego dnia zniknie. To by cię nie uradowało, Dex.

Obie wiemy, że ostatnie, czego chcesz, to stać się taka jak ja.

– Pani Dexter ma ostatnio sporo na głowie – powiedział – a ja nie ułatwiam jej sprawy.

Zrozumiałam, że palnęłam coś niewłaściwego. Dzięki tej „pani Dexter”. Bo przeważnie nazywał ją Julią: „Julia nie znosi, kiedy ja...”, „Julia wpadłaby w szal, gdyby się dowiedziała...”.

– To może ja już pójdę – podsunęłam.

– To może już idź.

Nie obraziłam się za te słowa. Trzeba mieć nasrane w głowie, żeby pozwolić jakiejś obcej lasce obrażać własną żonę. Stać mnie było na wspaniałomyślność, bo nic nie podważało prawdy: byłam jego tajemnicą, nie zdradził jej nikomu. Okłamywał ciebie, okłamywał twoją matkę. Ja byłam jego prawdą. Nie musiało to znaczyć, że mnie kochał najbardziej. Ale coś z pewnością znaczyło.

Mój ojciec już nie wróci, doskonale o tym wiem. Mam z tym problem, jak każda dziewczyna bez ojca, i uwierz mi, że niebłahy. Nawet bez terapeuty zdaję sobie sprawę, że szukam jego substytutu, że opiekun zespołu, z którym odbyłam „niestosowne” spotkanie, i smaźalniany z McDonalda, któremu dałam się obmacać za śmietnikiem, mieli tylko wypełnić dziurę. Dwuznaczność niezamierzona. Co, głodnemu chleb na myśli?

Ale mnie ojciec niepotrzebny, Dex, nie myśl więc, że próbowałam skraść twojego. Po prostu na chwilę go pożyczyłam, uszczknęłam sobie odrobinę.

– Pewnie niedługo mnie wyleją – odpowiedział, gdy raz go zapytałam, dlaczego tak często bywa w domu za dnia. Nie żeby w godzinach popołudniowych kina zbijały kokosy, dogłądanie kina też trudno nazwać normalną pracą, ale zawsze to coś. – Chociaż jeśli chcesz usłyszeć tajemnicę...

– O każdej porze dnia i nocy.

Nachylił się i za smużką dymu popłynął szept:

– Myślę, czy się nie zwolnić.

Plany snuł dalekosiężne: wynalazki (nie miał pojęcia, jak je zbudować), franczyzy (nie miał kasy, żeby w nie wejść), snuł marzenia o reaktywacji kapeli, wygraniu na loterii, zatruciu się

jadem kielbasianym w barze sałatkowym i zbiciu fortuny na odszkodowaniu. To przez niego jesteś marzycielką, Dex, i może dlatego też matka chyba szczególnie za tobą nie przepada.

Powiedziałam, że powinien to zrobić. Że ja bym zrobiła.

– Cóż, nie masz na głowie hipoteki – odparł. – Ani żony.

Zaczynałam podejrzewać, że on też wkrótce nie będzie miał żony.

– Nie powinienem ci tego wszystkiego mówić – rzekł. – Ani słowa Dex. Umowa stoi?

To było obraźliwe. Czy choć raz zdradziłam ci coś, czego nie powinnaś wiedzieć? Na przykład jak oświadczył się twojej matce, bo myślał, że jest w ciąży, a kiedy źródło ich trwogi okazało się wirusem żołądkowym, już się nie wycofał. Nie był alkoholikiem, ale robił w tym kierunku, co mógł. Przetracił twój fundusz na studia na jakimś przekręcie giełdowym, zanim dorosłaś na tyle, żeby się zorientować, i to był ostatni raz, kiedy matka pozwoliła mu zbliżyć się do książeczki czekowej. Lubił ciszę i spokój o drugiej nad ranem, kiedy cały dom pogrążony był we śnie, a on mógł fantazjować, jak by to było, gdybyście obie zniknęły. Czasami nie spał do świtu, wyobrażając sobie, jak wiedzie to bardziej puste życie: komponowanie piosenek, wciąganie koki, ryk silnika na bezkresnej szosie.

– Każą mi brać prochy – powiedziałam, żeby się wykazać. Sekret za sekret.

– Słucham?

Nie powiedziałam mu, że zaczęło się po tym, jak matka znalazła mnie w wannie pełnej różowej wody.

– Wiesz, jak to jest. Robisz jedną rzecz, której inni nie rozumieją, więc panikują i faszerają cię prochami jak jakąś wariatkę codziennie gawędzącą z Jezusem albo buzią księżycą w pełni.

– A w twoim wypadku?
– Noż kurwa, nie widzę rzeczy, których nie ma –
warknęłam.
– Pytałem, czy jesteś jakąś wariatką.
Nie mogłam się nie uśmiechnąć.
– Nie należy nazywać kogoś wariatem. To obelżywe.
Uniósł ręce w geście „raaaaany, przecież nie chciałem”.
– Najmocniej przepraszam. Byłaś szurnięta?
– A tobie by trochę nie odwaliło, gdyby wszyscy nazywali
cię wariatem?

Musiał czuć się samotny w tym domu, w którym nikt nie
potrafił sprowokować go do śmiechu.

– No wsuwam te prochy – ciągnęłam. – Jedną tabletkę
dziennie, żeby utrzymać w ryzach małe mroczne
szkaradzieństwa.

– Pomagają?

Wzruszyłam ramionami. Nie powstrzymały koszmarów.
Nie było mi po nich łatwiej oddychać, kiedy myślałam o lesie.

– Dex o tym nie wie – dodałam.

Zasunął palcami usta i nakreślił X na sercu.

– Jak grób – zapewnił.

– Ale nie... Teraz, gdy już wiesz, że jestem totalnie
porąbana, nie zabronisz mi kontaktów z Dex?

– Myślę, że towarzystwo niektórych porąbanych młodych
ludzi może wyjść jej na dobre – odrzekł.

Jeszcze nie słyszałam, żeby przebywanie ze mną mogło
komuś wyjść na dobre.

– Naprawdę tak sądzisz?

Wysączył ostatnie krople whisky.

– Chyba nie mam wyjścia, co?

Wyciągnęłam rękę.

Ujęłam jego dłoń.

Pozwolił mi ją kilka sekund potrzymać.

– Lacey – powiedział.

– Jimmy – odrzekłam.

Puścił mnie.

– Nie powinienem tego robić – stwierdził.

– Ja to zrobiłam.

Bo tatusiowie właśnie takie rzeczy robią, prawda?

Trzymają za rękę. Przytulają, pozwalają złożyć głowę na piersi, oddychać tatowym zapachem i połaskotać się w nos włosami wystającymi przez dziurę w znoszonej koszuli. Pragnąć tego... Nie, to nie jest porąbane.

No, to tej ostatniej nocy wszystko, co kochałam, obróciło się na podwórku w popiół, Bydlak modlił się za moją duszę nieśmiertelną, kiedy zaś się stamtąd wyniosłam, żeby cię odnaleźć, nie było kogo szukać. Poszłaś beze mnie, w domu był tylko twój ojciec, ożłopany piwkiem i marzący w nocnej ciszy.

Wyszedł do samochodu, chciał wiedzieć, co tu robię, gdzie jesteś, skoro nie ma cię ze mną, i tak się dowiedziałam, że najzwyczajniej w świecie poprosiłaś o pozwolenie. Grzeczna dziewczynka do samego gorzkiego końca. To on złamał zasady, nie ty.

Odjechałabym wtedy – po ciebie – ale zapytał:

– Wszystko gra, Blondie?

Wyglądał na tak przejętego, tak bardzo po tatowemu przejętego, że nie potrafiłam skłamać.

Usiedliśmy na krawężniku.

– Opowiadaj – zachęcił raz, drugi, a ja nie mogłam, bo nie wierzę, kurwa, w pęknięcie tamy.

Tobie też bym się raczej nie zwierzyła, ale tylko dlatego, że gdybyś usłyszała o Bydlaku, o tym, jak umarł we mnie Kurt, jak ja umarłam, pusta w środku i po prostu, kurwa, skończona, miałybyśmy scenę, a ty byś się rozsypała. To ja musiałabym być twardzielką, „Już dobrze, nie płacz, ściśnij moją rękę, choć boli”, i to ciebie trzeba by pocieszać.

Nie winię cię, Dex. Jesteś, jaka jesteś.

Nie należysz do silnych. Siłę muszę mieć ja.

– Nie mogę tam wrócić – powiedziałam.

– Do domu? Co się stało? Mam do kogoś zadzwonić?

– Jezu, tylko nie to! Może... Może zwyczajnie zamieszkał tu z Dex. – Roześmiałam się, jakby to był żart, a on miał minę, jakbym poprosiła, żeby mnie zerznął.

– Żartowałam – uspokoiłam go.

– Zadzwonimy do twojej mamy – zaproponował. –

Porozmawiamy o tym. Znajdziemy rozwiązanie.

– Proszę, nie...

– No dobrze. – Może gdybyśmy nie siedzieli na ulicy, na oczach wszystkich, pogłaskałby mnie po plecach, jak mają w zwyczaju tatusiowie. – W takim razie wejdźmy do środka. Zadzwonię do Julii. Ona będzie wiedziała, co robić.

– Do twojej żony? Która mnie nienawidzi?

– Ależ ona wcale...

– Dex nie wolno się ze mną widywać. Zapomniałeś?

– Jest wzburzona – odparł. – Ochłonie.

– Jasne. Dopiero ochłonie, kiedy się dowie, że jej mąż kumpluje się z miejską dziwką.

– Nie mów tak o sobie.

– Wiesz, co miałam na myśli.

– Lacey...

– Pogódź się z tym, twoja żona mnie nienawidzi. A jeszcze

nawet nie wie o tym.

– Tym?

– Tym. – Jakby chciał, żebym przeliterowała.

– Lacey.

– Jimmy. – Wymówiłam jego imię tak jak on moje, z naciskiem i protekcjonalnie.

– Lacey, co dokładnie twoim zdaniem się tu dzieje?

Prychnęłam.

– To... – Pokiwał między nami palcem, w tę i we w tę. Ja.

On. Ja. – Nie jest żadną tajemnicą. To matka Dex podsunęła, że możesz potrzebować...

– Czego? Nowego ojca? Porządnego rżnięcia?

Odchrząknął.

– Kogoś, z kim mogłabyś porozmawiać.

Zerwałam się na nogi. Pieprzyć go, pieprzyć ich, pieprzyć ciebie, całą klasę średnią w średnim wieku, zadowoloną z siebie, ferującą wyroki, jakże dumną ze swego miłosierdzia wobec nie tak szczęśliwych odpadów.

– Więc to ona cię do tego namówiła? Co, przekupiła cię? Ile obciągnąć warta jest godzina ze mną?

– Hola, zwolnij, Blondie! Usiądź. Wyluzuj.

Jakby mógł sobie wybrać, kiedy być odpowiedzialnym dorosłym. Jakby przejmował się czymś więcej, niż że sąsiedzi usłyszą. Wstał, skoro nie usiadłam jak grzeczny piesek, ale nie mógł spojrzeć mi w oczy, nie kiedy już to przyznał: że byłam dla niego czymś w rodzaju powinności, zwolnieniem z czyszczenia rynien.

– Chyba czas się pożegnać, Jimmy – powiedziałam.

– Słuchaj, z pewnością nie idzie mi najlepiej, ale gdybyś tylko weszła do środka...

– Równie dobrze mogę pożegnać się tutaj, żaden problem –

odparłam, otworzyłam ramiona, a kiedy podszedł, byśmy się uściskali, położyłam mu ręce na barkach, wspięłam się na palce, przechyliłam głowę i pocałowałam go.

Mam gdzieś, że mnie odepchnął, i to mocno, że nic nie powiedział, pokręcił tylko głową, wszedł do domu i zamknął między nami drzwi, że uciekł, kiedy wreszcie zobaczył prawdziwą mnie. Mam to wszystko gdzieś, ale ty mogłabyś się przejąć, bo wiesz, co stało się przedtem? Zanim przypomniał sobie, kim powinien być i jak się zachowywać? Oddał mi pocałunek.

Pojechałam cię znaleźć.

Pojechałam cię znaleźć i zabrać ze sobą, bo nie mogłam już wrócić do domu, a po tym, co zrobiłam, nie bardzo mogłam puścić do domu i ciebie.

Nie mogłam bez ciebie wyjechać.

Od początku taki był plan: jeśli uciekniemy, to razem. Miałyśmy być dwiema częściami jednej całości. Bliźniaczki syjamskie, tylko bez aury dziwolągów. Jeden umysł, jedna dusza. Opowiedziałabym ci wszystko, kiedy byłybyśmy już bezpieczne, w drodze, a przeszłość zgrzytałaby zębami za naszymi plecami. Kiedy znalazłybyśmy się tak daleko, by wjechać w jutro, opowiedziałabym ci moją historię, bo wiedziałabym już, że mnie wybrałaś, że wybrałaś nas i można powierzyć ci prawdę.

Może nie powinnam cię tam zostawiać. Z całą pewnością nie powinnam zostawiać cię samej na terytorium wroga, pijanej w sztok i niemającej dokąd pójść, nie powinnam się łudzić, że masz wystarczająco mocną głowę, podczas gdy przez cały czas cię podtrzymywałam, odciągałam, trzymałam za włosy,

ścierałam twoje rzygowiny i pozwalałam ci wierzyć, że sama sobie radzisz. Może nie powinnam cię zostawiać. Ale ty nie powinnaś mnie o to prosić.

Dziewczyna spotyka dziewczynę, zakochuje się w niej, dziewczyna dziewczynę ratuje. Tak brzmi nasza historia, Dex. Jedyna, która się liczy.

Nasza historia: tamta noc w Beast, zanim po pijaku poszłaś w tango, gdy unosiłyśmy się na ramionach tłumu, surfując na falach miłości obcych. Miłość pulsuje w rytm muzyki, fala porywa cię, nieważne, gdzie jesteś. Ocean nie dba o takie rzeczy. Ocean chce tylko omieść brzeg, a potem cofnąć się i zabrać cię w głębinę.

Nasza historia: potrzebowałaś mnie, żebym wydobyła z ciebie niepokorę. Ale ja też cię potrzebowałam. Żebyś była moim sumieniem, Dex, tak jak ja miałam być twoim id. Oddzielnie nie funkcjonujemy.

Nasza historia kończy się „i żyły długo i szczęśliwie”. Musi. Uciekamy z Battle Creek, ładujemy się do samochodu i palimy gumę na autostradzie. Mknijemy na zachód, do ziemi obiecanej. Nasze pokoje rozjaśniają lampy lava i światełka choinkowe. Jaśnieć będą nasze życia. Wzbierze w nas świadomość, poszerzą się horyzonty, a piękni chłopcy we flanelowych koszulach będą robili na naszej podłodze orły śnieżne, na suficie zaś będą pisali listy miłosne czarnym lakierem do paznokci i czerwoną szminką. Zostaniemy ich muzami, a oni będą brzdąkać pod naszymi oknami na gitarach i wabić nas syrenim śpiewem: „Zejdź do mnie, wyjedźmy daleko, wyjedźmy razem”. My zaś wychylimy się z naszej wieży z włosami rozkołysanymi jak u Roszpunkki i zaśmiejemy się im

w nos, bo nie będzie takiej siły, która by nas rozdzieliła.

Stale powtarzałaś, że nie ma żadnego przed Lacey, że zaistniałaś dopiero, kiedy poznałaś mnie. A teraz ja ci powiem: po Dex nie ma już Lacey. Ani Dex, ani Lacey. Tylko Dex i Lacey, tylko i na zawsze. Zabrak-ło ci wiary, powinnaś wiedzieć, że znajdę sposób, by do ciebie wrócić.

Zawsze będę po ciebie wracała.

ONE

Matka Lacey myślała, że tym razem powinno być inaczej. Oczywiście inaczej powinno być także poprzednio. Powinno. Na tym polegała ciąża, macierzyństwo, pierdolona radość i obietnica sprowadzenia dziecka na ten zapomniany przez Boga świat, całe życie składające się z „powinno”.

Powinnaś być zdrowa, powinnaś być dobra. Powinnaś nie pić, nie palić, nie wciągać, nie szprycować się, a już, broń cię, Panie Boże, ugryźć, kurwa, kęs niepasteryzowanego sera. Powinnaś być wielorybem, byle nie za dużym. Powinnaś kłaść ręce na brzuchu i czekać na kopnięcie, powinnaś uprawiać seks, tylko nie za częs-to i w miarę przyzwoicie, bo jeszcze junior wyczuje, że matka jest dziwką. Ale przede wszystkim powinnaś być szczęśliwa. Bo masz hemoroidy, opuchnięte stopy, bo rozwrzeszczane ciało wielkości ananasa przedziera ci się przez waginę jak pięść przez perłoworóżową bibułę. Powinnaś, kurwa, promienieć z ekstazy, że oddajesz swe ciało komuś innemu – nie, nie dziecku, to jeszcze nawet byłoby do przyjęcia, cała ta ssąca sutki, zapluwająca się, bekająca, srająca wspaniałość, ale każdemu i wszystkim mającym własne zdanie, co powinnaś robić i kim powinnaś być. Ty, z którą nikt się nie liczył, stałaś się kimś, kogo każdy wybór jest ważny, każdy zaś błąd ociera się o zbrodnię przeciw interesowi publicznemu. Zostałaś matką, a matki powinny. I nawet wtedy w jakiś sposób powinnaś być szczęśliwa.

Czasami, zwłaszcza na początku, matka Lacey nawet jakby była.

Tamte noce w ciemnościach, eksplozja muzyki ze sceny

odbierana wnętrzem, tam, gdzie dziecko wierciło się i kopało, jakby chciało włączyć się do akcji, pocić się, drzeć i wirować wraz z nią – wtedy odczuwała to najsilniej, euforyczne „tak”, to samo, które towarzyszyło jej po wyjściu z kliniki, ale potem, po dacie bez powrotu, już rzadko. Przez te miesiące chodziła na tyle koncertów, na ile mogła – Springsteen, Lace Larsen, Quiet Riot – tapirowała grzywkę, naciągała koszulkę na obrzmiały brzuch albo – już pod koniec – pozwalała jej się unieść, ciało połyskujące potem, bo, do chuja pana, była już mężatką, niemalże służebnicą Pańską, bądźcie płodni i mnożcie się, i gdy stała w ciemnościach, gdy opływał ją mocny rytm, światła migotały, trzęsła się podłoga, to coś w niej zdawało się żyć i obu dawało moc. Była w tym magia, w rozpalonej krwi tamtych nocy, ale tego Lacey nigdy by nie zrozumiała, a już na pewno by nie podziękowała. Tamte noce, zespoły, piosenki ją stworzyły. Pieprzyć spermę, jajeczka, biologię, pieprzyć pieprzenie się, została poczęta w mrocznej nawale wirujących ciał i oszalałej muzyki, dziecię czarnej magii ukute z gorąca, hałasu i żądy. Oczywiście nie mogła wyrosnąć na kogoś innego, musiała okazać się taka, jaka jest.

Gdyby tylko na zawsze mogły takie pozostać, zespolone w jedno, nie byłoby sprawy. Tak łatwo dawała się pokochać, drobniutkie zawiniątko ślicznie wtulone w standardowe nosidełko. Matka Lacey szciodrze dzieliłaby się pokarmem i krwią, gdyby tylko Lacey pozostała w środku i dała jej doświadczyć jeszcze kilku tych czarnych, magicznych nocy.

Ale nie.

Ale wtedy.

Nie można zabrać dziecka na Madison Square Garden. Nie można nawet odsłuchać płyty w domowym zaciszu, nie do końca, nie bez obudzenia dziecka. Wrzeszczącego dziecka.

Obsranego dziecka. Rzygającego dziecka. Dziecka, którego twój mąż – a został nim tylko ze względu na nie – nie potrafił pokochać. Dziec-ka, które pozostawiło w tobie ziejącą dziurę, które opuściło cię jak wszyscy inni, więc nawet kiedy podrzuciłaś je komuś na trochę, kiedy wreszcie się wyśliznęłaś, wróciłaś do muzyki, ta nie była już taka sama. Po tym, jak słuchałaś jej z małą w brzuchu, zawsze brzmiała inaczej. Pozostała pusta przestrzeń, której muzyka nie mogła wypełnić, i to nie twoja wina, że zaczęłaś gdzie indziej szukać czegoś, co tego dokona.

Dziecko miało wystarczyć.

Matka Lacey myślała, że coś jest z nią nie tak, bo po narodzinach dziecka nic nie wystarczało.

Kochała Lacey. Nic nie mogła na to poradzić. Kwestia biologii, rzecz poza kontrolą.

Możesz coś kochać, rozumiejąc, że zniszczyło ci życie. Możesz coś kochać, małego, różowego, bezradnego, jak najdelikatniej wtulonego w ramiona, a jednocześnie pragnąć oddać to w wybuchu niepohamowanego katartycznego płaczu albo mocno ścisnąć małe usta, nozdrza i odczekać, aż przestanie się rzucać. Możesz coś kochać, a mimo to odczuwać tak silne pragnienie wciśnięcia temu głowy w poduszkę, że będziesz się przed nim bronić do końca życia, nawet gdy małe coś stanie się na tyle duże, żeby samemu załatwić sprawę. Możesz coś kochać i nienawidzić zarazem, wszak zmieniło cię w człowieka doświadczającego takich emocji, a przecież żaden plan nie uwzględniał przemiany w potwora.

Tym razem powinno być inaczej. Tym razem tęskniła za „powinno być”. James był chodzącą personifikacją „powinno być”, więc powinien jej pomóc stać się taką samą.

Zostałaby wycinanką z czasopisma otwartą na oferty

reklamodawców. Chodziłaby w fartuszku, zmywała naczynia i odmawiała modlitwy. Nie wzięłaby alkoholu do ust. Kochałaby tego mężczyznę z fryzurą na wojskowego i w spodniach z poliestru. Pokochałaby go za wiedzę, co jest słuszne, i naukę właściwego postępowania. Znajdzie pogodę ducha, by móc zaakceptować to, czego nie może zmienić. Tego płodu nie narazi na ostrą muzykę i tańce w ciemnościach pod łyskającymi światłami i zagniewanym niebem. Nie będzie czerpała przyjemności z seksu, ale będzie go uprawiała, jak każe obowiązek. Będzie wycinała kupony rabatowe. Będzie się stroiła do kościoła. Skończy z piciem. Skończy z piciem. Skończy z piciem.

Złożyła te obietnice, James pilnował, by ich dotrzymywała, a ona powinna być szczęśliwa.

Nie piła, nie paliła, nie tańczyła. Kładła dłonie na brzuchu i uśmiechała się promiennie, a jednak kiedy dziecko przyszło na świat z paluszkami u rąk i nóg oraz tycim penisem, tak doskonale nietkniętymi, znienawidziła je za to, że ją rozdarło, i chciała je oddać. Kochała je zbyt mocno, za to też je nienawidziła, było równie niesforne, obesrane, zarzygane i nudne jak Lacey, ale tym razem zrobiła to sobie z premedytacją. Nie miała na kogo zrzucić winy.

Matka Lacey być może nie powinna zostawać matką. Niektórzy zapewne nie powinni, ale za późno na takie wskazówki. Złe matki porzucają dzieci, ona zaś miała być dobrą matką, zatem przy dziecku została. A jeśli czasem krzyczała, czasem piła, a czasem fantazjowała o wykastrowaniu Jamesa we śnie, wepchnięciu jego jąder dziecku do buzi, aż przestanie płakać i fellatio zabierze je do cichej wieczności... Cóż, taka jest cena matkowania. Najlepsze, co musiała z siebie dać. W niektóre dni budziła się i przysięgała, że będzie lepsza. W niektóre dni

była.

MY

lipiec–październik

1992

DEX

Cięcia papierem

Lacey wyjechała.

Lacey wyjechała, a ja zostałam sama.

Nigdy nie wyjechałaby beze mnie, a jednak to zrobiła. Zostawiła mnie samą z tym wszystkim, co nawyprawiałam. Z tym, co wyprawiano ze mną albo i nie wyprawiano. Co pochłonęła czarna dziura pamięci.

Miałam kawałki do poskładania. Tusz na mojej skórze. Szepty. Okruchy nocy – przytulone ciała, muzykę, głosy – na porwanej taśmie filmowej. To musiało być najgorsze, wytłumaczyłam sobie. Bo coś jeszcze gorszego moje ciało by zapamiętało, bólem lub krwią. Prawdziwe najgorsze zostawiłoby plamy, więc do niego nie doszło.

Najgorsze, co mogło się zdarzyć, myślałam i nigdy tego nie nazwałam.

Dziewczyna po drugiej stronie nocy, którą obecnie byłam. Ta, która zerwała z siebie koszulę i tańczyła na stole. Która macała wypukłości dzinsów i wystękiwała sprośności, która mówiła „kutas”, „pizda” i „poliż moją cipę”.

Zadziwiające, że stać mnie było na takie rzeczy. W pudełku w piwnicy przechowywaliśmy zbłąkane kawałki układanek, każdy od innego obrazka, żadna krawędź do siebie nie pasowała. To byłam ja. Obraz Picassa. Niewłaściwe części w niewłaściwych miejscach. Lacey potrafiłaby je połączyć. Lacey mnie nazwała: oto kim jesteś, oto kim będziesz.

Lacey by wiedziała, ale jej nie było.

W poniedziałek poszłam do szkoły, bo zawsze w poniedziałki chodziłam do szkoły.

I do niej nie wróciłam.

Dopóki odrabiałam prace domowe, nikt nie miał obiekcji, żebym ostatnie trzy tygodnie roku szkolnego spędziła w moim pokoju. Nikt nie chciał na mnie patrzeć.

Wszyscy chcieli na mnie patrzeć.

W pokoju tym, w ciemnościach, pojęłam coś, co do tej pory ani mnie, ani chyba nikomu innemu nie mieściło się w głowie. Zrozumiałam, dlaczego chłopak może pójść do lasu z kulą i pistoletem i już z niego nie wyjść. Nie było żadnego spisku, żadnych złych wpływów ani tajemnych rytuałów. Czasami to tylko ból i pragnienie, żeby się skończył.

Lacey powiedziała, że wybór sposobu ma znaczenie, i to także wówczas rozumiałam: dlaczego można wybrać pocisk i broń, okropność i ból zamiast słodkiego osunięcia się w czerni. Pewne rodzaje cierpienia dyktują brutalność, rozlew krwi. Nicość domaga się unicestwienia nie tylko bólu, ale i jego źródła. Sprawiedliwość każe zostawić po sobie bałagan. Krzyk krwi i kości, i furii.

Przerażało mnie, jak wiele rozumiałam.

Gdybym tylko pozwoliła Lacey podpalić dom. Gdybym patrzyła, jak płonie. Czasami śniły mi się płomienie i budziłam się, czując zapach zwęglonego mięsa, czasami zaś budziłam się z uśmiechem.

Usiłowałam śnić o Lacey, wyśnić nasze życie w Seattle, ale to było nieosiągalne. Seattle było widmem, a Lacey kimś, kto

wyszedł z moich książek. Gdyby nie Lacey, nie wybrałabym się na imprezę. Gdyby nie Lacey, nie byłabym taka wściekła i pijana. Gdyby nie Lacey, byłabym bezpieczna.

Nienawidziłam jej. Kochałam ją. Pragnęłam jej powrotu i nie chciałam go. Tak właśnie żyłam po: ani jedno, ani drugie. Znosiłam się wzajemnie.

Nie opuszczałam mojego pokoju. Bezpiecznego terytorium. Mój pokój: szeroki na cztery i pół metra, na cztery metry długi, calutki beżowy, na dywanie, gdzie nasza kotka wyrzygała życie, zmatowiałe włókna. Wąskie łóżko, dziecięca pościel z wizerunkami Strawberry Shortcake, ponieważ zdaniem mojej matki pościel jest droga, dorosłość zaś – dyskusyjna. Okiennice wpuszczające wczesnym popołudniem pasma światła, zardzewiałe wysokie lustro upstrzone pamiątkami po Lacey: pogięte pocztówki z Paryża, Kalifornii i Sztambułu wysłane przez od dawna nieżyjących ludzi i ocalone z koszy na śmieci po wyprzedazach rzeczy używanych, wnikliwie myśli wnikliwych myślicieli wykaligrafowane jej stanowczym czarnym markerem, specjalnie dla Lacey gazetowy wycinek Kurta w babcinym kardiganie pasującym kolorem do oczu, a w samym środku collage zdjęć Dex i Lacey, nieupamiętniający żadnej ważnej chwili, ponieważ w ważnych chwilach zawsze byliśmy same i nie miał kto trzymać aparatu. Komoda z płyty wiórowej oklejona luminescencyjnymi gwiazdkami, których nie usunęły trzy lata skrobania. Stosy książek przyciśniętych do beżowej tapety, grzbiety sięgające sufitu, a każda z nich była przygodą wiążącą się ze wspinaniem, zawałaniem się lub bardzo ostrożnym wyciąganiem jednej pozycji ze środka sterty – jenga dla olbrzymów. W rogu stolik ze starannie poskładanymi

rocznymi pracami zaliczeniowymi (porażki) i świadectwami („rozczarowujące”) oraz zagrzebanymi pod tym na potrzeby jakiegoś przyszłego pamiątkowego albumu hańby dwoma egzemplarzami miejscowej gazety, wydanie z listem do redakcji opisujące łobuzicę, której urwał się film na ruinach porzuconej imprezy, a także edycja weekendowa z anonimową, ale wszechwiedzącą pierwszą osobą liczby mnogiej: „wierzymy”, że dziewczęta w tym mieście to nic dobrego, „wierzymy”, że współczesna muzyka, telewizja, narkotyki, seks i ateizm psują naszą młodzież, „wierzymy”, że oprócz tej dziewczyny winę ponoszą toksyczna kultura i zbyt pobłażliwi rodzice, „nie można jej winić”, ale „nie możemy sobie pozwolić na wybaczenie”, a co za tym idzie, „musimy wykorzystać ją w charakterze ostrzeżenia”, byśmy „nie stracili kolejnego” kwiatu naszej młodzieży, i „my, mieszkańcy Battle Creek”, rodzice, nauczyciele, wierni, ludzie dobrej woli, „musimy bardziej się postarać”.

Dzwoniłam do niej w środku nocy, gdy rodzice już spali. Co noc. Niekiedy przez całą noc, żeby choć posłuchać sygnału. Nikt nie odbierał.

Nie, powiedziała wreszcie jej matka, nie wie, dokąd udała się Lacey. Nie, lepiej, żebym nie dzwoniła.

Matka przez cały czas była zła. Twierdziła, że nie na mnie. Czy raczej nie tylko na mnie.

– Nie obchodzi mnie, co ludzie gadają – powiedział ojciec kilka dni później, stanąwszy w drzwiach mojego pokoju. Może i nie, ale nigdy wcześniej tak nie stał, niczym treser u wejścia do

klatki, czekający, aż coś dzikiego wykona swój ruch. – Zawsze będziesz dobrą dziewczyną. Może bez Lacey... sprawy się ułożą.

Chciał przez to powiedzieć, że bez Lacey nie jestem zdolna do szaleństw. Gdy miałam Lacey, on też odrobinę jej miał, mógł kochać mnie bardziej za to, co we mnie widziała. Spodziewał się, że bez niej powróci moja dawna natura. Że będę dobrą dziewczyną, jego grzeczną dziewczynką, nudną, ale bezpieczną. Tego powinien chcieć.

Czytałam.

Lacey zawsze odwodziła nas od lektur, które, jak to ujmowała, były nas niegodne. Powinnyśmy wykorzystywać czas na poszerzanie horyzontów, powtarzała. Nasza misja – którą zobligowane jesteśmy przyjąć – to wnikanie w naturę rzeczy. W podstawy. Wertowałyśmy wspólnie Nietzschego i Kanta, udając, że rozumiemy. Czytałyśmy na głos Becketta i czekałyśmy na Godota. Lacey nauczyła się na pamięć sześciu początkowych strof *Skowytu* i wykrzykiwała je ponad jezioro, a jej głos niósł wiatr. „Widziałem najlepsze umysły mojego pokolenia zniszczone szaleństwem”⁶, wrzeszczała, a potem mówiła, że Allen Ginsberg to najstarszy facet, jakiego mogłaby zerznąć. Specjalnie dla niej nauczyłam się wersów otwierających i zamykających *Próżnych ludzi*; szeptałam je sobie, gdy wokół mnie zamykała się ciemność.

„Oto jak kończy się świat
Oto jak kończy się świat
Oto jak kończy się świat”⁷.

Brzmiały jak obietnica.

Bez Lacey się uwsteczniałam. Fałdkowałam razem z Meg Murray, przeczołgiwałam się przez szafę i wtulałam twarz w futro Aslana, ścierałam kurze i podsycalałam ogień

w ruchomym zamku Hauru, dzięki półmagii stałam się półniewidzialna, piłam herbatę z Szalonym Kapelusznikiem, toczyłam boje z kapitanem Hakiem, a nawet co jakiś czas tuliłam i przywracałam do życia Aksamitnego Królika. Byłam obca w obcym kraju. Byłam sierotą, porzuconą, odnalezioną i ocaloną, dopóki nie zamknęłam książki, bo wtedy znów powracało zagubienie.

Czytałam, ale też pisałam.

„Kochana Lacey”, kreśliłam czasami w listach, na wszelki wypadek ukrywanych w starym pudełku po swetrach z Searsa. Tym moim okropnym pismem, brudzącym tuszem, nierozmazanym przez nieopadłe łzy, pisałam: „Przepraszam. Powinnam być mądrzejsza”.

„Proszę, wróć”.

Ostatniej niedzieli lipca wyszłam na dwór. Chciałam tylko objechać kwartał ulic na rowerze, cichaczem odzyskanym przez ojca z poimprezowych szczątków. Słońce grzało przyjemnie. Powietrze przyjemnie pachniało trawą i latem. Wiatr przyjemnie huczał tym hukiem, który usłyszeć można jedynie w ruchu. Kiedy byłam dzieckiem, jazda na rowerze była przygodą: gonili mnie zbóje, wiatr dął w górskim przesmyku, przejściu do urzeczenia. Sam rower był wówczas zaczarowany, nic poza książką nie mogło mnie tak porwać. Ale była to dziecięca logika, ignorująca najprostszą fizykę wektorów. Nieważne, jak szybko pedałowалам, skoro kręciłam się w kółko. Rower zawsze przywoził mnie do domu.

Ojciec palił na schodkach ganku. Zaczął w czerwcu, po. Przez te papierosy dom pachniał jak ktoś obcy.

Porzuciłam rower na trawniku, a ojciec zdusił niedopałek

na betonowym stopniu.

– Hannah – zagaił.

– Co?

– Nie, nic. Tylko... dobrze cię widzieć na dworze.

– Lepiej się za bardzo nie przyzwyczajaj. – Powiedziałam to, przybierając moją najlepszą pozę z gatunku „nie wciskaj mi tu ciemnoty”.

Sięgnął po następnego papierosa. Palił teraz jak komin. W domu, w środku dnia. Prawdopodobnie to tylko kwestia czasu, zanim znowu wyleci, a może już do tego doszło, tylko bał się przyznać. Tego typu sekrety dawniej zachowywaliśmy dla siebie. Wydawało się to takie romantyczne, Don Kichot absolutny, święcie przekonany, że teraźniejszość jest tylko prologiem jakiejś bliżej nieokreślonej świetlanej przyszłości, ale ostatnio wydawał się tylko żaloszny. Lacey skomentowałyby, że zaczynam gadać jak moja matka.

– Muszę ci coś powiedzieć – oznajmił.

– W porządku.

– Moim zdaniem ona nie wróci. Lacey. A ja nie chcę, żebyś myślała, że wyjechała z twojego powodu.

Lacey zniknęła, a on wciąż chciał zawłaszczyć jakąś jej część.

– Coś się wydarzyło u niej w domu. – Kiedy zapytałam, dlaczego tak sądzi, przyznał, i to tonem, jakby rzeczywiście przyznawał się do winy: – Była tu tamtej nocy. Przed wyjazdem.

Wszystko zamarło.

– Co jej powiedziałaś?

– Że potrzebuje kogoś, z kim mogłaby pomówić – odparł. – Rozmawialiśmy czasami.

„Co jest, kurwa?”, powiedziałyby dawna Dex, Dex, która miała Lacey. „O czym ty, kurwa, gadasz? Co jest z tobą, kurwa,

nie tak? Coś ty, kurwa, narobił?”.

„Ona jest moja”, powiedziałaaby tamta Dex. Z pełnym przekonaniem.

– Twoja przyjaciółka miała pewne problemy – ciągnął.

– Wszyscy mamy problemy.

– Nie wiedziałaś o niej wszystkiego, pannico.

– Co jej powiedziałaś? – powtórzyłam. – Czym zmusiłeś ją do wyjazdu?

– Wiem tylko, że w jej domu zaszło coś, co ją wzburzyło.

Nie chciała tam wracać.

– Ale jej kazałeś. – Głos miałam spokojny, twarz bez wyrazu. Nie mógł wiedzieć, co robi. Co płonęło między nami.

– Nie...

– Powiedziałaś jej, żeby tego nie robiła?

– Nie.

– Więc co?

– Wątpię, żeby udało nam się ją powstrzymać. Człowiek musi dać sobie pomóc.

– Nie była twoja! – Są rzeczy, których nie powinno się mówić.

– Twoja też nie, pannico. Ale wiem, ile dla ciebie znaczyła. Nigdy nie próbowałbym zmusić jej do wyjazdu.

– Ale cieszysz się, że jej nie ma.

Pokręcił głową.

– Była dla ciebie dobra – stwierdził, a potem już nie tak pewnie dodał: – Bo była, prawda?

Zastanawiało mnie, ile wydawało mu się, że wiedział. Kim jego zdaniem byłam przed Lacey i kim stanę się po niej. Kim chciałby, żebym się stała: córeczką tatusia, wyszczekaną, ale nie obleśną, flirtującą z chłopcami, ale bez pieprzenia się, naruszającą zakaz wychodzenia, naruszającą prawa, naruszającą

wszystko, byle nie bezcenną błonę dziewiczą, usiłującą być bardziej jak Lacey, ale zarazem mniej, zbuntowaną nie przeciw niemu, ale wraz z nim, pokazującą środkowy palec establishmentowi, lecz jednocześnie wracającą do domu w porze zwijania się na kanapie i oglądania *Dobrej ceny*. Dostrzegłam wtedy coś dla mnie nowego: nie byłam dla niego Hannah ani Dex, byłam w całości córką Jimmy'ego Dextera, odbiciem tego, cokolwiek chciał w sobie widzieć.

– Jeśli chcesz, możemy wyskoczyć kiedyś do kina. Tylko we dwoje, pannico, jak za dawnych czasów. Co?

Nie zamierzał mi zdradzić, co jej powiedział. „Wierz, w co chcesz”, powtarzają ludzie. Jak gdyby było to takie łatwe, jakby wiara i chęci gładko się zazębiały. Jakbym nie chciała uwierzyć, że mój ojciec mnie kocha, że moi rodzice się kochają, że Lacey wróci, że przestanę płonąć z upokorzenia przy każdym wyjściu z domu, że życie jest fair, że jutro wstanie nowy dzień, że Nikki Drummond będzie smażyła się w piekle. Czemu na tym poprzestać? Chciałam uwierzyć w podróże w czasie, postrzeganie pozazmysłowe, kosmitów i Boga, w to, że świat jest bardziej magiczny, niż mogłoby się wydawać, w przyszłość, która dała drapaką z Battle Creek, i w horyzont zdarzeń. Lacey mówiła, że uwierzyć jest najtrudniej. Jeśli to się uda, reszta przyjdzie sama.

– Dostaniesz raka płuc – powiedziałam ojcu i przestąpiłam nad nim w drodze do drzwi.

Lacey miała teorię, według której ludzka zdolność czerpania radości z ulubionych rzeczy jest wartością skończoną. Czy to piosenki, filmy, książki, czy jedzenie – zaprogramowano nas z miejscem na określoną ilość przyjemności, a gdy zostanie

ono wypełnione, dobre staje się złe. Pułapka polega na tym, że nic nas nie ostrzega, gdy zbliżamy się do limitu. Dopamina wyłącza się jak za naciśnięciem pstryczka i masz, kolejna książka na podpałkę.

Bardzo rzadko, mówiła Lacey, znajdujesz coś, czym twój mózg może cieszyć się nieskończenie, a to coś, ciągnęła, nazywamy miłością.

Już w to nie wierzyłam, wierzyłam jednak w rozczarowanie oraz przedawkowanie i nie zamierzałam narażać na to żadnej z moich ulubionych książek. Dom przestał być bezpieczną strefą – nie było już takich stref – więc tym łatwiej było go opuścić. A kiedy go opuściłam, udałam się do biblioteki. Znowu czułam się jak ledwo wyrosła z działu dziecięcego dwunastolatka, która głaszcze grzbiety tomów dla dorosłych, jakby mogła wchłonąć słowa przez okładkę. Znowu czułam się prawie normalna.

– Bóg kocha wszystkich – zapewniła kobieta ze stosem ulotek, która zainstalowała się tuż przed wejściem – ale nie może was ochronić, gdy dobrowolnie zbaczacie na ścieżkę pokuszenia.

Była to dziobata Barbara Fuller. Ubrania wisiały na niej jak na wieszaku i nieraz na szkolnych kiermaszach z wyższością i niezbyt subtelnie dawała do zrozumienia mojej matce, że ktoś, kto zadowala się kupowaniem gotowych artykułów, zasługuje na miano matki nie bardziej niż donut od Entenmanna na miano jedzenia. Barbara Fuller należała do tych, którzy skarżą się w listach do gazet na rozluźnienie obyczajów i krzykliwość światełek choinkowych, miała też niezaspokojony apetyt na porażki bliźnich. Tego dnia nie przeszkadzało jej chyba, że występowała przed widownią złożoną z garstki znudzonych emerytów i zakłopotanego łysego faceta, który sprawiał wrażenie, że jeśli żona – jedyna zapalona słuchaczka Barbary

Fuller – nie puści jego ręki, to sam ją sobie odgryzie.

– Sataniści szlachtują pięćdziesiąt tysięcy dzieci rocznie!

Łysy coś sobie wydlubał z nosa.

– Mamy do czynienia z ogólnonarodowym kryzysem. I nie oszukujcie się: w tym mieście aktywnie działa kult Szatana! – Podniosła głos. – Zagraża waszym nastoletnim dzieciom!

Istna farsa: ta kobieta prawi nam kazania o ryzyku, udając, że wie, kto i z jakiego powodu jest w niebezpieczeństwie.

Szłam szybko z pochyloną głową, skupiona na kłapaniu moich japoniek o chodnik, na żwirze pod chevroletem jakiejś starszej pani, lamentujących cykadach, pulsowaniu krwi uderzającej mi do policzków, podzwanianiu zapięcia rowerowego, gdy zmagalam się z kluczem.

– Żerują na słabych i zagubionych! – zaskrzeczała, a mnie naszło podejrzenie, że nie tylko w celu przebicia się przez aparaty słuchowe staruszków. Wolałam nie podnosić wzroku, a nuż na mnie patrzyła. – Żerują na upadłych.

Rozpostarło się lato. Nasz dom dzień i noc szumiał przepraszającym rżeniem wentylatorów. Mełły gorące powietrze – musieliśmy to ścierpieć. Więcej niż raz sięgałam po ulotkę Barbary Fuller na temat satanizmu; oswobodziłam jeden egzemplarz z kosza na śmieci. Autorką była niejaka Isabelle F. Ford, doktor filozofii, a za publikację wspólnie odpowiadały Stowarzyszenie Rodziców przeciw Naukom Szatana oraz Związek Badania Zbrodni na Tle Sekciarskim. Sugerowano w niej, że podziemna organizacja składająca się z dziesiątków tysięcy satanistów gorliwie realizuje plan rabowania grobów i składania ofiar z dzieci.

Żeby tak, pomyślałam, bo wyobraźcie sobie: gdyby tylko

istniało takie tajemne zrzeszenie, a żyły jego ciemnej mocy pulsowały wskroś Battle Creek. Gdyby tylko było gdzieś więcej takich jak ja, sabat dziewcząt, których utajone jestestwa rwały bólem, którym potrzebna była krew, by wykarmić mroczne serca. Zawsze tęskniłam za światem mroku, już jako mała dziewczynka szukałam wrózek ogrodowych i strzegących mostów trolli, pragnęłam być dzieckiem podrzuconym przez czarodziejki, czekającym wezwania do domu. A teraz? Inna fantazja: wiotkie ramiona kreślące dziwne symbole pośród nocy, postacie w rytualnych szatach oblane poświatą księżyca w pełni, krwawy ołtarz, kadzidlany dym, ceremonia i przyzwanie, obietnica mocy. Śmiałyśmy się, powiedziała Lacey, taszczyłyśmy siekiere przez skąpane w księżycowym blasku pole, stałyśmy nad czymś wielkim i podatnym na cios, czerpałyśmy radość z mocy i upuszczania krwi, cięłyśmy, szlachtowałyśmy, unicestwiałyśmy. Kiedy dopuszczałam do siebie te wspomnienia, niemal wierzyłam, że tak było, żeśmy to uczyniły. Gdyby tylko Barbary Fuller tego świata miały słusność, że wystarczy mi przywołać siły ciemności, a one już mnie pochłoną.

Wyrzuciłam ulotkę do śmieci. Jeszcze jedna czcza obietnica.

Lacey nie zadzwoniła.

Nikt nie zadzwonił.

Aż pewnej nocy – jakby siły ciemności jednak się zmaterializowały w odpowiedzi na mą bezgłośną prośbę – matka krzyknęła do mnie z dołu, że dzwoni do mnie... Nikki Drummond. Odmówiłam podejścia do aparatu, ale Nikki zadzwoniła noc później i jeszcze raz, i kolejnej nocy.

A czwartego dnia przyszła.

I oto Nikki Drummond, przybrawszy wdzięczną pozę, siedziała w moim salonie na niebieskiej welurowej kanapie, w miejscu, w którym jako dziecko nieraz się zsikałam. Ubrana była na lato w Battle Creek, co oznaczało balansowanie na cienkiej linii między tym, co społecznie akceptowalne, a golizną. W koszulce na ramiączkach i przepoconych dżinsowych szortach zachowywała jakoś równowagę między swojską seksownością a strojem do pogaduszek w gościach. Sprawdzone na dzieciach, zaaprobowane przez matki. Byłam ubrana prawie tak samo, ale ja wyglądałam jak bezdomna.

– No tak – odezwała się Nikki.

Lacey mnie nauczyła, że najlepszy sposób na wytrącenie kogoś z równowagi, to pozwolić mu kisić się w milczeniu. Przyglądałam się jej, wyczekując, ona tak samo przyglądała się mnie. Wymięklam pierwsza.

– Czego chcesz?

– Jesteś na mnie zła czy coś?

– Mówisz poważnie? – Dziwnie rozmawiało się z kimś tak, jakby nic się nie zmieniło, jakbym tylko ja była inna.

– Daj spokój, Hannah. Co ja ci zrobiłam?

– Po pierwsze, podkablowałaś mnie, kurwa, matce. – Miałam wrażenie, że od tamtej pory minęły wieki, w dodatku tamta historia wydawała się teraz śmiesznie błaha, ale to najłatwiej przeszło mi przez gardło.

– Dla twojego dobra. – Głos słodki jak syrop. Lepki. – Pod jej namową złamałaś prawo, Hannah. Zastanów się, co to za przyjaciółka.

– Dex.

– Co?

– Mam na imię Dex.

Parsknęła śmiechem. Nigdy nikogo nie uderzyłam – dorastałam jako jedynaczka, co odebrało mi bójki z rodzeństwem i paradowanie z podbitymi oczami – ale mogłam sobie wyobrazić ukąszenie paznokci wbijających mi się w dłoń, chrupnięcie knykci zderzających się z chrząstką, tryskającą krew, zaskoczenie w jej szeroko otwartych oczach, ból i trwogę, jak gdybym potrafiła coś komuś złamać. Jakby ją można było złamać.

Chyba to dostrzegła, bo zdławiła chichot.

– Przepraszam. Dex.

– Proszę, idź już.

– Jeszcze nie. Chciałam sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku, a ty nie pozwalasz mi nawet zapytać.

– Lacey wyjechała – po raz pierwszy powiedziałam to na głos – więc nie musisz się już o mnie martwić. Koniec ze złym wpływem.

– Jezu, Lacey nic mnie nie obchodzi. Mówię o tobie, Hannah. Jak się miewasz po... no wiesz?

I wiedziałam, i nie. Może dlatego pozwoliłam Nikki usiąść na mojej kanapie i wiercić japonkami w dywan. Żeby mi wyjaśniła.

– Super – odparłam.

– Jasne, tak super, że przez całe lato robisz z siebie pustelnika. Wyglądasz jak albinoska.

Podniosłam się.

– Odwiedziłaś cyrk, widziałaś dziwoląga. Możesz już iść.

Nikki westchnęła.

– Posłuchaj, Hannah...

– Dex.

– W porządku, jak sobie chcesz. To była moja impreza, tak jakby. Jasne? Czuję się więc odpowiedzialna za to, czym się

skończyła. Dla ciebie – dodała, jakby liczyła na uznanie.

– Czym się skończyła... – powtórzyłam przeciągle. Nie okazuj strachu, powiedziałyby Lacey. Dorzuciłyby, że to Nikki powinna się bać. – Wyrzuceniem mnie jak na śmietnik?

– Nic o tym nie wiem. Wyszłam o wiele wcześniej, pamiętasz?

Wzruszyłam ramionami.

– Czekaj... Nie pamiętasz? – Pochyliła się ku mnie. – Boże drogi, kompletnie urwał ci się film!

Coś pamiętałam. Jak to było pragnąć dotykać i być dotykana. Żar i związany z nim dreszcz. Ogień.

– Niewiedza musi cię dobijać – ciągnęła Nikki.

Nie odezwałam się.

– Chcesz mojej rady? – Zabrzmiało to, jakby chciała pomóc, i wszystko było na opak: Lacey mnie zostawiła, Nikki nie chciała odejść. – Uznaj, że nic się nie stało. Uznaj, że jest super, i tak właśnie będzie.

Lacey stale powtarzała, że najtrudniej jest uwierzyć.

– Przecież mówiłam, że czuję się super.

– Ten najemny glina mógł zgarnąć każdego z nas – mówiła.

– Uwierz, doskonale o tym wiemy. Masz więcej przyjaciół, niż ci się zdaje.

– Przyjaciół mi starczy.

Prychnęła.

– Wpadnij do mnie w weekend. Mama urządza przyjęcie na basenie, jakiś okropny spęd matek i córek. Prawdziwy koszmar. Będziesz w siódmym niebie.

– Prędzej wbiję sobie rozżarzony nóż w oko.

– To niedobrze, bo twoja mama już się zgodziła.

6 Przełożył Marcin Walkowiak.

7 Przełożył Andrzej Piotrowski.

LACEY

Bez końca, bez imienia

Winię Jezusa. I zanim się nadąsasza za bluźnierstwo, przypomnij sobie, że równie łatwo mogłabym obwinić ciebie.

Powinnaś wyjechać bez ciebie. Czemu nie, miałam samochód. Po co dałam ci więcej czasu, dlaczego założyłam, że Bydlak ochłonie? Jak mogłam wrócić do domu?

Nazwij to niewydolnością wyobraźni.

Horyzonty. Tak nazywała się ta nora. Jak wyjęta z „Rozszerz swoje”. Z „Dojrzyj Jezusa na”. Z „Jeśli nie chcesz, żeby zrobili z ciebie świrniętą jezusową dewotkę z wypranym mózgiem, uciekaj za”.

Zostawili mnie zaraz za bramą z drutu kolczastego i kiedy zobaczyłam blondynkę z końskim ogonem oraz uśmiechem jak po lobotomii, a po jej bokach dwóch drabów tylko czekających na możliwość użycia paralizatora, natychmiast zrozumiałam, do jakiego miejsca trafiłam. Coś Numer Jeden i Coś Numer Dwa zaciągnęli mnie przed oblicze głównodowodzącego, też blondyna, wszyscy tam, kurwa, byli blond. Kazał nazywać się Shawnem. Pensjonariusze Horyzontów wymawiali słowo „Shawn” tak, jak Shawn wymawiał słowo „Jezus”. Tylko w jego mocy, tej cherlawej, rozlazłej parodii nauczyciela gimnastyki z gwizdkiem w kształcie krzyża na szyi i ogromnym mahoniowym biurkiem, mówiącym o rozmiarach jego kutasa więcej, niżby chciał, leżało odesłanie mnie do ciebie.

– Witaj w swojej bezpiecznej przystani – zaczął, a mnie ciekawiło, ile dziewczyn zerznął. Miałam nadzieję, że dużo, bo typy jego pokroju wchodzą w to z zupełnie innych powodów i dopiero tymi powodami należy się martwić.

Wręczył mi informator Horyzontów i moją osobistą Biblię dla nastolatków w komplecie z parą swawolących na okładce androginicznych blondasów. Białe jak kość końskie zęby potwierdzały ich jedność z Bogiem.

– Przyznaliśmy ci miejsce. Kohelet, prycza sześć. Cnota cię tam zaprowadzi. Z pewnością masz wiele pytań...

– A pierwsze z nich to: chyba sobie jaja robisz, że ona ma na imię Cnota?

Miałam więcej pytań: czy naprawdę sądził, że diabła powstrzyma kilka zwojów drutu kolczastego, ile Bydlak zapłacił za zaszczyt zesłania mnie w to miejsce, ile czasu upłynie, zanim będę mogła wrócić do domu, lecz uśmiech Shawna, którego nie powstydziliby się gospodarz teleturnieju, rozjarzył się jak u dyni na Halloween.

– ...ale, jak dowiesz się z informatora, nie zasłużyłaś jeszcze na przywilej ich zadawania.

– Co to miało znaczyć, do diabła?

– Wiem, proces przejścia jest trudny. Dlatego przymknę oko na twój język. Ale moja pobłażliwość właśnie się skończyła.

– Już się boję – rzuciłam.

Kiwnął głową na nieprzeznaczoną do penetracji.

– Jedno przewinienie – oznajmił, kręcąc głową w sposób, który z czasem nauczyłam się rozpoznawać jako smutek wdrażania specjalnej recepty Shawna, gdyż wdrażanie owo zadawało mu tyle samo bólu, ile nam.

Jedno przewinienie oznaczało jeden przykry obowiązek wyznaczony przez opiekunkę, a moja opiekunka, miniatura

Mussoliniego imieniem Heather, nigdy nie natrafiła na kibelek, który nie potrzebowałby porządnego czyszczenia szczoteczką do zębów. A więc tak spędziłam mój pierwszy ranek w Horyzontach: na kolanach, nachylona nad muszlą klozetową, przelękając gulę, bo nie ulegało wątpliwości, że własnego pawia też będę musiała posprzątać. Ja skrobałam, ona zaś wprowadzała mnie we wszystkie „masze”: masz kochać Jezusa, masz przestrzegać zasad, masz nie myśleć samodzielnie, masz nie wyobrażać sobie, że jesteś panią swojego życia, masz nie skrewić, bo pożałujesz.

Za każdy dzień nieskrewienia otrzymywało się przywilej, przywileje zaś były wszystkim. Pozwalały na rozmowę z innymi pensjonariuszami, na opuszczenie chatki bez nadzoru, wysyłanie listów, spędzanie czasu na dworze, a nie za biurkiem na lekturze Biblii, na pójście bez nadzoru do łazienki („Patrzenie, jak sikasz, to żadna atrakcja, uzupełniła Heather, więc lepiej na jakiś zasłuż”). Największa liczba przywilejów nie mogła załatwić pięciu minut słuchania muzyki innej niż chrześcijański rock. Przywilej można było dostać za wykucie na pamięć ustępu z Biblii, za posłanie łóżka po wojskowemu, podlizywanie się opiekunowi, publiczne spowiadanie się z grzechów i przyjęcie Jezusa do serca, pisanie antyaborcyjnych listów do lokalnego kongresmena oraz kablowanie na współmieszkańców, jeśli akurat się zapomnieli i zaczęli zachowywać jak ludzie, nie jak zombi. Mieszkałyśmy w barakach nazwanych na cześć biblijnych ksiąg; w Kohelecie było nas dwanaście. Dwanaście dziewczynek w parach, jak u Bemelmansa. *Madeline i jesusowe świry*.

Poranki przeznaczone były na studiowanie Biblii, popołudnia – na ćwiczenia fizyczne, potem następowały wspólne śpiewy i spotkania grupowe, których elementem była

obligatoryjna zabawa. Posiłki polegały na uważaniu na siebie i uczeniu się, gdzie jest twoje miejsce. Dwanaście dziewcząt, których imion ani historii nie musiałam poznawać, bo nie zamierzałam zbyt długo być jedną z nich. Wystarczyło mi wiedzieć, że Wrzaskunka zrywała nas ze snu o trzeciej nad ranem, że Sodomitkę przyłapano *in flagranti* z kapitanem jej drużyny koszykówki, że Kaszalot była uzależniona od seksu, a przynajmniej tak uważała jej matka czytująca cudze pamiętniki, że Dziewica pozostała dziewicą – w każdym razie z definicji – bo dawała tylko analnie, ale za to komu popadło, że Święta Anna zesłała się do Horyzontów z własnej woli, z potrzeby zbawienia paru grzeszników.

Bydlakowi spodobałby się rygorystyczny grafik, musztra opiekunek, chłostą przywołujących nas do porządku – obóz dla rekrutów armii bożej. Byłby zachwycony, że każde wykroczenie karano przesadnymi starotestamentowymi konsekwencjami. Nie był to kult hipisowski, gra na gitarze, manifestacja miłości opierającej się na zasadzie nadstawiania drugiego policzka (czego nienawidził), gra w bingo, przyjęcie, na które każdy przychodzi z własnym jedzeniem, cały ten ulotkowy moralitet, który tak rozjuszył go w Battle Creek. Był to obóz jak stworzony na jego podobieństwo, włącznie z ogniem piekielnym, siarką i codziennym oglądaniem programów o życiu w duchu chrześcijaństwa. Powiedzieli mi, że muszę jedynie nauczyć się szacunku dla autorytetów oraz Pana, a wtedy odeślą mnie do domu.

Staralam się.

Poświęciłam życie Chrystusowi, obkułam ustępy z Biblii, śpiewałam *Our God is an Awesome God* i nauczyłam się odpowiednich wymachów ramion, które tej bożej wspaniałości dowodziły. Kiedy ustawiałyśmy się w kółeczko na modlitwę

uścisków, wypowiadałam swoją kwestię – „Modlę się, by Pan pomógł mi zwalczyć diabła i pokusy jego” – po czym ścisnęłam dłoń Kaszalota i udawałam, że słucham, gdy z kolei ona kłamała. Oddałam się zajęciom z rękodziela, wszak Jezus był cieślą, a dzieło rąk dziełem jest szlachetnym; piłowałam drewno, rzeźbiłam w mydle, a kiedy uczyłyśmy się robienia węzłów, z całych sił starałam się nie marzyć o pętli. Spowiadałam się z lubieżnych myśli i zgadzałam z Heather, że zmarnowałam życie. Zgromadziłam przywileje z dwóch tygodni, ale nie pozwalałam sobie na rozmyślenia o Battle Creek i o tobie, dopóki bezpiecznie nie znalazłam się w łóżku, bo było to moją nagrodą za przetrwanie kolejnego dnia. To i Kurt, który śpiewem kołysał mnie do snu. Przez dwa tygodnie uciulałam dość przywilejów, by napisać dwa listy. Jeden do Bydlaka z obietnicą, że jeśli pozwoli mi wrócić, będę grzeczna. Drugi do ciebie.

„Kochana Dex”, napisałam i przerwałam.

Kochana Dex, poddałam się. Kochana Dex, wszystko, co ci o sobie mówiłam, było kłamstwem. Kochana Dex, robię to wszystko tylko po to, żeby do ciebie wrócić, ale jeśli wrócę w ten sposób, nie będę na ciebie zasługiwała.

Nie. Musiałam być twoją Lacey. Silną. Zatem następnego ranka podczas porannego nabożeństwa wstałam z ławki i skłęłam Pana naszego Jezusa Chrystusa za czas spędzony w tym piekle, za co cały nasz barak nagrodzono popołudniem zeskrobywania gówna z muszli klozetowych. Kolejnego dnia pokazałam Shawnowi środkowy palec, a Heather, by nam przypomnieć, co to znaczy być skalanym przez grzech, skierowała nas do odgnajania obory. Myślałam o tobie, Dex, myślałam o Kurcie i wiedziałam, że prędzej wytarzam się we własnym gównie, niż zacznę żyć zgodnie z ich wizją zbawienia.

Kiedy znowu skrewiłam, spróbowali czegoś nowego.

Na płycie *Nevermind* znajduje się ukryte nagranie. Nie znajdziesz go, jeśli o nim nie wiesz. Najpierw *Something in the Way* cichnie wraz z ostatnim miękkim trzaskiem talerzy i zamierającym nuceniem Kurta, a potem nic.

Nic przez trzynaście minut i pięćdziesiąt jeden sekund. To, co pojawia się później, przeznaczone jest tylko dla nas, tych, którym zależy na tyle, że ścierpią ciszę. Z początku perkusja, dudniąca aż nadto spokojnie, niczym tam-tamy kanibali w dżungli. I nagle ryczy lew: głos Kurta, czysty i jaśniejący, głos Kurta niczym nóż rozcinający niebo. Szaleńcza furia człowieka, który nie wchodzi łagodnie do tej dobrej nocy. Cisza jest jej częścią, trzynaście minut udręki, a Kurt dzieli ją z tobą, dławiony kagańcem, oszalały, gdy mijają sekundy, gdy rośnie ciśnienie, i wreszcie gdy nie może jej znieść tak samo jak ty, zdziera kaganiec i, kurwa, popada w obłąd. Trzynaście minut pięćdziesiąt jeden sekund. Wydaje się, że to nie tak długo, ale czas jest rozciągliwy.

Dex, pamiętasz, jak czytałyśmy o czarnych dziurach? O tym, że jak ktoś do takiej wpadnie, to widziany z bezpiecznej odległości zdaje się coraz bardziej zwalniać, aż wreszcie zastyga na horyzoncie zdarzeń? Że pozostaje tam na zawsze, zawieszony ponad ciemnością, z przyszłością po kres dni tuż poza zasięgiem ręki?

To zmyłka. Jeśli ty wpadasz, czas biegnie normalnie. Szybujesz poza horyzont zdarzeń, wsysa cię czerń. Ale nikt na zewnątrz się o tym nie dowie.

Tak właśnie było w tym mrocznym miejscu. Zatarły się granice oddzielające cię od ciemności, przeszłość od przyszłości,

coś od niczego. Możesz wrzeszczeć do woli, ciemność połknie twój krzyk w całości. W tym mrocznym miejscu cisza jest tym samym co dźwięk.

Za kratkami mówią na to dziura, przynajmniej jeśli wierzyć dramatom więziennym, no ale jeśli nie wierzyć filmom, to połowę mojej wiedzy o świecie mogę spuścić w kiblu. Tyle że w filmach więziennych dziura jest całą jak wszystkie inne. W Horyzontach była to jebana dziura w ziemi.

W tym mrocznym miejscu powtarzasz sobie: „Tym razem wytrzymam”. Tym razem się nie rozkleisz, będziesz pamiętała, że czas jednak płynie i żadne potwory nie kryją się w ciemnościach. Gdy pokrywa jak co dzień odsunie się ze skrzypieniem i zrzuci ci jedzenie, ciśniesz im je w twarz wraz z garścią własnego gówna. Gdy opuszczą linę i zaproponują, że wyciągną cię z powrotem ku słońcu, jeśli przeprosisz i podziękujesz, roześmiejesz się i każesz im wrócić później, bo właśnie przerwali ci drzemkę. Tym razem mroczne miejsce będzie darem, urlopem od mąk dnia codziennego. Tym razem będzie to czas tylko dla ciebie.

Gówno prawda.

W mrocznym miejscu jest zawsze tak samo.

Z początku nudno. Potem samotnie. Potem oblewa cię strach, a gdy ta fala się cofnie, nic po niej nie zostaje. Cisza wypełnia się wszystkimi tymi myślami, które odpychałaś od siebie, żyjąc w świetle dnia. Zło, które uczyniłaś. Błękit nieba. Zwłoki gnijące w trumnach, larwy karmiące się resztkami pozostałymi na szkieletach. Co stało się z ciałem, gdy je opuściłaś, i czy nadszedł czas powrotu. Twoje jedzenie jest mokre od łez. Smakuje gównem i szczynami, bo niczym innym

tu nie pachnie, pomijając twą zgniłą pokutę i wstyd. Jest parno, powietrze stęchłe, gęste od twojego własnego oddechu. Gdy ciemność pęka i głos przełamuje ciszę, powiesz mi wszystko, co chcę usłyszeć.

Nie, nie ty. To nieuczciwe. Nie wiem, co ty byś zrobiła, Dex. Wiem, co ja zrobiłam.

- Przyjmuję Jezusa do swego serca.
- Wyrzekam się Szatana.
- Zgrzeszyłam, lecz już więcej nie będę.

Za każdym razem się poddawałam – a było to coś, czego o sobie nie wiedziałam – ale przynajmniej wytrzymałam dłużej niż większość. Dzięki Kurtowi. Był ze mną tam na dole. Bo on mieszka na dole. Lepiej było śpiewać, niż krzyczeć. Śpiewałam razem z nim, wspominałam cię. Żyłam dla ciebie głęboko w mrocznym miejscu i przetrwałam dzięki świadomości, że gdzieś tam w świetle jesteś. I żyjesz dla mnie.

DEX

O dziewczynie

Idziesz – nie ustąpiła matka. – Obie idziemy.

Czułam się wiekowa, ale matka najwyraźniej uważała, że nigdy nie będę za stara na „bo ja tak powiedziałam”. Poszliśmy. Przyjęcie na basenie dla matek i córek, uciążliwy czyściec banalnych pogaduszek i cellulitu, który mógł wykluczyć się jedynie w głowie któregoś z Drummondów.

– Jak miło, że o nas pomyśleli. – Matka wprowadziła zdezelowanego fordą w wąską lukę między mazdą a audi, uderzając po razie w każdy zderzak, jak gdyby na szczęście. Dom Nikki oddalony był od naszego góra o pięć minut jazdy, ale ja miałam wrażenie, że przeszliśmy przez portal albo może ekran telewizora, ponieważ klony przy chodniku, ganki z kolumnkami, nieskazitelnie przycięte prostokąty zieleni wydawały się zbyt doskonałe, by być czymś innym niż plan filmowy. Pozostawało tylko pytanie: tragedia to czy farsa. – I jak miło, że spędzisz trochę czasu z przyjaciółkami.

Aha. Farsa.

– Ile razy mam ci powtarzać...

– Dobrze, dobrze. Potencjalnymi przyjaciółkami, gdybyś tylko dała im szansę.

Jak to jest, rozmyślałam, że sam proces starzenia się owocuje kompletnym zanikiem pamięci? Oto moja rodzicielka naiwnie oczekuje, że nie tylko sabat matek z komitetu rodzicielskiego, od dekady traktujący ją z góry, z entuzjazmem otworzy ramiona przed jej niewymanikiurowanym urokiem, ale

też że w ślad za nim ruszą ich córki.

– Naprawdę chcesz, żebym poszła na imprezę? Po tym, co wydarzyło się ostatnim razem? – Miarą mojej desperacji był fakt, że tak bardzo zbliżyłam się do przypomnienia tego *expressis verbis*. – Nie boisz się, że narozrabiam?

Jak na kogoś pozbawionego poczucia humoru moja matka wyćwiczyła perfekcyjny drwiący uśmieszek.

– A jak myślisz, dlaczego przyjechałam z tobą w charakterze przyzwoitki?

Powinnam docenić, że odważyła się pokazać ze mną publicznie, ale z drugiej strony była moją matką, więc gotowość ta warta była nie więcej, niż gdyby nazwała mnie śliczną.

– Nie masz wpływu na to, co ludzie o tobie myślą – powiedziała. – Możesz tylko spróbować udowodnić im, że się mylą.

– Winna, dopóki nie udowodni się jej niewinności? Coś mi się zdaje, że nie tak powinno to działać.

– Życie to nie *Prawnicy z Miasta Aniołów*.

Wyłączyła silnik. Naprawdę to robiłyśmy.

– Lacey wyjechała – rzekłam w ostatniej rozpaczliwej próbie wartej bólu, jaki wiązał się z wypowiedzeniem tego na głos. – Skończył się zły wpływ. Nie ma po co wrabiać mnie w nowe przyjaźnie.

Przykryła dłonią moją rękę, ale cofnęła ją, zanim ja zdążyłam to zrobić.

– Widzisz, Hannah, mój problem z Lacey nigdy nie dotyczył Lacey. Nie całkiem.

– Czy to jakiś kolejny bezsensowny bełkot zen?

– Znam to uczucie – ciągnęła. – Zainwestować całą siebie w drugą osobę. Ale niczyje marzenia nie są na tyle wielkie, by rezygnować z własnych, Hannah. Musisz to zrozumieć, zanim

będzie za późno, inaczej ockniesz się, wiodąc życie, którego za nic byś nie wybrała.

– Nie rozumiem, jak to ma się do mnie.

Matka nie zwykła rozmawiać w ten sposób, a już na pewno nie ze mną. Nie nadawałyśmy się do tego, ani ona, ani ja.

– Nie możesz wiecznie żyć cudzymi marzeniami, Hannah. Kiedy wreszcie prysną, nikomu nie wyjdzie to na dobre. – Klasnęła w dłonie, znów plastik z teflonowym uśmiechem, jakbym najzwyczajniej w świecie sobie wyobraziła, że na chwilę stopiły się w normalnego człowieka. – No chodźmy, bo pomyślą, że brak nam oglądy.

– Kogo obchodzi, co pomyślą? I tak traktują cię jak śmiecia.

Nie chciałam jej zranić, zresztą wtedy nie przyszło mi do głowy, że to możliwe.

Na komodzie matki w powleczonej sztuczną pozłotą ramce stało zdjęcie dziewczyny, którą kiedyś była. Pozowała na występie baletowym obok swojej siostry, która w przeciwieństwie do matki miała sylwetkę baletnicy. Zastygły w połowie piruetu, moja ciotka w idealnej postawie i z promieniejącym uśmiechem, matka – ponura, przysadzista, ze znajomą gęstwą kędziorów. Po ciąży osłabły jej włosy, kolejny powód, żeby mnie winić. W filmie naszą więź scementowałyby współdzielona uroda brzydkiego kaczątka; w wersji hollywoodzkiej matka oczywiście rozkwitłaby i stała się zachwycającym łąbędziem, a nie odrobinę wyższą i zdecydowanie szerszą kaczką, która czasami chyba za mną nie przepadała. Nie mogłam jej za to winić, codzienne wspomnienie dnia wczorajszego było zapewne dla niej nie większą radością niż dla mnie ewentualna możliwość wejrzenia w moje jutro.

Wysiadła z samochodu i wygładziła peniuar frotté

narzucony na kostium kąpielowy. Byłam pewna, że żadna z matek nie włożyła nic podobnego.

– To, że opuszczasz liceum, nie znaczy, że ono opuszcza ciebie.

Chcąc nie chcąc się roześmiałam.

– Chyba nic równie dołującego jeszcze od ciebie nie słyszałam.

Ona też się zaśmiała.

– Z tego wynika, że sprawdzam się w swojej roli.

– Matka roku.

Odbiło się to na jej twarzy: chwila, w której postanowiła skusić los i zaryzykowała cieplejszą sekundę między matką a córką.

– Miło widzieć, że się uśmiechasz, Hannah.

– Jeśli wsiądziemy do samochodu i wrócimy do domu, uśmiechnę się jak chodząca reklama pasty do zębów.

– Kuszące – odrzekła, robiąc na tyle długą pauzę, żeby ożyła we mnie nadzieja.

Po czym poszliśmy na imprezę.

Otworzył nam ojciec Nikki Drummond w pełnym sportowym rynsztunku dzianego faceta – spodnie od Ralphi Laurena i koszulka polo – po czym chrząknięciem skierował nas ku basenowi. Przemierzałam dom z pochyloną głową, nie chcąc dostrzec żadnych przejawów życia rodzinnego – stareńkiego malunku palcami na lodówce czy terminu spotkania z terapeutą w kalendarzu – które mogłyby uczynić Nikki ludzką. Stąpałyśmy po wymyślnych płytkach podłogowych, takich z ledwie dostrzegalnymi wykrętami, przez które masz wrażenie, jakbyś szła po wodzie. W drzwiach stanęliśmy jak

wryte, matka i córka ramię w ramię, jednako wpatrzone w swój mroczny los.

Matki ubrane były w przemyślnie udrapowane sarongi bądź dresy Esprit, miały wymanikiurowane paznokcie i włosy sumiennie przycięte na mamina fryzurę w stylu Dorothy Hamill, jakby łączył je sekretny pakt, że w wieku czterdziestu lat przechodzą na bezguście. Córeczki swawoliły w markowych szortach, opalone źrebięce nogi wyłaniały się z profesjonalnie wystrzępionego džinsu. Różowe lub fioletowe chodaki ugniatały stopy z pomalowanymi paznokciami, za duże T-shirty zostały nisko opięte paskiem bądź zawiązane na węzeł tuż nad pępkiem; nie dotyczyło to wszystkich dziewczyn, bo części, mimo nieobecności chromosomów Y, na których można by zrobić wrażenie, chciało się rozebrać do bikini. Standardowe otoczenie Nikki się nie pojawiło, zastąpiły je rozproszone grupki drugiego sortu, pluskające stopami w wodzie lub podejrzliwie trącające miseczki na galaretkę napełnione koktajlem krewetkowym.

Jeśli istnieje piekło, pachnie jak olejek do opalania i przepocona bawełna Benettonu, smakuje ciepłą colą, rozbrzmiewa lekką muzyką i pilnym poszeptywaniem, a człowiek czuje się w nim jak na prześwietleniu – radioaktywne spojrzenia przenikają luźne stroje aż do nagiego ciała. Czułam, jak mutuję, byłam odrażającym potworem z bagien, nadciągnęłam, by roznieść wieczorek towarzyski, i Lacey we mnie chciała odegrać tę rolę, utorować sobie szlak zniszczenia, dać im prawdziwy powód do gapienia się.

Zamiast tego zaniósł mnie w miejsce najbardziej nadające się na bezpieczną przystań, do Jenny Sterling, Conny Morazan i Kelly Cho, które tak agresywnie pozowały na trzech muszkieterów, że odkąd się poznały, przebierały się za nich na każde Halloween. Były jednostką samowystarczalną, okazyjnie

włączającą się w marszowy szyk stworzeń stojących nieco wyżej w łańcuchu pokarmowym, ale nigdy niełamającą formacji. Jenna z fryzurą Barbie i nogami umięśnionymi od hokeja na trawie otwarcie się kiedyś rozplakała, przymuszona do współpracy ze mną nad jakimś matematycznym zadaniem w czwartej klasie, co w niezapomniany sposób zilustrowało pojęcie reszty z dzielenia. Uzdolniona asystentka Conny była ekspertem w dokańczaniu wypowiedzi Jenny, na których ta się zacięła, co zresztą często się zdarzało. No i była też Kelly, która wylądowała u nas niczym kosmita jeszcze w pierwszej klasie, wciąż ucząc się angielskich odpowiedników słów „duża przerwa”, „tablica szkolna” i „dziwadło”, znosząc chłopców, którzy mrużyli oczy w szparki i wymawiali nonsensowne sylaby, nazywając je chińszczyzną Karate Kida nawet wtedy, jak po raz enty im przypomniała, że jest Koreanką. Gdzieś po drodze zgubiła akcent oraz dziecięcy tłuszczyk i była obecnie jedyną z całej trójki, która stale miała jakiegoś chłopaka, nawet jeśli najczęściej był to poderwany w kościele dzieciak z kółka religijnego.

Nie było ich na imprezie hipotecznej, takie dziewczyny nie chadzają na tego typu balangi. Jakiegokolwiek doszły ich słuchy, niczego nie widziały.

Nigdy nie udało mi się w pełni opanować sztuki dołączania do rozmowy w toku, czaiłam się więc tylko przy ich ściśniętej gromadce i czekałam, aż któraś zauważy moją obecność.

– To gdzie ona się podziała?

Sekundę za długo zajęło mi zorientowanie się, że pytanie było skierowane do mnie.

– Kto?

– Pewnie i tak nie wie – powiedziała Jenna. – Jest taka...

– ...niewiedząca – podsunęła Conny, a Jenna potakująco skinęła głową.

– To wiesz czy nie? – zapytała Kelly.

– A jak myślicie? – odparłam tonem sugerującym: „Phi! Oczywiście, że wiem”.

Efekt: podniecenie.

– No? To gdzie?

– Trafiła do poprawczaka, tak?

Jenna miała zdrowy środkowo-zachodni wygląd, który nigdy nie budził we mnie zaufania. Należała do tych, które przychodzą do klasy z kijem do hokeja na trawie i eksperymentują z łączeniem perfum Body Shop dopóty, dopóki nie znajdą kombinacji, dzięki której ich zapach najbardziej będzie się kojarzył z szarlotką.

Conny parsknęła.

– Prędzej do wariatkowa.

– Do Nowego Jorku, wszystkie tam jadą – podzieliła się wiedzą Kelly.

– Jakie wszystkie? – zainteresowałam się.

– No wiesz... – Już nie takim pewnym głosem. –

Dziewczyny jak Lacey, które...

– ...uciekają – uzupełniła Conny. – Jak w *Pretty Woman*.

– W *Pretty Woman* było Los Angeles. – Niespodziewanie przy moim ramieniu na swój godny czarownicy sposób zmaterializowała się Nikki. – W dodatku Lacey raczej nie uciekła, by zostać prostytutką. – Zaczepiła palec o szlufkę moich spodni i odciągnęła mnie od muszkieterek. – Hannah Dexter. Chcesz się stąd zmyć?

Minęła chwila, zanim do mnie dotarło, że zaprasza, a nie rozkazuje, choć może to tylko wygodne usprawiedliwienie, dlaczego nie wyskoczyłam z jakąś cwana ripostą ani nie pokazałam jej środkowego palca, tylko odrzekłam „tak”.

– Nie wiem, czemu moja matka nalega na ten szajs. – Monolog Nikki wiódł nas do lasu. Narzekania na imprezowe przekąski i matczyne koleżaneczki przerodziły się w litanie przygód, przez które Nikki opuściły wszystkie prawdziwe przyjaciółki: kolonie tenisowe, kolonie rozwoju artystycznego, kolonie kultury żydowskiej, Allie Cantor na zorganizowanej wycieczce do Wielkiego Kanionu, Kaitlyn Dyer na wyprawie przez kontynent polegającej na robieniu zakupów i bez wątpienia dawaniu dupy, nie tyle Virginia Woolf, ile Fergie. (Nikki Drummond robiąca aluzję do Virginii Woolf wywróciła mój świat do góry nogami). Narzekała na wilgoć i roje komarów, obleśnego czyściciela basenów, którego spojrzenie zawsze wisiało na niej o sekundę za długo, kłopot z goleniem się do brzegów bikini, monotonię telewizyjnych powtórek, złośliwość rodziców niezgadających się na opłacenie rozmowy czekającej na jej prywatnej linii. Marudziła, pociągała z małpki zawierającej coś brązowego i zakazanego i wydawała się o wiele mniej przejęta tym, co mogę zrobić jej w lesie, niż powinna być.

Zamknęły się wokół nas drzewa, ciemne, bujne, rozszeptane. Popołudnie nieubłaganie nabierało bajkowego charakteru: czarownica mówiła mi, dokąd iść, ja zaś, jak dziecko zgubione w lesie, jej słuchałam. Aż wreszcie się zatrzymała, przestała też mówić i dopiero kiedy tak nagle zamilkła, przyszło mi do głowy, że niekończący się strumień skarg może świadczyć o czymś w rodzaju rozstroju nerwowego.

Przystanąłyśmy na skraju przecinki, której środek zajmowała zapadająca się pod własnym ciężarem konstrukcja o ścianach pomazanych czarnymi sercami i tagami grafficiarzy oraz z ziejącymi czarnymi dziurami zamiast okien. Kilkadziesiąt metrów dalej, na gołych osiach oplecionych przez chwasty

niczym jakaś pradawna mechaniczna bestia, która przyczołgała się do lasu, by zdechnąć, przechylał się wagon towarowy. Nie było chatki z piernika, ale i tak miejsce wyglądało na zaczarowane.

Wiedziałam oczywiście o starej stacji kolejowej. Wszyscy wiedzieli. Została zamknięta w latach siedemdziesiątych i przytulny urok, który architekt zapewne zamierzał osiągnąć rzeźbionymi balustradami z żelaza i dwuspadowym dachem, padł łupem historii i zacieśniającego się lasu. Gdzieś w ciemności pod peronem kryły się popękane i zarośnięte tory; plotka głosiła, że mieszkali tam ludzie, bajkowi włóczędzy rozgrzewający się przy płonących śmieciach i godzący się nawzajem żelaznymi gwoździami kolejowymi. Budowla majaczyła ogromem w dzieciństwie każdego z Battle Creek; miejsce wizyt znudzonych i śmiałych dzieciaków, łatwy rytuał inicjacji tajemnych stowarzyszeń: zmierz się z nawiedzoną stacją i wróć z talizmanem, odłamkiem szkła bądź rozdartym opakowaniem po prezerwatywie. Postaraj się nie złapać żółtaczki. Było to miejsce możliwości, groźba ze strony cieni, a może nawet świadomości, jakby przechylona stacja mogła mieć własne ukryte zamiary. Lacey mogłaby dla nas zaadaptować takie uświęcone miejsce, gdyby nie jej jazda na punkcie lasu.

Polanę przecinał rów, na jego dnie jak rzeka w kanionie ciągnęła się wstęga wygiętego i połamanego toru. Nikki usadowiła się na brzegu i zwiesiła nogi nad krawędzią.

– To tutaj umarł, wiesz.

Nie mogę powiedzieć, żeby po tych słowach stacja wydała mi się mniej nawiedzona.

– Tak mówią – dodała. – Woleli nie rozgłaszać, że stało się to w tym miejscu. Na wypadek, gdyby obsesjonaci chcieli je

zmienić w jakieś sanktuarium. Albo mekkę naśladowców. Mnie jednak powiedzieli. Jak widać.

Właściwie w ogóle Craiga nie znałam, poza tym, że znałam go od szesnastu lat i niemało o nim wiedziałam: potrafił wybekać alfabet, wsadzić sobie do nosa cztery ludziki Lego, a raz płakał, jak spadł z huśtawki i złamał rękę. Był stałym elementem otoczenia, jak przeznaczony do rozbiórki kościół na Walnut Street – mijalam go od lat i aż do dnia, w którym spłonął, nie zastanawiałam się, co jest w środku. Tym właśnie była dla mnie nieobecność Craiga: pustym placem tam, gdzie nie powinno go być.

Nie mogłam nie wyobrazić go sobie siedzącego w cieniu tej porzuconej skorupy, roztrzaskującego jałowość przeszłości, wyczytującego w nakazach graffiti egzystencjalną apokalipsę: „Jebać Rondę”, „Zrób mi loda”. Nie mogłam nie wyobrazić sobie, jak skrwawiony i nieruchomy gnił, użyźniając ziemię.

To miejsce należało teraz do Nikki. Zajął je dla niej.

– Fakt, że twój chłopak się zabił, nie robi z ciebie automatycznie dobrego człowieka – stwierdziłam, ponieważ żal nad nią doskwierał.

Wyglądała, jakby już naszła ją ta myśl.

– Zabawne, nie? Bo można by pomyśleć, że robi.

Podsunęła mi butelkę, ale odmówiłam machnięciem ręki.

Wiem, jak należy postępować, kiedy czarownica oferuje kęs jabłka.

Nikki wychyliła resztę jednym haustem i cisnęła butelkę do rowu. W dźwięku roztrzaskującego się szkła było coś niezmiernie satysfakcjonującego. Pomachała nogami. Gdzieś rozspiewały się ptaki. Na moim kolanie zamigotał komar, Nikki odpędziła go plaśnięciem. Zaskoczyło mnie, że zostawiła po sobie tłustą plamę potu. Nikki Drummond tego świata nie

powinny się pocić.

– W tym miejscu nikomu nie kłamię – powiedziała – więc może tym razem mi uwierzysz. Nie jestem wrogiem. Nie ma żadnego wroga.

– Czemu tak ci zależy, żebym uwierzyła?

Wzruszyła ramionami.

– Mnie też wydaje się to dziwne.

Upomniałam się, że czarownica buduje domek z piernika, by oczarować głupie dzieci.

– Wiesz, mogę ci pomóc wszystko naprawić – oznajmiła.

– Co konkretnie?

– Cóż, po pierwsze, nadszarpniętą reputację. Po drugie... – Wyrzuciła ku mnie ręce, jak gdyby sugerowała, że samą esencję Hannah Dexter.

– Skąd pomysł, że potrzebuję naprawy?

– Serio chcesz usłyszeć odpowiedź?

– I dlaczego miałybyś zrobić ze mnie swój projekt?

– Może z nudów. – Patrzyła na swoje stopy; były zsunięte, ona zaś prostowała je i wyginała, jak robiłyśmy to kiedyś na gimnastyce w YWCA. – Może ze zmęczenia.

– Zmęczenia latem?

– Zmęczenia udawaniem, że nie jestem suką – odparła. – Ty oczywiście już zdecydowałaś, że jestem. To odprężające.

– Musisz mnie mieć za kompletną idiotkę. – Może i nią byłam, ponieważ po jej wyznaniu poczułam dziwne ukłucie czegoś zbliżonego do dumy.

Znów wzruszyła ramionami. Uznałam to za potwierdzenie.

– O nic nie zebrzę. Wybierzmy się jutro do centrum handlowego. Pokaż tym wszystkim kretynom, że masz w głębokim poważaniu, co o tobie myślą. Niech cię ze mną zobaczą. To pomoże.

– Z tobą do centrum handlowego? Coś ty brała?

– Marissa zdradza Austina z Garym Peckiem. Po lekcjach daje się palcować w laboratorium chemicznym.

Marissa Mackie i Austin Schnitzler chodzili ze sobą od gimnazjum i byli głównymi rywalami Nikki i Craiga o superlatywy dla szkolnych sympatii w księdze pamiątkowej, nie wspominając, że brali też udział w moim prywatnym konkursie o to, na czyj widok bardziej zbiera mi się na wymioty. Równo oceniano szanse, czy zaręczą się zaraz po maturze, czy – gdyby pękła guma – wcześniej.

– Skąd wiesz?

– Ludzie mówią mi o tym i owym.

– A dlaczego ty mi o tym mówisz?

– Żebyś mi zaufała.

– Mam ci zaufać, bo rozpuszczasz plotkę...

– Prawda to nie plotka.

– Dobrze, czyli twoja logika przedstawia się następująco: mam ci zaufać, bo dzielisz się najbardziej skrywanym sekretem swojej najlepszej przyjaciółki ze swym najgorszym wrogiem.

– Po pierwsze, nie jest moją najlepszą przyjaciółką. Po drugie, skrywa gorsze sekrety. Po trzecie, wybitnie nie doceniasz puli moich wrogów.

– Boże, naprawdę z ciebie suka, co?

Wstała.

– Mówiłam, że o nic nie zebrzę. Możesz się zgodzić albo nie, twój wybór.

– Wiesz w ogóle, jak kijowo ci wychodzi silenie się na bycie miłą?

Teraz w jej śmiechu pojawiła się jakaś inna nuta, jasna i słoneczna, aż przyjemnie było słuchać.

– Będziesz musiała mnie zawieźć. Nie mam prawka.

– Damy sobie z tym radę. – Tym razem jej śmiech przypominał gdakanie. – Kocham ten projekt.

Znów naszło mnie wrażenie nieuniknionego, dogłębne poczucie, że życie ruszyło z miejsca.

– Muszę wracać, bo matka zacznie szaleć – powiedziała. – Ale ty możesz zostać, jeśli chcesz. Idź cały czas przed siebie od tamtej strony stacji, twój dom jest góra półtora kilometra stąd. Powiem twojej mamie, że cię odwiozłam, bo źle się poczułaś.

Był to bardziej rozkaz niż sugestia.

– Nikki... – Nie zwróciłam się ku niej twarzą. Nie mogłam.
– Zanim pójdziesz...

– Tak?

Wszyscy ci bohaterowie z bajek bez trudu mogli uniknąć przygód, oszczędzić sobie żalospnego losu życia ciekawym życiem. Nie pochylaj się nad studnią, nie pocieraj zaczarowanej lampy. Nie słuchaj głosu nawołującego z ciemności.

Nie idź do lasu.

– Co jest między tobą a Lacey?

Milczała wystarczająco długo, żebym zaczęła się stresować.

– Może byliśmy kochankami, Hannah. – Rozciągnęła kluczowe słowo, otwierając usta tak szeroko, że widziałam jej język spychający „n” z podniebienia. – Ostra lesbijska jazda, a ty jesteś tylko pionkiem w naszej miłosnej kłótni. Pomyślałaś o tym kiedyś?

Jakby była zbyt leniwa, żeby wysilić się na prawdziwy żart. Równie dobrze mogła powiedzieć: „Wymyśl sobie jakąś skończoną bzdurę i pierdol się łaskawie z takimi pytaniami”.

– Jak sobie chcesz, Nikki.

– Rozpoczynam nowy rozdział życia. Nosi tytuł: *Kogo, kurwa, obchodzi przeszłość?* Istotna kwestia to ty i Lacey.

– Czyli konkretnie?

– Już ci mówiłam. Była okropna dla ciebie i wobec ciebie. Przykro było patrzeć.

– A kto ci kazał patrzeć?

Zła odpowiedź. Powinnam bronić Lacey, ale już było za późno.

– Dlaczego tamtej nocy pozwoliła ci się spać, a potem zostawiła cię samej sobie? Czy tak robi „najlepsza przyjaciółka”? – Ścisnęła to określenie palcami.

– Nie potrzebuję niańki.

– Kijowo cię tamtej nocy potraktowała, cały czas traktowała cię kijowo. Chodzi jej o władzę, daje jej to kopa. Chyba zauważyłaś? Wmawia ci, że jej potrzebujesz. Biedna mała Dex, samotna i bezradna, na szczęście ma dużą silną Lacey, która ją nauczy, jak toczy się świat. Widzieli to wszyscy poza tobą.

– Pierdol się, Nikki.

– Powiedz mi, że się mylę. Jest wymarzoną przyjaciółką, tak? No to gdzie się podziała? Przechodzisz najgorszy, kurwa, okres w życiu, a papużka nierozłączka odfruva? Dokąd? Rzucić majtkami w Nirvanę? Masz szczęście, Hannah. Ona by cię zniszczyła. Ten model tak ma. Przykro mi, taka jest prawda.

– Wracaj na tę swoją imprezę, Nikki.

Zostawiła mnie samą w lesie, bym mogła przemyśleć te pierdoły lub je olać i wyobrażać sobie wszystkich ludzi, którzy bywali na tej stacji w czasach, kiedy do Battle Creek zajeżdżały ciuchcie: biznesmenów w fedorach i górników o ubrudzonych policzkach, szeroko uśmiechniętych, idących na wojnę nastoletków, wszyscy w drodze dokądś tam, każdy macha żalostnemu mias-tu wrośniętemu w swoje miejsce. Robiłam, co mogłam, by jak najlepiej to sobie wyobrazić, aż wreszcie zrobiło się ciemno, mnie zaś znużyła samotność.

Centrum handlowe. Z Lacey nigdy w nim nie bywałyśmy. Znajdowało się o pół godziny jazdy autostradą, wejścia przystrajały jasnoczerwone i błękitne banery, jakby Macy's i Toys Я Us sponsorowali renesansowy festyn. Centrum handlowe, powiedziała Lacey, to martwica mózgu. Lobotomia przy użyciu imitacji mosiądzu i linoleum. Robole i plebs balsamujący się mrożonym jogurtem, maskarony w średnim wieku kupujące masażery szyi w The Sharper Image. Lacey wierzyła w małe sklepiki schowane w zapomnianych miejscach, takich jak poddasza, garaże czy pewna piwnica, gdzie prawdopodobnie zostałybyśmy zamordowane, gdyby fifka właściciela nie uruchomiła alarmu przeciwpożarowego. Sklepy sieciowe ciągnące się rzędami w galeriach handlowych to, jak mawiała Lacey, armia kolonizacyjna zarażająca lud bakterią, która będzie się mnożyć i rozprzestrzeniać. Im bardziej ludzie stają się podobni, tym bardziej chcą się do siebie upodabniać. Konformizm to narkotyk, a centra handlowe to jego uliczni dilerzy, czerwonoocy, tłustowłosi, zapewniający, że jeden niuch jeszcze nikomu nie zaszkodził.

W centrum handlowym mrożony jogurt smakował jak szampon o zapachu waniliowym. W centrum handlowym puszczały instrumentalne wersje przebojów Madonny, przy których tańczyły dziewczyny, wykorzystując ruchy podpatrzone w MTV. Były tam kruche ciasteczka wielkości mojej głowy, maczane w sosie czekoladowym prele w polewie z sera śmietankowego. W samym środku mieściła się karuzela, na której kręciły się rozkrzyczane dzieci, a ich znudzeni ojcowie udawali, że się przyglądają. Wejścia pilnowali zbrojni rycerze, opędzający się od maluchów uczepionych ich lśniących

kończyn. W części restauracyjnej jedno stoisko oferowało miód pitny, a głębiej, przy stoliku, grupa niechlujnych graczy w lacrosse pakowała pizzę do rozdziawionych paszcz.

„Obrzydliwe, ale urocze”, skomentowała Nikki.

Była też fontanna mieniąca się monetami. Wrzuciłam do niej jednocentówkę, ale nie zażyczyłam sobie niczego dla Lacey.

Patrzyłam, jak Nikki przymierza długie kwieciste suknie i dżinsowe kamizelki, ale odtrąciłam pastele, które wpychała mi w rękę.

– Nie obchodzi mnie, co inni myślą – powiedziałam. – Ubieram się dla siebie.

– Więc to chyba czysty przypadek, że ubierasz się identycznie jak Lacey. Bliźniaczki ze Sweet Valley, tyle że w wersji dla gotów.

– Nosimy, co nam się podoba – odparłam. W czasie terazniejszym, jak gdyby gramatyka mogła kształtować rzeczywistość. – Nie jakież... – Zakołysałam na palcu topem z koronką przesywaną połyskującym srebrem. Delikatna faktura sugerowała kruchość, którą Nikki być może czasami chciała emanować, ale nigdy jej nie ucieleśniać. – ...przebrania.

Nikki przewróciła oczami, wśliznęła się w top i jakimś cudem, dzięki zmianie pozycji ramion i świadomemu przekrzywieniu głowy, stała się kimś z gruntu nowym, słodkim jak perfumy o zapachu kwiatu pomarańczy, którymi wcześniej nas popsikała.

– Sorki, kompletnie zapomniałam. Te koszmarne buty mają być odbiciem twojej duszy. Zupełnym przypadkiem odbijają przy okazji duszę Lacey i każdej innej fanki grunge’u, marzącej o zostaniu panią Cobain. Jedno wielkie flanelowe nieporozumienie. – Podczas lunchu w jej rękach zmaterializowała się antykwaryczna srebrna piersiówka,

powgniatane cacuszko, w którym Lacey by się zakochała. Dolała trochę wódki do dietetycznego dra peppera, a ta od razu wprowadziła ją w nastrój do robienia wykładów. – Gwarantuję, że za rok o tej samej porze połowa Battle Creek będzie chodziła w waszych durnych flanelowych koszulach. – Rzuciła mi ciuch, z którego zrezygnowała, kaszmirowy sweter w kolorze błękitu nieba. Za nic nie byłoby mnie na niego stać, nawet gdybym kiedyś zdecydowała się na noszenie czegoś tak kobiecego i zdaniem Nikki podkreślającego kolor moich oczu. – Wszystko jest przebraniem, Hannah. Miej choć tyle rozumu, żeby to pojąć.

Sweter był delikatny jak szept i pasował jak ulał. Nie musiałam przekrzywiać głowy ani zmieniać postawy. Pomiędzy bajecznym błękitem a różowowiśniowym błyszczkiem, który Nikki kciukiem rozsmarowała mi na ustach, ja też wyglądałam na kogoś z gruntu nowego.

Nie upominałam jej, że ma mnie nazywać Dex, a ona przez cały dzień nie wspominała o Lacey. Trzymałyśmy się bezpiecznych terytoriów: na ile sposobów nasze matki przynoszą nam wstyd, którzy chłopcy ze *Stowarzyszenia Umarłych Poetów* byli najfajniejsi i w jakiej kolejności, czy od rzeczywistego Patricka Swayze można nauczyć się tańczyć jak Jennifer Grey, czy nasza nauczycielka biologii na początku szkoły średniej sypiała z dyrektorem, czy powrót po studiach do Battle Creek na resztę bolesnego życia należy uznać za tragedię czy farsę.

Było fajnie. Oto największa niespodzianka i największy wstyd. Nie doszukiwałyśmy się prawd o wszechświecie, nie określałyśmy się politycznie, nie szukałyśmy wyzwania ani trudności. Po prostu było nam fajnie. Ona była fajna.

Przez cały dzień wyczekiwałam puenty, ale były tylko stylizacje przy stoisku L'Oréal, wyprzedaż dżinsowych strojów

w Express i godzina zrywania boków przy wciskaniu się w oficjalne suknie wyglądające jak tort weselny, im bardziej upstrzone strasem, tym lepiej. Kolejno odbywane sesje w fotelach masujących w Sharper Image i wspólna paczka czekoladowych ciastek w samochodzie po drodze do domu. Było to niewytłumaczalne i niemożliwe, a potem, w tym dziwnym letnim wypaczeniu czasu, kiedy jeden dzień ciągnie się jak dziesięć, a tydzień wystarcza, żeby każdy nowy dodatek zlał się z powszednim umeblowaniem życia, stało się rutyną.

Poznałam jej dom i panujące w nim zasady. Przestałam czekać, aż objawi się jej prawdziwy cel.

Większość naszych wspólnych dni spędzałyśmy na dworze, pływałyśmy w basenie na dmuchanych materacach, smażyć plecy na słońcu i chlapiąc wodą na Benettona, labradora retrievera Nikki. Tego lata ze wszystkich nauk Nikki najlepiej przyswoiłam tę, jak unosić się na wodzie. Po prostu muszę przestać walczyć, wtedy nie będę tonąć. Wystarczy położyć się na plecach i wierzyć, że pod powierzchnią nie pływają żadne ciemne kształty, że nic o ostrych zębach i nienasyconym głodzie nie czai się w bezdennych głębinach. W świecie według Nikki nie było czegoś takiego jak głębiny.

I tak byłam już wewnątrznie pusta, a Nikki nauczyła mnie, że najlepiej taką pozostać. Jeśli wystarczająco uporczywie będę udawała, że nie czeka na mnie nic, co mogłoby mnie zawłaszczyć, nic nigdy tego nie zrobi.

Bawiła się moimi włosami i oprotestowała lwią część mojej garderoby. Pewnego lepkiego dnia zabrała mnie na parking przed podstawówką i nauczyła prowadzić. Nadal odmawiała nazywania mnie Dex.

– Masz na imię Hannah – stwierdziła. – Kto pozwala, żeby obcy człowiek nadawał mu nowe imię? Co innego, gdyby tobie się nie podobało. Ale bądźmy poważne, stawać się kimś nowym, bo tak kazała jakaś szajbuska?

No właśnie, podobało mi się moje imię. Zapomniałam o tym. Nie wiedziałam, że coś jest nie tak z Hannah, dopóki Lacey mi o tym nie powiedziała.

Nikki była zbyt ostrożna, żeby rozmawiać o Lacey. Zamiast tego mówiła wokół niej, pozwalała mi powolutku dochodzić do własnych wniosków.

– Nie wiem, czemu w ogóle słuchasz tego dziadostwa. Przecież widać, że nawet ci się nie podoba – powiedziała, kiedy przewinęłam o jedną za dużo piosenkę Nirvany.

– Oczywiście, że ma znaczenie, co ludzie o tobie myślą – odrzekła na moje słowa, że nie potrzebuję pomocy w naprawie mojej reputacji, ponieważ jest ona nieistotna. – Jeśli ktoś wmawia ci, że jest inaczej, to znaczy, że próbuje zrobić cię w wała.

– Niektórzy po prostu są dziwakami, a że nic nie potrafią na to poradzić, starają się w to swoje dziwac-two wciągnąć innych – wyjaśniła, rzucając mi naręcze używanych ciuchów. – Ale ty jesteś inna. Masz wybór.

Opowiadała o sobie i może właśnie dlatego z wolna zaczęłam jej ufać. Zwierzała się, jaka jest znudzona – nie tylko Battle Creek, przyjaciółkami, dysfunkcyjnymi rodzicami oraz doskonałym bratem wraz z jego nudną dziewczyną z college’u i pokornym życiem wypełnionym przygotowaniem do studiów medycznych, ale samą sobą, budzeniem się co rano z perspektywą wchodzenia w rolę Nikki Drummond.

– Nawet, kurwa, nie masz pojęcia, Hannah – rzuciła w środku tyrady o dziewczynach, które uważały się za

umiłowane dwórki w świetle jej królewskiej mości. – Kiedy mówię, że są płytkie, nie mam na myśli, że jak mielizna. Bardziej jak kałuża.

– One są płytkie? – zdziwiłam się, spoglądając znacząco na numer „Siedemnastolatek” leżący na jej podołku. Przez ostatnie trzydzieści siedem minut rozwiązywała psychotest „Jaki chłopak na plażę będzie dla ciebie najlepszy?”. Starła się uzyskać wynik, że złotowłosy bóg.

Rzuciła we mnie czasopismem.

– A czy ja się, kurwa, chwale, że nie jestem płytka? Różnica polega na tym, że ja o tym wiem. Tak samo jak wiem, że czytanie Nietzschego wcale cię nie pogłębia.

Poprawnie wymówiła nazwisko, niemal pretensjonalnie, z takim samym przesadzonym niemieckim akcentem jak Lacey.

– Wszystko jest jednym wielkim badziewiem – ciągnęła – a mnie męczą ludzie, którzy tego nie ogarniają. Ci, którzy sądzą, że wszystko ma, kurwa, znaczenie, czy to kolor lakieru do paznokci, czy sens istnienia zasranego wszechświata.

Była wstawiona. Do tej pory zdążyłam się nauczyć, że Nikki zawsze była odrobinę wstawiona. Naoglądałam się wystarczającej ilości filmów „o życiu”, by wiedzieć, że to nic dobrego. Mówiła o władzy nad ludźmi, o tym, że trzeba ją mieć, że żmudne to, ale konieczne, bo w przeciwnym razie ludzie posiadą władzę nad tobą. Czasami nawet mówiła o Craigu.

Rozmawialiśmy o nim wyłącznie na stacji kolejowej, a chadzałyśmy tam tylko wtedy, kiedy miała nader specyficzny nastrój. Nie podobało mi się tam. Przyznała, że nikt jej nie poinformował, gdzie dokładnie znaleziono zwłoki, może na torach, może w starej kasie, a może połową ciała zwisające z wagonu towarowego, jakby w ostatniej chwili próbował uciec przed samym sobą. Kto wie, czy nie siedziałyśmy na trawie

wgniecionej przez jego ciało i wyrosłej z jego krwi. Nie wierzyłam w duchy – nigdy, nawet jako dziecko gotowe uwierzyć we wszystko – ale wierzyłam w moc miejsc, a któż może powiedzieć, że ta stara stacyjka czegoś w sobie nie miała, że przejmujący smutek wiatru grzechoczącego połamanymi okiennicami nie udzielił się Craigowi, że nie zestroił go z jego własnym bólem. Takie miejsca szepczą.

Nikki powiedziała, że przychodzenie tu jest bolesne, ale ból nie zawsze musi być zły.

– Brakuje mi go – wyznała któregoś razu, machając nogami nad torem i wydłubując żalobę spod paznokci. – Nawet go specjalnie nie lubiłam, ale mi go, kurwa, brakuje. Przez cały czas.

Nauczyłam się nie mówić „bardzo mi przykro”, bo tylko się wtedy złościła.

– To jemu powinno być przykro – odpowiadała zawsze. – Kupie luda powinno być przykro, nie tobie.

Ułożyła się kiedyś na krawędzi rowu z głową na moich kolanach i powiedziała, że może to jej wina. Nie sądziłam, że ma tak miękkie włosy. Odgarnęłam jej grzywkę z czoła, z powrotem ją na nie nasunęłam. Zaczęły jej się robić brudnobrązowe odrosty. Zastanawiałam się, kiedy tak pociemniały jej włosy, czy rzeczywiście dawniej miały barwę słońca, czy tylko chciałam je takimi pamiętać.

– Nie bądź narcyzem – odparłam. Spodobało jej się to.

– Martwisz się, że już nigdy nikogo nie pokochasz? – zapytałam.

– Tak – przyznała. Uzupełniła jednak: – Ale jego nie kochałam. Myślałam, że kocham, wyszło inaczej.

– Co się stało?

Chodziło mi o to, co sprawiło, że przejrzała na oczy, ale też

o dużo więcej. Jak wszyscy byłam ciekawa, co kazało mu pójść do tego lasu, dlaczego zabrał ze sobą broń, a jeśli ona nie знаła odpowiedzi, chciałam wiedzieć, jak znosi świadomość, że nigdy jej nie pozna.

– Wiesz, że matka Allie do siódmego roku życia oszukiwała ją, że karob to prawdziwa czekolada? – powiedziała.
– Biedne dziecko, matka przez lata pakowała jej do ust to zdrowotne świństwo, a ona się dziwiła, dlaczego cały świat zachwyca się czymś tak ohydny. Wiesz, co stało się potem?

Pokręciłam głową.

– Któraś niańka nie obczaiła notatki i przyniosła lody oraz butelkę syropu czekoladowego. Allie spróbowała i z miejsca zwariowała. Wstała w środku nocy i wyłopała wszystko do ostatniej kropli. Musieli jej chyba płukać żołądek.

– A morał z tego: nie okłamuj dzieci?

– Kogo, kurwa, obchodzi morał? Mówię, że po tym trudno jej było żywić się karobem, nie uważasz? Ale matka nie zamierzała dawać jej czekolady. Była zdrowo porąbana.

Na tym Nikki skończyła temat, musiałam więc popuścić wodze wyobraźni: co było jej czekoladą? Jakiś student, kumpel brata, który wpadł na weekend? A może bardziej zakazany owoc, na przykład nauczyciel? Kolega ojca? Człowiek, dzięki któremu poznała smak czegoś, czego już nie spróbuje i o czym nie zapomni. Kimkolwiek był, gdzieś zniknął – od śmierci Craiga z nikim na poważnie nie chodziła, nie okazała też chyba nikomu nawet przelotnego zainteresowania, chociaż przyszło mi do głowy, że mogła się w ten sposób karać.

Może dobrze wiedziała, dlaczego to zrobił, może najgorsze plotki, że zabił się dla niej i przez nią, były prawdziwe. Pomyślałam, że chyba lepiej błędzić po omacku, niż dowiedzieć się czegoś takiego.

W zamian otaczała się wyimaginowanymi chłopakami: Luke Perry, Johnny Depp, a zwłaszcza Keanu Reeves. Ich przyszłe wesele wyobraziła sobie w najdrobniejszych szczegółach, włącznie z suknią ślubną, co i tak miałyby gdzieś, bo rzucało się w oczy, że ma wywalone na wszystko. Zdaniem Nikki właśnie to było w nim najbardziej pociągające.

– Nie jest w moim typie – przyznałam, na co wzruszyła ramionami.

Ale wyobraźnia sprawdzała się i w moim przypadku. Zeskrobałam ze skóry tamte słowa, miałam jednak wrażenie, że tusz pozostał w mojej krwi. Nigdy więcej – od tej pory będę niezdobytą twierdzą. Zadowalałam się umarłymi poetami, uroczymi, lirycznymi, których łatwo onieśmielić, oraz Riverem Phoenixem, bo był chłopcem, który zapaliłby świece i czytał mi wiersze, który miękko całowałby me usta i odczekał, aż zmierzch przejdzie w czerń, który nigdy się nie złościł, bywał tylko smutny, który troszczył się o Ziemię, nie jadał zwierząt, wystrzegał się narkotyków i miał takie samotne spojrzenie.

Wtedy Nikki namówiła mnie do obejrzenia *Mojego własnego Idaho*, a tam był mój River u boku jej Keanu, obaj odjechani na heroinie i pieprzący się za kasę, i to zakończyło temat.

– Sądziłam, że ci się spodoba – powiedziała bez przekonania, nawet nie próbując ukryć, że zrobiła to celowo, że zdawała sobie sprawę, jak namiesza mi w głowie i przesiąkniętym Riverem sercu, a ponieważ wiedziałam, a ona wiedziała, że ja wiem, jakoś nie mogłam mieć jej za złe. Potrafiłam nawet się z tego śmiać.

My we dwie – to nie było to samo. Żadnych tańców w deszczu o północy, żadnych przyspieszających bicie serca chwil, kiedy nadciągał przyływ szaleństwa, a ja traciłam

uchwyt i dawałam się porwać fali. Ale miałam powód, żeby wyjść z domu, no i podgrzewany basen do dyspozycji.

– Raczej nie powinnam – powiedziała Nikki pewnego popołudnia, kiedy wiosłowałyśmy tam i z powrotem na naszych materacach.

Dzięki szczodrości matki, którą tak uszczęśliwiał obecny stan relacji z Drummondami – i jej kwitnąca zażyłość z matką Nikki – że była gotowa wykupić dla mnie cały sklep, miałam na sobie nowiutkie bikini. Krwawa mamona, pomyślałam, gdy podawała ekspedientowi kartę kredytową. Moje własne trzydzieści srebrników uzupełnione różowym obszyciem i miseczkami push-up. Tym gorzej dla srebrników, bo lubiłam, jak kostium jaśniał na tle mojej opalenizny, lubiłam towarzyszącą mi do końca dnia aurę chloru i włosy tak świeże jak skóra.

– Czego nie powinnaś?

Nikki lubiła rozpoczynać rozmowy od środka, kiedy już je sobie przetrawiła, przez co nigdy nie byłam pewna, czy dopiero zaczęła mówić, czy to ja odpłynęłam.

– Obciąć grzywki jak ta laska z *Real World*. Kojarzysz?

– Nie bardzo.

– No wiesz, ta Becky.

– Nie mam kablówki.

Usiadła gwałtownie.

– Co ty? Serio?

– Serio.

Resztę dnia spędziłyśmy w jej klimatyzowanej piwnicy, oglądając nagrania *Real World* na wielkoekranowym telewizorze. Nikki miała wszystkie odcinki, każdy starannie opatrzony nalepką, i przez sześć godzin obejrzałyśmy je wszystkie, aż poczułam, że i ja jestem w tym mieszkaniu, gdzie

ktoś rejestruje moje życie, i przestaję być grzeczna, a staję się prawdziwa. Następnego dnia zaczęłyśmy od początku i reszta sierpnia upływała przy wtórze chichotu Julie, peror Kevina, jerseyjskiej chłopięcej zuchowatości Erica i hiphopowych rymów Heather B.

– A gdybyśmy wszyscy przestali udawać, że istnieje coś takiego jak stawanie się prawdziwym? – zapytała Nikki. – Wyobraź sobie tę ulgę!

Współmieszkańcy z *Real World* mieli obowiązek zamykać się w szafie i zdradzać przed kamerą swoje tajemnice. O dziwo, robili to, jakby zakładali, że nikt ich nie ogląda.

– Też tak zrobimy! – zaproponowała Nikki, a ja widziałam, jak iskra pomysłu rozpała się w ogień i domaga natychmiastowej realizacji. Tylko tyle miała wspólnego z Lacey i tego najbardziej im zazdrościłam.

– Nie zdradzę ci moich najgłębszych tajemnic – zaprotestowałam. – A już na pewno nie pozwolę ich nagrać.

– Nie, nie będziemy nami, tylko nimi – wyjaśniła. Zrobimy przedstawienie, wcielimy się w nich. Praktyczne ćwiczenie do jej przyszłego przesłuchania, gdy będzie próbowała sił jako aktorka. Dobra zabawa.

Jej ojciec miał kamerę wideo i statyw. Nikki miała zagrać Becky o spiczastych tekturowych cyckach, a potem Erica z jego makaroniarską pyszałkowatością. Ja wcieliłam się w Andre – dęte lęki egzystencjalne, leżenie na kanapie i gapienie się w sufit, „O, jak ja cierpię”, „Dlaczego, Boże, dlaczego?”.

– Świat jest pełen bólu – powiedziałam, naśladowując jego zaćpany głos, podczas gdy obsługująca kamerę Nikki mnie dopingowała. – Ale, ten, muzyka, właśnie, kiedy się ze mnie jakby wylewa, to rany, wiecie, normalnie jakby moja dusza leciała na wietrze.

Nikki parsknęła śmiechem.

– Myślałam, że masz naśladować Andre, nie Lacey.

Nawet wtedy, nawet gdy zabolęło, miała rację: to była dobra zabawa.

Nauczyłam się odpędzać udawaniem niemal wszystko, ale nie dało się siłą woli wymazać września z kalendarza. Lato skończyło się bez mojego przyzwolenia. Wróciłam do szkoły i odstawiałam pokaz.

Nie bratałyśmy się z Nikki przy innych, to była nasza niewypowiedziana umowa. Ale nauczyła mnie grać, a ja dla niej grałam. Lato było długie, lecz nie na tyle, by ludzie zapomnieli, co się wydarzyło. Zbyt intensywnie mi się przyglądali, ja zaś wiedziałam, co widzą: sutki z krostkami, rzadkie kępkę włosów, sekretne obszary ciała. Zwłaszcza chłopcy wpatrywali się, jakby wiedzieli, do czego służę, i tylko czekali, żebym również na to wpadła. Umiałam się zachowywać, jakby nic mnie to nie obchodziło, i gdybym potrafiła być samą powierzchownością, bez żadnej głębi, liczyłaby się tylko ta gra. Nie miałabym w czym się utopić.

Prawie odczuwałam ulgę, że nie muszę już silić się na wyjątkowość. Że zrezygnowałam z egzystencjalnych pytań i po prostu trwam. Że zrezygnowałam z Dex na rzecz bycia nudną i szarego, bezpiecznego życia.

Chodziłam do szkoły. Wracałam do domu. Wciągałam spaghetti z rodziną i oddalałam się od matki. Zabawne, że tak martwiła się moją pierwszą przemianą, ale była tak bardzo zadowolona z drugiej. Skończyły się przemowy ostrzegające mnie przed utratą osobowości. Może włączył się jakiś z dawna uśpiony instynkt macierzyński i zrozumiała, że straciłam już

zbyt wiele, by ryzykować dalsze rozdawanie. Nauczyłam się nie patrzeć na ojca. Nadal zapraszał mnie do kina. Przyjęłam propozycję tylko raz i wybraliśmy się na nocny pokaz *Miesiąca miodowego w Las Vegas*, na który bilety wyprzedano kilka tygodni wcześniej. Matka udzieliła mi specjalnej dyspensy na wyjście, oczywiście pod opieką ojca. Od czasów Lacey nie byłam tak późno poza domem i brakowało mi ciszy śpiącego miasta oraz gwiazd nad nim. Ojciec kupił popcorn, usadowił się obok mnie i tak siedzieliśmy, aż na tle Elvisów zaczęły się napisy końcowe.

Pochylił się nade mną niezgrabnie, jak niedoświadczony randkowniczy przymierzający się do wykonania pierwszego kroku.

– Żadnych wieści od Lacey, pannico? – W przeciwieństwie do matki ojciec nie trawił Nikki.

Pokręciłam głową.

– Mhm. – Odchrząknął. – Czyli to koniec.

Minęły dwadzieścia dwa dni, od kiedy ostatni raz przejeżdżałam na rowerze koło jej domu, wypatrując w oknie znaków życia.

– No. Koniec.

Westchnął i rozciągnął się, kopiąc przy okazji pusty fotel z przodu.

– Uwielbiam to miejsce. A ty?

– Podeszwy przylepiły mi się do podłogi.

– I to nie tylko z powodu filmu. Sam nie wiem, może chodzi o ciemność. Dwie godziny, nic do roboty poza siedzeniem, a świat niech czeka w zawieszeniu.

Całe życie spędziłeś, siedząc w ciemności i nic nie robiąc, mogłam mu dogryźć. Zawsze sądziłam, że kochał swoje okulary przeciwsłoneczne za to, jak w nich wyglądał, ale może po prostu mógł się za nimi ukryć.

– Jestem zmęczona – powiedziałam mu. – Zaczekam w samochodzie.

Zwinęłam się w kłębuszek na szerokim tylnym siedzeniu buicka matki i starałam się nie myśleć o ojcu wpatrzonym w ciemność, udającym, że jest daleko ode mnie i wie dzie lepsze życie.

Tydzień później, przetrwawszy kolejny dzień szkoły i długie odrabianie lekcji w bibliotece – wszędzie było lepiej niż w domu – popedałowałam z powrotem przez wieczorną mżawkę, czując w narastającym wietrze i przyptywie adrenaliny, że to wykonalne, przetrwanie tych dwustu iluś dni, zanim rozpocznie się reszta mojego życia.

Zostawiłam rower na podjeździe i właśnie miałam wejść do środka, kiedy zatrąbił klakson. Odwróciłam się do samochodu, który chodził na jałowym biegu przy krawężniku i długimi światłami nadawał SOS. Klakson niecierpliwie odezwał się po raz drugi, otworzyły się drzwi od strony pasażera. Głos Kurta rozdrapał noc.

Lacey wróciła.

LACEY

Pachnie duchem młodości

Upłynęły miesiące, zanim przestałam myśleć o jej ustach. Lubiłam, jak się uśmiechały, różowe niczym cipka i z kapryśnymi kącikami, ale lubiłam je w każdej wersji. Wydęte. Ssące. Drżące. Powiedziałam jej, że piersiówka przychodzi mi ją na myśl, wcisnęłam jakiś kit o nowoczesnych kobietach i śmiałych dziewczynach wysysających szpik życia, a jak przedstawiała się prawda? Chciałam po prostu zobaczyć te usta otaczające srebrną szyjkę.

Właśnie takie rzeczy wracały do mnie przez wszystkie te martwe godziny wpatrywania się w Jezusa i udawania modlitwy. Rzeczy, które powinny popaść w zapomnienie. Usta Nikki, nieżyjące oczy Craiga, sklepienie z liści barwy ognia i krwi. Horyzonty przesłaniały horyzont. Niektóre dziewczyny wracały do domu po kilku tygodniach, inne tkwiły tu latami. Złoty bilet: list do domu z informacją, że za sprawą Jezusa zakała przestała być zakałą. Nikt nie miał pojęcia, za co przysługiwał. Przewinienia, zasługi, jakiś niepojęty algorytm wyznaczał nam podium w hierarchii zbawienia, choć wszystko wskazywało na to, że przeżycie kolejnego dnia zbliża nas wyłącznie do dalszego ciągu tego samego.

Zerwałam z przeszłością. Z różowymi ustami i zapachem prochu strzelniczego. Myślałam o tobie.

Moja odmiana modlitwy, moja prywatna religia. Kościół Dex i Lacey, w którym jedynym grzechem jest wiarołomstwo. Dochowam wiary, że mi wybaczysz, bo ja wybaczyłabym ci

wszystko.

W Horyzontach przebaczenie jest wielką sprawą. Wyznanie dawnych grzechów było obowiązkiem, a że im większe, tym lepiej, to zwiększałyśmy ich ciężar. Sporadyczne sztuchy Wrzaskunki stały się uzależnieniem od narkotyków, nierozważne masturbacje Kaszalota przy ojcowskiej kolekcji miesięcznika dla najemników wyrosły na edypowską żądzę, nawet Święta Anna, całując jakiegoś kujona ze swojego kółka kościelnego w nadziei na pomoc przy zadaniu domowym z chemii, otworzyła sobie wrota do prostytucji. Grzechy Sodomitki nie wymagają wyjaśnień, w dodatku za każdym razem, kiedy spowiadała się z fantazji, w których jedna z nas rozbierała się do naga pod prysznicem na dworze, przydzielano ją do rębaka i ordynowano dodatkową godzinę modlitwy, by wypędzić z niej lesbijkę. Wyobraź sobie, co by było, gdyby wiedzieli, jak sobie poczynałam w lesie i ile przyjemności mi to sprawiało.

Zabawnie było patrzeć, jak wiją się, usiłując odpuścić nam wymyśloną przeszłość. Takie było pełnomocnictwo Shawna: tutaj wszyscy jesteśmy równi. Wszyscy jesteśmy – gdy już zanurzymy się w jeziorze i poprzysięgniemy wierność Bogu, ojczyźnie i Shawnowi – oczyszczeni.

Sama powiedz, Dex, jakiego niedorobionego Boga nie interesuje, co zrobiłaś i kogo skrzywdziłaś, jeśli tylko przeprosisz?

Wybaczenie za błędy przeszłości, pomsta za występki bieżące – taka zasada panowała w Horyzontach. Wysyłanie do kibla ze szczoteczką do zębów za pokazanie faka opiekunowi albo izolatka za próbę rozruszania grupy środkiem przeczyszczającym w puddingu nie były karą, tylko korygowaniem. Dygnij i podziękuj, bo inaczej jeszcze trochę cię

pokorygują.

Zaczął iść łatwiej, od kiedy odkryłam metody autokorekty. Odrobina – tylko odrobina – dłubania spinaczem do papieru w bliźnie na nadgarstku wystarczała, żeby rozjaśnić mi myśli. Chcieli, żebyśmy byli półprzytomni. Podatni. Stąd głodowe racje i wezwania na modlitwę w środku nocy. Godziny wkuwania wersetów na blachę, czas spędzany w mrocznym miejscu – tortury w stylu CIA. Przetrwanie zależało od utrzymania kontroli, zachowania równowagi.

Dlatego po jakichś trzech tygodniach wyrzuciłam prochy.

Prawie tam bez nich oszalałam, dopóki nie wymyśliłam sobie gry. Choć może grą byłam ja popadająca w obłąd. Wszystko jedno, ważne, że zadziało. W Horyzontach diabeł krył się wszędzie. Za każdym razem, kiedy zakłętaś, zapragnęłaś cielesnie, utuliłaś się płaczem do snu, na obiedzie zapomniałaś poprosić o pozwolenie przed sięgnięciem po dokładkę, wstępował w ciebie diabeł. Doszłam więc do wniosku, że skoro tak bardzo go chcą, to niech go sobie mają. Rzeczywisty cel nienawiści. Rzeczywisty powód do strachu. Mnie.

Kiedy następnym razem kazali nam się spowiadać, poczęstowałam ich czymś niezapomnianym.

– Zabiłam raz chłopaka – rzuciłam. Pigmejka i Sodomitka nachyliły się bliżej, jakby jeszcze przed puen-tą wiedziały, że to będzie dobre. – Zaruchałam go na śmierć.

Później dostało mi się za to od Heather. Dostało się nam wszystkim, kara dla jednego zesłana na wielu, prawi płonący razem z grzesznikami. Lecz czas spowiedzi był świętością nietykalną. Możesz to nazwać moimi pięcioma minutami Szeherazady, Dex, bo walczyłam o życie.

– Nie dosłownie, rzecz jasna – ciągnęłam – ale właśnie ruchanie zwabiło go do lasu i nie pozwoliło mu odejść, gdy już się zorientował, do czego zmierzamy. Chłopak taki jak on powinien uciec z wrzaskiem gdzie pieprz rośnie, zaraz po zobaczeniu ołtarza, nieszczęsnego kociątka i noża. Mili chłopcy nie zadzierają z diab-łem.

Kaszalot zarżała pod nosem. Kto jak kto, ale ona wiedziała. Opowiedziałam im o uświęconej przecince, gdzie poświata księżycyca skrzyła się na lśniącej korze, a zapach omszałej ziemi mieszał się z potem, oddechem i krwią. Opowiedziałam o szeptaniu potwornych przysiąg, obietnicach składanych sobie nawzajem i Panu Ciemności, o wzywaniu mocy ziemi i nieba oraz przyznawaniu sobie władzy nad światem natury, o wzniecaniu burz i obłądnych tańcach w jaskrawości błyskawic. Opowiedziałam, że trzeba nam było więcej mocy, więcej krwi, a także ostatecznej ofiary, więc odegrałam węża, wpełzłam w chłopięce życie i pozwoliłam chłopcu wśliz-nąć się we mnie, aż do cna stracił rozsądek i stał się moją zabawką, aż mogłam zaczepić filigranowy palec o sprzączkę jego pasa i zaprowadzić go do lasu, gdzie my, dziewczęta, jakże byłyśmy wygłodniałe, jakże długo czekałyśmy, ale czekanie już się skończyło – nareszcie zaspokoimy głód.

W ciszy po moich ostatnich słowach wszyscy usilnie próbowali się roześmiać, tylko ja jedna nie. Udawali, że mi nie wierzą. Heather przerwała spowiedź i resztę dnia spędziłyśmy na słońcu, trzymając wiadra z wodą. Wiem, niezupełnie przypomina to hiszpańską inkwizycję, ale lepiej tego nie próbujcie. Po jakiejś godzinie człowiek ma wrażenie, że odpadną mu ręce. Potem w upale późnego lata dopada cię pragnienie, myśli się rozmywają, przed oczami wirują czarne kropki, ale i tak, choć pocą się dłonie otarte do surowego mięsa, trzymasz

mocno, bo wiesz, że jeśli rozluźnisz chwyt, wrzucą cię do mrocznego miejsca na Bóg wie ile. Wytrzymałyśmy na tyle długo, żeby Heather – którą podniecało zadawanie tortur w imię Pana – z chichotem doświadczyła „małej śmierci” i żeby trzy z nas straciły przytomność.

Od tej pory traktowali mnie inaczej. Ja też czułam się inna. Jakbym naprawdę zaruchała chłopaka na śmierć i nie czuła z tego powodu krztyny żalu.

Reszta była łatwizną. Wiedziałam, co robić, w końcu czytałam *Biblię Szatana*. Kilka bezsensownych, na poczekaniu wymyślonych modlitw do Najmroczniejszego, kilka pentagramów narysowanych krwią na podłodze, dużo pieprzenia o tym, jak mój Pan ześle ciemności i deszcz ognia na całe to przedsięwzięcie. Pewnego popołudnia spostrzegłam zdychającą wiewiórkę, szamotała się w ścieku przed naszą chatką. Nie żyła już, gdy wymknęłam się po nią w nocy, ale oszczędzę twym wrażliwym uszutom dalszych szczegółów. Krew to krew, nawet jeśli musisz zanurzyć dłonie w zmatowiałym futerku i gnijących wnętrznościach, żeby się do niej dostać. Gdy już nadziałam zwierzątko na kij, ciąg dalszy przypominał malowanie pędzlem. Nikt się nie obudził, nawet Heather, gdy kreśliłam na jej łóżku symbol Antychrysta i porzucałam wiewiórkę na jej poduszce.

Jak oni potem na mnie patrzyli, Dex! Dziewczyny, opiekunki, nawet Shawn. Jakbym była groźna, nie panna z problemami, ale problem wcielony. Ewa i Lilith, wąż w trawie. Na dnie mrocznego miejsca intonowałam improwizowane modlitwy, w głębi nocy szeptałam dziewczynom do uszu, co im zrobię i że wiem, co uczyniły ich czarne serca.

Obiecałam im, że pozostaniemy tu uwięzione na zawsze, że dla nas Horyzonty to narodziny i śmierć, że póki między nimi żyję, diabeł będzie miał dom. „Niech będą błogosławieni ci,

którzy obalają złudne nadzieje, albowiem oni są prawdziwymi mesjaszami”. Tak naucza *Biblia Szatana*, i to akurat jest prawdą.

Może była to gra. Może było to coś, co obudziło się we mnie, gdy przestałam łykać prochy, każdego ranka szeroko otwierając na inspekcję różowe usta z tabletką – małą pomocnicą mamusi – bezpiecznie wtuloną w mięsisty policzek. Chuj wie, może był to i diabeł we własnej osobie. Nieważne dlaczego, ważne co. A co – to sny.

Śniłam o zwierzętach wyżerających mi twarz.

Śniłam o lasach, nigdy ślicznych, wyłącznie przepastnych. O tym, co zdechło i gnije. O atramentowopiórym ptaku z dziobem wykrzywionym w złośliwym uśmiechu, przysiadłym szponami na mojej piersi, rozdziobującym mi brzuch, wdzierającym się we wnętrzności, wyciągającym z nich to, co nazywają łonem.

Śniłam o mężczyźnie. Wchodził przez okno baraku, wślizgiwał mi się do łóżka, obejmował mnie, a ja byłam dziewczynką, ale się nie bałam.

Albo się bałam i krzyczałam, lecz on kładł ciężką dłoń na moich ustach, ciało na moim ciele, i dostawał w ciemnościach to, czego chciał.

Miewał twarz twojego ojca, czasami mojego, miewał twarz Bydlaka i twarz Kurta; w tej ostatniej wersji lubiłam go najbardziej. Zawsze był to ten sam człowiek.

W ogóle nie był człowiekiem.

Mówiłam mu, co robiłam i co chciałam zrobić. On mówił, że we śnie odnajdę tych, których utraciłam, i że we śnie powróci do mnie śmierć.

Łatwo być bogiem w snach.

Gdy przywdziewał twarz, która mi się podobała, twarz Kurta, lubiłam dotykać jego włosów, jasnych jak u dziecka. Oczy miał błękitne niczym plastikowy kamień w pierścionku z automatu z kulkami gumy do żucia. Lubiłam przykładać policzek do jego zarostu. Powiedział, że mniej będzie bolało, jeśli ktoś inny też będzie cierpiał, ale to już wiedziałam. Bezpiecznie było tego pragnąć, bezpiecznie było pragnąć czegokolwiek. We śnie.

Śniłam o śmierci.

Śniłam o robakach wypełzających z pustego oczodołu Craiga, karmiących się surowym mięsem jego mózgu. W ustach miałam smak metalu i czułam, jak drgał mi palec. Widziałam trzy ciała w piachu, trzy dziury, krew spływającą do wspólnej kałuży przed wsiąknięciem w ziemię.

Śniłam o tym, co mogło się wydarzyć. W niektóre noce o tym, co było. Ciężar jego ciała, gdy wiotczało na moim, mijające sekundy, gdy stygła skóra, gdy czas nie chciał się cofnąć, a wyrwa w jego czaszce – zasklepić.

W moich snach mężczyzna o błękitnych oczach i skórze anioła twierdził, że mam w sobie moc, a obdarzony był głosem, który zawsze mówi prawdę. Zapytał, czego pragnę, a ja odpowiedziałam, że panowania, że pragnę cierpień dla moich wrogów i że pragnę ciebie.

Czasami, gdy usiłowałam zasnąć lub nie spać wsłuchana w sen pozostałych dziewczyn, wspominałam dom i ludzi, którzy mnie z niego przepędzili. Rachowałam występki mych osobistych wrogów.

Sporządzałam listę.

Ważne, by pamiętać, kim są twoi wrogowie. Co byś im uczyniła, gdybyś tylko mogła.

Co byś zrobiła, gdybyś mogła wszystko? Co zrobiłabyś

w ciemnościach, wiedząc, że nikt cię nie zobaczy?

Co bym zrobiła, gdyby przyszło mi wrócić do domu?

Na jawie sporządzałam listę, w snach odhaczałam nazwiska. Obracałam mych wrogów w perzynę.

Jego oczy zawsze się przyglądały.

Z aprobatą.

Kiedy dziewczyny po mnie przyszły, miały na głowach poszewki od poduszek. Oświetlone księżycem duchy zacieśniające wokół mnie krąg, wyciągające się ku mnie blade ramiona, zimne palce zrywające pościel, szukające uchwytu na gładkiej skórze, przyciskające mnie, unieruchamiające, paznokcie wbijające się w ciało, dłonie zatrzaszkujące szczękę, zęby rozcinające język, wyrazisty smak spływającej gardłem krwi, ja zaś mrugałam, wiłam się i myślałam mgliście, że wyśniłam je w rzeczywistość, że to mój własny zlot czarownic chcący rzucić mnie na wieczną pastwę mroku. Uniosłam się na ich rękach i gdy sunęłam w noc, dotarło do mnie, że duchy przyglądają mi się przez wycięte w bawełnie otwory. Heather zdrowo im dopierdoli za podarcie pościeli, pomyślałam i wtedy właśnie pojęłam: już się nie przejmowały. Strach nie mógł ich już powstrzymać.

Potem związały mi ręce i ciasno spętały kostki, i leżałam na plecach w błocie, a domowej roboty kaptury Ku-Klux-Klanu przesłaniały gwiazdy. Nikt nie mógł wyegzorcyzmować tego, co było we mnie; fakt, że tam leżałam, na ziemi u ich stóp, że tak rozpaczliwie zależało im, by widzieć mnie wystraszoną i słabą, najlepiej tego dowodził.

Za moją sprawą się to dzieje, przeszło mi przez myśl.

Powołałam to do życia słowem i czynem, przerodziłam się

w niebezpiecznego stwora i niemalże była w tym moc, niemalże pociecha.

– O Panie, wysłuchaj naszych błagań, pomóż nam przegnać to zło! – zaintonowała jedna. Poznałam ją po głosie: Iskra, umięśniona czirliderka z Harrisburga, którą przyłapano na obciążaniu wuefiście i która miała tyle szacunku dla Pana co i ja.
– Przepadnij, Szatanie!

– Namaszczamy cię wodą święconą. – Ten głos podejrzenie kojarzył się z Kaszalotem.

Z rytualną podniosłością przechyliła nad moją głowę plastikowy kubek i wylała mi na twarz ciepłe szczyny.

– Amen – rozbrzmiał chór pozostałych. Tę część najwyraźniej przećwiczyły.

Ciąg dalszy improwizowały.

Sama i goła w lesie. Zwinięta w błocie, przytulona do kory, podskakująca na każdy poszept lub trzask gałęzi. Postrzeżenie zawężone do kolejnej sekundy, a potem do następnej. W ciemnościach wyimaginowane czerwone ślepia. Oczekiwanie, aż ktoś wróci. Oczekiwanie na świt.

Odór sików, gówna i krwi przyciąga muchy. I komary, i wiewiórki, i szczury, ale ze związanymi rękami raczej trudno się od nich opędzać. Możesz tylko wrzeszczeć.

W końcu znalazła mnie ekipa poszukiwawcza opiekunek. Zajęło im to całą noc i większość następnego dnia, ale cóż, nie wiadomo, jak bardzo się przykładały.

Gdy na mnie natrafiły, miałam gówno rozmazane na czole i ustach, ZŁO wypisane na piersiach moją własną zaschniętą krwią, stygmaty wycięte na dłoniach i stopach tymi samymi nożyczkami, które siekły mi włosy. Następnego ranka

podpisałam świstek twierdzący, że nic podobnego nie zaszło, a Horyzonty w zamian zadzwoniły do Bydlaka i powiedziały mu, że wkroczyłam w nowy rozdział życia i że bije ode mnie jasność Pana. Odesłali mnie do domu.

Postanowiłam, że to nigdy się nie zdarzyło. Nie dopuściłabym do tego.

Zostało wymazane.

Jednak wszystko zostawia ślad.

I jeśli istnieje opętanie, jeśli rzeczywiście mam w sobie diabła, to teraz już wiesz, za czyją sprawą się tam znalazł.

DEX

Odpad negujący

Wsiadasz czy co?

Samochód był ten sam, Lacey była inna. Włosy miała ścięte prawie przy skórze i to tak nierówno, że pewnie obcięła je sama. Nieobrysowane oczy, paznokcie cielistego koloru. Lacey bez makijażu wyglądała na nagą. Zawsze była chuda, ale teraz stała się wychudzona, wręcz wynędzniała, głębokie wklęsnięcia rzeźbiły jej twarz w czaszkę. Jej ulubiona sukienka, babydoll w niebiesko-zieloną kratę, wisiała na niej jak worek, a w skórzanej kurtce, dawniej opinającej się na krągłościach, wyglądała jak dzieciak pływający w ojcowskim płaszczu. Nawet jej głos brzmiał obco, może dlatego że zupełnie nie przypominał głosu, który ignorowałam w mojej głowie. Tamta Lacey miała w sobie gadzi chłód. Lacey we własnej osobie była gorąckrwista, na obojczyku perlił jej się pot, palce niekontrolowanie stukały o deskę rozdzielczą.

– Teraz albo nigdy, Dex!

Wsiadłam.

– Wróciłaś – powitałam ją.

– Wróciłam.

Uściskałam ją, bo chyba wypadło. Nachyliła się w nieodpowiedniej chwili i grzmotnęłyśmy się czołami.

– Przepraszam – powiedziałam.

– Nigdy nie przepraszamy. Pamiętasz?

Nigdy nie czułyśmy się niezręcznie w swoim towarzystwie.

– Już późno – rzekłam. – Chyba powinnam wracać do

domu. Może spikniemy się jutro po szkole albo coś?

Jej głos wszedł w afektowany rejestr:

– Och, może spikniemy się po szkole? Och, albo coś? –
Znużone westchnienie. – Sądziłam, że lepiej cię przeszkoliłam.

– Nie jestem twoim psem. – Zabrzmiało to bardziej szorstko, niż chciałam. To ja robiłam uniki. Widziałam, że dostrzegła malujące się na mojej twarzy pragnienie cofnięcia tych słów. Dopiero wtedy się uśmiechnęła.

– Spadajmy stąd – zaproponowała.

Nie oponowałam. Jak to jest, że nigdy o niczym nie decydujesz? – zapytałaby Nikki. Ale od decydowania była Lacey.

– Nie wiem dokąd – powiedziała, jakbym ją o to zapytała. –
Gdziekolwiek. Wszędzie. Jak dawniej.

Zasunęła okna, zgłosiła Barbie, wystrzeliła nas w noc. Jak za dawnych dobrych czasów.

Pojechałyśmy nad jezioro. Nie to nasze, ale nad bagnisty staw po wschodniej stronie pokryty rzesą wodorostów i piłeczek golfowych. Jego wody zawsze były dla Lacey osobistą zniewagą.

– Chodź – powiedziała, obierając drogę przez zarośla ku przegniłemu pomostowi.

Nie świeciły latarnie, spoza rzedniejących letnich chmur nie prześwitywał księżyc. Gdy zabrakło radia, nic już nie wypełniało przestrzeni między nami.

– Brakowało ci mnie – stwierdziła.

– Oczywiście, że tak.

– Liczyłaś dni do mojego powrotu, odznaczałaś je szminką na ścianie jak usychająca z miłości więźniarka.

– Nie szminką. Krwią.

– Jakżeby inaczej.

To była taka nasza gra, opowiadanie mojej historii lepiej, niż opowiedziałabym ją sama.

– Za dobrze cię znam, żeby zadawać pytania – oznajmiła kiedyś. – To tak, jakbym pytała własnego łokcia: „Hej, co u ciebie?”

Powiedziała mi raz, że po prostu wiesz, gdy coś staje się częścią ciebie. Ale ja nie wiedziałam, musiałam penetrować ciemność zmrużonymi oczami, wyszukiwać cień jej twarzy i pytać.

– Gdzie się podziewałaś? – Nie wiem, na czym polegała gra, ale przegrałam. – Po co wróciłaś?

Rozległ się plusk czegoś wpadającego do wody, po nim kolejny. Zrzuciła buty, niebieskie japonki w kropki, które wiosną podwędziłyśmy z Woolwortha. Na moich kolanach spoczęły gołe stopy.

– Czyżbyś nie wiedziała, Dex? – Dziwnie było słyszeć, jak wymawia moje imię. – Zawsze wracam.

– Ale gdzie byłaś? Dlaczego?

Powstrzymałam się jakoś przed dodaniem: „Dlaczego wyjechałaś beze mnie?”. Te małe zwycięstwa.

Dźwięk przemykającego samochodu, po nim następny. Dokładnie tyle czekałam na odpowiedź.

– Jezu, a jak myślisz, Dex? Pozbyli się mnie, Bydlak i jego parodia małżonki.

Ta jedna jedyna możliwość nie przyszła mi do głowy. Że mnie nie zdradziła. Że to ja zdradziłam ją, w jakiś sposób tym bardziej, że nie wiedziałam.

– Mówili, że nie mają pojęcia, dokąd wybyłaś.

– Jejku, okłamali cię? Wstrząsające!

– Gdzie cię odesłali?

Prychnęła.

– Tam, gdzie posyła się krnąbrne córki. Wyobraź sobie coś w rodzaju wakacji *all inclusive*. Z Panem Jezusem w promocji.

Więc nie Seattle ani Nowy Jork, żadnego występowania w teledyskach ani życia na ulicy, tylko to. Czekałam, aż coś poczuję.

– Myślisz sobie: „O nie, Lacey, to potworne! Gdybym tylko wiedziała, zaraz przybyłabym na ratunek!”.

– Było... aż tak źle?

– Rany, Dex, żebyś tylko mogła zobaczyć swoją minę. – Ujęła moje policzki w palce i ścisnęła. – Te usteczka zachwycająco wyginają się w grymas zmartwienia.

Zapomniałam, jak brzmi jej śmiech.

– Myślisz, że Bydlak jest w stanie zadać mi ból? No co ty. To był główniany letni obóz pełen owieczek o wypranych mózgach. Dziesięć minut i nimi rządziłam.

– To dobrze. Eee... tak?

– A ty, Dex? Jak spędziłaś wakacje? Pomijam rozdzierającą tęsknotę za moją osobą.

Wzruszyłam ramionami.

Chciałam opowiedzieć jej o wszystkim, o imprezie hipotecznej i jej bolesnym pokłósiu, o dziwności Nikki, o zlodowaciałym domu, o ojcu, o mnie i dystansie między nami. A przynajmniej chciałam chcieć jej opowiedzieć.

– Lato jak lato – skwitowałam. – Sama wiesz.

Lacey podniosła grudkę ziemi i cisnęła ją do jeziora.

– Łać na przeszłość. Pogadajmy o przyszłości. Gotowa, żeby poznać plan?

– Jaki plan?

– Ale cię spowolniło, Dex! Będziemy musiały nad tym

popracować. Co robiłyśmy w czerwcu, zanim tak chamsko nam przerwano? Co było naszym głównym celem?

Pokręciłam głową.

– Zemsta, Dex! Zrzucić sukę z tronu, odpłacić jej za to, że leciała z nami w chuja. Jak myślisz, kto nadał Bydlakowi mój schowek? Dlaczego przede wszystkim mnie odesłali?

– Nie sądzę, żeby Nikki za tym stała. Nie sądzę, żeby mogła.

– Robisz sobie ze mnie jaja, tak? Dokładnie tak samo potraktowała ciebie. Czas na zapłatę.

– Lacey, nie możemy zwyczajnie odpuścić? Zaczniemy od początku. Olejmy przeszłość, sama to powiedziałaś.

– Ty, królowa grunge’u, chcesz olać przeszłość?

– Tak.

– Nie.

– Ależ tak.

– Ależ nie. Ależ tak. Ależ nie, ależ tak, ależ nie, ależ tak. – Wywaliła język. – Nie mamy po sześć lat, takie zabawy nie są dla nas. Zresztą wiesz, że zawsze wygrywam.

Przypomniała mi się wyjątkowo bezwzględna nocna partia twistera, w której stawką i dopalaczem była wódka. Im więcej piłam, tym częściej przegrywałam, im częściej przegrywałam, tym więcej piłam. Pamiętam, jak Lacey wkładała mi drinki w ręce i judziła do picia.

– Nie chcę już o tym rozmawiać – ucięłam.

– Nie możesz się jej bać.

– Nie boję się. Ona... – Wytłumaczyć historię z Nikki oznaczałoby wytłumaczyć wszystko, co zaszło wcześniej. Długie dni po imprezie. Przebieg imprezy po tym, jak Lacey zostawiła mnie samą. Chciałaby poznać szczegóły. Chciałaby zerwać podłogę, bo wierzyła tylko w to, co pod spodem. –

Przeprosiła. Przyjęłam przeprosiny. Już po wszystkim.

Lacey wybuchnęła śmiechem.

– Pieprzyć to. Przeprosiła? Na pewno obiecała, i to z ręką na sercu, że już nie będzie robiła ci koło pióra.

– Mniej więcej.

– Wiesz, kto jeszcze składał masę takich obietnic? Hitler.

– No co ty, Lacey. Naprawdę?

– Powaga, Dex. Fakt historyczny, sprawdź sobie. Polityka ustępstw. Byli zbyt tchórzliwi, żeby nie lizać mu tyłka. Wiesz, co stało się potem?

– Umieram z ciekawości.

– Hitler napadł na jebaną Polskę.

– Nawiązywanie do Hitlera świadczy o braku argumentów, Lacey. No i wątpię, żeby Nikki Drummond ostrzyła sobie zęby na Polskę.

– Nie można układać się ze złem.

Miło było tego lata nie mieć tylu wrogów.

Lacey splotła palce z moimi.

– Wiesz, czemu faceci lubią w ten sposób brać za rękę? – zapytała mnie kiedyś. – Bo to se-ksu-al-ne. – Rozciągnęła to słowo, zresztą jak zwykle, bo lubiła patrzeć, jak się wiję. – Palce w gruncie rzeczy odbywają stosunek.

– Powiedz to, Dex – odezwała się teraz, ściskając je. – Ty i ja przeciwko całemu światu. Wszystko jak dawniej.

– Jasne.

Wracałyśmy do domu bez muzyki. Lacey wsparła gołą stopę o fotel i wywiesiła rękę przez okno. Kierowała opuszkami palców drugiej.

– To co, wpadnę po ciebie jutro rano? – spytała, gdy samochód zatrzymał się przed moim domem. – Mogłybyśmy znów pojechać nad ocean, zobaczyć prawdziwą wodę.

– Jutro mam szkołę.
– No i?
– I nie mogę się urwać.
– Bo?
– Bo nie mogę. Mam klasówkę z matmy. I... jeszcze coś.
– Jakie coś?
– Po lekcjach wybieram się do centrum handlowego, tak?
– Rany, mrożony jogurt z mamusią może poczekać jeden dzień.

– Nie idę z mamusią... – Omal nie uległam pokusie, żeby wymówić imię i zobaczyć jej reakcję. – Obiecałam pewnym osobom, że pójdę, i chcę pójść, jasne? Więc to zrobię.

W ciemnościach rozszedł się dźwięk, jakby ktoś dławił się własną śliną.

– Dobrze. Ha, ha.

– Mówię serio.

– Och.

W tym momencie chciałam dotknąć jej twarzy, przyłożyć palce do jej ust i wymacać, jaki kształt nadało im zaskoczenie.

– Wracasz do szkoły? – spytałam, otwierając drzwi.

– Nie mam nic lepszego do roboty. Dali mi tydzień czy dwa, żebym nadgoniła. – Słowa nadpływały powoli. – No dobra, mogę sama pojechać na plażę. Może przyślę ci widokówkę.

– Trzymam kciuki.

Odbiła od krawężnika, po czym zatrzymała auto i wystawiła głowę przez okno. Ten blady księżyc twarzy wciąż wydawał się dziwny bez znajomej firany czarnych włosów.

– Hej, Dex, byłabym zapomniała...

– No?

Byłam przygotowana. Poprosi mnie o coś, czego nie będę w stanie wykonać i czego nie będę mogła odmówić. Albo

znajdzie magiczne słowa, które ponownie nas zwiążą, jakieś zaklęcie naprawiające to, co zepsute. Mogłabym czekać w tej ciemności przez wieczność, bo tylko niewielka część mnie chciała uciec.

– Pozdrów ode mnie tatę.

I odjechała.

Spodziewałam się, że tej nocy będę śniła o Lacey. Kiedy tak się nie stało, obudziłam się przekonana, że wyjechała. Że tym razem uciekła naprawdę albo trafiła na wygnanie do mojej wyobraźni, niczym jakieś baśniowe stworzenie, które raz odtrącone, odchodzi przemienione w duszka.

Poszłam do szkoły, odrobiłam lekcje, grzecznie odpowiadałam rodzicom, nie myślałam o Lacey, nie myślałam o Lacey, nie myślałam o Lacey.

W niedzielę Nikki zaprosiła mnie do kościoła. Siedziałam sztywno u jej boku, analizując drobnoziarnistą fakturę ławki, podczas gdy pastor objaśniał, czym jest piekło, liczyłam rzędy żarówek i starałam się nie zapomnieć, kiedy trzeba wstać w imię Jezusa. Bez czarodziejskich grzybków Pan był o wiele mniej interesujący. Kobiety wachlowały swe niedzielne kreacje, mężowie wykradali się na potajemnego dymka, dzieci we wstążkach i muszkach czerpały przyprawiającą o mdłości przyjemność z dobrego zachowania i uchylały się przed papierowymi kulkami bachorów, które nie czerpały. Pastor mówił o przebaczeniu, o otwarciu serca na tych, którzy cię skrzywdzili, nie powiedział tylko, jak to się robi.

Był czas, pomyślałam, kiedy zstępowałam do takich miejsc jako bóg.

– Potem ma być lunch z winem – szepnęła Nikki. – Jak

będziemy ostrożne, może coś nam skapnie.

Zawsze byłam ostrożna.

Mijały dni, Lacey nie dawała znaku życia. Zaczęłam myśleć, że naprawdę wróciła tylko w mojej wyobraźni. Aż pewnego poniedziałku po lekcjach buick zajechał na pas dla autobusów i zatrafił, jeden nieubłagany ryk klaksonu, który nie ucichł, dopóki wszyscy wokół nie obrócili się, by popatrzeć.

Lacey wytknęła głowę przez okno.

– Wskakuj!

Jej pokój się zmienił. Zniknął ogromny plakat z Kurtem. Wszystko zniknęło.

– Wiosenne porządki. – Wzruszyła ramionami. – Staję się mniszką.

Ściany pomalowała na czarno.

– Bydlak miał napad – wyjaśniła.

Usiadła na łóżku, a ja po turecku na podłodze, tuż obok miejsca, w którym trzymała kasety. Ich też już nie było.

Wszystko, co sobie zostawiła, przechowywała w samochodzie. W schowku garść taśm, wszystko inne w bagażniku.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie szybko się ewakuować.

Myślałam, że udamy się na przejażdżkę, zawsze udawałyśmy się na przejażdżki. Ale ona powiedziała, że chce mi coś pokazać. I bardzo dużo opowiedzieć.

Uśmiechnęła się sztucznym uśmiechem Lacey.

– I jak było w centrum handlowym?

– Super. Sama wiesz. Centrum handlowe.

– Wiem, że byłaś tam z Nikki Drummond – powiedziała.

– Śledzisz mnie?

– Widzę, że nie zaprzeczasz.
– Fakt, nie zaprzeczam.
– To jak? Jesteście teraz przyjaciółkami czy coś w ten deseń?

Wzruszyłam ramionami.

– Niech zgadnę: nieoficjalnymi. Nie w miejscach publicznych, nie w szkole, gdzie ktoś mógłby was zobaczyć.

Nie odpowiedziałam, ale też nie było to konieczne. Gdy już obie wiedziałyśmy, że wygrała, na jej twarz wypłynął prawdziwy uśmiech, ale zaraz zgasł. Bardzo szybko.

– Przepraszam – powiedziała, a nigdy tego nie mówiła. – Dotarły do mnie też jakieś inne bzdety. O wiosennej imprezie...

– To stek bzdur – rzuciłam szybko.

– Dex, przecież wiesz, że nie obchodzi mnie, co zrobiłaś.

– Nic nie zrobiłam. Ludzie to jebani kłamcy.

– W porządku... Ale jeśli ktoś zrobił coś tobie, możemy się tym zająć. Możemy...

Musiałam to przerwać.

– Jeśli ktoś zrobił coś mnie, to nie rozumiem, dlaczego miałabyś brać to na swoje barki.

– Co to było? Co takiego ci powiedziała? – chciała wiedzieć Lacey.

– Kto?

– Dobrze wiesz kto. Suka. Nikki. Coś ci o mnie mówiła. Tak było.

– Nie, Lacey, nie ma żadnego spisku.

– Cokolwiek ci nagadała, mogę to wyjaśnić.

Nie powinna tego mówić. Sama się przyznała.

– No to wyjaśnij.

– Najpierw muszę wiedzieć, co ci powiedziała.

– A czemu ty mi nie powiesz, co miała mi powiedzieć?

Albo, kurwa, lepiej: całą prawdę.

– Nie wyrażaj się, Dex. – Wypróbowała kolejny uśmiech. Ja nie. – To skomplikowane.

„Napraw to”, zaklinałam ją. „Póki jeszcze możesz”.

– Wykorzystuje cię, żeby dobrać się do mnie – oznajmiła Lacey. – Powiedz mi, że przynajmniej tyle widzisz.

– Wiem, ktoś taki jak ona nigdy naprawdę nie chciałby się zaprzyjaźnić z kimś takim jak ja.

– Nie chodzi o ciebie, tylko o nią! Wszystkich wykorzystuje. Ludzie pokroju Nikki tak działają.

– Właśnie. „Ludzie pokroju Nikki”.

– Myśl o mnie, co chcesz, Dex, ale obiecaj, że nie będziesz jej wierzyła. Zrobi wszystko, żeby mnie zranić.

– Ale dlaczego, Lacey? Czemu miałyby robić sobie tyle kłopotu?

Długo trwało, zanim dotarło do mnie, że ten wyraz jej twarzy, przez który wyglądała na obcego człowieka, brał się ze strachu.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Od początku miałaś mnie za aż tak głupią?

– Nie możesz mi po prostu zaufać, Dex? Proszę.

Byłoby o wiele łatwiej, więc to zrobiłam. Spróbowałam.

– Rozumiem – powiedziała, jakby rzeczywiście zrozumiała i jakby ją to zabolowało. – Ale jej możesz zaufać. Mając wybór między Nikki a mną, wybierasz ją.

Upomniałam się, że wyjechała nie ze swojej winy. Że uformowała mnie z wilgotnej gliny, a przyjęte jest, że swego stwórcę należy czcić. Byłyśmy Dex i Lacey, powinnyśmy być ponad stawianiem ultimatum. Nie umiałam wytłumaczyć, że wcale nie musiałam ufać Nikki. Właśnie to najbardziej mnie w niej pociągało: o nic podobnego nie prosiła. W ogóle o nic nie

prosiła.

– Zazdrość to głupota – oświadczyłam.

– Zazdrość? – Stała się nagle dzikim stworzeniem. – A niby o co? O nią? O ciebie? Czy ty masz, kurwa, w ogóle pojęcie, jaką przysługę ci oddałam, robiąc z ciebie kogoś? Jakby mnie naszło na charytatywność, mogłabym czytać starszym paniom albo dołączyć, kurwa, do Korpusu Pokoju, a jednak tego nie zrobiłam. Wybrałam ciebie. A ty? Wybierasz pieprzone centrum handlowe?!

To ona nauczyła mnie, że słowa mają znaczenie, że mogą tworzyć światy. Albo je unicestwiać.

– Wychodzę, Lacey.

– Zapomnij, że to powiedziałam. Nie powinnam. – Trajkotała zbyt szybko. – Suka jest nieważna. Ty jesteś ważna, Dex. Ty i ja, jak dawniej. Niczego więcej nie chcę. Powiedz mi tylko, co mam zrobić.

„Powiedz mi, co mam zrobić”. Władza w najczystszej postaci.

Nie mogłam odpowiedzieć: „Pierdol się”.

Nie mogłam odpowiedzieć: „To ty mi powiedz, co robić, bądź taka jak kiedyś, żebym ja mogła być taką, jaką mnie stworzyłaś”.

Gdzieś pod nami otworzyły się i z trzaskiem zamknęły drzwi wejściowe. Rozwrzeszczało się dziecko, matka Lacey wykrzyczała jej imię, zawodząc jak czarownica. Czar prysł.

– Wychodzę, Lacey – powiedziałam. – Nie mam tu już nic do roboty.

– Dobrze.

Ale już nie potrzebowałam jej pozwolenia.

Nie chciałam, żeby to był koniec.

Chociaż może chciałam.

Wróciła do szkoły od stóp do głów odziana w czerń, ze srebrnym pentagramem na szyi i krwawą łzą namalowaną pod okiem. Nie odezwałyśmy się do siebie. Do lunchu plotka okrzepła w fakt: Lacey miała numer Szatana w szybkim wybieraniu. Lacey zakradła się do gabinetu pani Greer i odwróciła jej przeszmuglowany krzyż do góry nogami. Lacey wpadła w trans na boisku do softballu i zaczęła mówić językami świata. Lacey pije na śniadanie świńską krew, Lacey nosi w kieszeni skrwawioną króliczą łapkę na szczęście, Lacey dołączyła do wyznawców śmierci.

– Rozpaczliwie chce zwrócić na siebie uwagę – powiedziała mi Nikki tego wieczoru przez telefon. – Najpewniej twoją. Nie daj się na to złapać.

Nie zapytała, co Lacey według mnie kombinuje, ale tylko ona. Ludzie, którzy nie rozmawiali ze mną od czasów gimnazjum, nagabywali mnie na korytarzach, chcąc wiedzieć, czy Lacey naprawdę uważa, że może zesłać na swoich wrogów gniew Szatana, i czy ja tak uważam. Podobało mi się to.

Matka od czasu do czasu pytała, czemu Lacey do nas nie zagląda – nie słyszałam w tym rozczarowania, prędeziej przeświadczenie, że ukrywam przed nią coś, o czym powinna wiedzieć – ale przeważnie mamrotałam wtedy, jaka to jestem zajęta, i miałam nadzieję, że temat więcej nie wypłynie. Ojciec cisnął mocniej, mówił, że cokolwiek Lacey zrobiła, mogę jej to wybaczyć, a ja zastanawiałam się, z jakiego powodu sądzi, że wina leży po jej stronie. Albo dlaczego nie potrafił zdecydować, czy lepiej nam bez niej, czy z nią. Nie pytałam. Tak obecnie wyglądały nasze rozmowy: ojciec nawijał, a ja odgrywałam nieprzenikniony mur. Nie mogłam sobie przypomnieć, za co

byłam na niego taka zła. Bo coś przede mną ukrywał, bo w niczym mi nie pomógł, bo w jakiś nieokreślony sposób odebrał mi Lacey, co teraz, kiedy wróciła, wydawało się jeszcze większym grzechem. Bo nie lubił Hannah, którą się stałam, i nie potrafił udawać, że jest inaczej.

Pytał, czy za nią nie tęsknię, a ja oczywiście tęskniłam, ale chciał też przez to zapytać bez słów, czy nie tęsknię za nim, a ja oczywiście tęskniłam. Jednak mur był bezpieczniejszym wyjściem. Bycie Hannah. Ani mój ojciec, ani Lacey nie rozumieli, dlaczego poczucie bezpieczeństwa było takie ważne. Nie wiedzieli, jak to jest, kiedy budzi cię na mokrej ziemi szturchający but obcego człowieka, kiedy znajdujesz na skórze słowa nazywające najgłębiej skrywaną siebie. To nie im jeszcze do tej pory zdarza się trzeć pod prysznicem ciało do czerwoności, wyobrażać sobie tusz wnikaający w skórę, niewidzialne piętno zostawiające trwałe ślad. Nie wiedzieli, czym jest luka w pamięci.

W mojej i tylko mojej gestii leżała moc opowiedzenia własnej historii, zbudowania się od fundamentów według dowolnej bajki, którą lubiłam. A ja chciałam przeciętnej. Pod każdym względem zwykłej. Bezpiecznej. Opowieści bez smoków, zagadek, bez mrocznej wiedźmy w sercu lasu. Nudnawej historii dziewczyny, która zrezygnowała z wyprawy i została w domu pooglądać telewizję.

Teraz, kiedy znów byłam Hannah, zostawałam po obiedzie w kuchni i pomagałam matce w zmywaniu naczyń. Jesteś dla mnie wielką podporą, mawiała, a ja uśmiechałam się fałszywym uśmiechem. Płukałyśmy, wycierałyśmy, udawałam zainteresowanie jej najnowszą strategią samodoskonalenia, planami na post-itach przyklejonych do lodówki, kalendarzem z wierszem na każdy dzień, wyzwaniem, jak zmusić się do

kolejnego wieczoru pocenia i rozciągania w synchronizacji z Jane Fondą. Zaznajamiała mnie z nudnymi zasadami panującymi w jej biurze i prosiła o radę, jak uporać się z dupkiem z recepcji, który stale podkradał jej lunch. Czasami narzekała na ojca, choć starała się udawać, że wcale nie narzeka, tylko snuje jałowe spekulacje: „Ciekawe, czy twojemu ojcu na tyle podoba się ta praca, żeby na trochę zagrzał w niej miejsca” albo „Ciekawe, czy ojciec kiedyś przeczyści rynny, tak jak obiecał”. Miała co do niego rację, ja zaś nie rozumiałam, dlaczego wciąż gryzę się w język i nie udzielam jedynych odpowiedzi, jakie cisnęły się na usta: „Może mniej by cię nienawidził, gdybyś nie wierciła mu nieustannie dziury w brzuchu. Może pije, żeby utopić brzmienie twego głosu. Może tyle razy mu powtarzałaś, jakim jest nieudacznikiem, że w końcu w to uwierzył”.

Pił mniej, ale więcej palił. Był szczęśliwszy. Przestał narzekać na kino, brał nawet dodatkowe zmiany, przeważnie nocne. Podśluchałam, jak matka przez telefon żartuje, że chyba ma jakiś romans.

Tamtego tygodnia przy zapiekance z kurczakiem, jak rzadko od początku do końca przyrządzonej w domu, poinformował nas, że myśli o reaktywacji zespołu.

Matka zaczęła się śmiać.

– Dajże spokój, Jimmy – powiedziała, gdy spochmurniał. – Przepraszam, ale jak już masz przechodzić kryzys wieku średniego, to koniecznie tak stereotypowo?

– Co ty na to, pannico? – spytał, jakby zapomniał, że między nami już nie jest tak samo. Nie mógł dłużej liczyć na moje wsparcie. – Zawsze przyda mi się perkusista.

Żałosna była sama myśl o tym, że mógłby improwizować w garażu w jakimś podniszczonym T-shircie i krawacie

robiącym za bandanę – smutny Spring-steen po godzinach. Nie powiedziałam tego. W ogóle nic nie powiedziałam, ale on pewnie się domyślił, co to oznaczało.

Inwazja kokietowania z powrotem przeniosła się na matkę.

– A ty, Jules, zawsze chciałaś być moją wokalistką wspierającą.

– Nie jest to szczytem moich marzeń – odparła, jak na mój gust nie dość kąśliwie.

– Na naszej trzeciej randce mówiłaś co innego.

Teraz ona stawiała opór uśmiechowi.

– Jimmy, umówiliśmy się, że nigdy...

– Gorące Usta domagała się, żeby wpuścić ją na scenę. – Sięgnął po jej dłoń, ona zaś przypomniała mu, że ma jej tak nie nazywać, sprostowała, że to on wypchnął ją na scenę, ale kiedy teraz podniósł ją z krzesła, odegrała na migi mało przekonujący protest, dała się okręcić i roześmiała się, gdy zaczął śpiewać falsetem. – Mam talent po pieronie, chcę stać przy mikrofonie – zafalszował, naśladując głos matki, a ona oparła głowę na jego ramieniu i kołysali się w takt niedostępnej moim uszom muzyki.

– Prawdę mówiąc, ciut wtedy wypiałam – wyznała z chichotem, doprawdy niepoważnym.

– Rzucali na scenę zgniłe owoce – przypomniął ojciec.

Plasnęła go otwartą dłonią.

– Na pewno nie!

– Kantalupy. Ananasy. Kto przychodzi na koncert z ananasem?

– Największe upokorzenie mojego życia – powiedziała czule.

– Byłaś zachwycona. – Ojciec wyszczerzył do mnie zęby nad jej głową. – I jak, pannico? Powtórzymy *The Partridge Family*, skołujemy autokar i co tam trzeba.

Powinnam być szczęśliwa, widząc ich takimi, jakimi pewnie byli, zanim zapomnieli, że w ogóle się da. Zdażyłam do łazienki na górze, nim obiad podszedł mi do gardła, ale ledwo, ledwo. Przycisnęłam policzek do chłodnego obrzeża muszli klozetowej i starałam się nie czuć smaku tego, co ze mnie chlustało. Bałam się panicznie, że któreś z nich mnie tu zastanie, ale nikt mnie nie szukał.

Zaczęły się dziać dziwne rzeczy. To znaczy jeszcze dziwniejsze niż Lacey oddająca cześć kopytnemu. Dziwniejsze niż ja idąca do szkoły w pożyczonej dżinsowej kamizelce i jasnoniebieskiej chłopce z koronkowym obszyciem. Brakowało mi moich flaneli, brakowało mi martensów. Tęskniłam za przejmowaniem się ważnymi sprawami i olewaniem całej reszty, tęskniłam za lękiem przed tym, co mogę zrobić, bo na razie bałam się tego, co mogą zrobić mnie.

Tęskniłam za Dex.

Dex nie zaistniałaby bez Lacey, ale Lacey w jakiś niepojęty sposób nieźle się trzymała bez Dex. Jak gdyby tracąc mnie, nie straciła nic.

Gdybym mogła, siłą woli wymazałabym ją z rzeczywistości. Zamiast tego nawiedzałam okolice jej szafki i snułam się w pobliżu jej klas na wypadek, gdyby jednak postanowiła się nie zerwać. Im rzadziej będę ją widywała, tym mniej bólu sprawi mi jej widok, aż wreszcie ból zupełnie wygaśnie. Może dlatego nie potrafiłam trzymać się z daleka.

Miałam wrażenie, że jesteśmy jedynymi prawdziwymi ludźmi w całej szkole. Pozostałe ciała były automatonami, symulakrami życia istniejącymi tylko ku naszej uciechu. Obserwowałam je obserwując Lacey. Obserwowałam Lacey.

Widziałam, jak obraca nasz żart w swoją religię, jak wymyka się wyjściem awaryjnym na parking w towarzystwie Jessego, Marka i Dylana, jak sporadycznie wsuwa język między tłuste wargi Jessego, ale nie mogłam obserwować jej przez cały czas, nie byłam więc świadkiem tego, co zrobiła Allie Cantor.

A przynajmniej tego, co mówili, że jej zrobiła. Liczba mnoga bije pojedynczą: prawdą staje się to, co powtarza wielu.

Allie Cantor wślawiła się jako pierwsza dziewczyna w naszej klasie, która uprawiała seks, choć może po prostu ona pierwsza się przyznała. Miała trzynaście lat, kiedy przelotnie zetknęli się z Jimem Beechem, zmierzając w przeciwne strony rankingu popularności (ona obecnie rządziła jako prawa ręka Nikki Drummond, jeśli Melanie Herman akurat popadła w niełaskę, on zaś przychodził do szkoły w pelerynie i czuć go było boczkiem). Allie i Lacey wspólnie chodziły na zajęcia z matmy dla uczniów starszych klas wciąż borykających się z dzieleniem liczb wielocyfrowych – Lacey miała ciekawsze sprawy na głowie, Allie niezdolna była do zapamiętania własnego numeru telefonu. Zgodnie z moją najlepszą wiedzą, całe zasoby umysłowe zużywała na tapirowanie grzywki, liczenie kalorii (bez wątpienia na palcach), lizanie jaj Jeremy’ego Dennera i zanudzanie ludzi na śmierć opowieściami o swoich dwóch spanielach king charles, które zdobywałyby medale na wystawach, gdyby nie miały ogonów krzywych jak jej nos przed operacją.

Co było najdziwniejsze, Lacey przez tydzień wpatrywała się w Allie na lekcjach, wzrok jej ani drgnął, usta zaś poruszały się w jakimś cichym, nieustającym zaśpiewie. „Rzucam na nią klątwę”, odpowiadała, gdy ktoś pytał, co robi. Jakby powinno się to rozumieć samo przez się.

Nawet Allie Cantor twierdziła, że to śmiechu warte, ale

tylko do dnia, w którym załamała się pod ciężarem spojrzenia Lacey i wybiegła z klasy. Nie wracała przez tydzień. Chodziły słuchy, że zmogła ją jakaś tajemnicza choroba. Mnóstwo płynów wydalanych niepolitycznymi drogami. Gdy już wróciła, była pięć kilo lżejsza i o kilka odcieni jaśniejsza. Przeniosła się na inne zajęcia matematyczne.

– Zatrucie pokarmowe – przekazała Nikki przez telefon tamtej nocy. – Zbieg okoliczności.

Obserwowaliśmy Lacey, Lacey obserwowała swoje cele. Następna w kolejce była Melanie Herman. Połowę wolnego czasu spędzała na próbach wykluczenia Allie z rywalizacji o względy Nikki, a drugie pół – na macankach z Cashem Warnerem, choć z całych sił starała się udawać, że nie ma najmniejszej ochoty z nim chodzić, chajtnąć się z nim i urodzić mu gromadki małych Cashów. Lacey wpatrywała się dzień w dzień. Nie było podstaw, by łączyć to z wypadającymi włosami Melanie, kosmyk tu, kosmyk tam, jakby ktoś je nocą wyskubywał. Zaczęły prześwitywać płyty nagiej czaszki, obrzydliwie blade, Melanie zaczęła więc nosić czapki. Lekarze orzekli, że to łysienie plackowate. Melanie orzekła, że to Lacey.

Sarah Kaye tolerowano tylko dlatego, że jej kuzyn obibok zawsze stawiał browka jej nieletnim kumpelom. Padła podczas wuefu, na amen straciła przytomność na boisku piłki nożnej, łamiąc przy okazji nadgarstek. Twierdziła, że chwilę wcześniej Lacey posłała jej upiorne spojrzenie i wymamrotała coś pod nosem. Sarah, której dieta składała się z selera i tic taców, mogła się od tej pory pochwalić zwolnieniem z wuefu do końca roku szkolnego. Lacey zaś mogła się pochwalić tatuażem: czarną pięcioramienną gwiazdą na karku.

Kaitlyn Dyer, która ideę równej dziewczyny wyssała z mlekiem matki i poświęciła życie dorastaniu do podpatzonego

w „Siedemnastolatkach” rozkosznego ideału o podskakujących cyckach i w czapce bejsbolówce, odkryła, że jej lewą rękę pokrywa rozprzestrzeniająca się wysypka. Zdaniem Kaitlyn pojawiła się po tym, jak Lacey napluła jej na ramię na korytarzu, przy czym rozprysk śliny idealnie pokrywał się ze wzorem, w jaki układały się krosty. Marissa Mackie na lekcji historii pożyczyła od Lacey długopis, no i masz, obudziła się następnego ranka z oparzeniem w kształcie noża na wewnętrznej stronie dłoni. Powszechnie dano temu wiarę, dopóki jej młodsza siostra nie wyjawiała, że Marissa zapłaciła jej dwadzieścia dolarów za przypalenie lokówką i trzymanie buzi na kłódkę. Wszyscy jak jeden mąż uznali to za żałosne.

Dla mnie wszystko to było żałosne. Przebudzenie z tajemniczymi bólami brzucha bądź świerzbieniem pięty zasługiwało na medal, było wręcz namaszczeniem. Bo kto mógł udowodnić, że Paulette Tyler udawała, gdy zemdląca w szatni, nawet jeśli dogodnie wylądowała w muskularnych ramionach Jamesa Alberta? Kto by zasugerował, że Missy Jordan mogła z premedytacją puścić pawia na swoje stanowisko w laboratorium chemicznym i na swojego partnera? Ale nie minął tydzień i Paulette oraz James oficjalnie się zeszli, a Missy rozłokowała się na stołówce przy stoliku Nikki, ponieważ wrogowie moich wrogów itepe, itede.

Nawet gdy Jesse Gorin rysował sobie pentagramy na czole i składał w ofierze śmietnikowe szczury, nikomu nie przyszło do głowy choćby półżartem posądzać go o zdolności parapsychologiczne. Sportsmeni, którzy zawiesili go na drzewie, bardziej niż chętnie skłonni byli uwierzyć, że czcił diabła, ale nikt by nie sugerował, że diabeł reagował na jego wezwania. Powszechnie było wiadomo, czego można się spodziewać po Jessem, Marku i Dylanie, zresztą tak jak po nas wszystkich.

Znaliśmy się od przedszkola – wszy, ciekące nosy, chrypy, diagnozy. Znaliśmy się jak rodzina, na pamięć i po zapachu, do tego stopnia na wylot, że była to nie tyle wiedza, ile zjednoczenie. Byliśmy jednym samonienawidzącym się organizmem. Lacey na zawsze pozostałaby ciałem obcym. Zdolnym do wszystkiego.

Nikki nie zniżyła się do spekulacji na ten temat.

– Czy uważam ją, kurwa, za czarownicę? – dosłyszałam jej rozmowę z Jessem Hainesem, gdy przechodzili obok mojej szafki. – No pewnie. A ciebie uważam za jebanego młota.

Zauważyłam, że opada z niej maska. Gorzej niż kiedyś szło jej odgrywanie miłej, oślizła powierzchnia nabrała, powiedzmy, szorstkiej faktury. Niekiedy wyczuwałam w jej oddechu miętę; tym ulubionym zapachem zwykła maskować woń wypitego rodzicom dżinu. Lacey – albo neurozy i rozpaczliwe wysiłki – wybijała jej służki jedną po drugiej, ale Nikki Drummond wychodziła z tego bez szwanku. Jak to się mówi, ludzie zaczęli gadać.

A gadali, że Nikki zaraz po lunchu dopadła Lacey przed aulą. Że rzuciła jej wyzwanie, by coś zrobiła, tu i teraz, niechże sprowadzi ten gniew Szatana. Udowodnij mi! Lacey tylko stała, milcząca i pasywna, patrząc, jak tamta się gotuje.

– No i? – judziła Nikki i powiadali, że była o włos od przejścia do rękoczynu, że wyglądała na jakoś dziwnie wytrąconą z równowagi. – Dawaj, zrób to, ale żadnych pierdół z wysypkami. Żadnego mdlenia. Po prostu poproś swojego kumpla diabła, żeby na miejscu powalił mnie trupem.

Lacey się nie odzywała.

– Pokaż wszystkim, kim jesteś naprawdę – żądała Nikki.

– Wiem, czym cię zranić – ostrzegała Nikki. – Pamiętaj o tym.

Wówczas Lacey przemówiła. Powiedziała, co następuje:
– „Przyjemność i ból, podobnie jak piękno, są bardzo zindywidualizowane”. – Miało to w sobie wydźwięk wykutego na pamięć Pisma. Potem ponoć się uśmiechnęła. – Trochę cierpliwości.

Rodzice pisali listy, zostawiali wiadomości i bili na alarm, a szkolne władze odsyłały Lacey do domu za nieodpowiedni strój lub zachowanie, czasami też ją zawieszwały, ale ona zawsze wracała i wszystko zaczynało się od nowa. Próbowano skierować ją do szkolnego psychologa, lecz plotka głosiła, że całą sesję przesiedziała w upiornym milczeniu, samymi ustami rzucając uroki, a psychologa w efekcie na resztę dnia zwolniono do domu z podejrzanym bólem głowy. Potem posłano do niego mnie.

Nie miał własnego gabinetu, spotkaliśmy się więc w pustej sali gimnastycznej. Siedzieliśmy na dwóch składanych krzeselkach z metalu, które przenieśliśmy pod kosz na boisku. Pachniało pastą do butów i chłopięcym potem, a od doktora Gilla, pod którego pachami zaczęły rozszerzać się plamy, niosła się nikła woń maści mentolowej.

– Podobno jesteś w zażyłych stosunkach z Lacey Champlain – zaczął. Nie był wyjątkowo brzydki, na pewno nie jak u Dickensa (tego akurat nie miałabym za złe), ale wystarczająco: indyczy podbródek, brzuch wylewający się nieco znad paska ze skaju, otłuszczone piersi ściśnięte kraciastą koszulą. – Jak twoim zdaniem ona sobie radzi?

Wzruszyłam ramionami.

– Jest jakby... nieco rozstrojona – kontynuował. – Zgadzasz się?

– Wolno panu rozmawiać ze mną o czyichś problemach? To na pewno zgodne z prawem?

– Wolałabyś opowiedzieć o swoich problemach? Wiem, że ubiegły rok był dla ciebie dość trudny...

Wyobraziłam sobie, że kontynuuję po tym zawieszeniu głosu. Że rzucam mu do stóp moje tajemnice. Lacey. Nikki. Mój ojciec. Impreza. Moje ciało. Bestia we mnie. Obawiałam się, że gdyby mnie nie obciążały, uleciałabym z wiatrem.

– Skąd przypuszczenie, że było mi trudno? – zapytałam.

– Twoi nauczyciele zgłaszali pewne huśtawki nastrojów w ostatnich miesiącach, no i wiosną miał miejsce ten... eee... incydent.

Prawie chciałam, żeby powiedział to bez ogródek.

– Testowanie nowych tożsamości jest w twoim wieku naturalne. Ale kiedy uczeń przechodzi radykalne transformacje w tak krótkim czasie... Cóż...

Cóż, to już nie jest naturalne – taka była sugestia. Nie powinnaś być zdolna do tak dogłębnych przemian. Naturalne jest mieć własny kształt, a nie być galaretką dopasowującą się do każdej formy.

– Co cóż? – ponagliłam.

– Cóż, wówczas pojawia się pytanie, czy ów uczeń boryka się z wytyczeniem granic własnej osobowości i czy owo borykanie się może wpędzić go w kłopoty.

– Nie jestem na dragach. W ogóle nie biorę.

– Niekoniecznie mowa tu o narkotykach. Albo o seksie.

Boże drogi, pomyślałam, żadnych rozmów o seksie! Był taki nabity, taki mięsisty, taki wypchany rozkładem. Nie umiałam sobie wyobrazić, że znani mi chłopcy wyewoluują kiedyś w coś takiego.

– Hannah, czy twoja przyjaciółka Lacey próbowała kiedykolwiek wciągnąć cię w jakieś... rytuały?

– Rytuały?

– W coś, co wydawało się... dziwne? Może związane ze zwierzętami? Albo... – zniżył głos do bluznierczego, niemal pełnego nadziei szeptu – ...dziećmi?

Pojęłam wtedy, jakiej pokusie uległa. Też tego zapragnęłam. Zmrużyć oczy, przybrać wyluzowany ton Lacey i powiedzieć: „No, kiedyś składałyśmy w ofierze kozły i zmuszałyśmy dzieci do picia ich krwi. Czy to się liczy?”. Wcisnąć mu twarz w jego własne chorobliwe żądze i patrzeć, jak się nimi pasie.

Ale Nikki czegoś mnie nauczyła.

– Nic podobnego – odpowiedziałam. Uprzejmie i z opanowaniem. Grzeczna dziewczynka Hannah Dexter, równie interesująca jak porcja owsianki. – Czy mogę już wracać na lekcje?

– Hannah, czy ty z nią rozmawiałaś? – W pytaniu pobrzmiwała matczyzna troska, ale był w nim też osąd. Według mojej matki po raz kolejny zawiodłam.

Wzruszyłam ramionami.

– Rozważałaś to? Nie wiem, co zaszło między wami...

– O, i to powinno być twoją pierwszą wskazówką.

Zwykle to wystarczało, żeby wytrącić ją z równowagi, rozpocząć kłótnię na temat mojego nastawienia, co kończyło się bezpiecznym lądowaniem w moim pokoju. Nie tym razem.

– Widać, że dziewczyna ma problemy. Może mimo waszych nieporozumień jesteś jej winna trochę współczucia?

– Czy to przypadkiem nie ty raz na zawsze zakazałaś mi z nią rozmawiać?

– W porywie gniewu. Martwiłam się o ciebie.

– A teraz?

– Teraz martwię się o nią.

– Noż kurwa, niewiarygodne – wymamrotałam pod nosem, ale na tyle głośno, żeby usłyszała.

– Że co, proszę?

Powtórzyłam wyraźniej:

– Noż. Kurwa. Niewiarygodne.

– Hannah! Jak ty się wyrażasz?

– To po prostu piękne. Kiedy mnie zależało na jej towarzystwie, była praktycznie diabłem. A teraz, kiedy dosłownie czci diabła, zakładasz, że popsuło się między nami z mojej winy. A zresztą zapomnij o tej winie. Po prostu wszystko, co sobie postanowię, jest złe. Z założenia. Zgadza się?

– Rozumiem, że kiedy tylko masz możliwość, wolisz widzieć we mnie czarny charakter.

Nie mogłam znieść tego pretensjonalnego tonu, afektowanej dykcji, zachowania sztucznego w każdym calu, a to jeszcze nie było najgorsze. Nawet wybaczyłabym jej tę grę gdzie-ci-tam-do-mnie, gdyby nie była w niej taka fatalna.

– Nie twierdzę, że ktoś tu zawinił, Hannah. Zwyczajnie się o nią martwię. Najwyraźniej zaangażowała się w coś, w co nie powinna. Rzeczy, które o niej wygadują... Boję się, że może się stać coś okropnego.

Mogłam jej wyjaśnić, że Lacey nic nie zdarza się samo z siebie. Jeśli stanie się coś okropnego, to dlatego, że Lacey tak sobie zażyczyła. Mogłam jej powiedzieć, że to mnie rzeczy zdarzają się same z siebie.

Złapała mnie na dole na kanapie, jak oglądałam telewizję, co ostatnio mogłam robić tylko wtedy, kiedy ojciec nie kręcił się koło mnie. Oczywiście usadowiła się centralnie przed ekranem. Odwróciłam wzrok na oprawione zdjęcie z Searsa, mój najbardziej znaczący wizerunek w domu, jeśli tego pulchnego

oseska można w jakiś sposób łączyć z gamoniowatym, wiecznie zagniewanym stworzeniem, na które wyrósł. Na pewno czasami nachodziły ją wątpliwości, zastanawiała się, czy mnie nie podmienili, czy jej żwawa dziewczynka, uwielbiająca baletowe spódniczki i grę w chińczyka, nie została w nocy porwana, a na jej miejsce nie podłożono złośczonego się małego potwora. Nienawidziłam tej dziewczynki na zdjęciu, bo wiedziałam, o ile łatwiej było ją kochać, złożoną z miękkiego ciała i obłych kształtów. Jakże rodzice mogli nie pragnąć jej powrotu?

– Lacey nic nie będzie – powiedziałam. – Nie masz się czym martwić.

– Patentowane kłamstwo. Może jak zadzwonię do jej matki...

– Nie!

– Skoro ty nie chcesz z nią porozmawiać...

– Ona oddaje cześć diabłu, mamó. – Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni wymówiłam to słowo z czys–tej potrzeby, dlatego że oznaczało dom. – Każda inna matka w tym mieście na wszelki wypadek zabrałaby mnie do egzorcysty.

– No to sama powiedz, czy nie poszcęściło ci się, że nie jestem jak każda inna matka?

– Jasne, wygrałam na loterii.

– Mam nadzieję, że nie jesteś taka naprawdę, Hannah.

W porządku, możesz odgrywać dla mnie swoje małe przedstawienie. Rozumiem. Mam tylko nadzieję, że to nie ty.

W jej głosie nie było gniewu, przez co w jakiś sposób, gdy dostałam to, czego chciałam, i zostawiła mnie w spokoju, poczułam się jeszcze gorzej.

LACEY

Coś na przeszkodzie

Oto co przyswoiłam od Kurta: Może się opłacić, jeśli zaszufiadkują cię jako czyste zło. Gdy jego sąsiedzi obawiali się, że mieszkają drzwi w drzwi z diabłem, on nałożył laleczce wudu stryczek i wywiesił ją przez okno, niech sobie patrzą.

„Nie jestem taki, jak myślisz”, mawia. „Jestem gorszy”.

Nie powiem ci, co zrobiłam tej pierwszej nocy, gdy już odesłałam cię do środka, do twojej szczęśliwej rodzinie: jak pusty wydawał się samochód w drodze do domu, jak musiałam wyłączyć muzykę i znosić ciszę, która po tobie została, na wypadek gdybym wsłuchując się uważnie, otrzymała od nocy odpowiedź na pytanie, co mam dalej robić.

Nie sypiałam dużo, już nie. Sny po mnie przychodziły, nawet kiedy chowałam się pod kołdrą i usiłowałam nie zasnąć. Krąg klaszczących dłoni wokół łóżka wyśpiewujący miłość do Jezusa; zacieśniające się nade mną dziewczyny z koszmaru, palce pełzające po nagiej skórze jak pająki. Zawsze byłam naga. We śnie nigdy się nie szarpałam. Sztywniałam jak trup, stawałam się martwym ciężarem. One śpiewały o Chrystusie, a ja śpiewałam do siebie: „Lekka jak piórko, sztywna jak deska, lekka jak piórko, sztywna jak deska”, magiczne słowa z czasów, kiedy wszyscy byliśmy małymi poganami i przywoływaliśmy duchy.

Niosły mnie w noc, niosły w las. Ciemną ścieżyną tam,

gdzie mieszkają złe rzeczy. Wydzierały moje bijące serce – szczęki lepiły im się od krwi – i grzebały je w mokrej ziemi. Znały moje sekretne ja, stracha na wróble imieniem Lacey, zbudowanego z gałązek i błota, i kory, wykonaną z lasu Lacey, która kiedyś zostanie przyzwana do domu.

Skoro tak, to się pierdol. Właśnie to sobie pomyślałam. Pierdol się razem ze swoją nową kurwą przyjaciółeczką i nie spodziewaj się, że będę czekała z mopem, by pozmywać krew, kiedy pewna zdradziecka socjopatka wbije ci nóż w plecy. Mogłabym ci wybaczyć kłamstwo, może nawet założenie, że jestem głupia i nie wpadnę na to, co działo się na imprezie, a przynajmniej co działo się zdaniem ludzi, że nie napłyną do mnie plotki i nie zrozumieją, przez co musiałaś przejść, smutku, strachu, upokorzenia, złości na siebie za to, co zrobiłaś, za to, co zrobili tobie, i złości na mnie, że do tego dopuściłam. Mogłam opowiedzieć ci o wszystkim, co w sobie skrywasz, o tajemnicach, które dla ciebie przechowywałam, o dzikości, której nie chciałaś poznać. Mogłam cię obejmować, pamiętać wraz z tobą, razem poprzysięgłybyśmy zemstę i zaklęły się, że nikt inny się nie liczy, że słowa to tylko słowa, nawet jeśli brzmią „kurwa”, „zdzira” i „szmata”, że zniesiemy wszystko, bylebyśmy tylko zabrały się do tego jako my. To było trudno wybaczyć, Dex. Że zapomniałaś, jak bardzo mnie potrzebujesz. I że najwyraźniej druga strona równania nigdy do ciebie nawet nie dotarła.

Byłam więc zła i być może kiedy napadłam w kinie na twojego ojca, pragnęłam małej zemsty, sądząc, że dam radę, że zjawię się w moich glanach, skórzanych szortach i kabaretkach, pozwolę mu sądzić, że to był jego pomysł, sprawię, że będzie

o to błagał, zaczepię palec o jego kołnierzyk, wciągnę go do kabiny projekcyjnej, wsunę jego rękę w moje spodenki, pozwolę palcom gmerać, zrobi mi się przyjemnie i mokro, zlizę się z niego, przesunę po nim językiem z góry na dół, po całej jego zwiotczalej chwale, pomasuję jego włochate plecy i ujmę w dłoń obwisłe jaja, dam się położyć na biurku albo przyprzeć do ściany, poszamoczę się ze sprzączką u pasa, wyciągnę mu go, a potem sobie wsadzę i oboje będziemy dyszeć, płakać i starać się nie wykrzykiwać twojego imienia.

Na jego obronę powiem, że nie ucieszył się na mój widok.

– Nie powinnaś być w szkole?

Mówiąc to, obejrzał się przez ramię, jakby ktoś mógł wejść do gabinetu kierownika i nas przyłapać, choć poza nami w kinie nie było nikogo oprócz pary siwowłosych staruszków, którzy w środowe popołudnie nie mają nic lepszego do roboty, niż zapomnieć o świecie przy filmie, a potem wymkną się do domu, by liczyć minuty do śmierci.

– Cześć, Lacey – odrzekłam. – Lacey, cudownie cię widzieć po tak długim czasie. Jak się masz po wywaleniu z domu na pysk i zesłaniu przez porąbanego Bydlaka, Lacey?

– Cześć, Lacey. – Ksywki się skończyły, tym razem tylko prawdziwe słowa, sama prawda.

– Cześć, Jimmy.

– Może powinnaś zwracać się do mnie per „pan Dexter”.

– Musimy się należycie zachowywać.

Niepokój na jego twarzy zdradzał poczucie winy nie tylko z powodu tamtej nocy, kiedy pozwolił mi się pocałować, a potem wyrzucił mnie na ulicę, ale też dlatego, że zachował to w tajemnicy. Jeszcze zanim mi się zwierzył, odgadłam, że czuł się jak śmieć, bo on trzymał buzię na kłódkę, a ty snułaś się po domu, jakby kosiarka przemielila ci psa. Jako kłamca i tchórz

wmówił sobie, że lepiej ci będzie beze mnie, a gdy zrozumiał swój błąd, było już za późno – nie mógł puścić pary z ust, bo wyszłoby na jaw, że jest cipą. A teraz coś na poprawę nastroju, Dex: to ostatnia rzecz, jaką chciałby zrobić. W oczach każdej córeczki tatuś jest superbohaterem, czyż nie?

– Pogawędziłaś, Lacey, więc możesz już iść.

– Proszę, porozmawiajmy przez chwilę. Tak szczerze. – Zadbałam, żeby dało się w tym słyszeć żałobne tony, piszczałka Galtona nastrojona na czarną rozpacz. Faceci to faceci, Dex, wyjątków nie ma. – Bardzo proszę, panie Dexter.

Chwyciło.

Odstawiłam przedstawię, co się zowie. Błagałam, by skłonił cię do dania mi drugiej szansy, by nie zapominał, jaka byłam dla ciebie dobra. Nie wiem, co robią dobrzy ojcowie, by wyprowadzić córki na właściwą drogę, ale niech to zrobi i na powrót skieruje cię ku mnie.

– Przykro mi, Lacey – powiedział, a nawet to podkreślił. – Dex jest już dorosła. Sama dobiera sobie przyjaciół.

Sprawę załatwiło, że nazwał cię Dex, jakby nawet nie mogąc przyznać tego wprost, kibicował i nam, i tej części ciebie, która była moja.

Faceci są przewidywalni. Objął mnie mocno. Po ojcowsku, nie myśl sobie, że to doznanie jest mi obce. Kiedy czujesz się małeńka, bezpieczna, kiedy czujesz ciepłe ciało oraz rytmiczny oddech i przyjmujesz to jako kres sam w sobie, nie jako propozycję, obietnicę czy dług. Osmarkałam mu koszulę, ale oboje nic sobie z tego nie robiliśmy i nic nie drgnęło mu poniżej pasa. To była średniówka, jak cisza przed ukrytym nagraniem, jak ciemność, w której można się ukryć. Taka dobra odmiana ciemności.

– Chodźmy na film – zaproponował, gdy już się od siebie

oderwaliśmy.

– Nie powinieneś pracować?

Wzruszył ramionami.

– Jeśli nikomu nie powiesz, to ja też nie.

Wśliznęliśmy się na salę kinową w samym środku *Włamywaczy*, obejrzeliśmy, jak Robert Redford zażegnał kryzysową sytuację, a potem zadekowaliśmy się w bocznej uliczce, wypaliliśmy na spółkę papierosa i od tej pory mogło pójść łatwo, dokładnie tak, jak chciałam, tyle że już przestałam tego chcieć, nie pragnęłam go po to, żeby cię zranić. W ogóle go nie pragnęłam.

Pragnęłam ciebie.

To za tobą tęskniłam.

Ale wzięłam, co było.

W domu nie było już dla mnie miejsca. Natura nie znosi próżni, więc pod moją nieobecność pustą przestrzeń wypełnił James junior. Maleństwo o wielkich płucach. Masa plastikowego szajsu bijącego w oczy gwiazdkami, małpkami i budzącymi trwogę klaunami. Nieumyte butelki, zapaskudzone pieluchy, zapach balsamików i gówien, wyschnięte strużki śliny i rzygowin, no i rzecz jasna maleństwo we własnej osobie, bachor jebany, jasne ślepka, policzki jak jabłuszka, a patrzył na mnie, jakby pamiętał dzień, w którym ochrzciłam go dla Kościoła Szatana, i jakby tylko czekał, aż nauczy się skarżyć.

Nie ma jak w domu, ale dom stał się Bydlakiem wcielonym w cegłę i winyl. Sztuczna okładzina na zewnątrz, wewnątrz podłogi udające drewniane, usyfiona, wiecznie niedoczyszczona kuchnia. Tapety wyglądające, jakby obrzygał je mały James, tureckie wzory plam z na pół strawionego groszku i kukurydzy.

To raziło mnie najmocniej, ponieważ wiedziałam, że matka jeszcze bardziej tego nienawidzi, ale była zbyt leniwa i skąpa, żeby coś zmienić. Te tapety, Dex, symbolizowały wszystko, czym nie stanie się moje życie.

Obecnie Bydlak rzadziej przebywał w domu, ale jak już był, nadrabiał braki nastrojem chmury gradowej. Wyglądało na to, że pod moją nieobecność poznał ograniczenia pracy biurowej. Okazało się, że odstawianie Mussoliniego przed naćpanymi telemarketerami sprawia o wiele mniej satysfakcji, niż się spodziewał, a jego kampania wyborcza mająca na celu objęcie wakatu w kuratorium zdechła – chwała świętym czuwającym nad edukacją publiczną! – na etapie zbierania podpisów. Może nawet ciemniaki z Battle Creek wyczuły, jaka odrażająca z niego ropucha, ale najpewniej wyprzedziła go moja reputacja. Mógł sobie do woli perorować, że satanizm to tylko urojenie rozpalonej wyobraźni i że diabeł przywdziewa mniej rzucające się w oczy szaty. On nosił swoją szatę, ja – swoją, a jeśli moja była skuteczniejsza, to już wyłącznie jego problem, bo gdy zadzwonił do Horyzontów, powiedzieli mu, że zostałam zbawiona i że nie przyjmą mnie z powrotem.

W tym samym czasie matka roku znów zaczęła zaglądać do butelki i rozpiła się nie na żarty. Kryłam ją. Miałam niezłą praktykę w odwalaniu za nią roboty, choć tym razem po raz pierwszy robota regularnie się obsrywała. Nie powiem, że nawiązała się między nami więź – między mną a moim młodszym bratem – ale bezradne stworzonka zawsze są rozkoszne, mają to zaprogramowane w genach. Wielkie łebki, wielkie oczy, jakiś feromon o nazwie „chron mnie”, zdarzało się nawet, że podrzucałam go na ramieniu, szeptałam mu do ucha i nie czułam pokusy, by go utopić, gdy najdroższa mamusia odsypiała.

– Lepiej by ci było daleko stąd – poradziłam mu, a potem, ponieważ akurat nikt nie patrzył, pocałowałam to miękkie dziecięce czółko i pozwoliłam ciepłym dziecięcym paluszkom owinać się wokół mojego kciuka. – Pojęcia nie masz, w co wdepnąłeś.

Summa summarum, stało się to za sprawą Jamesa juniora. Choć może wyszło to ode mnie, udupionej przez nawyk: kłamstwo wyrwało się, zanim zdążyłam pomyśleć. Matka się spiła, olała dziecko, no i Bydlak je zastał kwękające w rozmięklej pielusze i opustoszałym domu, i kiedy posypało się: „Co z ciebie za matka?”, „Powinienem wezwać policję!”, „Nawet nie myśl, że jeszcze kiedyś pozwolę ci się zbliżyć do mojego syna!” oraz „Ile razy mam cię, kurwa, uczyć tego samego?” – a zauważ, że przeklinanie było dla niego splunięciem w twarz Jezusowi, więc nieźle mu wtedy palma odbiła – co innego mogłam zrobić, niż wziąć winę na siebie?

– Obiecałam, że się nim zaopiekuję – powiedziałam. – Myślałam, że nikt nie zauważy, jeśli wymknę się na kilka minut.

Nie sprostowała, że kłamię w jej obronie, ja zaś nie zaoponowałam, kiedy dał mi w twarz, i chyba obie sądziłyśmy, że na tym się skończy, ale gdy się nie skończyło i kazał jej wybierać – córka albo syn – podtrzymała kłamstwo, zrobiłam więc, co mi kazano: zebrałam manele i się wyniosłam.

– Jesteś już dorosła – rzekła mi. Tylko tyle miała do powiedzenia. – Dasz sobie radę.

Kiedy matka wywaliła Kurta z domu, zamieszkał, kurwa, pod mostem. Ja przynajmniej miałam buicka. Mogłam wziąć prysznic w szatni przed lekcjami albo – jeśli akurat mnie naszło – u Jessego Gorina. Nie musiałam mu nawet obciągać za ten

przywilej. Przyłapałam go raz na waleniu konia i spodobało mu się to tak bardzo, że od czasu do czasu chciał, bym się przyglądała, ale nigdy nie odbywało się to na zasadzie coś za coś. Była to raczej przysługa, jak słuchanie razem z nim death metalu i udawanie, że nie więdną mi uszy. Czasami wyciągaliśmy z głębi szafy jego kreskówkowe figurki i zmuszaliśmy He-Mana do zrobienia lodu Szkieletorowi albo organizowaliśmy G.I. Joe anala, a potem do białego rana oglądaliśmy stare metalowe teledyski.

Teoretycznie nie powinien się ze mną pokazywać. Żaden z nich nie powinien, jeśli pamiętać, za kogo byli brani. Jeśli pamiętać, kim tak kurewsko usilnie chciałam się stać. Może trudno ci będzie uwierzyć, ale raz go nawet przeprosiłam.

– Przepraszam – powiedziałam, ale czekaj, to dopiero cię przerośnie: naprawdę było mi przykro. – Przeze mnie macie jeszcze bardziej przesrane.

Pokręcił głową.

– Rób swoje. Należy im się.

Po czym pokazał mi pudełko w piwnicy, w którym przechowywał cały swój stary satanistyczny szajs: kadzidła, ostrza, tandetne kaptury z poliestru, kazał brać, co chcę, i szaleć, ile wlezie.

Załatwił mi robotę w Giancie, gdzie mieli w głębokim poważaniu oddawanie czci diabłu, dopóki pamiętałaś, żeby podwójnie pakować zakupy. Gdyby to był film, dostałabym pracę w jakimś zapyziałym sklepie muzycznym, oświecałabym frajerstwo, które ciągnie do New Kids on the Block, i przyswajała lekcje życia od zrzedliwego, ale seksownego szefa, który jak na dżentelmena przystało, odczeka kilka miesięcy, zanim podsadzi mnie na ladę kasową i sfinalizuje transakcję. Zamiast tego trafili mi się Bart od produktów rolnych, który jeśli

zmrużyłaś oczy, przypominał Paula McCartneya, Linda z działu mięsnego, święcie przekonana, że wystarczy kilka potrawek z duszonego mięsa, by zawrócić mnie na drogę Pana, no i nasz szef Jeremy, wrzód moralny uderzający do każdego chromosomu XX w zasięgu wzroku z wyjątkiem mnie.

Trudno było zasnąć, wszystko zanadto raniło. Nios-ły się hałasy. Silniki, syreny, świerszcze i samoloty, nic, by powstrzymać noc. Wyczekiwałam odgłosu kroków, pukania w szybę, twarzy w oknie. Czasami się to zdarzało, podkręcałam wtedy obroty i jechałam.

Mogłam wynieść się na dobre. Zostałam dla ciebie. Ty i ja w drodze na zachód, razem, od początku taki był plan.

Gdybym cię zapytała, powiedziałaabyś: „Jedź”. Mapę byś mi wyrysowała. Jak dziecko uderzające pięścią o pięść i życzące mamie: „A bodajbyś umarła”. Nie słucha się takich dziewczynek. Głaszcz się je po głowie i czeka, aż minie napad hysterii. Mówią na to „wiara”.

Jak pamiętasz, wiara, przesady, jakieś biorące się z szóstego zmysłu „wiesz”, które naprawdę znaczy „chciałbyś”, „udajesz” albo „nie zwracasz uwagi”, latają mi koło pióra. W coś jednak trzeba wierzyć. Ja wierzę, że dzięki grawitacji nie ulecę w kosmos i że człowiek pochodzi od małpy. Wierzę, że sześćdziesiąt procent deklaracji rządu to kłamstwa i że miejsce wyznawców teorii spiskowych jest w tym samym wariatkowie, co porwanych przez kosmitów i widujących żywego Elvisa. Wierzę, że demokraci to przestępcy, ale republikanie to socjopaci, wierzę, że kosmos jest nieskończony, natomiast świadomość wręcz przeciwnie, wierzę, że jako jedyna mam prawo dysponowania moim ciałem, a gwałcicieli należy kastrować, wierzę, że seks jest okej, a determinizm wszechświata to iluzja kwantowa, wierzę, że globalne ocieplenie

wzrasta, dziura ozonowa się poszerza, arsenał nuklearny powiększa, wojna biologiczna nadciąga i że koniec końców wszyscy będziemy mieli przejebane. Oto moje pryncypia, Dex, rzeczy bezsporne. Ewangelia według Lacey: wierzę w wolny wybór, słowa, geniusz i Kurta. Wierzę w ciebie.

Nie wierzę w Mrocznego Pana Naszego, Władcę Ciemności, ani w nadejście Antychrysta, nie wierzę w ofiary z dzieci czy bezbożne krwawe rytuały o północy, nie wierzę też, że mogę przyzwać szatańskie moce, by strąciły pewną czirliderkę z tronu. Paradowanie w czerni dawało poczucie bezpieczeństwa. Noszenie na skórze symbolu czegoś niegodziwego było w jakiś sposób w porządku. Cała reszta to ściema. Ale Sarah, Allie, Paulette, Melanie... Chciałam, żeby cierpiały, a one cierpiały. To się nazywa moc, Dex. Nie potrzebujesz magii, żeby ludzie uwierzyli w to, w co chcesz, żeby uwierzyli. A wiara może zranić najsilniej.

– O co chodzi z tymi bzdetami o Szatanie? – zapytał kiedyś twój tata.

Zaczęłam wymykać się na filmy kilka razy w tygodniu. Rozmawialiśmy w trakcie nudnych projekcji w pustej sali kinowej, jeszcze więcej rozmawialiśmy w bocznej alejce, zawsze przekazując sobie papierosa, jakby wypalenie po pół się nie liczyło. Opowiedział mi o tym, jak pierwszy raz poszedł do kina i jakie to było wydarzenie w ówczesnym średniowieczu, ja zaś mu powiedziałam, że ten jego ukochany Woody Allen to popierdółka i że jeśli zależy mu na prawdziwej sztuce, powinien przetrzucić się na Kurosawę albo Antonioniego. Popatrzył na mnie tak, jak ty zwykłaś spoglądać, jakbym znała jakiś sekret i jeśli będę dość miła, może się nim nawet podzielić. Nie

rozmawialiśmy o jego żonie, staraliśmy się nie wspominać o tobie. Najczęściej gadaliśmy o muzyce. Zakładałam mu słuchawki i puszczałam kawałki Melvins albo Mudhoney. Ale nigdy Kurta. Jego zostawiałam dla nas.

Głęboko zaciągnęłam się winstonem.

– Ludziom wszystko się rypie, nie chodzi w tym o pentagramy, krwawe ofiary i tym podobne. Na tle innych religii satanizm ma sporo sensu.

– W wolnym przekładzie: rozpaczliwie chcesz zwrócić na siebie uwagę. – Upuścił niedopałek i roztał go obcasem. – Nastolatki...

Podobała mi się ta jego pewność, że nic się za tym nie kryje, że jestem nieszkodliwa.

Pozostawialiśmy na marginesie dnia – wczesnopopołudniowe seanse albo nocne projekcje w środku tygodnia, na które nikt się nie fatygował – a ja dbałam o to, żeby nie zbliżać się do niego przy świadkach. Nie ruszył mnie nawet ten ranek, kiedy spostrzegłam Nikki rozpartą w tylnym rzędzie. Nie zorientowała się: twój ojciec przekładał papiery, ja zaś przysypiałam na *Ostatnim Mohikaninie*. Nawet gdyby mnie wypatrzyła, nie miała co zauważyć. Więc nie powiedziałam mu o tym i nie zarzuciłam spotkań. Sądziłam, że jesteśmy bezpieczni. Szkoda, że wbrew temu, co wszyscy myśleli, nie byłam czarownicą, bo może miałabym więcej rozumu.

Nagrywał mi składanki ze swoich starych kaset ośmiościeżkowych i usiłował mnie przekonać, że The Doors byli buntownikami. Każdy wie, że miks przebojów to najlepsza odmiana listu miłosnego, i wydaje mi się, że odrobinę mnie kochał, a przynajmniej kochał to, kim się przy mnie stawał – dawnym Jimmym Dexterem, tym ze wszystkimi włosami. Opowiedział mi całą historię swojej kapeli: jak dostali

pięćdziesiąt dolców za grę na weselu, a on tak się skuł gratisowym winem, że puścił pawia na buty panny młodej; jak byli o włos od podpisania kontraktu na płytę, ale przegrali, bo gitarzysta basowy trafił w kamasze; jak wielokrotnie ewakuował się z gitarą do garażu rodziców i wyciszał całą rzeczywistość z wyjątkiem strun, akordów, muzyki i radości. Poradziłam mu, żeby spróbował jeszcze raz albo żeby chociaż od czasu do czasu przyczał się w garażu i podkręcił brzmienie swojego życia. To było dla ciebie, Dex. Bo muzyka jest jedynym miejscem, w którym twój ojciec bardziej przypomina mnie niż ciebie, w niej idzie na całość, a żalonym czyni go życie bez niej. Pomyślałam, że gdyby ją odzyskał, może ty odzyskałabyś jego – tego, którego dotąd nie poznałaś. Tamten Jimmy umarł przy twoich narodzinach i nawet nie miał ci tego za złe.

Codziennie patrzyłam, jak łakniesz Nikki. Codziennie na ciebie uważałam, czekając na jej ruch. Pojawiły się dekoracje na Halloween i z każdym dniem coraz trudniej było nie pamiętać o lesie, co więcej, zdawałam sobie sprawę, że Nikki ogarnie to samo podenerwowanie, przecucie, że zbliża się coś złego, i że zrobi wszystko, by to coś powstrzymać, szczególnie jeśli przy okazji będzie mogła mnie skrzywdzić. Wiedziała, jak tego dokonać.

Złożyłyśmy uświęconą przysięgę, Nikki i ja. Pakt spisany krwią. Wyznania przełknięte, poczucie winy stłumione, grzechy pogrzebane w słonej ziemi. Rozgrywałyśmy swoje gry i toczyłyśmy wojny zastępcze. Wciągnęłyśmy cię w krzyżowy ogień.

Ale przysięgę złożyłyśmy. Zostawić śmierć w lesie i zapomnieć.

Przed przystąpieniem do tortur hiszpańscy inkwizytorzy wykładali narzędzia, jedno okrutne ostrze po drugim, by pokazać, co cię czeka, i już to uważane było za torturę. Moją torturą była jej wiedza. To, co mogła ci opowiedzieć.

To, co wtedy zrobisz.

DEX

Buzuje miłość

Październik był dobrą porą dla czarownic. Nawet miasto tak lękające się diabła jak nasze dało z siebie wszystko na Halloween. Ledwie zaszło słońce w Święto Pracy, Battle Creek ochoczo odsłoniło swoją ciemną stronę. Z ganków szczyrzyły się dyniowe kły, w oknach lśniły szczerbate uśmiechy z masy papierowej, świece wypalające pusty ośrodek wokół knota barwiły noc siarkową poświatą. Z lamp ulicznych zwisały tekturowe wampiry o bladych twarzach, przynajmniej dopóki nie dobrały się do nich szopy. Znajdowało się je później na ulicy poszatowane zębami, cętkowane roznoszącą wściekliznę krwią.

W dzieciństwie Halloween było moim ukochanym świętem. Cukierki, maski, możliwość zniknięcia w kimś innym, nawet jeśli tylko na jedną noc. Ewentualność, że świat kryje w sobie choć odrobinę magii, że każde drzwi mogą być przejściem do krainy cudów. Że dziec-ko może zespolić się z ciemnością i już nikt nigdy go nie zobaczy. Wszystko to się zmieniło, kiedy odkryłam, że potwory istnieją naprawdę. W Battle Creek obchody Halloween nie nadawały się dla słabeuszy: godzinami między zachodem słońca w noc psikusów a jego wschodem po wigilii święta duchów włądała anarchia, grasowały bandy małolatów nieskrępowane wymogami savoir-vivre'u, pozwalające się wyszaleć ukrytym w sobie zwierzętom. Miotanie zepsutymi jajami, szybujący papier toaletowy, płonące skrzynki pocztowe, drące się wniebogłosy koty. Rejestr wykroczeń z pierwszego listopada zawsze puchł

w szwach: wkraczanie na cudzą posiadłość, wandalizm, nocne strzelanie z broni palnej, penetrowanie bez zezwolenia domów i ludzi, a mowa tu tylko o występkach, które komuś chciało się zgłosić.

Fakt, że Craig Ellison palnął sobie w łeb w Halloween, nigdy nie wyglądał na zbieg okoliczności. Umknął do nawiedzonego sanktuarium, zawłaszczyły go duchy miejsca. Może więc nie tylko przez Lacey październik toczył się jak lawina, a dni spychały nas na skraj urwiska. Może winna też była pamięć o minionych Halloween, jaśniejących zębach z papier mâché, udręczonych Ellisonach, snujących się po mieście bladym i wynędzniałym, gdy zakradająca się pora roku coraz bardziej zbliżała ich do rocznicy rodzinnego koszmaru. Nawet odmawiający odejścia lepki gorąc był jak ostrzeżenie, że nadciąga coś złego.

Trudno się dziwić, że gdy złote dziewczyny odpadały jedna za drugą, miastu literalnie odjechało. Afera nabrała własnego pędu. Dziewczyny, których Lacey na pewno nie miała okazji poznać, jeszcze bardziej myszowate i gotujące się w środku niż ja, ganiały do pielęgniarki, a potem do gazety, bo po przebudzeniu spostrzegły wysypkę mającą dziwny kształt albo migające przed oczami dziwne smugi. Diagnoza: dzieło Szatana. Trzy dziewczyny w tym samym czasie dotknięte zapaleniem krtani przypisywały swoje wymuszone milczenie ciemnym mocom Lacey, dopóki nie wyszło na jaw, że przewodniczący szkolnego samorządu obdarował wszystkie trzy kluczem do swojego biura i rzeźączką gardła. Rezerwowy bramkarz stanowczo utrzymywał, że Lacey zaoferowała mu zrobienie lodu w lesie, szatańska przynęta z zamianą, bo zamiast tego zwabiła go na diabelski sabat. Przebił się aż do lokalnych wiadomości telewizyjnych, gdzie prządl opowieść o roztańczonych

derwiszach, upuszczaniu krwi, malowaniu twarzy i orgii, w której nie pozwolono mu uczestniczyć, co było chyba jego największą bolączką. Nareszcie Battle Creek mogło nazwać swojego wroga po imieniu. Nareszcie miało z czym walczyć, a podjęcie walki było sprawą kluczową, bo jak mawiano, jeśli ktoś szybko czegoś nie zrobi, kolejny Craig to tylko kwestia czasu.

Oczywiście nikt z nas tak naprawdę w to wszystko nie wierzył. Wierzyliśmy, nie wierząc, robiliśmy sobie z tego jaja, dzięki czemu z kolei łatwiej było się bać. Chcieliśmy doświadczyć strachu jak dziecko kryjące się pod kołdrą, krzyczące, czekające, aż przyjdzie tatuś i potwora pogoni – bo była to doskonała wymówka, by nie kłaść się spać, bo wrzeszczenie było świetną zabawą, bo dobrze mieć silnego ojca, którego pewna dłoń spocznie na twoim czole, bo szafa jest tak głęboka i ciemna, że nikt nie może z całą pewnością powiedzieć, co też się kryje w tym mroku. Nie wierzyliśmy, ale chcieliśmy uwierzyć. Wierzyliśmy, ale nabijaliśmy się z tej naszej wiary. Beka z Lacey: niech sobie wierzy, że wierzymy, paskudny figiel splątany jej i dorosłym niezdolnym do ogarnięcia niuansów tejże wiary, którzy widzieli czarną szminkę, wytatuowane pentagramy, mdlejące dziewczęta i dali się przekonać.

Mówię „my”, ale mam na myśli „oni”. Po Lacey nie umiałam na powrót stać się jedną z nich. Nie mogłam uwierzyć ani zaszczepić w niej podejrzeń, że uwierzyłam. Mogłam się tylko zastanawiać. Czy do końca odebrało jej rozum, czy to wszystko było od początku do końca obliczone na pokaz, może nawet na mój użytek? Nie byłam w stanie sobie wyobrazić, jaki to miało cel, ani nie chciałam tego robić.

– Cała ona – skwitowała Nikki i chociaż w jej głosie nie było większego lęku, nie był też zupełnie niewzruszony. – Gra

jak zawsze. Chce namieszać. Zwróć jednak uwagę, że nie zważa wyłącznie na innych. To im się oberwie, gdy przyjdzie co do czego. Ale przecież o tym już wiesz, prawda?

Naturalnie odbył się kolejny apel. Tym razem dyrektor Portnoy ostrzegł nas, że gra toczy się o nasze dusze. Wezwał na scenę Barbarę Fuller, „stroskaną rodzicielkę”, chociaż jej dziecko miało dopiero sześć lat, a ona z kolei przedstawiła wielką doktor Isabelle Ford we własnej osobie, specjalistkę ds. kultu Szatana, słynną pamflecistkę. Pewnie wyrzeźbiła doktorat w gównie, powiedziałyby Lacey, gdyby siedziała obok mnie w ostatnim rzędzie, zamiast dekwować się przy kontenerach na śmieci z nowymi kumplami i jointem. Ford i Fuller odegrały scenkę, w której pani doktor zaprosiła panią Fuller na sabat. Ostrzegły, że satanizm jest zaraźliwy, a spojrzenia widowni zwróciły się ku mnie. „Wystarczy powiedzieć nie”, przypomniała nam pani doktor. Recepta na wszystko Nancy Reagan, tyle wiedzieli, i z tego, co wiedzieli, metoda była skuteczna.

Do Halloween zostały dwa tygodnie, kiedy Nikki capnęła mnie w łazience i zaproponowała wspólne wagary. Idy paździenikowe. Powinnam być ostrożniejsza.

– Marzę o pójściu do kina – oświadczyła.

– Nikki, za dnia prawie na pewno grają tylko *Potężne Kaczory*.

– Wytrzymam – odparła, a ponieważ miałam skitranych w portfelu kilka darmowych wejściówek, ojciec zaś ostatnio pracował głównie nocami, przystałam na to.

Zobaczyłam ich, dopiero gdy zapaliły się światła po filmie, który dobił moje i tak już ciężko ranne zauroczenie Emiliem

Estevezem. Ujrzałam ich sylwetki w pierwszym rzędzie – jego kanciastą, jej elfią – ale w pierwszej chwili ich nie rozpoznałam, rozmawiających głowa przy głowie, z ramionami trącącymi się w napadach śmiechu. Napisy się przewinęły. Wstali. Odwrócili się.

Jakbym wkroczyła w scenę z własnego życia i zorientowała się, że wszystkie szczegóły pamiętam źle: fotele niebieskie, a nie zielone, podłoga lepiała się od sera z nachosów, a nie od oranżady, ojciec starszy i bardziej łysy, dziewczyna, która przywdziała niewłaściwą twarz. Mój ojciec z nie tą córką. Mój ojciec z piwem w jednej ręce i z Lacey w drugiej.

– Dex – powiedziała Lacey i przystanęła.

Coś szarpało mnie za ramię. Przypomniałam sobie o Nikki. Przypomniałam sobie, że moje nogi mogą się poruszać, że mogę się na nich oddalić, więc to właśnie zrobiłam, pędem, nie słuchając łomotania glanów, gdy usiłowała mnie dogonić, ani ciszy, gdy on nawet nie próbował, uciekałam na oślep, dopóki nie dotarłam do samochodu Nikki, nie przycisnęłam się do niego, baza zaliczona, nic tylko bezpieczeństwo, podtrzymująca mnie chłodna stal, a potem jakoś znalazłam się w środku i odjeżdżałyśmy.

– Boże, jest obrzydliwa! – powiedziała Nikki. – Co z nią nie tak? I z nim?! Znaczy... Jezu.

Wydałam jakiś dźwięk, piskliwy, jakby mysz. Jakaś – ta większa – część mnie wciąż była z nimi tam, w ciemności.

– Trzeba cię spić – oceniła Nikki.

– Nie piję – odpowiedziałam, bo nie piłam. Przestałam, to nie było bezpieczne. Potem przypomniałam sobie, że nic nie jest bezpieczne, więc jaka, kurwa, różnica.

Pojechałyśmy na stację kolejową.

Pojechałyśmy na stację kolejową i dałyśmy w palnik

coolerami, które wozila w bagażniku upchane obok ojcowskiej kamery wideo, bez której ostatnio rzadko ruszała się z domu.

Siedziałyśmy na krawędzi torów, lałyśmy w gardło, ziemia kołysała się u naszych stóp, a świat rozmazywał na skraju pola widzenia. Nie mówiłyśmy o tym, co mój ojciec wyprawiał z Lacey ani co Lacey wyprawiała z nim.

Nie roztrząsałam, co robili po mojej ucieczce, czy rozeszli się każde w swoją stronę, czy może usiedli razem i wciąż tam byli, rozmawiali o mnie i o tym, dlaczego tak trudno mnie pokochać. Czy Lacey wzięła go za rękę i zapewniła, że mimo wszystko jest dobrym ojcem? Czy mój ojciec wolnymi okrężnymi ruchami głaskał ją po plecach, jak mnie, kiedy byłam mała i było mi niedobrze? Czy obiecywał jej, że wszystko się ułoży i że zawsze będzie ją kochał, swoją wyjątkową dziewczynkę?

Porzygałam się prosto na tory, które z pewnością widywały gorsze rzeczy.

– Błeee... – skomentowała Nikki, ale byłyśmy już tak pijane, że mogłyśmy tylko zwijać się ze śmiechu.

Byłyśmy tak pijane, że włączyłyśmy kamerę i odegrałyśmy spektakl.

Tym razem Nikki grała samą siebie. Mnie pozwoliła zostać Craigiem.

– Zabiłam cię. – Oplotła mnie ramieniem, jej oddech grzał moją szyję. – Wróciłeś teraz, żeby mnie nawiedzać, a ja nie mogę cię winić, bo przecież cię, kurwa, zabiłam.

– Sam to sobie zrobiłem – odparłam, ponieważ niezależnie od tego, co jej zdaniem uczyniła, dzieła dopełniła fizyka: przyczyna i skutek, palec ściągający spust, spust zwalniający kulę, kula wchodząca w czaszkę.

– Sam niczego nie umiałeś. Zmuszałeś mnie, żebym

wszystko robiła za ciebie, bo miałeś potem na kogo zwalić winę, a teraz ja się obwiniam, bardzo ci, kurwa, dziękuję, i właśnie za to cię nienawidzę. Zawsze cię, chuju, nienawidziłam.

– Kochałem cię – odparłam, ona zaś mnie pocałowała i nagle zrobiło się ślisko, splotły się nasze nasycone winopodobnymi napojami języki, ona smakowała słodko i zanim zdążyłam zebrać otumanione myśli albo przyłożyć dłoń do jej szyi, albo poczuć jej palce muskające meszek na mym karku, było po wszystkim.

Nikki była piękna, od samego początku. Zawsze o tym wiedziałam, ale teraz chciałam wiedzieć inaczej, wniknąć w detale jej długich rzęs i jedwabistość włosów, opięty na ciele materiał koszulki i odsłonięte przestrzenie gołej skóry, cieplej, miękkiej. Zadałam sobie pytanie, czy chciałabym jeszcze więcej, czy poznałam wreszcie formę, z której mnie odlano.

– Broń Boże, żebyś komuś o tym powiedziała – powiedziała Nikki cicho.

– Przecież tylko grałyśmy. Nic się nie stało. – Podczas zabawy w kogoś innego takie rzeczy się nie liczą, a po pijaku to już w ogóle nic się nie liczy.

– Nie mówię, kurwa, o pocałunku. Mówię o słowach. Że go zabiłam. To tajemne miejsce. Nikt nie ma prawa wiedzieć, co się tu dzieje.

– Nie zabiłaś go, Nikki. Przecież wiesz. Chyba że przyszłaś tu razem z nim i pociągnęłaś za spust. Tak było?

– Nie pociągnęłam za spust. Tego nie zrobiłam. Nie, nie, nie.

– Więc go nie zabiłaś. No powiedz to.

– Nie zabiłam go.

Lepsza okazja już się nie nadarzy, nie taka.

– Co tu się wydarzyło, Nikki? Co się z nim porobiło?

Nigdy nie zadałam jej tego pytania wprost, myślałam więc, że się zezłości albo co najmniej zdziwi, ale ona sprawiała wrażenie znudzonej.

– Hannah, wszyscy wiedzą, co się wydarzyło. Stara śpiewka. Pif-paf, nie żyjesz i tak dalej. Następne pytanie.

– No to chociaż dlaczego? – Było to oczywiście to samo pytanie. Jedyne pytanie.

Wymownie wzruszyła ramionami.

– To po kiego się winisz?

– Kurwa, Hannah, kto wie? Po cholere w ogóle ludzie się o coś obwiniają? Zaraz, wróć, zapomniałam, z kim gadam. – Odrzuciła głowę i wyśmiała z ust mgielkę plwociny i oparów.

Klepnęłam ją. Dziś po tym, co widziałyśmy, mogło tak między nami zostać. Żadnych murów.

– Co?

Krztusiła się słowami, ale byłam cierpliwa. Czekałam.

– Ty. Ze wszystkich ludzi na świecie ty mi mówisz, że nie jestem odpowiedzialna za czyjeś czyny.

– Bo nie jesteś.

Objęła mnie.

– Szczera rozmowa, Hannah?

– Okej. – Myślałam, że znowu mnie pocałuje. Nie chciałam tego, ale też jakoś specjalnie bym się nie wzbraniała.

– Garnku, poznaj kocioł. Czy raczej przyganiał garnek...

Chwila...

Rozchichotałam się.

– Nikki, jesteś pijana.

– To ty jesteś pijana. – Odpowiedź pijaka, ale przy okazji prawdziwa.

– Mówi się: przyganiał kocioł garnkowi.

– O! Właśnie! Ty. Ty! – Dziabnęła mnie mocno tuż pod

lewym sutkiem. – A może ty wzięłabyś na siebie odpowiedzialność? Lacey tak ci, kurwa, wyprała mózg, biedna mała Dex nie umie nic zrobić samodzielnie, potrzebuje ochrony dużej, złej Lacey. Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego zawracała sobie tobą głowę, skoro jesteś taka żalosna? Gdzie w tym zabawa? Zabawa to wkręcenie kogoś silnego w przekonanie, że taki nie jest. Musiało jej pójść kurewsko łatwo. Chcesz zapomnieć. Błagasz o to.

– Nic nie rozumiem – odrzekłam, bo ziemia się kołysała, obraz zamazywał i szumiało mi w uszach. Prościej byłoby pozwolić słowom skapywać jednemu po drugim, nie strumień układający się w znaczenie, a same niepołączone dźwięki.

– A co, jeśli Lacey do niczego cię nie zmusiła, jeśli ja cię przenigdy nie zmuszałam, ale poszłaś, kurwa, na tamtą imprezę, zrzuciłaś, kurwa, ciuchy i, kurwa, odpłynęłaś sama z siebie, i przestań być, kurwa, taką ofiarą przez cały, kurwa, czas, bo staje się to takie – kurwa – męczące!

– Och.

Falowałam i wirowałam, a bicie serca w mojej piersi upierało się: ból, ból, ból.

– Rozbeczysz się? Hannah? Hannah Nadąsanna? – Potrząsnęła mną. – Powiedz coś. Nie płacz. – Wysunęła dolną wargę, ale nawet parodiując focha, była śliczna. – Powiedziałaś: szczerą rozmową.

– Ty to powiedziałaś.

– Ja? Faktycznie. Ja.

I znowu się śmiała, a ja razem z nią, i znalazłyśmy się na plecach, patrząc na wirujące niebo, a mój umysł uwolnił się od ciała i pomknął spiralą ku błękitowi. Dzień odpłynął w dół, nawet Lacey odpłynęła w dół, i byłam tam, w tym właśnie momencie, sama z sobą, ziemia była wilgotna, powietrze –

ciepłe, i to mi w pełni wystarczało.

– Wybaczam ci – oznajmiłam jej. – Wszystkim wszystko wybaczam. Moje serce jest tak wielkie, że pomieściłoby cały świat.

– Ale nie Lacey – odparła.

– Lacey nigdy – przytaknęłam.

– Twoja kolej.

– Na co?

– Na szczerłość – odpowiedziała. – Na brutalną prawdę.

Prawda albo wyzwanie. Albo samo wyzwanie, jeden chuj.

Twoja kolej.

Na plecach, wpatrzone w niebo, z palcami skierowanymi ku sobie jak u Michała Anioła. Brakowało mi tego poczucia odpływania od siebie samej, przeświadczenia, że wszystko jest proste.

– Dobrze. Wyzywam cię, żebyś powiedziała coś prawdziwego. Prawdziwą prawdę.

– Zawsze mówię prawdę.

– Kłamstwo! – Zachichotałam. – Bezczelne, ohydne kłamstwo.

Nikki usiadła.

– Nie możemy wszyscy być tacy jak ty, Hannah, i po prostu mówić, co nam ślina na język przyniesie. Bez grania. Bez kostiumu. Trudno być nagim przez cały czas.

– Nigdy nie jestem naga – odparłam, skrzykując resztki godności. – Wyłącznie pod prysznicem. Pod prysznicem zawsze.

– Jak to jest? – zapytała.

– Co? Pod prysznicem? Jak możesz być taka zbereźna!

– Nie, chodziło mi o bycie tobą.

Dzień prawdomówności. Uświęcone miejsce prawdomówności, tak powiedziała.

– Beznadziejnie. Przerazająco. Ciężko.

– Tak też podejrzewałam.

Usiadłam. Otoczyłam ją ramieniem, co było dziwne, bo nigdy się nie dotykałyśmy, ale po pocałunku nie aż tak bardzo.

– Powinnaś częściej tego próbować. Nagości. Byłabyś bardziej lubiana.

– Nieprawda.

– Nieprawda – zgodziłam się. – Pieprzyć ich wszystkich.

– Pieprzyć – powtórzyła i wydudliła kolejnego coolera: jeden, drugi, trzeci długi łyk i po wszystkim. Od samego patrzenia na nią znów zebrało mi się na wymioty.

– Wiesz, co robisz, prawda? – Pytałam o alkohol, pytałam o mnie, pytałam o utratę Craiga, o walkę o zachowanie zdrowych zmysłów i trzymanie się w kupie, żeby mogła być tą Nikki Drummond, jakiej potrzebował świat.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu, pocałowała mnie w czoło, przelotne muśnięcie warg i – tak szybki, że mogłam go sobie wyobrazić – szorstki koci język. Było to zagranie tak bardzo w stylu Lacey, że na chwilę się pogubiłam, zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie nas we trzy – Lacey, Nikki i mnie – ze splecionymi palcami, szklistymi oczami, buzującą w nas miłością, w tym sekretnym miejscu umarłych pociągów, których napędzane chaosem duchy powiozą nas wszystkie ku niemożliwemu.

– Zawsze wiem, co robię – odparła Nikki i jej głos mnie ocucił.

Prędzej czy później musiałam wrócić do domu, a gdy wróciłam, czekał na mnie ojciec. Siedział na ganku z kubkiem w ręce i chował się za swoimi awiatorami. Nic się w nich nie

odbijało; było ciemno.

– Kryłem cię przed matką – powiedział.

– Mój bohaterze.

– Hannah... – Pochylił się. – Jesteś pijana?

– Zazdrościsz?

– Biorąc pod uwagę... okoliczności, nie powiem o tym matce, ale...

– Ale? Ale co? Powinnam się lepiej zachowywać?

– Jeśli chcesz porozmawiać o tym, co dziś widziałaś...

– Nie. – Nie chciałam rozmawiać, a już na pewno nie chciałam, żeby on mówił.

– Wyobrażam sobie, co ci przyszło do głowy. Ale to nie tak.

– Och, naprawdę? To co mi niby przyszło do głowy? Że ją posuwasz?

– Hannah!

– I co sobie wyobrażasz? Że mam w głowie ten obrazek? Ty i ona na golasa w jakimś obskurnym motelu? Czy po prostu jak robisz to z nią w pustym kinie? Niczym jakiś obleśny staruch na pornosie. Ale ten chyba jest w 3D?

– Porozmawiamy rano, kiedy będziesz... – odchrząknął – ...bardziej sobą. Ale uwierz, proszę, że to nic z tych rzeczy.

– Oczywiście, że nic z tych rzeczy. Jesteś stary i gruby. – Cierp, myślałam przy tym. Cierp bardziej. – Chyba nie sądziłeś, że masz jakąś szansę.

– Lacey chciała z kimś porozmawiać. To wszystko, przysięgam na Boga.

Uwierzyłam mu. Prawie. Prawie całkowicie. Nie chciał sypiać z Lacey, chciał jej ojcować. Jakby mogło to coś poprawić.

Okrażyłam go.

– Nie możesz mieć nas obu.

– Ale... eee, nie wspomnisz o tym matce, prawda, pannico?

Kiedyś uwielbiałam, gdy mnie tak nazywał. Nie mogłam sobie przypomnieć dlaczego.

– To się nigdy nie zdarzyło – powiedziałam, a on chyba pomyślał, że chodzi mi o ten dzień, nie o wszystko, co było wcześniej, i wszystko między nami, bo na jego twarzy odmalowała się ulga.

Nie wyczekiwałam przeprosin Lacey. „Nigdy nie przeproszać”, tyle zapamiętałam. Unikałam jej w szkole, a ojca w domu. Dziewczyny dostawały wysypek i zawrotów głowy. Battle Creek kulilo się ze strachu przed diabłem. Październik mijał żwawo.

A potem, tydzień przed Halloween, rozpętała się burza. Ostatni spazm lata przed rządami śniegu. Grzmoty rozgłaszały swoje wezwania, a ja, choć nie chciałam za nią tęsknić, choć nie chciałam jej widzieć, choć nie chciałam jej chcieć, poddałam się. Noc wydawała się nierzeczywista, krajobraz smagany wodą i wichurą. Jakbyśmy przelotnie ześliznęli się do innego świata, w którym nic nie musiało być istotne.

Odczekałam, aż rodzice zasnęli, ukradłam kluczyki od samochodu, pojechałam nad nasze jezioro. Ależ będzie zdziwiona, pomyślałam, kiedy zobaczy, że nauczyłam się prowadzić bez niej.

Nie miałam wątpliwości, że tam będzie. Dla burzy, dla mnie. Pewnym siłom nie można się oprzeć, nie ma natomiast niewzruszalnych obiektów. Gdy burza wzywała, odpowiadałyśmy.

Oblepiona błotem, oślizła i połyskująca w światłach

samochodu w ogóle nie przypominała człowieka, prędzej jakieś dzikie wodne stworzenie nocy.

– Nie byłaś zaproszona – powiedziała, gdy się przy niej znalazłam. – I nie jesteś mile widziana.

Mogłam dziecinnie zripostować, że żyjemy w wolnym kraju, ale wiedziałam, że jestem na nie swoim terenie, że to, co nasze, w rzeczywistości jest jej. Jej przypadła opieka nad dziczą.

Nie byłam mile widziana, ale kiedy usiadłam na pomoście, przycupnęła obok mnie. Siedziałyśmy ramię przy ramieniu, tak blisko siebie, że ciche głosy mogły przemierzać pustkę między nami. Na jej policzku igrał blask. Na rzęsach wisiały krople deszczu. Opuściła głowę, ukrywając oczy i odsłaniając miękkie, blade zbrocze szyi i ramion. Jej tatuaż stał się czarną smugą, długopisowe strużki rysowały ciemne żyły wzdłuż kręgosłupa.

Dotknęłam plamy, która niedawno była gwiazdą.

– Jesteś jednym wielkim kłamstwem.

Uniosła głowę tylko na tyle, żebym mogła zobaczyć jej uśmiech.

– Kto się przeżywa, sam się tak nazywa. – Głowa znów jej opadła jak u szmacianej lalki. – Wiem, co myślisz o mnie i o nim. Wcale tak nie było.

– Nie masz pojęcia, co myślę. Już nie.

Tylko się roześmiała.

– Lacey, musisz skończyć z tymi diabelskimi praktykami.

– O co ty się martwisz? Że co mi zrobią? Utopią w studni?

Wyegzorczyzmują?

– Wywalą ze szkoły na ten przykład.

– Uuuu. Straszne.

– No i nie wiem, co zrobisz, jak komuś naprawdę stanie się krzywda.

– A dlaczego cudza krzywda ma być moim problemem?

Chyba nie myślisz, że rzeczywiście coś im robię? – Otrząsnęła się jak pies. Prysznic był zimniejszy od deszczu.

– Lacey, znasz to miasto.

– I z jakiej niby racji ma to być twój problem?

Tutaj mnie miała.

– Zachowaj swoją troskę dla siebie – dorzuciła.

– Ze mną wszystko w porządku.

– Nadciąga coś złego.

– Co to miało być, proroctwo? – zapytałam. – A może pogrożka?

– Dex... – Odetchnęła. Nasze ramiona unosiły się i opadały w unisonie. Wdech, wydech. Wolno, miarowo. Oddychaj, Dex. Oddychaj, Lacey. – Zależy mi tylko na twoim bezpieczeństwie.

Nikki powiedziałyby, że jest zazdrosna. Że potrzebuje mnie, żeby ktoś jej potrzebował, nieważne, ile będzie w tym bólu.

– W tej akcji z twoim tatą nie chodziło o ciebie – ciągnęła.

– Sprawa z Nikki też cię nie dotyczyła.

– Jasne, pewnie, chodziło o ten twój Bóg wie jaki tajemniczy i sekretny spisek, do którego nie chcesz mnie dopuścić. Załapałam.

– Między mną a Nikki chodzi... o Craiga.

– Mówisz, jakby w twoich słowach kryła się jakaś treść.

Jakbym miała udawać, że otrzymałam odpowiedź, chociaż obie wiemy, że tak nie jest.

Tak naprawdę nie sądziłam, że sprowokuję tym Lacey do wyjaśnień. Nie można jej było zmusić do czegoś, czego nie chciała zrobić.

Wyznanie było ciche:

– Ona uważa, że to moja wina.

Na tyle sposobów Nikki starała się zwrócić mnie przeciwko

Lacey. Nader ostrożnie przyłożyła ostrze brzytwy do mojej wiary w nią i odkrawała niewyobrażalnie cienkie plasterki, aż prawie nic nie zostało, ale przez cały ten czas nie wspomniała o tym ani słowem.

Pomyślałam, że może to tylko kolejne kłamstwo. Ale to nie była metoda Lacey. Lacey kłamała ciszą.

– Śmiało – rzuciła. Jej głos brzmiał, jakby nagle zmurszała z wyczerpania i pozostało jej tylko czekać, aż kości rozsypią się w proch. – Pytaj. Czy była to moja wina.

Zadrzałam i otarłam deszcz z czoła. Woda w jeziorze tańczyła, wzbijała się ku chmurom.

– Nie było aż tak źle, co, Dex?

Podczas burzy nie mogłam kłamać.

– W ogóle nie było źle. – Ujęłam ją za rękę. Nie stała za tym żadna myśl, ot, zwykła fizyczna potrzeba zetknięcia ze sobą naszych śliskich ciał. Trzymania się. – Powiedz to, Lacey, cokolwiek to jest. Będzie ci lepiej. – Była czarownicą, czyż nie? „Przyzwij słowa”, zaklinałam ją.

Ścisnęła moją dłoń.

– Zacznijmy od początku, Dex. Jebać przeszłość.

Nie rozumiałam, jak mogła to powiedzieć, skoro przeszłość była wszystkim. Ta przeszłość, w której mieszkały Dex i Lacey. Gdyby ją wymazać, nic by z nas nie zostało.

– Nigdy nie usiłowałam cię ukryć – mówiła Lacey. – Nigdy nie trzymałam cię w tajemnicy. – I jakoś znowu rozmawiałyśmy o Nikki. Nie chciałam jej tutaj, między nami. – Ludzie trzymają w tajemnicy to, czego się wstydzą.

– Mnóstwo spraw trzymasz w tajemnicy.

– Ale nigdy nie byłaś jedną z nich, Dex.

Nie mogłam powiedzieć, że to bez różnicy.

– Brakuje ci mnie? – zapytała.

– Przecież tu jesteś.

Lacey ujęła moją twarz. Miała cieńsze palce, niż pamiętałam. Zdałam sobie sprawę, że cała stała się bardziej koścista. Wystawał jej obojczyk, a ramiona i łokcie wyglądały na tak ostre, że można by nimi ciąć.

– Naprawdę ci mnie nie brakuje – powiedziała ze zdumieniem.

Czułam ból w piersi. Nie mogłam mówić, gdy opuszki jej palców paliły mój podbródek, policzek, wargę. Kiedy nie sprostowałam, odbiła się od pomostu i wskoczyła do jeziora.

Wrzasnęłam jej imię.

Chlupot w ciemnościach. Znajomy śmiech. Grzmot.

– Wskakuj! – zawołała. – Woda jest super!

– Właśnie trwa cholerna burza z piorunami!

– Wieczny tchórz – odkrzyknęła i rozplynęła się w czerni.

Te długie sekundy nieruchomej wody i pustej nocy, nic poza deszczem, błyskawicami, mną i Lacey gdzieś pod tym wszystkim, niekończące się sekundy wyczekiwania, aż wypłynie na powierzchnię, łapiąca oddech, roześmiana i żywa.

Był czas na zastanowienie: czy można jej zaufać, że się ocali. Czy można zaufać mnie. Nurkuję w ciemnych wodach, nieprzeniknionych jak niebiososa. Nieważka, uderzeniami nóg przemieszczam się niżej i niżej, sięgam po coś ciężkiego, o długich kończynach, opadającego na muliste dno. Lacey będzie ze mną walczyć, taka już była, będzie ciągnąć mnie za włosy, wspinać się po mnie, rozpaczliwie usiłując wydostać się na powierzchnię, po oddech, po życie, i ściągnie nas obie w dół.

Stałam na krawędzi pomostu z piętami na deskach i palcami w powietrzu, zmuszając się do skoku.

Jezioro było nieskończoną połącią mroku. I wtedy się pojawiła, dryfujący księżyc twarzy. Kolejna gra. Obie

wiedziałyśmy, kto tym razem wygrał, bo ona była tam, w wodzie, a ja tutaj, na brzegu.

W samochodzie było na tyle ciepło i sucho, że kusił mnie, by skulić się na przednim siedzeniu i zasnąć. Zamiast tego uruchomiłam silnik i zostawiłam ją tam z jej wodą i jej burzą, pewna, że piorun za nic nie ośmieli się w nią uderzyć.

Przekonała mnie. Nikki zadzwoniła, żeby popsioczyć na imprezę dla dzieci, w której organizację dała się wkręcić, w żmudny trud przybierania radosnej miny dla swoich niby-przyjaciół, i powiedziała:

– Wykańcza mnie to, najbardziej bym się ucieszyła, gdybyś wpadła i pooglądała ze mną denne filmy.

Złamałam tamtego piątku naszą niewypowiedzianą umowę i odparłam:

– No cóż, mogłabym.

– Co byś mogła?

– Wpaść. Pooglądać denne filmy czy coś.

– Mówiłam, że nie mogę się wymigać od tej imprezy.

Nie była głupia, chciała usłyszeć to ode mnie wprost.

– Mówię, że mogłabym wpaść na imprezę.

– Och, Hannah, wiesz, że czułabyś się okropnie. Dosłownie byś się porzygała. Nie cierpisz tych zdzir.

– Tak jak ty.

– Uwierz mi, uciekłabym do ciebie i pozwoliła zwierzętom rządzić w zoo, ale gdyby któreś nasikało na dywan, matka by mnie zabiła.

Leżałam na łóżku, wpatrując się w sufit, licząc rysy, starając się nie przejmować.

– Pamiętasz tę imprezę na basenie latem? – mówiła. –

Totalna, kurwa, porażka.

Gdy nie odpowiedziałam, dorzuciła:

– No i tę jeszcze jedną imprezę.

Teraz obie przekroczyłyśmy granicę.

Rys było siedemdziesiąt dwie, do tego żółta plama w rogu, gdzie coś musiało kapać z niewidocznej rury. Gdyby sufit się zawalił, rozmyślałam, czy zginęłabym na miejscu? Czy pled z gipsu i pyłu wgniótłby mnie w noc, czy raczej obudziłabym się cała w azbeście i dziwiła, dlaczego widzę niebo?

– Czemu nic nie mówisz, Hannah? Chyba rozumiesz, że oddaję ci przysługę.

– Pewnie. Dziękuję.

– Jesteś jakaś dziwna. Czemu jesteś dziwna?

– Nie jestem dziwna.

– I dobrze, nie bądź. A teraz coś mi opowiedz. Jakie były ostatnie fantastyczne przygody Hannah Dexter? – Zaczęła rozciągać samogłoski jak Keanu. – Miałaś najbardziej odlotowy tydzień? Czy był totalnie nie fair?

– Rozmawiałam z Lacey.

W słuchawce zasyczało. Jakieś zakłócenia na łączu. Ale aż za łatwo było sobie wyobrazić, że to Nikki powraca do postaci węża. Wydyszała jedno słowo:

– Kurwa.

– Było fajnie.

– Nie dziwota, że jesteś tak kurewsko dziwna. Błagam, powiedz, że jej nie współczujesz!

– Powiedziała coś o tobie i o niej. – Niemalże prawda. – I o Craigu.

Waż się rozwinął i uderzył.

– Rozmawiałaś z Lacey o Craigu? Rozmawiałaś z Lacey o Craigu?! – krzyczała Nikki, która nigdy nie krzyczała. –

O tym, co ode mnie usłyszałaś? Czego nigdy nikomu nie zdradziłam? Jak mogłaś choćby pomyśleć, że to w porządku?

– Nie rozmawiałam! Nie zrobiłabym tego!

Protestowałam, przysięgałam, że nigdy nie zdradzę jej zaufania, że Lacey o nic nie pytała i jeszcze mniej mówiła, że przecież w zasadzie nie miałam co wygadać. Nie mogłam jej zapytać – nie wtedy – dlaczego miałyby obwiniać o coś Lacey, mogłam ją tylko przeprosić. Trzasnęła słuchawką.

W telewizji to dobry moment, żeby rzucić telefonem przez pokój, co też zrobiłam. Poczulałam się jak idiotka.

Kiedy zadzwoniła ponownie godzinę później, wyznała, że ona zrobiła to samo.

– To nie było fair z mojej strony. Jestem trochę przeczulona na punkcie... no wiesz.

– Oczywiście – odparłam.

– Wiem, że nic byś Lacey nie zdradziła. Prawda?

– Oczywiście, że nie.

– Myślałam też o tej poronionej imprezie z noclegiem dla bachorów. Powinnaś przyjść, to znaczy, jeśli naprawdę chcesz. Spodziewaj się nudów na pudy, zresztą znienawidzisz mnie za to zaproszenie, ale przynajmniej ja będę się lepiej bawiła.

– Mówisz serio?

– Nie zrobiłabym czegoś, czego nie traktuję serio, Hannah. Jeszcze tego nie zauważyłaś?

Dotarłam tam na dziewiątą, jak mi powiedziano, ale przybyłam ostatnia. Skompletowałam sobie kreację z zaaprobowanego przez Nikki kącika mojej szafy: welurowa koszula bez rękawów koloru leśnej zieleni, rozpinany sweter z rękawami dzwonami, szary naszyjnik obroża. Pokropiłam się

waniliowymi perfumami, usta pokryłam winogronową pomadką Lip Smacker. Po ciemku wszyscy smakowalibyśmy tak samo.

Pani Drummond zatrzepotała ręką w kierunku piwnicy.

– Dziewczęta są na dole.

Dziewczęta: leniwe koty rozwalone na kanapach i w śpiworach, same uśmiechy i pazury, tak samo jak w szkole, tak samo jak od przedszkola, tak samo, jak zapamiętałam je z imprezy, której nie mogłam sobie przypomnieć.

Dziewczęta: Paulette Green, której nikt specjalnie nie lubił, ale każdy tolerował, bo nie chciał wyjść na rasistę, i która nigdy nie rozmawiała z drugą czarnoskórą dziewczyną w naszej klasie – czarnoskórą na modłę hollywoodzką, z mnóstwem warkoczyków – bo rodzice jej zabronili. Sarah Kaye, której ojciec miał stwardnienie rozsiane i nigdy nie wychodził z domu. Przesłodka Kaitlyn Dyer, którą wszyscy kochali, nawet ja, bo była na tyle mała, żeby rozstawiać ją po kątach, niska, sprężysta i pozornie niegroźna, do tego stopnia skończona kleptomanka, że próbowała ukraść fundusz na bal szkolny, i której upiekł się „pogłębiony” okres kontrolny, bo kiedy szkoła spróbowała ją wydalić, rodzice zagrozili pozwem. Melanie Herman, która sypiała z chłopakiem swojej najlepszej przyjaciółki. Allie Cantor, która miała opryszczkę i zawsze będzie ją miała.

Opowiedziała mi to wszystko Nikki i dlatego jej zaufałam. Zapomniałam z czasem, że nie były to jej tajemnice. Że tamte dziewczyny też jej zaufały.

Śmiały się z czegoś w telewizji, a tym czymś byłam ja.

Ja nieprzytomna i śliniąca się w ciemności. Cienie, potem twarze – na ekranie ziarniste. Rozpoznałam tę ziarnistość. Kamera wideo ojca Nikki, ta, którą tak bardzo kochała. Melanie, Andy i Micah. Głos skrzeczący w ciemności: „Weekend u Berniego!”, podczas gdy krzepkie ramiona mnie podźwigały

i kilkakrotnie okręcały, bezwładną i obnażoną.

– Szmata – rzucił ktoś, w kadrze pojawiła się ręka i naznaczyła mój brzuch markerem: S-Z-M-A-T-A, po czym przerobiła sutek na uśmiechniętą buźkę.

Dziewczęcy śmiech z telewizora, dziewczęcy śmiech w piwnicy. Stop-klatka, przewinięcie do tyłu, do przodu, odtwarzaj.

– Jest tego spragniona – powiedział głos spoza kadru, a na ekranie Andy Smith położył się na szmacianej lalce, przygniótł ją sobą, biodro na biodrze, pierś na piersiach, jego język oblizwał policzek, potem zjechał na mostek i zaczął okręzać uśmiechniętą buźkę, raz, kolejny i znowu kółeczko.

– Ściągnij jej majtki – powiedział głos.

– I wsadź palec – dodał. – Żeby zrobiła się mokra.

– Widzicie? Spragniona jak nic – powiedział głos. –

Normalnie ocieka.

– Wsadź jej do gęby – powiedział głos. – Marzy, żeby go posmakować.

Różne ręce, różne palce i języki, ale głos zawsze ten sam. Zawsze słuchany. A lalka Dex robiła wszystko, do czego ją zmuszali.

Nikki uwielbiała dyrygować.

– Teraz będzie ohydnie! – zachichotała przesłodka Kaitlyn w piwnicy, z dziewczyny na ekranie chlusnęły wymioty, a ja już wiedziałam, że oglądały to wcześniej, że znają na pamięć.

Z telewizora dochodziły postękiwania i spazmy torsji.

– I tyle mu stał – skwitowała Melanie, a głos Nikki mówił: „Stanie ci znowu”, „Nie bądź cipą” i „Nie możemy teraz przerwać”, po czym kontrolka baterii rozblęła czerwienią i ekran pociemniał.

Może narobiłam jakiegoś hałasu.

Może Nikki przez cały czas wiedziała o mojej obecności.
Oczywiście, że wiedziała.

Odwróciła się.

– O nie. Hannah, ty tutaj – powiedziała bez modulacji. –
Mój Boże, chyba wszystko widziałaś.

Jakoś się stamtąd wydostałam. Jakoś, regulując lusterka,
zmieniając biegi, włączając kierunkowskazy, robiąc wszystko to,
czego nauczyła mnie Nikki, wróciłam do domu.

Zamknięta w pokoju, na podłodze.

Płonąca lodowatym ogniem.

Gdybym mogła dziś do niej przemówić, tamtej dziewczyny
na podłodze, tamtej dziewczyny złamanej, powiedziałabym: „To
nie twoja wina, to nie twoja historia. To jeszcze nie koniec.
Pewnego dnia się to skończy”.

Ale już wtedy wiedziałam to, co wiem i teraz: ten pożar
nigdy nie ugaśnie.

Hannah w płomieniach.

Hannah wypalona, wydrążona, wymieciona do cna. Hannah
ofiara, Hannah idiotka, Hannah zwłoki. Hannah głupia. Hannah
martwa.

Dex – przebudzona.

LACEY

Przybądź, jaka jesteś

Jak już się ubawiła wpajaniem ci myśli, że rżnę twojego ojca, Nikki zabrała się za mnie. To, co istniało między nim a mną, skończyło się oczywiście, gdy tylko się dowiedziałas, że w ogóle istniało. Ciesz się, że tak szybko uciekłaś. Nie widziałas, jak płakał. „Boże! Co jest, kurwa, ze mną nie tak? Co ja wyczyniam?” i tak dalej, i tak w kółko, dosłownie do zrzygania, chociaż może z jakiegoś innego powodu puściłam pawia na pół parkingu, ale jak już to zrobiłam, przynajmniej się zamknął. Kazał mi wtedy iść do domu i nigdy nie wracać, a ja wygadywałam i robiłam rzeczy, z których wcale nie jestem dumna, aż wreszcie chwycił mnie za ramiona, sztywno wyprostował ręce, cała ta pusta przestrzeń między nami, i poczęstował mnie niezgorszym kazaniem, jak to powinnam się szanować, więcej oczekiwać od innych, wybić sobie z głowy, że nadaję się tylko do seksu, a przez cały czas miał tę wypukłość w spodniach, która zmuszała nas do udawania, że wcale jej nie ma, i zmieniała całą tyradę w stek bzdur.

Czyli wszystko zjebane na maksa, tak jak Nikki lubiła, więc oczywiście właśnie wtedy podrzuciła mi do szafki liścik z prośbą o spotkanie nad jeziorem. Gdyby chodziło o stację czy którąkolwiek część lasu, nie poszłabym. Ale oczywiście od siebie też by tego nie wymagała. Jezioro miejskie wydawało się okej, bo nawet to gówniane zarośnięte bajoro, które za nie uchodziło, przypominałoby o tym istotnym jeziorze, twoim i moim, przejrzystym, niebieskim, naszym. Nikki była

elementem lasu, krętymi ścieżkami, grząskimi nieckami i zapachem gnijącej kory. Ty byłaś wodą.

Przyszłam wcześniej, ale ona już tam była, siedziała na pomoście. Zobaczywszy mnie, wyciągnęła z torebki butelkę malibu.

– Rozpracujemy?

Choć było za słodkie, a od zapachu robiło mi się niedobrze, kilkakrotnie pociągnęłam. Sądząc po jej zamglonym spojrzeniu, zaczęła z wyprzedzeniem.

Prawie się nie odzywałyśmy, dopóki nie byłyśmy już bezpiecznie zawiane.

– Szatan, tak? – zaczęła.

– Nasz mroczny pan i zbawca. Chcesz się zaciągnąć?

– Co się, kurwa, z tobą porobiło?

Łyknęłam jeszcze trochę.

– Doszłam do wniosku, że jestem zupełnie sama na tym świecie, nikt mnie nie kocha, a, byłabym zapomniana, w dodatku banda miłujących Jezusa psycholek siłą nakarmiła mnie gównem i zostawiła na śmierć w lesie.

Przepiła do mnie malibu.

– Królowa dramatu zawsze nią pozostanie.

– Teraz już królowa świata umarłych, nie słyszałaś?

To wtedy zaczęła się śmiać.

– Tak naprawdę nie pieprzysz chyba ojca Hannah, co? Zabiłabym się, zanim pozwoliłabym komuś tak staremu sobie wsadzić.

Zesztywniałam.

– Nie waż się wymawiać jej imienia.

– Ty naprawdę mnie nienawidzisz, co? – zapytała.

– Nawet bardziej niż ty mnie.

– To niemożliwe.

– Sprawdź.

Jej ręka znalazła się na moim udzie i już Nikki Drummond pięła się po nim, jakbym była drzewem, pijana i wyposzczona okraczyła mnie, przycisnęła się do mnie, jeździła językiem po moich ustach i ciągnęła mnie za włosy, mówiąc coś o tym, jak bardzo nienawidzi, że tak szybko się skończyło, ale zaraz ucięła tę myśl, biorąc do ust moje palce i mocno je ssąc. Jej piersi w dotyku wydawały się większe, niż zapamiętałam, i jakieś bardziej obwisłe, a z kącika ust spływała strużka śliny.

– Odjeb się! – Odepchnęłam ją tak, żeby zabolalo, i miałam nadzieję, że rzeczywiście poczuła.

– Daj spokój, wiem, że tego chcesz.

Znasz tę opinię, że desperacja nie jest sexy? Gówno prawda. Szkaradna pijaczka bez koszuli, zionąca rumem i celująca we mnie niczym torpeda pożądania? Odepchnięcie jej było jak kopnięcie szczeniaka, poza tym ja też się podnieciłam.

– Może po prostu cię, kurwa, kocham – powiedziała, na poły się śmiejąc, a na poły płacząc, jak w kiepskich filmach zdarza się kobietom w średnim wieku. – Nie przeszło ci to przez myśl?

– Szczerze? Nie.

Usiadła.

– To po chuj w ogóle przyłaziłaś?

– Chciałam wiedzieć, czego chcesz.

– A nie było to jasne?

– Czego chcesz za trzymanie się od niej z daleka.

I dałabym jej to, Dex. Dałabym jej wszystko.

– Chyba sobie jaja robisz. Mam uwierzyć, że przyszłaś tu na rozmowę o Hannah?

– Ma na imię Dex.

– Jasne. Tak sobie wmawiaj. – Znowu zaczęła się śmiać.

Od naszej ostatniej rozmowy rozwinęła umiejętności aktorskie. Prawie zbliżała się do człowieczeństwa. – Zrozumiałam, co robiłaś. Ale już jej nie potrzebujemy.

– Niby od kiedy jest jakieś my, Nikki?

– Nie mówisz poważnie. – Ponownie mnie dotknęła, spocone dłonie na dłoniach. – Jak sądzisz, co powiedziałyby twoja bezcenna Dex, gdyby naprawdę cię znała? Właśnie tego potrzebujesz? Kogoś, kto cię nie widzi? Kogoś, kto całe twoje pieprzenie traktuje serio?

– Przestań.

– Minął prawie rok – zauważyła.

– O tym nie rozmawiamy.

– Co, nie myślisz o nim czasami? Ani o mnie?

Przez chwilę prawie mnie miała. Odór rozpacz, lśnienie wilgoci w oczach, nacisk dłoni – była tak dob-ra w odgrywaniu swojej roli, że nawet wiedząc to, co wiem, prawie kupiłam, że za mną tęskniła, że przez cały ten czas ukrywała miłość bądź żądzę, że wpakowała się z butami w twoje życie z tego samego powodu, z jakiego ja kurczowo trzymałam się twojego ojca, że przestała mnie nienawidzić za to, ile o sobie wiemy, że to, co wyprawiałyśmy w lesie, miało dla niej znaczenie i nie było tylko zrodzonym z nienawiści żartem. Może zresztą to kupiłam na czas wystarczający, żeby powiedzieć jej prawdę i zrobić to niemal delikatnie:

– Już nie.

Puściła mnie.

– Przyszłaś tu dla niej – powiedziała i oto z braku emocji, z pustki na twarzy wyłoniła się prawdziwa Nikki. – Kazać mi trzymać się z daleka. Od niej.

Skinęłam głową.

– Ale dlaczego miałabym się trzymać z daleka od mojej

przyjaciółki Hannah? – bełkotała. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu winę ponosił rum, a w jakim było to obliczone na efekt. – Chronię ją. Ratuję przed wilkiem złym. – Przejechała ręką pod nosem i wytarła gila o dzinsy. – Tak jak powinnam uratować Craiga. Jestem teraz dobra. Czynię dobro. Jak Jezus.

– Chcę wiedzieć, co zamierzasz, Nikki. Powiesz jej?

I znów ten śmiech, nie mogła przestać się śmiać.

– Komu powiem? Powiem co? – Klasnęła w dłonie. – Ach, już wiem! W całym tym pieprzeniu, że mam się trzymać z daleka, wcale nie chodzi o nią, ale o ciebie!

– Nieprawda.

– Nie boisz się, co mogę jej zrobić. Boisz się, co mogę jej powiedzieć.

– To jedno i to samo.

– Nie, Lacey. Jedno dotyczy jej, drugie ciebie. Normalni ludzie widzą różnicę.

– Nie rób jej krzywdy tylko po to, żeby mi przypieprzyć.

– Postawmy sprawę jasno. Mam gdzieś przypieprzanie ci, tak samo jak mam gdzieś pieprzenie się z tobą.

– To co my tu robimy?

Odeszła bez odpowiedzi. Obie ją znałyśmy.

Pogorszyłam sytuację. Usiłowałam cię ostrzec, ty nie słuchałaś, więc w części to twoja wina, ale cała reszta spada na mnie. To, co zrobiła potem. Do czego cię tym skłoniła. Wszystko było moją winą, a zarazem nie było nią wcale, zupełnie jak cała reszta.

Kiedy miałam jedenaście lat, wyrzuciłam razem z lunchem aparat na zęby. Zorientowałam się, dopiero jak przyszła pora ponownego włożenia go do ust przed powrotem na lekcje.

Wpadłam w kurewską panikę, ponieważ widziałam go: zawinięty w serwetkę leżał na skraju mojej tacy, żeby później nie lepił się cały od sera na bagietce. Zsuwał się do śmieci na wierzchu resztek spaghetti Terrence’a Claya i sałatki z tuńczyka, którą Lindsay North – anoreksja pojawiła się u niej z takim samym falstartem jak cycuszki – zostawiła nietkniętą. Chcesz wiedzieć, jak wyglądało moje życie przed tobą? Tak, że mając wybór między powrotem do domu bez aparatu a nurkowaniem w kontenerze na śmieci, nawet się nie zastanawiałam. Woźny mnie podsadził, a potem patrzył, jak przebieram w bananowych skórkach i grudach spaghetti. Wymazałam to w imię zachowania zdrowych zmysłów. Pamiętam tylko, że aparat znalazłam.

Zaniosłam go do łazienki, opłukałam w gorącej wodzie i – staram się o tym nie myśleć, bo zawsze wtedy mam wrażenie, że robaki składają mi jajeczka pod skórą – włożyłam go do buzi.

– Oj, gapa – rzekł woźny, gdy już mnie wyciągnął, gdy już przestałam płakać. – Skoro tak ci na nim zależy, dlaczego go wyrzuciłaś?

No powiedz mi, Dex: dlaczego ludzie robią takie rzeczy?

Przyszłaś do mnie, jakby nic się nie stało, jakbyśmy wciąż były Lacey i Dex, ty i ja na zawsze. Czułam się czarownicą bardziej niż zwykle, gdyż wydałam polecenie „potrzebujesz mnie” i oto byłaś. Potrzebowałaś mnie. Udawałaś, że to prezent, że nareszcie coś dajesz, zamiast brać, ale potrzebowałaś mnie, żebym ci powiedziała, co dalej.

Przytoczyłaś słowa mojej matki, które padły, gdy szukałaś mnie w domu: „Lacey już tu nie mieszka”. Nie powiedziałaś jednak, jak brzmiał jej głos, czy był pełen żalu, czy było w nim zmartwienie, czy ulga. Lacey już tu nie mieszka. Wyszło na to, że nawet w Battle Creek można dochować jakichś tajemnic, zwłaszcza gdy wiążą się z czymś, o czym ludzie woleliby nie

wiedzieć.

Skorzystałaś z jej sugestii i przyjechałaś sprawdzić parking pod Giantem, a gdy już mnie znalazłaś, nie patrzyłaś na mnie jak na biedną sierotkę i nie zadawałaś głupich pytań, powiedziałaś tylko: „Lacey, mam dla ciebie niespodziankę. Spodoba ci się”.

„Zaufaj mi, Lacey”.

Jakbyś postąpiła, Dex, gdybyś знаła prawdę? Że kiedy pukałaś w moje okno, po raz pierwszy od miesiąca nie poświęcałam ci nawet ułamka myśli? Zaczęło się Halloween i tej nocy, spośród wszystkich innych, rozmyślałam o Craigu i Nikki. Myśli o Nikki, o tym, jak obejmowałam ją, gdy płakała, były dobrymi myślami. Zastanawiałam się, czy czuła tej nocy to samo, gdzieś tam idiotycznie przebrana za puszczałską kotkę, roześmiana, podpita, szukająca kogoś, kto będzie przez nią cierpiał tak, jak ona cierpiała. Gdyby to ona pukała w szybę nocą, wpuściłabym ją, wzięła w ramiona i śpiewałabym jej do snu. Oddałabym jej, co byłam winna, bo tego, co zabrałam, oddać nie mogłam, i może ona zrewanżowałaby mi się tym samym.

Ale to nie była ona. To byłaś ty.

Twoja twarz, duch materializujący się po drugiej stronie szyby, ten pełen nadziei uśmiech – taki sam, jak kiedy po raz pierwszy do ciebie zagadałam – że może jeśli przyciśniesz rękę do szkła, spotka się tam z moją.

Powiedziałaś, że masz dla mnie niespodziankę. Tej nocy, spośród wszystkich innych, niespodziankę w lesie.

Była sobie kiedyś dziewczyna, która kochała las, łagodnie kołyszącą się złocistą zieleń, baldachim liściastego nieba. Ukryta pośród drzew zrywała kwiaty i kopała w poszukiwaniu

dżdżownic, recytowała wiersze, zgrywając rytm słów z rytmem tupiących stóp. W lesie spotkała potwora, którego wzięła za przyjaciela. I poszli dalej w las, aż stał się gęstszy i ciemniejszy, zakreślili wokół tajemnego miejsca święty krąg, a potwór wydarł kawałki dziewczyny i zakopał je w ziemi, żeby nigdy do końca stąd nie odeszła i żeby nie poważyła się wrócić.

Była sobie kiedyś, ale już kiedy indziej, dziewczyna, która krzyczała w lesie ze swoich snów, obudziła się, a tu łapczywe dłonie, oczy bez życia, kolejne potwory odnoszące ją do domu, ona zaś zdała sobie wówczas sprawę, że to oto życie – butwiejąca kora i omszałe kamienie – jest jej przeznaczone, że może wprawdzie uciec, ale tak czy inaczej, las zawsze się o nią upomni.

Opowieść w sam raz dla ciebie, prawda? Ugrzeczniiona, uśliczniona. O wiele mniej chętnie słuchałabyś, że była sobie kiedyś dziewczyna, której totalnie odjechało po tym, co spotkało ją w lesie, o krwi i szczynach, gównie i zdychaniu, o tym, że właśnie w lesie dziewczyna zmieniła się w morderczynię, diabolicę i czarownicę, i na samą myśl o powrocie, zwłaszcza do tamtego miejsca, rosła jej gula w gardle. Że bronowała paznokciami dłoń aż do krwi, byle tylko nie krzyczeć.

Ale poprosiłaś, więc poszłam za tobą do lasu.

Włożyłaś do odtwarzacza zdartą kasetę, podkręciłaś na maksa głos Kurta i uśmiechnęłaś się do mnie, jakby to także był prezent. Opuściłam szybę, żeby złapać oddech, i udawałam, że oddaję ci przysługę, pozwalając prowadzić.

– Powiesz mi, dokąd idziemy? – zapytałam, gdy zatrzymałaś samochód, a my ruszyliśmy między drzewa.

– Zobaczysz – odpowiedziałaś, ale i tak wiedziałam.

Uznałam, że Nikki jednak powiedziała ci prawdę, bo skąd byś wiedziała o stacji, z jakiej innej przyczyny kazałabyś mi

wracać?

Stacja była taka sama jak ostatnim razem, tylko mocniej zarośnięta, bardziej zardzewiała. Potrzebowałaś mnie silnej, więc taka byłam. Nie ucieknie twoja Lacey, nie zapomni oddychać.

Nie ma czegoś takiego jak duchy. Ani przeznaczenie.
Ale jest sprawiedliwość.

Zatrzymałaś się przed wagonem towarowym, niemal potknąwszy się o przerdzewiałe wiadro pełne brunatnej deszczówki. Położyłaś rękę na lśniącej kłódce, a ja w ciszy między naszymi oddechami słyszałam słabe dźwięki muzyki oraz krzyki.

– Dex... Coś ty nawyprawiała?

– Żeby było jasne: nie chodzi o to, co mi zrobiła – zaczęłaś. Potem opowiedziałaś, co ci zrobiła, a ja cię przygarnęłam i poczułam, jak drżysz i jak bardzo pragniesz jej śmierci. – Chodzi o to, co zrobiła nam. Za to płaci.

Wybrałaś odpowiednią kombinację i otworzyłaś kłódkę.

W środku była Nikki. Przykucnięta w kącie, trzęsącymi się dłońmi chlapała światłem w cienie, krzyczała pośród hałasu. Nikki Drummond, wystraszone zwierzątko w ciemności.

Obok byłaś ty: szeroko uśmiechnięta dumna mama, chwalać się pięknym dzieckiem. Ta scena, ta noc, którą dla mnie stworzyłaś, zamiar przekształcony w rzeczywistość: Hannah Dexter w wagonie towarowym i z nożem.

– Dex, dlaczego ona jest goła?

Jeszcze nie byłam gotowa zapytać o nóż.

Nikki teraz stała wciśnięta w kąt, gotowa do skoku. Całym ciałem zarejestrowała coś nowego. Nieskładne krzyki ustąpiły słowom. Ustąpiły: „Lacey”.

Płakała.

– Lacey, kurwa, zabierz mnie stąd, przecież jej odpierdoliło, kaź jej, żeby mnie stąd, kurwa, wypuściła!!!

Patrzyłaś na nią, nie na mnie. Nie czekałaś, aż między wami wybiorę, nie powstało ci w głowie, że może istnieć jakiś wybór. Znowu w nas wierzyłaś.

Znowu wierzyłaś we mnie.

– Jesteś mi to winna – mówiła Nikki. – Popatrz, gdzie jesteśmy. Pomyśl, co to za noc. Jesteś mi to, kurwa, winna, i lepiej coś z tym, kurwa, zrób!

Jej też coś nie powstało w głowie: że mogę nie posłuchać, że to nie ją mogłabym wybrać, że można powiedzieć „proszę”.

Gdyby powstało, kto wie, czy nie wzięłabym jej strony.

Wystarczająco dużo krwi posmakowałam w tym lesie. Być może Nikki również.

Nie zwróciłabym jej ubrań. Ale mogłabym jej pomóc, wszak nie krzywdzę zwierząt. Mogłabym jej pomóc, gdyby tylko nie była tak kurewsko pewna, że to zrobię.

– Lacey, musisz!

Zamknęłam ją w tych ciemnościach.

ONE

Matka Nikki zawsze współczuła innym matkom. Tak wiele z nich żyło mniej dostatnio, miało mniej urody i mniej umiejętności pozwalających na rozeznanie się w zawilóściach procedur wyborczych do komitetu rodzicielskiego oraz efektowne pokazanie się na kiermaszach dobroczynnych. Wszystkie podpadały pod jedno słówko: mniej – może więc nie było się co dziwić, że wychowały mniej udane córki. Współczuła im co do jednej, ponieważ nie miały Nikki, a ona tak. Cóż to za szczęście, stale powtarzały inne matki, że tak ci się udało. Cóż za błogosławieństwo, zwykły mawiać, ale po prostu się w ten sposób pocieszały, że żadnym uczynkiem nie zasłużyły na gorszego sortu potomstwo, tak jak ona niczym nie zasłużyła na swoje złote dziecko. Jakby wciąż wierzyły w bociana, który losowo podrzuca zawiniątka pod drzwi, nikogo nie dyskryminując. Matka Nikki uśmiechała się do tych kobiet wdzięcznie i pozwalała im żyć złudzeniami. Wyprowadzanie ich z błędu byłoby nie na miejscu, bo jakże tu zwracać im uwagę na fakt, że jej córka była owocem dobrych genów i należytego pochodzenia, a z jednym ani z drugim szczęście nie miało nic wspólnego. Że ciężko pracowała nad tym, by córka była jej godna, że wychowywała Nikki w duchu poszanowania tej ciężkiej pracy, a także kontynuowania dzieła w jej imieniu. Bliskie doskonałości siedemnaście lat: włosy, cera, zęby, stroje, przyjaciółki, chłopcy – wszystko takie, jakie powinno być.

Wszystko najlepsze, tak jak powinno być.

Nie można było winić jej córki za to, co tamten chłopak zrobił sobie w lesie. Ten krzyż musieli dźwigać jego rodzice,

zresztą matka Nikki miała nadzieję, że oni z kolei czują się należycie winni za to, co swoim nieudolnym wychowywaniem wyrządzili jej córce. Ale Nikki zniosła ten epizod z godnością, a drobne oznaki żalu – szkliste oczy, bladość skóry – jeśli jakoś na nią wpłynęły, to tylko przydały jej piękna. Matka Nikki po upływie stosownego czasu zachęcała ją, by wybrała sobie kogoś nowego. Nauczyła córkę, że życie jest łatwiejsze – bądź takie się wydaje – gdy ma się silne ramię, na którym można się wesprzeć. Świat o wiele więcej wybaczał sile, jeśli przebrała się za słabość. „Nie potrzebuję kolejnego chłopaka”, odszczeknęła Nikki, gdy matka nalegała o jeden raz za dużo. „Ależ naturalnie”, brzmiała odpowiedź matki. Potrzeby są nieprzyzwoite, potrzeby same w sobie są słabością. Miłości, której ci potrzeba, najlepiej unikać. Nikt nie wiedział o tym lepiej niż matka Nikki. Ale tego oczywiście nie mogła córce powiedzieć.

Z Nikki wszystko jest w porządku. Nikki świetnie sobie radzi. Z Nikki, powiedziała sobie, stojąc w drzwiach szafy córki i usiłując zrozumieć, co w niej odkryła, nie ma najmniejszego problemu.

Problem, jak podejrzewała, stanowiła ta dziewczyna Hannah, która łąziła za jej córką przez całe lato jak parszywy kundel. Hannah Dexter o złych genach i jeszcze gorszym pochodzeniu, źle dobranych ubraniach i wołającym o pomstę do nieba uczesaniu. To na pewno pod jej wpływem Nikki zachowuje się tak nieodpowiedzialnie. Pyskuje rodzicom. Odwołuje randki. Ze wszystkich możliwych kolorów farbuje włosy na jakiś tandetny fiolet z drogerii. Sto dolarów kosztowało matkę Nikki przywrócenie poprzedniej barwy, zanim ktokolwiek zdążył to zobaczyć.

– To nie jest ktoś na twoim poziomie – oświadczyła córce ostatnio przy kolacji, a Nikki dosłownie wybuchnęła śmiechem.

– Już dawno mi się poziomy pojechały – odpowiedziała. Ordynarny język, ordynarne emocje. Nie taką córkę wychowała.

Coś się popsuło. Matka wie takie rzeczy.

Wobec tego matka Nikki odczekała, aż córka pójdzie do szkoły, po czym przeczesła jej pokój. Nigdy wcześniej tego nie robiła, nigdy nie widziała potrzeby, w milczeniu osądzała rodziców zmuszonych do nadzorowania córek, grzebania w ich pamiętnikach w poszukiwaniu sekretnych spotkań, sprawdzania w szufladach z bielizną, czy nie kryją się w nich paczki prezerwatyw. Nie potrzebowała bezpośrednich dowodów. Matka wie.

Ale... ta sterta pustych butelek w szafie. Po taniej wódce, kilka po dzinie i nie lepszych od cienkuszy coolerach. Pozostawione tutaj, choć bez trudu można je było wyrzucić, prawie jakby Nikki chciała, żeby zostały znalezione. I te zdjęcia pod materacem, kartki wydarte z czasopism, a na nich kobiety dopuszczające się wynaturzonych czynów.

Matka Nikki pomyślała o wszystkich godzinach, które jej pociecha spędziła z tym dziewczyskiem Dexterów, wyobrażała ją sobie wlewając odrażające płyny w gardło jej córki, ściągając z niej ubranie, wpełzając na jej ciało, by perwersjami przepoczwarzyć dziecko w coś, czym nigdy nie miało się stać.

Uznała, że to nie do przyjęcia.

– I co zrobiłaś? – spytał Kevin, sunąc palcem po nagiej nodze matki Nikki wyżej, wyżej i – co było niemal nie do wytrzymania – jeszcze wyżej.

Zadzwoiła do niego w chwili słabości. Zawsze i wyłącznie dzwoniła do niego w chwilach słabości i każdy raz miał być tym ostatnim, ale w końcu znów lądowała w granatowej pościeli współnika męża, wpatrując się w zdjęcie, które zrobił sobie

z żoną i dziećmi w Disney Worldzie. Uszy Miki sterczały na wszystkich czterech głowach, a on buszował pod kocem i robił jej w ciemnościach rzeczy, których nigdy nie potrafiła zrozumieć. Zapytał ją raz, czy nie wolałaby, żeby to zdjęcie schował, ona zaś skłamała, że byłoby to niestosowne i że ledwie je zauważała, choć prawda wyglądała tak, że ono też było jedną z rzeczy, których nie rozumiała, niezbędną składową procedowania, że potrzebowała jego palców i ust, ale również ich twarzy, cielących oczu Cheri i żalonych kogutów na głowach bliźniaków, że to właśnie je widziała, zamykając oczy, gdy jego język sprawiał, że odchodziła od zmysłów.

– Zostawiłam wszystko, jak było – odpowiedziała.

– Dziewczyny muszą mieć jakieś tajemnice – podsumował i uśmiechnął się, jakby coś ich łączyło.

W trakcie terapii, której by się nie poddała, gdyby Steven nie zaznaczył, że inaczej nie pozwoli jej wrócić, powiedziała mężowi, że ten romans nic nie znaczy, że żaden mężczyzna nie może się z nim równać, i była to szczerza prawda. Kevin był mniej mężczyzną pod każdym względem: uboższy, brzydszy, nędzniejszy. Nie mogła się przyznać, że wykorzystwała Kevina jako narzędzie, dzięki któremu jakoś znosiła Stevena, i że tylko dlatego wciąż się z nim spotykała, nawet teraz, nawet po złożeniu obietnicy, że nigdy więcej, tym razem naprawdę.

– Może powinnam z nią o tym porozmawiać – odrzekła.

– Może – zgodził się Kevin.

Cokolwiek o nim mówić, zgodny był jak mało kto. Matka Nikki miewała niekiedy wrażenie, że uprawia seks z samą sobą.

– Tyle że matka nie powinna znać córki na wylot – kontynuowała. – Ja na pewno bym nie chciała, żeby córka wiedziała o mnie wszystko.

– Na pewno – zgodził się Kevin i taki był koniec rozmowy.

Do domu wracała obolała, ale był to dobry rodzaj bólu, który pozwolił jej przetrwać przygotowania do kolacji oraz beztreściowe pogaduszki o życiu rodzinnym – głęboko skrywane, rozkoszne świerzbienie utrzymujące uśmiech na twarzy. To przekonało ją ostatecznie: Nikki, jak wszyscy, miała prawo do tajemnic. Czyż nie uczyła córki, że to, kim jesteśmy i co robimy, jest o wiele mniej ważne od tego, jak nas postrzegają?

Na obiad był klops, posiłek przebiegł w atmosferze uprzejmości. Ojciec Nikki nie zapytał żony, co robiła w ciągu dnia. Matka Nikki nie zapytała córki, dlaczego jak zwykle pachnie miętówkami. Nikki nie zapytała rodziców, dlaczego jej brat nie przyjeżdża na Święto Dziękczynienia. Dyskutowali o Halloween, czy tym razem rozdawać szczoteczki do zębów i narazić dom na obrzucenie jajami, czy poddać się nieuniknionemu i jak w minionych latach poprzestać na batonikach Hersheya. Ojciec opowiedział kulturalnie zabawną historyjkę o tupecyku jednego z klientów. Nikki uprzedziła, że następnego dnia wróci później, bo zawozi koleżankę do szpitala, a takich właśnie uczynków należało się po niej spodziewać. Matka Nikki zaproponowała deser i uśmiechnęła się, gdy córka podziękowała za puste kalorie. Od razu poczuła się lepiej. Dziewczyny przechodzą różne etapy – to powszechna wiedza. Nikki rozumiała, co jest potrzebne do przetrwania i wybicia się. Nic jej nie będzie. Właśnie to powtarzała sobie jej matka tamtej nocy, znosząc mężowską troskliwość i kładąc się spać, to samo powtarzała sobie nazajutrz, gdy zmierzch pociemniał w noc, duszki i różne inne stworki przestały dzwonić do drzwi, a Nikki wciąż nie było w domu.

Nic jej nie będzie.

Matka wie.

MY

Halloween

DEX

1992

Trzeba wyciągać konsekwencje. Co do tego Lacey od początku miała rację. Może dziwolągi pozostają dziwolągami, frajerzy – frajerami, może smutni i słabi będą tacy już zawsze, ale dranie są draniami jedynie dopóty, dopóki ktoś ich nie powstrzyma.

Okazało się to takie łatwe.

Nikki zadzwoniła, żeby przeprosić. Ponowiła próbę, kiedy nie podeszłam do telefonu, i jeszcze raz, gdy nie pojawiłam się w szkole. Pieprzyć rodziców, pieprzyć obowiązki, wymagania, całe życie. Nie wstawałam z łóżka, nie otwierałam drzwi, czekałam, aż poczuję się lepiej, aż w ogóle coś poczuję albo aż umrę.

Zostawiła mi na ganku kopertę z następującym liścikiem: „Bardzo, bardzo przepraszam za wszystko, co zrobiłam. To się nigdy więcej nie powtórzy. Tym razem naprawdę”.

„Nigdy więcej”. Wtedy coś poczułam i to coś wypełniło pustkę. Wróciło mnie do życia.

Nie mogłam rozgryźć jej zamiarów, nie wiedziałam, czemu uzyskanie mojego przebaczenia jest dla niej takie ważne, ale tym razem nic nie musiałam rozumieć. Musiałam to tylko wykorzystać.

Roześmiałam się. Zadzwoniłam do niej. Pozwoliłam się przeproszać, zwać winę na żal, na Craiga, na Lacey. Chciała mnie nauczyć, z kim wolno mi rozmawiać i jakie pytania zadawać – tak właśnie wytłumaczyła ostatnią imprezę. Co do

poprzedniej – popełniła błąd, to już stara historia, przeszłość, chociaż okropna, a jej jest przykro, więc to powinno wystarczyć. Powiedziała, że chciała się zmienić, stać się lepszym człowiekiem i dlatego to wszystko. Za pierwszym razem była głupia, za drugim – wściekła. Teraz już tylko jest jej przykro i dlatego po prostu jej nie uwierzę.

Odrzekłam, że może mnie przeprosić, jeśli chce, ale tylko twarzą w twarz, w miejscu, w którym będę miała pewność, że mówi prawdę, i tylko tej nocy, kiedy jej duchy będą zawodzić najgłośniej. Równe szanse: obie będziemy nawiedzane. Przełknęłam gulę, powiedziałam, że spotkamy się w lesie, a kiedy nadeszła, już czekałam.

Na początku się śmiała, nawet gdy zobaczyła symbole Szatana, które wymalowałam na ścianach wagonu towarowego, i pentagram narysowany na podłodze świńską krwią. Śmiała się jeszcze wtedy, kiedy pokazałam jej nóż.

Nóż.

Zabrałam go z sobą, ale nie zamierzałam używać. Standardowa taniocha z Kmartu, ostrze długości mojego przedramienia, krawędź ostrzona raz na rok, rękojeść z tandetnego czarnego plastiku, w dotyku sprawiająca wrażenie skórzanej. Kroiłam nim kartofle i surowe kurczaki, wydawał satysfakcjonujące trach!, gdy po niefrasobliwym zamachu wbijał się w pierś, udko albo bezpośrednio w mięsz deski do krojenia. Przed Lacey nóż był jedyną niefrasobliwością, na jaką sobie pozwalałam. Matka tego nie znosiła, ale ojca zawsze rozśmieszałam, przykładając tępą krawędź do krtani i udając, że podrzynam sobie gardło. Nóż zawsze był moją zabawką i nie inaczej było tej nocy.

Nie należałam do osób, które użyłyby noża, tylko do takich, które go potrzebują. Bez niego Nikki by mnie nie słuchała. Nie bałaby się, a musiała się bać. Musiała robić, co jej każe, być moją lalczką. Pozwolić komuś, żeby przejął nad tobą władzę, powiedziała kiedyś Nikki, to jedyna rzecz naprawdę nie do przyjęcia. Tym samym dokładnie mnie poinformowała, jak ją zranić bez rozlewu krwi.

Tej nocy zeszłam na kolację do rodziców, bez słowa komentarza jadłam rozmrożone paluszki z kurczaka i rozmrożone brokuły, świadoma, że oboje wyczuwają, że coś jest nie tak, pewna, że nie zdobędą się na odwagę, by zapytać. Ojciec sądził, że wszystko kręci się wokół niego, że jeśli będzie za mocno naciskał, wydam go przed matką. Jakbym jeszcze dbała o to, co robili z Lacey, jakby mógł być dla niej czymś więcej niż tylko odciążeniem uwagi, gzem brzęczącym na ogierze. Ja zaś wreszcie zrozumiałam, że to, co we dwie miałyśmy, było zbyt wielkie na odwracanie uwagi. Ojciec nie rozumiałby nigdy, może zresztą łaską było, że nigdy nie zda sobie sprawy, jak wiele nie pojął. Matka, nawet jeśli czegoś się domyślała, też by nie naciskała. Tęskniłam za nią czasami, moją matką z dawnych dni, w której wciąż jeszcze było dość śmiałości, by od czasu do czasu zwrócić się do mnie: „Powiedz, co ci doskwiera”, ale może tylko ją sobie wymyśliłam, jak wróżki w żywopłocie i chrapiące pod łóżkiem potwory.

Powinnam ich znienawidzić, pomyślałam, za to, że zawiedli. Z drugiej strony powinnam im wybaczyć – próbowali. Ale nie mogłam teraz zawracać sobie tym głowy. Byli postaciami wyciętymi z kartonu, rodzicami z *Fistaszków* wydającymi nieartykułowane odgłosy w tle i już nic nie

potrafiłam do nich poczuć. Czułam wyłącznie ręce na moim ciele. Palce obcych. Języki obcych. Nie potrafiłam tego z siebie strząsnąć.

Zabrałam nóż do lasu, bo byłam pewna, że nic się nie stanie. Bo wiedziałam, że nie użyję go zgodnie z przeznaczeniem, należę do dziewczyn, które nie robią takich rzeczy. Choćby nie wiadomo jak chciały, żeby było inaczej.

Pokazałam Nikki nóż.

– Rozbieraj się! – poleciłam.

– Po co?

– Nie pytaj po raz drugi.

– Chcesz mnie zobaczyć nagą? W porządku, co mi tam.

Zawsze uważałam, że masz w sobie coś z lesby. I ty, i Lacey z tymi waszymi perwersyjnymi...

– Zamknij się. Ściągaj koszulę, spodnie i wyrzuć na zewnątrz.

Jakimś cudem posłuchała. Poczułam napływ czegoś – mocy, euforii, satysfakcji, a może zwykłe zdziwienie, że wydałam polecenie, a świat je wykonał. Krył się w tym jakiś boski pierwiastek: niech się stanie posłuszeństwo, niech się stanie strach.

Patrzyłam, jak rozbiera się do majtek z różową koronką. Zamknęłam ją w ciemnościach, zasunęłam rygiel i słuchałam jej krzyków. Stałam pośród nocy, cicho i bez ruchu, oddychając i nasłuchując z ręką przyciśniętą do wagonu, wyobrażając ją sobie po drugiej stronie, samotną i gołą w mroku, w towarzystwie świńskiej krwi i martwej stali, krzyki odbijające się od metalowych ścian aż do zderzenia gardła. Bezradna i przerażona Nikki, kuląca się przed tym, co wypełza z cieni,

trzymająca się, aż wreszcie nie będzie miała wyjścia, odpuści i się załamie.

Potem się oddaliłam, ruszyłam na poszukiwanie Lacey, by wręczyć jej podarek.

Lacey stwierdziła, że powinnyśmy ją związać, więc ją związałyśmy. A raczej ona to zrobiła, ja pozostałam przy nożu.

Lacey, Lacey, Lacey. Wróciła. Trudno było się skupić, gdy jej imię brzmiało śpiewem w mojej głowie. Chciałam tylko do niej przylgnąć, wyszeptać przeprosiny, skłonić do obiecywania w kółko, że nigdy nie pozwoli mi odejść.

Ale najpierw musiałam się wykazać, więc ostrze nie drżało, gdy Lacey ściśle wiązała przeguby Nikki na plecach, używając do tego zapasowych sznurówek z bagażnika. Wozila w tym bagażniku wszystko. Były mocne, przeznaczone do glanów. Kolejnymi i parą legginsów owinęła Nikki w pasie, skrępowwała jej kostki i przywiązała ją do starego, butwiejącego krzesła znalezionego na stacji. To jest węzeł cumowniczy, mówiła, kręcąc wymyślne pętle, to wyblinka, a to motylkowy. Takie węzły nie puszcza, ciągnęła z niewytłumaczalną pewnością, a jeśli nawet, to mamy nóż.

Gdy Nikki była już ciasno skrępowana, Lacey wyciągnęła ku mnie dłoń. Nie musiała prosić – wręczyłam jej nóż i dopiero gdy go utraciłam, odniosłam wrażenie, że oddałam coś istotnego.

– Muszę się wysikać – powiedziała Nikki, jakby wyciągała kartę atutową.

– Śmiało – poklepała ją po głowie Lacey.

Nikki splunęła jej w twarz, a gdy nie trafiła, Lacey się roześmiała. Śmiałam się i ja, dopóki nie dotarł do mnie zapach,

a promień latarki nie ujawnił ciemnej plamy rozszerzającej się na koronkowych majtkach. Spodziewałam się ujrzeć na twarzy Nikki zadowolenie, że sprawdziła blef Lacey, ale wyglądała tylko jak mała dziewczynka, która posikała się w majtki i stara się nie rozplakać.

Pomyślałam wtedy, że może pora to przerwać.

Bezradna goła dziewczyna przywiązana do krzesła w brudnym wagonie kolejowym przyozdobionym satanicznymi gryzmołami, nad którą pochylały się dwie inne, o szalonych oczach i z nożem rzeźnickim. Jakbym oglądała film: królowa balów szkolnych na dnie, która zaraz skończy z gardłem podejrziętym przez stworzone przez siebie monstra, a widzowie nie kibicują ani bohaterce, ani czarnemu charakterowi, tylko czekają na krew. Wizja rodem z Hollywood, ale zapach moczu daleki od budującego, i gdy go poczułam, dziewczyna nie była już Nikki Drummond, lecz dowolną dziewczyną, żalowaną i załęczoną, i gdybym była na widowni, chciałabym jej ocalenia.

To jest rzeczywiste, pomyślałam. Z tym że nie tylko to. Mgliste wspomnienia dłoni na ciele – rzeczywiste. Dowody zarejestrowane na kasecie wideo – rzeczywiste. Zamaszyste linie niezmywalnego czarnego markera zeskrobywane ze skóry, smak rzygowin i obcego człowieka rugowany z ust szczoteczką do zębów, sunięcie palców bezwzględnie wykonujących rozkazy Nikki – rzeczywiste, rzeczywiste, rzeczywiste.

Pozory mylą. Nikt nie nauczył mnie tego lepiej niż Nikki. Zewnętrzne atrybuty zła nadają się do horrorów i na apele szkolne, prawdziwy diabeł ubierał się na różowo i uśmiechał pastelowymi ustami. A tutaj, w ciemnościach, wszystkie wiedziałyśmy, kto nim jest.

– Nie myśl, że zrobi nam się ciębie szkoda – uprzedziła

Lacey i miała rację.

W tym momencie rzeczywiste było pustką, którą zostawiła po sobie Lacey, i kłamstwami Nikki, które miały sprawić, że z nią zerwę. Uwierzyłam wiedźmie, pozwoliłam jej rzucić klątwę na Lacey. Wszystkie te dni i tygodnie sypiania w samochodzie... Podczas gdy ja siorbałam mrożony jogurt i wdawałam się w rozważania, czy Aladyna dałoby się przelecieć, mimo że jest rysunkowy, Lacey była sama. Ponieważ zostawiłam ją samą. Pod wpływem Nikki.

– Chce mi się pić – poskarżyła się.

Lacey prychnęła.

– Żartujesz, prawda?

– Tkwę tu, kurwa, od zawsze! – krzyknęła Nikki. – Więc owszem, chce mi się pić.

– Mam myśl – oznajmiła Lacey pogodnie. Uwielbiała mieć myśli. – Dex, przynieś to wiadro, które widziałyśmy na zewnątrz.

Postawiłam je przed nią. Było przeżarte, zdawałoby się, wiekową rdzą, wypełnione niemal do pełna nienadającą się do picia wodą.

Nikki pokręciła głową.

– Nie.

– Przecież chciało ci się pić. – Lacey z nożem w ręce złapała ją za włosy i szarpnęła do przodu tak mocno, że Nikki razem z krzesłem przewróciła się na kolana, a jej usta znalazły się prawie przy obrzeżu wiadra. – Już ci przeszło?

– Puść. – To był szept. – Proszę, nie każ mi.

– Jaka wybredna – powiedziała Lacey.

Wyprostowałyśmy ją wspólnie. Była ciężka, ale już nie walczyła, dzięki czemu poszło łatwiej.

– Wiecie, że to uprowadzenie? – Z jej głosu znikła drżąca

słabość, pod tłuszczkiem nie zostało nic oprócz twardej perłowej kości. – Wpadniecie w niezłe kłopoty, jak już mnie puścicie.

– Zachęcasz, jak umiesz – odparła Lacey.

– Bo co, zabijecie mnie?

– To takie słodkie, jak zgrywasz się na nieulekłą. – Lacey zwróciła się do mnie: – Dex uważa, że nic nikomu nie powiesz. Według niej będziesz szczała po nogach ze strachu, co pomyślą ludzie. Sama zobacz, jak dobrze cię zna.

– Lepiej niż ciebie. A już na pewno nie tak dobrze jak ja.

Lacey się zbliżyła. Trzymałam latarkę nieruchomo.

Promień lśnił na ostrzu noża.

– Masz jej powiedzieć, co zrobiłaś – poleciła Lacey.

Nikki spróbowała się zaśmiać.

– Nie sędzę, naprawdę nie sędzę.

– Na tej głupiej imprezie. Wyznasz jej, co zrobiłaś, a potem przeprosisz.

– I ile to będzie znaczyło, Hannah? Uwierzysz, że szczerze przepraszam z nożem na gardle?

Nie miała noża na gardle.

Ale chwilę później już miała.

– Lacey... – powiedziałam.

– Wszystko gra.

Wszystko grało.

– Powiedz jej – powtórzyła Lacey. – I mnie też.

Wysłuchajmy twojej spowiedzi.

Nikki przełknęła i jej grdyka na chwilę zetknęła się z nożem.

– Jeśli chcesz, żebym mówiła, cofnij się – rzekła, ledwie poruszając ustami. Głowę trzymała bardzo, bardzo nieruchomo.

– Tylko uważaj na to, co mówisz – ostrzegła Lacey.

Nikki przełknęła ponownie.

– To była tylko zabawa. Pamiętasz jeszcze, co to takiego, Lacey?

Lacey nie spuszczała z niej oczu.

– Dobrze się bawiłaś na imprezie, Dex?

– Nie, nie bawiłam się dobrze.

Zabrałam rodzicom butelkę szkockiej, dla kurażu, jak mawiają w filmach. Pociągnęłam palący łyk. Na zewnątrz było zimno, ale w naszym wagonie – gorąco, a przynajmniej mnie. Byłam rozpalona, przechodziły mnie ciarki. Miałam ogień w gardle.

– Upiła się, a ty do tego dopuściłaś – mówiła Lacey.

– Jest dorosła.

– Upiła się, bo do tego dopuściłaś, straciła przytomność, a wtedy...

Nikki milczała.

Nie spostrzegłam ruchu ręki Lacey, ale Nikki jęknęła.

Potem powiedziała:

– A wtedy się trochę zabawiliśmy, jak mówiłam.

– Rozebraliście ją.

– Pewnie tak.

– Pozwoliłaś swoim kumplom debilom jej dotykać.

– Aha.

– Obmacać.

– Aha.

– Zerznąć.

– Lacey – wtrąciłam. – Daj spokój.

Chciałam poznać prawdę, nie chciałam poznać prawdy. Sama już nie wiedziałam.

Napiłam się jeszcze.

– Nie – zaprotestowała Nikki. – W przeciwieństwie do

niektórych nie jestem pieprzoną socjopatką.

– Tylko zboczeńcem – odparła Lacey – który sfilmował całą akcję tatusiową kamerą. No powiedz, w jakich pozycjach kazałaś ją układać. Zdajesz sobie sprawę, że to napaść? Że wciąż podpada pod gwałt?

– Przestań – odezwałam się.

– Ani razu jej nie tknęłam – broniła się Nikki.

– Oczywiście, że nie – przytaknęła Lacey. – Nie własnoręcznie. Nie brudzisz sobie rączek. Inni robią to za ciebie.

– Wystarczy! – rzuciłam. Miałam dosyć.

– Nikomu nie stała się krzywda – powiedziała Nikki. – Słuchajcie, wiem, że to było głupie. Wiem, że jestem suką. Ale nikomu nie stała się krzywda.

To sformułowanie. Fakt, że przeszło jej przez gardło. „Nie stała się krzywda”. Zostałam w ten sposób wymazana z obrazka. Beze mnie nie było pokrzywdzonych.

– Chciałaby usłyszeć, jak ją przepraszasz. – To Lacey. – I dobrze ci radzę, niech to zabrzmi, jakby naprawdę było ci przykro.

Nikogo w życiu nie kochałam tak jak Lacey tej nocy. Była nieokielznana, burza w probówce, tyle wściekłej furii ściśniętej w drobnej, czarnookiej sylwetce i ukierunkowanej na bronienie mnie. Coś zachwycającego. Jak podziwianie wschodu słońca, jaskrawiejącego różu kredek świecowych, z którego rodzi się nowy, przeznaczony tylko dla mnie świat.

– Przepraszam – powiedziała Nikki cicho. – I jeśli to coś warte, mówię szczerze. Przepraszam, Hannah.

– Ma na imię Dex.

– Mhm.

– Powiedz to!

– Przepraszam... Dex.

– Kupujesz to, Dex?

Nie zapytała, czy teraz mi lepiej, bo lepiej było dlatego, że zmusiłyśmy Nikki do wyznania, co zrobiła. I dzięki świadomości, że mam moc, by kazać jej za to cierpieć.

Nie miałam stać się kimś takim. Byłam grzeczną dziewczynką, a grzecznym dziewczynkom zadawanie bólu nie sprawia przyjemności. Ale sprawiało, stałam się i odkryłam, że to żadna hańba.

– Szkoda, że inni nie słyszą, jaka jest naprawdę – powiedziałam. – Wyobraź sobie, co by było, gdyby wiedzieli.

– Wiedzą – odparła Lacey. – Po prostu mają to gdzieś.

Nie, nie wiedzieli. Dali się nabrać nie tylko rodzice Nikki, łatwowierni nauczyciele i kobiety z jej kościoła, dzieciaki daleko spoza jej kręgów, które wpatrywały się w nią jak w Boga, ale także one, te, którymi się otaczała. Wiedziały, że jest mięsożercą, ale że kanibalem – już nie. Nie miały pojęcia, ilu ich chłopaków przeleciała, ile ich serc z premedytacją złamała, ile tajemnic mi zdradziła, ile z nich zraniła tylko i wyłącznie z nudów, tylko dlatego że mogła. Ta wiedza nie dawała mi na nad nią żadnej władzy, nie było sensu grozić, że ją zdemaskuję. Nie dbała o nie, nie przejęłaby się, że może je do siebie zrazić i zostać sama jak palec. Nie dlatego wyciągnięcie z niej przyznania się było takie kuszące – nęciła mnie perspektywa zmuszenia jej do zrobienia tego, co zechcę. Wszystkiego, co zechcę: Nikki rozebrana prawie do rosołu, słaba i bezradna, marionetka w naszych rękach.

Wiedziałam, że gdy już ją puścimy, nie mamy się czego obawiać. Będzie siedziała cicho nie po to, by oszczędzić sobie wstydu, ale by uniknąć litości. Gdyby udało mi się podporządkować ją mojej woli, skłonić do wypowiedzenia słów, które ja włożę jej w usta – gdyby była bezsilna i potwierdziła to

– wówczas jakaś jej część pozostałaby bezsilna na zawsze. Nigdy nikomu nie powie, co tu zaszło, bo w przeciwnym razie coś z niej pozostanie tu na stałe.

Ja pierwsza wpadłam na ten pomysł, ale to Lacey pamiętała o magnetofonie Barbie i stosiku kaset i zrozumiała, jaką mogą odegrać rolę. To, co zrobiłyśmy później, zrobiłyśmy razem.

– Powiesz nam o wszystkim – stwierdziła Lacey, gdy ze sprzętem wróciłyśmy z wyprawy do samochodu, a pozostawiona samotnie w ciemnościach Nikki doszła do siebie po kolejnej serii krzyków i łkań. – O wszystkich potwornościach, których się dopuściłaś, od początku do końca. Może odtworzymy to dla świata, a może zachowamy dla siebie jako zabezpieczenie. Przez cały czas będziesz żyła w niepewności.

– Myśl o tym jako o spowiedzi – dodałam. – Niezłe ćwiczenie przed przesłuchaniem do roli.

– A niby dlaczego miałabym się zgodzić? – Prawie robiła wrażenie ta chuda, rozebrana dziewczyna pozorująca opór. – Bo macie ten głupi nóż? I co, zabijecie mnie, a potem zakopiecie w lesie?

– Uważasz, że mnie na to nie stać? Jestem zaskoczona. – Ale gdy Nikki wytrzymała jej spojrzenie, Lacey pierwsza odwróciła wzrok.

– Nie zrobię tego – oznajmiła Nikki. – Możecie mnie tu trzymać do woli, ale do niczego mnie nie zmusicie. Nie jesteście w stanie.

– Bo ja wiem... – Lacey trąciła stopą pełne wiadro, po czym zetknęłyśmy się ramionami. Pomyślałam, że tego już nigdy nie powtórzymy, nigdy nie będziemy tak idealnie zsynchronizowane, by komunikować się ciałami, a nie słowami. – Co to mówią o mnie w szkole, Dex? Nie uważają mnie przypadkiem za coś w rodzaju czarownicy?

– Coś w tym stylu obilo mi się o uszy – odrzekłam.

– Osobiście uważam, że to Nikki jest czarownicą.

– Nic dziwnego.

– Ostatnio sporo dowiedziałam się o czarownicach – kontynuowała Lacey. – Wiesz, jak je rozpoznawano? Dawno temu?

– Wiem – odparłam.

Pamiętam, że czułam się wtedy sprytna, niczym się nie przejmowałam i wcale a wcale się nie bałam. Chwile bez konsekwencji; noc, która nigdy się nie skończy.

– Co ty na to, czarownico? – Lacey podniosła wiadro, obrzydliwa woda przelała się jej przez ręce. – Zobaczmy, jak u ciebie z pływaniem.

LACEY

1991

Tamtego dnia obudziłam się i zwęszyłam w powietrzu zimę. Nie było szronu ani śniegu, nic równie dramatycznego, ale przez skórę wyczuwało się przyczajony mróz. Przez cały tydzień panowało lato, lecz według przesadnie opalonego idioty z telewizji zima niosła się przez Środkowy Zachód, skrzące się wycinankowe płatki śniegu zbliżały się do nas, wirując w kolejnych kukurydzianych stanach.

Zima była jak cykający zegar, odliczający nam czas. Bo co miałybyśmy robić, zмагаć się z suwakami dłońmi w wełnianych rękawiczkach z jednym palcem albo pięciopalczastymi na rzepy, wpychać sobie w usta zmarznięte języki i patrzeć, jak nasze wydzieliny zmieniają się w lód? W charakterze ciekawostki może i tak, ale jeśli nie jesteś doktorem Żywago, odmrożenie to nic miłego i w ogóle, kurwa, przekroczenie granic, a co dopiero leżeć w półmetrowym śniegu na haju wywołanym gandzią oraz feromonami i poszukiwać kontaktu z rzeczami wzniosłymi. Toż czyha w tym kurcząca jądra porażka. Bez zbędnych słów rozumialiśmy oczywiste: gdy nadejdzie mróz, to, co jest między nami, schowa kły, wpełźnie pod głaz i prehibernuje zimę.

Korzystałyśmy z ciepła, póki się dało, więc tamtego dnia, w Halloween, urwałyśmy się z lekcji i spotkałyśmy w lesie, przebrane za siebie nawzajem, żeby namieszać Craigowi w głowie. Nikki zawsze najbardziej lubiła odgrywanie ról i kazała mi obiecać, że kiedy Craig zjawi się po treningu – zawsze zjawiał się po treningu, bo jakkolwiek kochał ją, nas

i związane z nami cielesne rozkosze, drużynę kochał bardziej – będziemy bezwzględnie trzymały się swoich ról, choć gdy już nadszedł, byłyśmy zbyt pijane, żeby o to dbać. Może w przeciwnym razie zagrałybyśmy w zupełnie inną grę i Craig do dziś by żył albo zginęłaby jedna z nas.

Tamtego dnia ze sobą skończyłyśmy. Czekając na Craiga, robiłyśmy orły w błocie, a Nikki zabawiała mnie, wyszczególniając jedną po drugiej wady naszych rówieśników, i to w kolejności alfabetycznej, tylko po to, by pokazać, że potrafi. Theresa Abbot miała zajęczą wargę i mówiła jak postać z kreskówki, a kiedyś niewybaczalnie podkablowała Nikki za palenie w dziewczęcej ubikacji. Scotty Bly byłby uroczy, gdyby nie przeżuwał z otwartymi ustami i nie upierał się przy wąsiku jak glista pełznąca nad górną wargą; jedno i drugie czyniło go nieprzelatywalnym. Przy C zaczęłam się nudzić, ale byłam też zadowolona, bo nic tak nie rozpalało Nikki jak mówienie o ludziach, których nie znosiła. Zresztą może już o tym wiesz.

Odbębniłyśmy Shaynę Christopher i Alexandrę Caldwell, a potem, Dex, przyszła pora na ciebie.

– Chcesz wiedzieć, co jest nie tak z Hannah Dexter? – zapytała.

– Nieszczęśliwie.

Nie żeby mi na tobie zależało, Dex, właśnie wcale mi nie zależało.

– Jest wieczną jebaną ofiarą – oświadczyła Nikki. – Jakby prosiła się o drwiny.

– Zabawne, mnie akurat nie prosi.

– Wiesz, co mam na myśli. Gdzie w tym ubaw? To jak grać w piłkę zdechłym skunksem.

– Przechodzi na ciebie smród?

– Jest za łatwe i przechodzi na ciebie smród. Wiesz, szkoda

ci skunksa, ale po cholere pchał się na szosę? Jakby chciał, żeby go przejechać. Czaisz? Jakby tak było łatwiej, niż znaleźć sposób na przejście i kombinować, co dalej.

– W życiu nie słyszałam gorszej metafory – oceniłam.

Nie słuchała. Za bardzo ją wzięło. Jak to jest, Dex, że przez całą naszą znajomość, moją i jej, ani razu o tobie nie wspomniała? A tamtego dnia jakbyś tam z nami była, przyszłość kładąca się cieniem na przeszłości.

– A, jeszcze! Przypomina... owsiankę.

– Chodzi ci o beż i grudki?

Tu nastąpiła wymiana zdań na temat grudkowatości, o której lepiej zapomnieć.

– Nie, czekaj! Pudding. Taki szpitalny, w proszku, do którego trzeba dodać wodę.

– No to jest puddingiem. Co cię to obchodzi?

– Nic mnie to nie obchodzi, ja tylko...

– No?

– Chwila, myślę.

– Jakoś wolno.

– Pierdol się. – Wtedy zdjęła koszulę. Jeszcze nie było na to za zimno. Uniosłam tyłek z ziemi tylko na tyle, żeby wydostać się ze spódniczki. – Nawet się nie stara, tego właśnie w niej nienawidzę. Jest nikiem, biciem piany, i niech sobie będzie, jeśli chce, ale do tego łązi zgorzkniała i nadąsana, że ludzie traktują ją jak zero.

– A ludzie to ty.

– Pewnie, niech będzie. Ja. Zachowuje się, jakbym to ja w jakiś sposób ponosiła winę za to, że jest frajerką. Jakbym była jakąś pierdzieloną czarownicą i rzuciła na nią klątwę.

– Puuuf! – Poraziłam ją czarem z palca. – Jesteś żalosna!

– Abrakadabra! – Pomachała rękami, przypadkowo lub nie

waląc mnie w cycek. – Jesteś mokrą ropuchą!

– Tyle zachodu i mokra ropucha?

– Nie, ty jesteś ropuchą – sprostowała – a mi się zrobiło mokro.

Zawsze było tak jak za pierwszym razem.

Nawet tego ostatniego dnia, kiedy już robiłyśmy ze sobą wszystko, co nam przyszło do głowy, kiedy potrafiłyśmy dopasować ciała i wsunąć między nie trzecie, kiedy ona знаła mój smak, a ja wiedziałam, jak pocierać, w których chwilach przerywać i czym ją podniecić. Nie mogło nam to spowszednieć jak w małżeństwie, bo za każdym razem było ryzykowne. Każdy mógł się na nas natknąć, mogły zaatakować zwierzęta. Zawsze były jakieś nowe pozycje, nowe wyzwania – kładzenie się na torach, tarzanie po podłodze stacji, unikanie potłuczonego szkła, znajdowanie mrówek i żuków w miejscach, w których nic żywego nie miało prawa przebywać. Zakazany owoc był bardziej soczysty, gdy kosztowałyśmy go tylko we dwie, ponieważ Craig fochał się na myśl, że cieszymy się czymś bez niego. Świadomość, że jego fiut jest zbędny, była dla niego poważną rysą na ego i chociaż dochodził, słuchając naszych opisów, jak to jest – napływająca fala doznań, spinające się mięśnie i palce u stóp, penthouse'owska rzeczywistość dreszczy wstrząsających całym ciałem – nigdy do końca nie kupił, że sam odczuwał to samo czy że to samo mogłyśmy odczuć dzięki niemu. Dziewczyny nie czają seksu, powtarzał, nie do końca. Mamy szczęście, powiedział, bo nie wiemy, co tracimy. Ma szczęście, chichotałyśmy, kiedy go z nami nie było, a gdy rozchodziła się w nas fala, obie lubiłyśmy krzyczeć.

Nie wiem, dlaczego to robili. Może z nudów, może byłam dla nich wyjściem awaryjnym, może Craig kochał Nikki, a Nikki kochała mnie, może we troje tworzyliśmy kompletną całość, jak

wiersz czy piosenka, jak zespół muzyczny będący czymś więcej niż jego poszczególne elementy składowe, a wszyscy chcieliśmy być czymś więcej niż. Nie wiem, czemu ja to robiłam poza tym, że życie wydawało się błahe, to zaś – kolosalne. Musisz pamiętać, Dex, że dopiero co odkryłam Kurta, dopiero co poprzysięgłam sobie, że będę żyła tak, jak on śpiewał, i nigdy nie pójdę na łatwiznę, a doświadczenie będzie moją sztuką. Byłam nowiuteńka, a małe dzieci nie bez powodu zajmują się tylko robieniem kupy, ssaniem cycka i sikaniem rodzicom na twarze. Nie zdają sobie sprawy, nie umieją nic zaradzić.

DEX

1992

Za pierwszym razem było niemal śmiesznie. Nie mogłam zrobić tego własnoręcznie. Nie ufałam sobie, że potrafię chwycić ją za włosy, zanurzyć jej głowę pod wodę i trzymać odpowiednio długo, żeby się załamała, ale nie utopiła, więc zajęła się tym Lacey, a ja trzymałam nóż. Trochę się rzucała, na tyle, na ile mogła cała w więzach, a kiedy Lacey wreszcie pozwoliła jej odetchnąć, była mokra, trzęsła się, a z twarzy ściekała jej brudna woda. Gdy już raz czy dwa porządnie zaczerpnęła tchu, nie zdążyła nawet zgodzić się na spowiedź ani podjąć walki, bo Lacey zaraz zanurzyła ją ponownie, mocno trzymając szarpiące się ciało.

Ja też wstrzymałam oddech, a gdy zaczęły palić mnie płuca, spytałam:

- Nie za długo?
- Zaufaj mi – odparła.

Gdy tym razem Nikki się wynurzyła, mokra i dysząca, była gotowa mówić.

– Co tylko, kurwa, zechcecie, tylko nie róbcie tego więcej. Proszę.

Czasami próbowałam utopić się w wannie. Nie na serio, ot, taki eksperyment: ześliznąć się poniżej linii wodnej i patrzeć przez nią na spękane kafelki, zasznurować wargi przed ciepłą wodą, rzucać sobie wyzwanie, czy wytrzymam na dole. Co, gdybym otworzyła usta, myślałam sobie, gdybym zrobiła wdech. Taka prosta czynność, niczym by się nie różniła od tego, co setki

razy zdarzyło mi się przypadkiem na setkach letnich basenów. Ale nigdy się na to nie zdobyłam. Nie można żądać od ciała, żeby się zabiło. Jeśli chcesz, żeby umarło, musisz je zamordować.

– Gotowa? – upewniła się Lacey, a gdy Nikki z przyklejonymi do twarzy mokrymi włosami i strumykami ściekającymi po nagich piersiach skinęła głową, wcisnęłam guzik nagrywania. Lacey skrzyżowała ramiona i chodziła w tę i z powrotem niczym prawnik z telewizji, co w jakiś sposób wydawało się niewłaściwe. Powinnyśmy cichutko siedzieć w cieniu, pomyślałam, i odwracać spojrzenia niczym kapłani.

Lacey kazała jej zacząć od początku, więc Nikki opowiedziała nam, jak w szóstej klasie znudziła się swoją wówczas najlepszą przyjaciółką Lauren i przekonała inne dziewczyny w grupie, żeby unikały jej do końca roku. Pamiętałam to, dołączyłam do klubu Nienawidzimy Lauren – istniał jedynie w formie listy członkowskiej, którą przekazało sobie pół klasy, a następnego ranka ktoś anonimowo podrzucił ją na ławkę Lauren, tak samo jak rok wcześniej listę członków klubu Nienawidzimy Hannah – nie dlatego, że jej nie lubiłam, po prostu niecierpienie Lauren jakoś zgrało się z duchem czasu i bezpieczniej było opowiedzieć się za niż przeciw. Wyznała, jak podpuściła Allie, żeby oskarżyła pana Lourda o obmacywanie w sali komputerowej, a kiedy ta przybiegła, by poskarżyć się na chryję, która z tego wyszła – pana Lourda wylali, na co się zalał i spróbował rzucić pod autobus, a Allie wylądowała u terapeuty, który naprawdę ją obmacywał – Nikki zaczęła się śmiać i stwierdziła, że nikogo nie podpuszczała, że Allie ma wybujałą fantazję i może powinna dokładnie wykonywać polecenia terapeuty, bo najwyraźniej wariuje. Ciągnęło się to w nieskończoność: Sarah Clayborn zatrzymano za kradzież

w sklepie, bo ktoś podrzucił jej do torebki szal od Calvina Kleina; Darrena Sykesa sponiewierało dwóch drabów z Belmont, bo usłyszeli od kogoś, że przeleciał ich maskotkę, Darren miesiącami też czekał, aż ucichnie plotka, że zerznął kozę; Jessica Ames rzuciła Casha Warnera bez słowa wyjaśnienia i szansy na przeprosiny, bo ponoć zdradził ją z seksowną jak na matematyczkę nauczycielką na zastępstwie – tyle katastrof, a każda nosząca znak diabła, choć nie jego odciski palców.

Północ nadeszła i minęła.

Gdy opowieści zaczęły się rwać – gdzieś około dziesiątej klasy – i Nikki poskarżyła się, że ma dość, jest głodna, nudzi się i w związku z tym już skończyła, Lacey znowu ją podtopiła, tym razem na dłużej, aż przestała się rzucać.

Po wynurzeniu jeszcze oddychała, mnie zaś naszła chwila słabości, zastanawiałam się, czy powinnam powstrzymać Lacey, zanim sprawy zajdą za daleko, cokolwiek to znaczyło. Nikki potrafiła sprawić, że jej współczułam i bałam się o nią, choćby tylko przez tę jedną chwilę. Może rzeczywiście była czarownicą.

Upomniałam się, że ma to wyglądać przekonująco. Nikki musiała wierzyć, że naprawdę zamierzamy zrobić jej krzywdę.

Ociekała wodą i za bardzo płakała, by mówić.

– Idę się wysikać – mruknęła Lacey. – Pilnuj jej.

I zostałyśmy we dwie.

– Trochę to trwało. – Łzy Nikki wysychały. – Pewnie chce jej się palić.

– Lacey nie pali.

Nikki tylko się uśmiechnęła czy raczej podjęła taki wysiłek.

Rozkasłała się gwałtownie, splunęła. Skierowałam latarkę na podłogę. Bez Lacey trudniej było na nią patrzeć. Trudniej pamiętać, że to nie my byliśmy tymi złymi.

– Możesz mnie po prostu rozwiązać, póki jej nie ma – odezwała się.

– Czemu miałabym to zrobić?

– Jeśli boisz się ją wkurzyć, skłam, że sama się jakoś uwolniłam. Uwierzy.

– Nie muszę jej okłamywać – odparłam. – I to nie ja mam powód do strachu.

– Hannah, kurwa mać, jaja sobie robisz? Przejrzyj na oczy! Powinnaś robić w gacie ze strachu! To skończona wariatka! Myślisz, że pozwoli którejs z nas stąd odejść? Do reszty przepaliły jej się bezpieczniki. Lacey o zdrowych zmysłach już nie ma. Zdrowe zmysły Lacey się wyprowadziły. Na miłość boską, popatrz sama, do czego cię nakłania!

– Do niczego mnie nie nakłania.

– Nie omieszkałam powtórzyć tego glinom.

– Jakim glinom, skoro żadna z nas stąd nie wyjdzie?

– Słuchaj, byłyśmy kumpelami, nie? Byłyśmy, zdaję sobie sprawę, że to spieprzyłam, powaga, ale działa się to naprawdę. Znasz mnie, wiesz, że jestem wystarczająco porąbana, by tak wyszło. Źle mi z... no, ze wszystkim, chciałam dopilnować, żebyś sobie nie przypomniała, i przyznaję, chciałam też dopiec Lacey, ale, Jezu, okazuje się, że szczerze cię polubiłam. – Mówiła bardzo szybko, słowa płynęły strumieniem, kłamała z prędkością światła. – Ty też mnie polubiłaś, Hannah, tak, tak, doskonale o tym wiesz. Jej możesz kłamać, ile wlezie, ale ja swoje wiem.

– Coś jest z tobą bardzo, bardzo źle – poinformowałam ją.

– Kurwa. – Znów zaczęła płakać. – Kurwa!

Wracaj, Lacey, myślałam. Mogłabym teraz do niej pójść, ale byłabym wtedy inną dziewczyną, dla nich obydwu, a musiałam być tą, która utrzyma latarkę i nóż, która potrafi stać

na straży w ciemnościach i odeprzeć każdego wroga.

Tym razem dochowam wiary. Lacey tu rządziła, a ja z nią. Ta noc skończy się wtedy, kiedy uznamy za stosowne i ani chwili później.

Ale Nikki znowu przemówiła.

– Wiesz, że najpierw była moja? Lacey była moja.

– Przymknij się!

W nożu jest tylko tyle mocy, ile w dzierżącej go osobie. Nawet w takim położeniu potrafiła mnie przejrzeć na wylot.

– Obwoziła mnie tym gównianym buickiem tak samo jak ciebie. Nadal trzyma w schowku te cukierki udające papierosy? Nadal słucha *Something in the Way*, kiedy jest jej smutno?

Zgadzało się.

– Och, bywałam w jej samochodzie – ciągnęła Nikki – i w jej pokoju. Widziałam, jak pieściła się z Kurtem Cobainem na tym durnym plakacie, klęczała przed nim, jakby był jakimś bogiem. Myślisz, że ty pierwsza przyłapałaś ją na grze?

Uważasz, że byłaś wyjątkowa?

– Przymknij się, powiedziałam.

– Nie jesteś wyjątkowa. Nie jesteś nawet istotna. Jesteś po prostu jakąś smutną, ciemną jak tabaka w rogu sarną pakującą się na autostradę. Czekamy na potrącenie zwierzęcia.

– Nikki, mówię serio. Przymknij się, bo zobaczysz.

– Co takiego zobaczę, Dex? Tak czy inaczej, dzięki twojej przyjaciółeczce bez piątej klepki mam przesrane. Nie chcesz wiedzieć, kto robi cię w jajo?

Przedziwne. Nikki była goła, przywiązana do krzesła, a i tak wygrywała ze mną w cuglach. A co, jeśli Lacey nie wróci? – pomyślałam. Jak długo, zastanawiałam się, będę czekała?

Odrobiłam moją lekcję. Tym razem będę czekać wiecznie.

– Znam ją – nie milkła Nikki, która znowu płakała, jakby miało mnie to przekonać. Płakała, ale głos miała mocny, jakby usta nie wiedziały, co robią oczy, wzięły rozwód z lśnieniem czystego lęku i zamierzały utrzymać swe okrutne stanowisko aż do końca. – Widzę, jak się nagrzewa. Obejmuje cię, jakby tuliła się do butelki z gorącą wodą. Zupełnie jakby stawała w ogniu.

– Nikki, to żałosne.

– Wiem, jak to jest czuć jej ręce na ciele, czuć jej język w ustach, jak wygląda, kiedy ją rznąć. Ta mina, to zdumienie w oczach, i już myślisz, że zaczniesz krzyczeć, ale ona wydaje z siebie tylko to głębokie westchnienie i już jest po wszystkim.

Wracaj, Lacey.

Wracaj i ucisz ją.

To nie miało najmniejszego sensu, pomijając fakt, że miało sens od początku do końca, pomijając... Oczywiście, no oczywiście, cóż by innego, czy mógł być inny powód, i co jeszcze w tym tkwiło i na jakiej pozycji mnie to stawiało.

Wracaj.

– Wiem, od czego wilgotnieje. Wiem, jak smakuje, Hannah. Też to wszystko wiesz? Nie, nie sądzę. Widać to w twojej twarzy. Czego nie masz, czego pożądasz.

Gdyby drzwi nie zaskrzypiały, gdyby cuchnąca papierosami Lacey nie wspięła się do środka. Gdyby nie wyjęła mi noża z ręki. Gdyby Nikki nadal mówiła, piętrząc między nami sterty swego szajsu, parującego i gnijącego, a ja wreszcie bym tego nie zniosła i nóż zupełnie sam znalazłby drogę do jej brzucha albo gardła, dokądkolwiek, byle ucichła. Gdybym zmuszona była samodzielnie podjąć decyzję, uciszyłabym ją. Pokazałaby się krew.

Zamiast tego pokazała się Lacey, rychło w czas, tuliła mnie, pytała szeptem, czemu tak drzę, wrzeszczała na Nikki, co

takiego mi zrobiła.

– A co miałam jej zrobić? – odpowiedziała słodko pytaniem. Po czym dodała: – Cieszę się, że wróciłaś. Jestem gotowa do dalszych wyznań. Może zaczniemy od tego, co spotkało Craiga?

LACEY

1991

Przyniósł ze sobą ojcowski pistolet, w końcu mieliśmy Halloween. Był dziś gangsterem i chciał dorastać do roli. Taka przynajmniej była jego wersja, bo trzymając się jej, nie musiał mówić, że przyniósł broń dla Nikki. Chciała dostać ją w ręce, od kiedy Craigowi wyrwało się, że w ogóle istnieje. Sama widzisz – widzisz, prawda? – że nie była to do końca moja wina. Że to on wprowadził w ruch zasadę strzelby Czechowa. (A mówimy o gościu, dla którego Czechow to postać ze *Star Treka*). Bydlak pouczyłby mnie, że nie wolno mówić źle o zmarłych. Ale hipotetycznie, jeśli ktoś przedwcześnie poznał wielką niewiadomą wyłącznie dzięki własnej małpiej głupocie, a nas zostawił, byśmy wytarły krew i odciski palców – nie wspominając o zasunięciu mu rozporka – nie powinien się oburzać na śladową przecież pośmiertną wzgardę.

Pokazał mi, jak się strzela. Objął mnie od tyłu, zamknął dłonie na moich trzymających rękojeść i wspólnie unieśliśmy pistolet. Zademonstrował, jak się celuje, jak ustawić lufę w jednej linii z puszką po piwie, którą oparliśmy o gałąź, i czułam, jak mu staje, gdy ściągaliśmy spust. Jak myślisz, co go nakręciło? To, że przyciskał się do mojego ciała, ciężar broni, wyczekiwanie na strzał, czy wiedza, której ja nie posiadałam, przeświadczenie, że choć raz to on pociąga za sznurki: „Odciągnij, oddychaj, rozluźnij mięśnie, gotowa? Już!”

Jej ciężar. Jej prawdziwość potwierdzana chłodem metalu. Świadomość, że mogę ją zwrócić ku niemu, ku niej zresztą też,

i ot tak wymazać ich ze świata. Komu by nie stanął?

Nikki nie chciała dotykać broni. Zadowalała ją przyglądanie się, jak z niej strzelamy. Zawsze lubiła patrzeć.

Craig był zazdrośnikiem. Obmacywał nas, gdy się za bardzo do siebie kleiłyśmy, ładował się między nas, z każdego jego poru biło: „Patrzcie na mnie!”, „Pożądamie mnie!”. Pachniał wodą kolońską Egoiste, miał nierówne przednie zęby, prosty był jak elementarz, pewny siebie jak każdy mięśniak, ale gdzieś pod wyhodowanymi na sterydach mięskami – na poziomie krwi albo szpiku kostnego – musiał wyczuwać prawdę. Był tylko bibelotem. Aksamitnym Królikiem Nikki, i wszyscy czekaliśmy, aż stanie się rzeczywisty. Ona z nim skończyła, nudził ją, nie kochała go. Musiał to wiedzieć, skoro ja o tym wiedziałam.

Czasami zupełnie ją olewał i dobierał się do mnie jak ośmiornica, macki obłapiające z żądzą, której żadne z nas w gruncie rzeczy nie czuło. I zawsze, macając mnie, patrzył na nią z nadzieją, że tym razem zaboli. Czuło się, jak uchodzi z niego para, gdy go dopingowała. Miało to być spełnieniem marzeń każdego faceta: dwie panny, jeden fiut, towarzystwo na maksa spragnione penetracji. Miał zakaz odmawiania. Nie mógł powiedzieć: „Za bardzo odjechane”, „Za bardzo wykręcone”, „Takie dziwactwa to nie dla mnie”. „Wolę cię mieć dla siebie na tylnym siedzeniu samochodu albo w pustej szatni, a może nawet, przy wyjątkowych okazjach, w jakimś wynajmowanym na godziny apartamencie dla nowożeńców”. Nie miał prawa się przyznać, że nie interesują go przygody, że zamiast nich woli tapicerkę w kraby i wibrujące łóżko. Robił więc, co mu kazano. Może nawet musiał spić się do porzygania albo naćpać po uszy, żeby funkcjonować, może uważał, że jest jakiś nie teges, może to my zasiałyśmy w nim przekonanie, że ma jakiś problem,

drażniłyśmy go i trzepałyśmy mu, kiedy mu nie stawał, wymyślałyśmy debilne zabawy i przyznawałyśmy sobie punkty, kiedy posunęłyśmy się wobec niego za daleko, od czasu do czasu dolewałyśmy mu więcej alkoholu do drinków, żeby mieć trochę czasu dla siebie, cieszyłyśmy się widokiem Króla Pały upodlonego przez swoje konkubiny. A może rzeczywiście był nie teges. Pomyślałaś kiedyś o tym?

Podobał mi się huk strzelającego pistoletu. Podobało mi się, jak ten dźwięk przenika przez palce, jak boli.

Później:

Craig odpłynął pod drzewem, więc znów byłyśmy we dwie, ja i Nikki, zmierzch rozprzestrzeniał się po niebie i taki tam szajs. Leżałyśmy bok przy boku. Tuliłam pistolet do piersi, zastanawiałam się, czy Kurt też ma broń, czy kocha ją tak, jak ja mogłabym pokochać właśnie tę. Mogłabym zabrać ją do domu, rozmyślałam, schować pod poduszką, tulić przed zaśnięciem, zgodzić się, by powiodła mnie w sny, gdzie byłybyśmy jednością – wszechpotężne, bezpieczne. Pocierałam ją długimi powolnymi ruchami, jak gdyby była Craigiem i twardniała pod moim dotknięciem, i roześmiałam się na myśl, że zawsze będzie twarda. Pod każdym względem mniej kłopotów niż z ciałem.

– Powinnyśmy wymienić facetów na pistolety – powiedziała Nikki, a że było już późno, a my swoje wypiliśmy, spostrzeżenie wydawało się wnikliwe.

– Możemy być facetami. Którzy mają pistolety – odparła i po raz pierwszy jej dotknęła, wzięła w rękę, jakby doskonale wiedziała, jak się z nią obchodzić, przyłożyła do krocza, pomaleńku wymierzyła lufę w niebo. – Bam!

Nikki to zainicjowała. Pamiętaj o tym, choć ona zapomniała.

– Chciałabyś czasami mieć taki na własność? – zapytała.

– Śniło mi się kiedyś, że mam fiuta. Sen był tak rzeczywisty, że aż po przebudzeniu sprawdziłam.

– W dzieciństwie oglądałam film, w którym tak się stało – odrzekła. – Dziewczyna chciała być chłopakiem i obudziła się z małym bonusem w majtkach.

– Przejebane.

– Cholernie mnie wystraszył. Wtedy. Ale teraz?

Craig wspierał się o stareńką korę, głowę miał odchyloną w tył, oczy zamknięte. Wyglądałby na głęboko zamyślonego, gdyby nie strużka śliny.

– Teraz się zastanawiam.

Czyż nie zastanawialiśmy się wszystkie? Jak by to było być jednym z nich. Masz władzę, dostrzegają cię, słuchają, jesteś kolo, nie dzidzia, sportsmen, kujon, brachu, fajny gość, faceci tak mają, do wyboru, do koloru, cokolwiek zamiast milowego rozziwu między grzeczną dziewczynką a dziwką. Być normą, nie wyjątkiem. Kontrolować, brać w posiadanie po prostu dlatego, że to nam przypadło mieć fiuta.

– Wyobraź sobie, że my też tak łatwo dochodzimy – powiedziała Nikki. – Nie wiem, jak w ogóle udaje im się coś zrobić. Ja waliłabym konia na okrągło.

– Nie warto – skwitowałam. – Naprawdę chciałabyś mieć coś, co zwisa i pręży się wedle własnej woli?

– Nie zawsze się pręży – zachichotała.

Po pijaku Craig musiał się nieźle napracować, żeby mu stanął. Tamtego października non stop był pijany.

– Nie zawsze. To chyba kłopotliwe.

– Ale praktyczniej się sika. – Wstała i mocno przycisnęła broń do rozporka, celując w ziemię. – Jestem pewna, że umiałabym wysikać swoje imię. I to kursywą.

– Laski by się o ciebie zabijały.

Wyszczrzyła zęby, szeroko rozstawiła nogi, odrzuciła ramiona w tył. Jedną ręką trzymała broń, drugą klepała wyobrazony tyłek. Ulubiona poza Craiga, z tym że on przeważnie akompaniował sobie improwizowaną porno muzą, bum szakalaka.

– Joł, kolo, oblukaj, jaki pytong.

– Duży i twardy – odpowiedziałam. – Właśnie takie lubię.

– Twoje tyty i tak są większe – odpaliła.

Gdybym się roześmiała, może na tym by się skończyło. Ale wciąż byłam przebrana za Nikki, wciągnęłam w siebie zabójczą dawkę zaprawionej tequilą galaretki, a w dodatku było Halloween. Chciałam się zabawić.

– Och, Craig! – mizdrzyłam się. – Kocham twojego ogromnego, sztywnego kutasa.

Uwielbiał, jak wygadywałyśmy bezceństwa, lubił być mile łechtany. „Och, misiu, jaki on wielki, och, misiu, jak dobrze go w sobie mieć, och, misiu, jestem taka mokra” – dowód, że on jest silny, a my słabe, że on to podaż, my – popyt, że on zaspokaja, a my łakniemy.

– Taaa, maleńka? – zapytała. – Chcesz go? Jak bardzo?

– Och, straszliwie! – odpowiedziałam. – Bo jesteś najbardziej popularnym gościem w budzie, a na naszych wymarzonych zdjęciach w kronice szkolnej będziemy się prezentować supersexy.

– Niunia, nie taki mam głos.

Przybrałam chropawy głos operatorki sekstelefonu:

– Powiedz, że będziemy królem i królową zjazdów absolwentów, mój ty macho. Powiedz mi, jak cieniasy będą się na nas wyślepiać, a ty rozdepczesz ich swą wielką królewską stopą. Powiedz mi, jak oszczasz ich pochód tym swoim twardym jak skała kutasem.

Podniosłam się i zbliżyłam ku niej na kolanach, aż pistolet celował prosto w moją twarz. Pochyliłam się, ucałowałam chłodną muszkę. Oblizałam krawędź lufy, poczułam jej metaliczny smak.

Nikki wysunęła biodra.

– Chcesz trochę?

– Chcę wszystko.

Lufa znalazła się w moich ustach, a ja lizałam jej krawędź. Nikki zajęczała.

– Aaaach, Nikki – stęknęła jego głosem.

Oderwałam się od niej na chwilę potrzebną, by westchnąć: „Mmm, Craig...”, po czym znów wzięłam go do buzi, połknęłam lufę głębiej i złapałam Nikki za tyłek.

– Kocham cię – powiedziała, a jej ręka na mej głowie rytmicznie unosiła się w górę i w dół. – Boże, jak ja cię kocham!

Nie różniło się to niczym od obciągania prawdziwego, był tak samo twardy, śliski i groźny.

– Kocham cię – szeptała, wbijając mi paznokcie w skalp. – Kocham, kocham, kocham.

Trwało to, dopóki rzeczywisty Craig nie wyszedł ze stuporu i nie spostrzegł, że zabawiamy się bez niego. Rozległo się samcze chrząknięcie, rozszedł skunksi odór beknięcia, po czym przygniótł nas i przypieczętował swój los jednym piwnym tchem:

– Odsuńcie się, panie, i przygotujcie na prawdziwego faceta.

DEX

1992

A teraz przestajesz mówić – powiedziała Lacey.
Przypominało to bardziej polecenie hipnotyzera niż groźbę.

Nikki się uśmiechnęła. Był to uśmiech jak z bajki, w jakiejś brytyjskiej powieści o magii i portalach mógł-by zostać nazwany niefrasobliwym.

– Nie, nie sędzę. Hannah, chcesz posłuchać o naszej ostatniej wyprawie do lasu? Pewnego razu, nocą bardzo podobną do dzisiejszej...

– Naprawdę chcesz się przekonać, co będzie, jak się nie zamkniesz? – Lacey potrząsnęła nożem.

– To staje się nudne, Lacey. Chcesz mnie zabić? Zabij. Będziesz musiała, bo mam już dość tajemnic. O to w tym wszystkim chodzi, prawda? Koniec z tajemnicami.

Zastanawiałam się w tym momencie, czy Lacey ma świadomość, że skoro raz się zaczęło, to już się nie skończy. Ciało w ruchu dąży do pozostawania w ruchu, o ile nie zadziała na nie siła nie zrównowazona. Może chciała mi powiedzieć i potrzebowała Nikki, żeby ją do tego zmusiła. Kolejne gierki, kolejne marionetki, każda z nas pociągająca za sznurki drugiej. Żółwie aż do samego końca.

Ani jedna, ani druga na mnie nie patrzyła.

– Są gorsze rzeczy od śmierci – odparła Lacey. – Może dobrze ci zrobi kolejna kąpiel.

Złapała Nikki za włosy brutalniej niż poprzednio, wepchnęła jej głowę do wiadra, mimo trzepoczących kończyn

trzymała mocno i nieustępliwie. Trwało to i trwało, aż wreszcie trwało za długo, i krzyknęłam, żeby przestała.

Nie przestała.

– Dosyć! – wrzasnęłam. – Zabijesz ją! – wrzasnęłam. – Lacey, błagam – dodałam i dopiero wtedy puściła.

Przez długą koszmarną chwilę Nikki się nie ruszała. Potem wykasła bąbel wody i zrobiła drżący wdech. Wtedy Lacey popatrzyła na mnie z grymasem bólu na twarzy.

– Nadal mi nie ufasz, Dex?

– Ufam ci.

– To skąd ten strach?

– Rany... Też się zastanawiam. – Nikki miała ochrypły głos, wciągała powietrze szeroko otwartymi ustami, głowa zwisała jej bezwładnie, a i tak w jej tonie zabrzmiała nutka wyższości.

– Robi się nudno – uznała Lacey. – Mamy, czego chcieliśmy. Spadajmy stąd. Rozwiążemy ją i wracamy.

Tak po prostu. Powiedziała to, jakby mnie karała, jakby musiała zawrócić do domu, bo za głośno marudziłam na tylnym siedzeniu.

– Nagrałyśmy ją – przypomniała. – Nic nikomu nie powie. Zgadza się, Nikki?

Nikki z psią służalczością pokiwała głową.

– Widzisz? Skończone. Idziemy.

A mogło to być takie proste. Wszystkie trzy wracamy do domu całe i zdrowe, tylko trochę spaczone na resztę życia tym, co wydarzyło się w lesie. Lacey podała mi to na tacy, wystarczyło sięgnąć. Po drugiej stronie „tak”: pusta autostrada, nasze artystyczne poddasze w Seattle z lampami lava i rozpustnymi facetami, przyszłość, którą sobie obiecałyśmy. Takie proste.

W oczach Nikki pojawiła się nadzieja, ale nie tylko. Również satysfakcja. Lecz ja powiedziałam „nie” z innego powodu.

Nie mogliśmy skończyć, jeszcze nie. Bo Lacey zbyt gorliwie do tego dążyła, bo wciąż pozostały nieujawnione tajemnice. Bo gdybym się zgodziła, nigdy nie poznałabym prawdy.

Tajemnice wiążą i jak długo one miały wspólną, należały do siebie. Lacey musiała być tylko moja. Nie wyjdziemy z tego wagonu, aż wszystko zostanie powiedziane. Dla dobra Lacey, czy to rozumiała, czy nie.

– Jeszcze nie – zdecydowałam. Z obu uszło powietrze. – Jeszcze jedno wyznanie.

– Potrzebujesz przerwy – odrzekła Lacey. – Posiedźmy chwilę w samochodzie, posłuchajmy muzyki.

– Tak jest, święty Kurt rozwiąże wszystkie wasze problemy – wtrąciła Nikki. – A jeśli to nie zadziała, możesz dać jej w łeb i zostawić ją w lesie, niech gnije.

– Stul pysk! – ryknęła Lacey.

Nie spodobało mi się, że traci panowanie nad sobą. Nikki nie powinna tak na nią działać. Nie powinna mieć nad nią władzy. Musiałam coś z tym zrobić.

– Zostaniemy – oznajmiłam – i posłuchamy.

Nikki się zaśmiała.

– Obiecałyśmy sobie – syknęła Lacey i tym razem „my” to były one, nie ona i ja. – Złożyłaś przysięgę!

– A ty mnie, kurwa, przywiązałaś do krzesła i próbowałaś utopić! – odcięła się Nikki. – Dla mnie to dość jasno oznacza, że obietnice były próżne. Niech usłyszy, co zrobiłaś.

– Co my zrobiłyśmy. Stale o tym zapominasz.

– Skończyłam już z tą rzewną bajeczką, że obie jesteśmy

winne. Jebać to.

– Wystarczy – odezwałam się.

– Przykro mi, Hannah. Usiłowałam oszczędzić ci wiedzy, że masz przyjaciółkę socjopatkę, ale mi nie pozwoliłaś. Więc teraz wysłuchasz całej prawdy.

– Zabiję cię – zapewniła Lacey głosem przypominającym warczenie. – Naprawdę cię zabiję.

– Zabijesz mnie na jej oczach ze strachu, że dowie się, do czego jesteś zdolna? No, to na pewno ją przekonasz, że jesteś dobrym człowiekiem. Genialny plan.

Potem krzyczały na siebie, która jest potworem i która zawiniła, nie zwracały na mnie uwagi, gdy próbowałam je uspokoić, w ogóle mnie nie widziały. Pomyślałam, że może jestem duchem. Może mnie tu nie ma i wcale nie było.

– Opowiedz mi tę historię – rzuciłam i te słowa wreszcie sprowadziły ciszę. – Opowiedz mi wszystko.

– Najmądrzejsza rzecz, jaka kiedykolwiek wyszła z twoich ust, Hannah. Widzisz, przychodziliśmy tu z Lacey...

– Nie. – Lacey mówiła cicho. – Ja jej opowiem.

Skończyły się wrzaski. Odczułam teraz, co kiedyś powiedziała mi Nikki: że jest to miejsce uświęcone, nawiedzane przez wszystkie stracone przyszłości minionych dni.

– Żebyś znów mogła ją oszukać?

Nie widziałam ruchu ręki Lacey, tylko srebrną smugę ostrza. Na obojczyku Nikki pojawiła się krew, kropla jedynie, i rozległ się cichy jęk bólu.

– Ja opowiem – powtórzyła Lacey jeszcze ciszej. – Całą prawdę, Dex, tym razem całą prawdę.

Nie bałam się Lacey.

Nie pozwalałam sobie na lęk przed nią.

Opowie swoją historię, potwierdzi swą wiarę we mnie.

Odplacę jej znalezieniem jakiegoś sposobu, by uwierzyć.

– Opowiadaj, Lacey. Wszystko.

– Śmiało, Lacey – przyzwoliła Nikki, wielkoduszna w swoim zwycięstwie. – Opowiedz jej naszą historię.

LACEY

1991

Nikki nie zadowalało patrzenie, chciała dyrygować. Usiłowałam nauczyć ją chaosu, ale rozumiała wyłącznie kontrolę. Zatem tak odbywało się to od początku: Nikki oparta o drzewo z przekrzywioną głową i zmrużonymi oczami każe przybierać nam przeróżne pozycje, mówi Craigowi, żeby polizał moją szyję albo mnie obrócił i przycisnął twarzą do ziemi. W ten sposób trójkąt łatwiej dało się okiełznać: dwa ciała, jedna wola.

Craig nie chciał tego robić, przynajmniej na początku. Kolejna rzecz warta zapamiętania. Nie potrafił jej odmówić.

– Na kolana, cwelu! – rozkazała, a on na nie padł.

Powinien zobaczyć, jak to jest, mawiała. Chciała się przyglądać, jak to do niego dociera.

Nienawidziła go, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Moim zdaniem chciała złapać za ten pistolet, wsadzić mu go w dupę i pociągnąć za spust. Ukarać go za to, kim była w ich związku, za rolę, którą sama wybrała, wymagającą Craiga u jej boku. Ale Nikki Drummond nie brudzi sobie rączek.

Ja trzymałam broń. Tam, gdzie miałabym fiuta.

– To totalnie gejowskie zagranie – powiedział i choć już był na kolanach, dorzucił: – Nie przejdzie.

– To pistolet, nie chuj. Co w tym gejowskiego? – zdziwiła się Nikki.

Odburknął coś.

– Wiesz, co jest gejowskie, Craig? Dwie tarzające się gołe dziewczyny. Dyszące. Ssące. Spoczone. To ci już nie

przeszkadza, co? Chciałbyś sobie jeszcze kiedyś popatrzeć?

Tak dużo wiedziała, Dex, a jakoś jej nie zaświtało, że on naprawdę, ale to naprawdę nie chciał.

– Chcesz, żebym jeszcze kiedyś dotknęła twojego pistoletu? Czy wolisz, bym powiedziała całej szkole, że masz na nim brodawki?

– Już widzę, jak ktoś ci wierzy.

– Znasz mnie nie od dzisiaj, kochanie. Uwierzą we wszystko, co im powiem.

Tak wyglądała ich odmiana gry wstępnej.

– Muszę? – Nawet to pytanie o czymś świadczyło: ustąpił.

– Weź go powoli – doradziła. – Pomiziaj czubek. Popieść go trochę, lubi to. Pamiętasz, co powiedziałeś mi za pierwszym razem? To jak jedzenie lodów w rożku. A ty lubisz lody, Craig. Będziesz zachwycony.

Do niczego nie musiała mnie namawiać. Stałam wyprostowana i trzymałam broń prosto, podczas gdy Craig zamykał usta na lufie. Może ja też byłam ciekawa.

Wokół nas skłębiła się ciemność, na stacji szemrały duchy, a moja krew w połowie składała się z wódki. Nie usprawiedliwiam się, Dex. Po prostu szkicuję tło.

Z początku brakowało mu pewności, jak dziewczynie, która obciąża pierwszy raz, nie bardzo się orientował, co robić z rękami i językiem, lizał i trzepał żalonymi żabimi zrywami, a potem bardziej nasunął usta na lufę i trzymał je tam, jakby samo ciepłe i wilgotne środowisko jego jamy miało załatwić sprawę.

– Pocieramy! – krzyknęła Nikki, miarowo klaszcząc w dłonie. – Pocieranie i rytm! Masz je zgrać. I uważaj na ząbki!

Zaczęłam jęczeć. Tu stęknienie, tam westchnienie, częściowo, żeby mu pomóc, częściowo, żeby go wydrwić,

wszystko na pokaz, dopóki w jakiś sposób przestało być na pokaz. Ponieważ, Dex, to było przyjemne: jego głowa pod moją dłoń poruszająca się w górę i w dół w nadawanym przeze mnie rytmie, jego usta odnajdujące własne tempo, jego palce robiące swoje, jedna ręka otaczająca moją na broni, druga pnąca się po moim udzie, docierająca tam, gdzie było jej miejsce, gorąca przy moim własnym żarze, odpowiednio pocierająca i mocno uciskająca, tym mocniej, im głośniej jęczałam, i może sprawił to alkohol, jego palce albo sama obecność pistoletu, ale mówię ci, Dex, poczułam. Poczułam go na mnie, jak dziarsko ciągnął, akuratnie obracał językiem, ciepło i szybko oddychał, poczułam, jak się odsunął, wycofał na krótką chwilę, bawiąc się mną tak, jak ja bawiłam się nim, a potem znów wziął go w całości do ust, połykając nas ze szczętem. To byłam ja, stał, ale też jakoś ciało, i gdy mnie to ogarnęło – pełnia w eksplozji światła i huk, przyspieszenie od zera do cholera wie – pomyślałam, że działa tu jakaś czarna magia, że to science fiction, a ja jestem cyborgiem z ciała i metalu, że tak to odbierają, spoglądając z góry na nas klęczące, ale nie chodziło tylko o to, o wielki erotyczny skok dla kobiet całego świata, lecz o tego konkretnego chłopca na kolanach i o mnie na nogach, o jego dziewczynę w cieniu krzyczącą moje imię, pragnącą, bym ją dostrzegła, bym o nim zapomniała i znów potrzebowała jej, o tę grę i ten pokaz, tę miłość i tę broń, mgnienie oka nieokiełznanej, spinającej mięśnie, grzechoczącej zębami, odrzucającej głowę w tył i skowyczącej w niebo rozkoszy, a potem było po wszystkim.

Śmiałam się i płakałam jednocześnie, gdy zaciął się, zeszywniał – a jeśli w ogóle o nim myślałam, to tylko w kontekście, że Nikki nigdy mu nie daruje: spuścił się, rozpychające buzię coś twardego spodobało mu się jak dowolnej z nas – ale on upadł do tyłu i dopiero gdy Nikki przestała

wykrzykiwać moje imię, a zaczęła jego, zdałam sobie sprawę, że donośny trzask nie był efektem jakiegoś przeciążenia obwodów nerwowych, ale rzeczywistym, druzgoczącym świat odgłosem. Że świat się rozpadł. Że wilgoć pod moimi palcami była krwią.

Wolisz nie wiedzieć, jak wygląda trup, Dex. Ani jakie dźwięki człowiek może wydawać na widok trupa. Craig oczywiście milczał.

Craiga już nie było. To coś zamiast niego, matowe, skręcone, skrwawione coś, co jeszcze przed chwilą ścisnęło mój tyłek, palcowało mi cipę i zaciskało rękę na tej, którą trzymałam broń... Właśnie to nawiedza mnie w snach, to nie pozwalało zbliżyć się do lasu. Już później było powodem, że poprzestałam na jednym nadgarstku, upuściłam nóż i zabarwiłam wodę różem. Nie wierzę w niebo ani piekło, ale jestem przekonana, że widzimy coś w chwili śmierci, nieważne, czy salwę synaps, czy szukającą na oślep rękę z zaświatów, wierzę więc, Dex, że ja zobaczę właśnie to. To coś, tę twarz, tę dziurę. Będzie to ostatnia rzecz, którą ujrzę, a ja nie mogę na to nigdy więcej spojrzeć.

– Zabiłaś go! – Oto co powiedziała, gdy znów byłyśmy w stanie rozmawiać, gdy już silnym policzkiem przerwałam jej zawodzenia i przywróciłam ją do rzeczywistości, bo czekało nas zasunięcie mu rozporoka i zrobienie czegoś z bronią. – Zabiłaś, zabiłaś, zabiłaś!

Nie przypomniałam jej, kto kazał mu uklęknąć. Usiłowałam być miła.

Chciałam przenieść ciało. Obie chciałyśmy. Daleko od naszego miejsca, głęboko w las. Sądzę, że zależało nam na wypędzeniu ze stacji jego ducha, bo inaczej nie mogłybyśmy wrócić. Podobno w sytuacji kryzysowej trzeźwieje się błyskawicznie, ale moje doświadczenia tego nie potwierdzają. Musiałam być pijana w trzy dupy, skoro myślałam, że będziemy

chciały tu wrócić.

Przeniesienie ciała oznaczało, że trzeba go dotknąć, taszczyć je, zaciągnąć w las. Usunąć szlak krwi i odprysków mózgu, który za sobą zostawiło. Temu byśmy nie podołały. Przerastał nas każdy etap. Wolałyśmy zostawić go tu, w naszym miejscu, zostawić i odejść.

Nikki wytarła broń, ja włożyłam mu ją do ręki. To tylko Battle Creek, to tylko rozchwiany emocjonalnie nastolatek, sam w lesie, nie licząc ojcowskiego pistoletu. Obrazek prezentował się wystarczająco ładnie, a kiedy Nikki uzupełniła go o liścik, który Craig napisał dzień wcześniej, bo niewybaczalnie zapomniał o tym, że zwykła z wyprzedzeniem obchodzić urodziny, i w którym mozolnie wykaligrafował drukowanymi literami: „Kocham cię i bardzo cię przepraszam”, stał się idealny.

– Co teraz? – zapytała Nikki. – Mamy go tak zwyczajnie zostawić? – Przełknęła ślinę. – Kręcą się tu zwierzęta...

– Będą go szukać i prędzej czy później znajdą.

– Prędzej czy później...

Uważała, że to ja jestem bez serca. Ponieważ działałam, ale ktoś w końcu musiał. Jeśli miała się rozsypać, to mnie przypadało po nas posprzątać. Jeśli miała się kogoś kurczowo chwycić, musiała kogoś takiego mieć, a tym kimś byłam ja, Dex. Jestem skałą, że zacytuję piosenkę. Jestem, kurwa, wyspą. Robię, co trzeba, a tej nocy trzeba było utulić Nikki Drummond w płaczu. Trzeba było pozbierać nasze ciuchy, puste butelki, niedopałki, wszystko, co mogło posłużyć do powiązania nas z ciałem. Trzeba było posiedzieć z nią w samochodzie, żeby przetrzeźwiała, gdy zwłoki tymczasem stygły i to wcale nie tak daleko od nas.

To nie ja zasugerowałam, żebyśmy upozorowały

samobójstwo. Nawet nie roztrząsałyśmy innych opcji. Ujawnienie prawdy z pewnością było nie do przyjęcia. To, co zrobiłyśmy, było zbyt oczywiste, zbyt proste, nie dało się w inny sposób.

Ale Nikki inaczej to zapamiętała.

W jej wersji byłam Machiavellim. Zabiłam go z zimną krwią, wkręciłam ją w zacieranie śladów, żeby wina rozkładała się po równo. Ona jest ofiarą, ja – czartem, on – trupem.

Lecz w każdej wersji ginie.

Nikt go nie zmuszał do ukłęknięcia. Jeśli ktoś, to Nikki.

Jest tak samo winna jak ja. Upieram się przy tym. Nigdy nie przestanę się upierać.

Nie ma morderstwa bez zamiaru, wiem, sprawdziłam. Według prawa zabicie kogoś przez przypadek nie jest niczym gorszym niż potrącenie jelenia. Mnóstwo krwi, syf i poczucie winy, ale nikt nie jest winien, może tylko jelen, bo był na tyle głupi, żeby wyleźć na szosę.

Nie mogłam go zabić, skoro nie usiłowałam. Nie chciałam jego śmierci.

Uwierz, Dex.

Choćby tylko w to.

Tyle że.

Nocą.

W ciemnościach.

Gdy jednak sobie przypomnę.

Czuję go pod palcem.

Cyngiel.

Wtedy wiem.

Pistolet w jego ustach, broń w moich rękach, więc jakie może mieć znaczenie, czego chciałam, jakie znaczenie mogą mieć powody. Wypadek, cel, motyw, błąd, podświadome

pragnienie, skurcz mięśni – to nieistotne. Liczy się, że był w jego ustach i moich rękach. To mój palec dotykał spustu, mój palec drgnął, ciut-ciut, ale wystarczająco. I Craiga nie było.

DEX

1992

Przed Lacey byłam szczęśliwa. Nie, nie byłam w tym okresie nikim. Zresztą to i tak byłoby niemożliwe, prawda? Zajmowałam określony wycinek przestrzeni, składały się na mnie komórki i wspomnienia, niezborne kończyny i zrodzone z braku orientacji wykroczenia przeciwko modzie. Byłam powiernikiem oczekiwań moich rodziców i wcieleniem ich rozczarowań, byłam Hannah Dexter, która na drodze do wypranego z przygód życia wszystko uśredniała, a bystrości miała ot, tyle, by jeszcze na czymś jej zależało.

Świat bez Lacey: moje dni upływałyby na zabijaniu czasu i żuciu gumy, żeby nie zasnąć na lekcjach, tylko wrócić wreszcie do domu, usiąść obok ojca i oglądać telewizję aż do zapadnięcia zmroku. Zdzierzyć jeszcze kilkaset dób, a potem college w jakimś równie uśredniającym Bóg wie gdzie, *Szkoła wyższa II*, równie dobrze Battle Creek mogłoby mieć uniwersytet. Taka Hannah Dexter być może znalazłaby w sobie dość ikry, by po uzyskaniu dyplomu wyprowadzić się do Pittsburgha albo Filadelfii, spróbować sił w wielkim mieście, zaliczać bar za barem wraz ze stadem singielek, zanim kolejno nie dochrapią się obrączek i jedna po drugiej nie wybędą na przedmieścia. Byłaby druhną doskonałą, na wieczorze panieńskim może trochę sztywną, ale niezawodnie trzeźwą, gdy nadejdzie pora odwieźć kogoś do domu. Narzekać by nie narzekała, uważałaby, że nie przystoi i że udawanie szczęśliwej to wprawdzie nie to, ale wystarczy. Rzadko powracałaby do Battle Creek, co najwyżej

żeby ścierpieć kolejne święta z rodzicami i – gdy nadejdzie właściwy czas – zadbać o ich pochówek. Być może przed wyjazdem z miasta wpadłaby w drogerii na Nikki Drummond; miałyby dla siebie wówczas grymas mniej więcej zbliżony do uśmiechu, jak to bywa, gdy jest się za starym na dawne urazy, chociaż wciąż w człowieku kipią. Na prawdziwy uśmiech przyszłaby pora później, wywołałoby go wspomnienie piętnastu kilogramów, o które Nikki przytyła w pasie, i jaśniejszego pasma skóry na serdecznym palcu lewej ręki, które utwierdziłoby ją w pełnym wyższości przekonaniu, że lepiej unikać miłości, niż ją stracić.

Lacey opowiedziała mi wszystko. Co uczyniła – co obie uczyniły – Craigowi Ellisonowi. Co uczyniły sobie. Ich widma krążące w tym miejscu. Ciało, które porzuciły w lesie.

Właśnie ciało powinno robić różnicę. Nie myśli o ich śmiechach w trawie czy świadomość, że były przede mną, podczas gdy ja – nieistotna – byłam tylko czymś, co między sobą przerzucaly.

– Nieważne, jak się zaczęło – powiedziała Lacey. – Na początku najważniejsza była Nikki. Potem już my. Tylko my.

To z powodu Lacey Nikki tak zawzięcie usiłowała mnie zranić, no ale to żadna nowość. Lacey najpierw należała do niej – to była nowość.

– Zrobiłam to dla ciebie – odparłam, szeroko rozpościerając ramiona, by zawrzeć w nich nie tylko noc i wagon towarowy, ale i życie. Ale i Dex.

– Dex, musisz zrozumieć...

– Nie. Muszę... – urwałam. Co to ja...?

– Muszę na chwilę wyjść – oznajmiłam. – Odetchnąć świeżym powietrzem.

Ale nie chodziło o powietrze. Chodziło o niebo, gwiazdy

wyzierające zza gałęzi, przestrzeń do biegu poprzez noc, wolność stwarzającą możliwość ucieczki, nawet jeśli nie to było moim zamiarem, chociaż może i było.

– Co ci mówiłam? – Nikki, która uważała, że ciągle jeszcze się liczy. – Nie udźwignie tego. Myślisz, że idzie odetchnąć? Popędzi prosto na policję, przecież wiesz.

– Nie popędzi – sprzeciwiła się Lacey. Z jaką pewnością w głosie! – Nie zrobiłaby tego.

– Nie zrobiłabym – powtórzyłam. Puste dźwięki.

– Masz przesrane i doskonale o tym wiesz – ciągnęła Nikki.

– Rozejrzyj się tylko. Kto oberwie za cały ten satanistyczny szajs? Nie zrobiłaby cię skuteczniej, gdyby ćwiczyła miesiącami. Może zresztą ćwiczyła, Lacey. Pomyślałaś o tym? Uwolnij mnie, zajmiemy się tym.

– Dex, nie wychodź.

– Wszystko zniszczy – przekonywała Nikki. – Rozwiąż mnie, razem się z tym uporamy. Wyjaśnimy jej, że ma trzymać gębę na kłódkę.

– Dość! – Wycofywałam się ku drzwiom.

– Dex, nie wychodź – powtórzyła Lacey i zrobiła krok w moją stronę, unosząc nóż.

– Popatrz na nią! – zapiała Nikki. – Boże, Hannah, popatrz na nią! Naprawdę zamierza to zrobić! Zabije cię, żebyś milczała, Hannah! Jest chora psychicznie! Przejrzałaś wreszcie na oczy?

– Nie wychodź – rozkazała Lacey po raz trzeci, a ja nie wyszłam.

– Albo ona, albo my – orzekła Nikki. Nie wiedziałam, do której z nas to skierowała, ona może też nie. – Tylko jedna osoba zabiła Craiga. Ona ma najwięcej do stracenia. Rozwiąż mnie. Rozwiąż, a ja cię obronię.

– Przestań nawijać! – Lacey przecięła powietrze nożem. –

Ale już! Muszę pomyśleć.

Krew na ramieniu Nikki zaschła w długą brązową smugę, jakby wytatuowała ją sobie, by minione rany nie popadły w zapomnienie.

Milczałyśmy. Czekaliśmy. Wszystkie trzy.

Jakbyśmy żyły w jednej z tych zagadek logicznych, którymi karmiono nas w podstawówce. Grupa zwierząt musi przepłynąć się promem przez rzekę, w jakiej kolejności ma się to odbyć, żeby żadne nie zostało pożarte? Napęczniony gorącym powietrzem balon niebezpiecznie opada, może się utrzymać w górze, jeśli wyrzucisz balast, a poświęcić możesz tylko jedną rzecz. Te łamigłówki zawsze wiązały się z krwią, porażka prowadziła do katastrofy, skrwawione strzępy kurczaków na brzegu rzeki, roztrzaskane ciała na kukurydzianym polu.

Przyszło mi do głowy, że może będziemy tak stały aż do wschodu słońca. Światło przywróci zdrowe zmysły, wymiecie niestworzone myśli, które nachodzą tylko w nocy. Ale w wagonie nie było okien – wschód słońca czy nie, my pozostaniemy w ciemnościach.

Wtedy Lacey przemówiła:

– Nikki ma rację. Posunęłyśmy się za daleko. Gdyby ktoś się dowiedział... – Wymierzyła czubek noża w Nikki. – Jej nie możemy ufać. To oczywiste. Ale co z tobą, Dex? – Ostrze obróciło się ku mnie. – Czy mogę zaufać tobie?

Ogarnęła mnie złość, irracjonalna dziecięca złość, że miała czelność zapytać. Po tym wszystkim, w samym środku tego wszystkiego skąd miałam, kurwa, wiedzieć?

– Wierzę, że mnie kochasz, Dex, ale jesteś przy tym porządnym człowiekiem. Możesz uznać, że ujawnienie prawdy jest twoim obowiązkiem. Chyba że... – Kiwnęła głową. – No właśnie.

Przypomniałam sobie, że trzeba oddychać.

– Chyba że co?

– Chyba że ty też będziesz miała tajemnicę.

Nikki załapała przede mną.

– O nie. Nie, nie, nie. Hannah, nie!

– Gwarancja wzajemnego zniszczenia – kontynuowała Lacey. – W dodatku jeśli wspólnie zrobimy coś potwornego, będzie tak jak kiedyś, Dex. Będziemy w tym razem.

Wtedy mnie oświeciło. Nie tylko dotarł do mnie sens jej słów, ale i to, że miała rację. Zgrabne wyjście z sytuacji. Rozwiązanie doskonałe.

– Nie, Lacey.

– Związałyśmy ją, Dex. Związałyśmy, zamknęłyśmy w pieprzonym wagonie kolejowym i prawie utopiłyśmy. Myślisz, że nikomu o tym nie powie? Myślisz, że nie bekniesz za to, jeśli ją puścimy? Że nie zniszczy ci życia?

– Nie możemy tego wiedzieć.

– Powiedziała nam prosto w oczy, że to zrobi.

– Blefowałam – rzuciła Nikki szybko. – Jeśli rozgadacie o tym, co działo się na imprezie, co spotkało Craiga, będę udupiona. Gwarancja wzajemnego zniszczenia, zgadza się? Nikt się o tym nie dowie. Macie moje słowo.

Lacey się roześmiała.

– Jak to wcześniej ujęłaś? Wszystkie obietnice są próżne.

– Nie rób tego, Hannah. – Teraz Nikki zwróciła się do mnie. – Nie daj się namówić do czegoś, czego nie będziesz mogła cofnąć.

O dziwo, Lacey wciąż się śmiała.

– Widzisz? Nawet teraz próbuje nastawić cię przeciwko mnie. Oto czego się boję, Dex. Nie o siebie, ale o to, co wyrządzi nam. Znów nas rozdzieli. Zobaczysz.

– Wiesz, że pieprzysz od rzeczy, prawda? – zapytała Nikki.
– Cała ona, Hannah. Chce ci wmówić, że winna jestem tylko ja, a ona wcale. To ty ją zostawiłaś. Ty! Lacey wie, że wolisz to wypierać. Wie, że preferujesz jej wersję, według której nie ponosisz żadnej odpowiedzialności. Nie spodobał ci się filmik na wideo? Nie dopuść, żeby tutaj zdarzyło się to samo. Nie rozkładaj nóg, żeby mogła wydymać nas obie. Proszę!

Lacey się uśmiechnęła. Rozumiałam już, dlaczego pozwoliła Nikki na ten bezowocny monolog.

– A widzisz? To silniejsze od niej. Nie może ścierpieć, że mamy siebie nawzajem. – Chciała, żebym wysłuchała Nikki, gdyż wierzyła, że ja wierzę w nas. – Może się to skończyć tylko w jeden sposób. Weź nóż, Dex.

– Weź! – krzyknęła Nikki. – Weź i użyj, bo jeśli myślisz, że pozwoli ci stąd wyjść, jesteś równie porębana jak ona!

Lacey położyła nóż na podłodze między nami.

– Mówiłam, że jest mi przykro – powiedziała – ale tobie też musi być. Kochasz mnie, Dex?

Nie mogłam jej nie kochać. Nawet wtedy.

– Udowodnij to – zażądała.

Tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy zażyłyśmy grzybki, po tym, jak spojrzałyśmy Bogu w twarz, po krowach w polu i chłopcach w stodole, wywiózłszy mnie, Lacey zaparkowała na poboczu pustej drogi. Uznała, że tak będzie bezpieczniej, niż wracać do domu, skoro jeszcze wiruje nam w głowach, a nasze oczy wciąż śledzą niewidzialne anioły. Chciałam spać w samochodzie, ale Lacey zdecydowała, że lepiej nam będzie na trawie, pod gwiazdami. Było zimno i wilgotno, lecz w naszym stanie nie zwracałyśmy na to uwagi. Skuliłam się na boku, ona przycisnęła piersi do moich pleców, otoczyła mnie ramieniem i tak mnie trzymała. „Jestem twoja”, wyszeptała mi w szyję, a ja

odpowiedziałam, że tak, oczywiście, że tak. „Nie zostawisz mnie”, dodała wtedy i było to polecenie, było to żądanie, była to prawda i była to modlitwa.

– Nie zmuszaj mnie – odparłam.

– Nie zamierzam do niczego cię zmuszać. Podnieś ten nóż i zrób z nim, co tylko chcesz. To twój wybór, nie mój.

– Nie, Hannah! – odezwała się Nikki. – Nie możesz!

Ale mogłam, na tym polegał problem. Mogłam wszystko. Zwykła fizyka, biologia: uklęknij, podnieś nóż, tnij. Mogłam nakazać memu ciału wykonanie każdego z tych kroków, a obiekty nieożywione – podłoga, nóż, skóra – poddałyby się mojej woli. To byłoby proste, potem zaś – dokonane.

I to ja bym tego dokonała. Na tym również polegał problem.

Równie łatwo, jak podnieść nóż, mogłam podejść do drzwi i iść, wciąż iść. Ale dokąd bym poszła i kim bym była u celu? Lacey uważała, że wie, kim jestem w głębi duszy, Nikki też, a ja nie rozumiałam, dlaczego tak łatwo im uwierzyć, że coś takiego istnieje, ja bez nich, tam, w głębi, gdzie nikt nie widzi. Uwierzyć w to, że byłam czymś więcej niż przyjaciółką Lacey, wrogiem Nikki, córką mojego ojca, że gdzieś w pustce unosiła się prawdziwa Hannah Dexter, absolut, w którego gestii leżało podjęcie działania bądź jego zaniechanie. Jakbym nie była ani dziewczyną, która sięgnie po nóż, ani tą, która tego nie zrobi, dziewczyną, która nie zwróci się ani przeciwko jednej, ani przeciwko drugiej, a przy tym nie odwróci się i nie ucieknie. Światło jest jednocześnie cząsteczką i falą, nauczała mnie Lacey, a zarazem żadnym z nich. Ale tylko kiedy nikt nie patrzy. Gdy już je zmierzysz, musi dokonać wyboru. To akt świadkowania czyni coś z niczego, przekształca zapadające się wskutek wewnętrznego ciśnienia mgławice możliwości w konkretną,

nieodwołalną prawdę. Wcześniej mogłam najwyżej udawać, ale teraz już rozumiałam: kiedy nikt nie patrzył, byłam mgławicą. Byłam wszechmożnością.

A to była zapaść.

ONE

Dawno, dawno temu każda z nich była dziewczyną. Jeśli teraz bały się o swoje córki, to tylko dlatego, że pamiętały, jak to jest. Dziewczyny dorastają, dziewczyny idą w tango. Nie znają samych siebie, nie rozumieją kłania lęgnących się w duszy pragnień i stąd zadanie matki: nie dopuścić.

Dzisiejsze dziewczyny uważały, że matki są niepotrzebne, że nic nie rozumieją, choć tak naprawdę rozumiały aż za dobrze. Dzisiejsze dziewczyny nie wiedziały, jak to jest maszerować zatłoczonymi ulicami, dźwigać transparenty i wykrzykiwać hasła, całować chłopców, którym pora w bój, oglądać wiadomości, w których chłopcy płoną, leżeć w rdzawych krzakach i wypłacać koronę cierniową, marszczyć się, rozrastać i obwisać, widzieć, jak zamykają się drzwi, zawężają opcje, pogarszają warunki, nienawidzić dziewczyny, którą się kiedyś było, za to życie, jakie dla siebie wybrała, pragnąć jej powrotu. Chciały wierzyć, że są inne, że nie ma mowy, by takie dziewczyny wyrosły na swoje matki.

One zaś pozwalały dziewczynom wierzyć, że to prawda.

Kłamały dziewczynom i uczyły je, jak okłamywać siebie.

Dzisiejszym dziewczynom wiarę należało wpajać. Nie w jakąś wyższą istotę, uprzednio sporządzony rejestr, wiecznie obserwujące oko. Dziewczyny musiały uwierzyć, że świat łaknie i tylko czyha, by je pożreć. Musiały uwierzyć w deprawację i kruchość, w pragnienie będące mocą, która nimi kieruje, której należy dać odpór. Uwierzyć, że są płcią piękniejszą, słabszą, wrażliwszą, że jedyny wybór, jaki im dano, to być dziewczynką dobrą lub złą, i że wyboru tego, gdy raz został dokonany,

odwrócić nie sposób. Uwierzyć w konsekwencje nieuprawnionego wtargnięcia. Uwierzyć, że są granice tego, kim wolno być dziewczynie, a za ich przekroczenie czeka nieunikniona kara. Uwierzyć, że mogą wylądować w gabinecie lekarskim pod skalpelem i odsysaczem, w zaułku z majtkami na kostkach albo w ciśniętym do śmieci plastikowym worku; że życie jest nieustającym zagrożeniem i same odpowiadają za swoje bezpieczeństwo, a i tak nic nie gwarantuje, że je sobie zapewnią. Jeśli w to uwierzą, jeśli postawią twierdzę i zamurują się w niej – przetrwają.

Dziewczyny musiały uwierzyć we wszystko poza tym, że mają władzę, bo gdyby wiedziały, co leży w ich zasięgu, wyobraźcie sobie tylko, ile by mogły.

Matki wmawiały sobie, że to przecież dla ich własnego dobra. Czasami miały dosyć odpowiedzialności, czasami miały dosyć dziewczyn.

Dzisiejsze dziewczyny sądziły, że stać je na wszystko. Płonęły jasnym ogniem, wiedziały, czego chcą, wyobrażały sobie, że zaraz po to sięgną, i było to równie wspaniałe, co straszne.

Matki nie pamiętały, by kiedykolwiek płonęły równie jasno.

Albo i pamiętały, co tylko pogarszało sprawę.

Pragnęły dla swoich dziewczyn. Pragnęły dla nich więcej, niż pragnęły dla siebie – właśnie to złożyły w ofierze. Pragnęły dla swych dziewczyn bezpieczeństwa. Niech robią, co muszą, by się przystosować, ugiąć kark, przetrwać, dorosnąć. Niech nigdy nie dorosną. Niech nigdy nie przestaną płonąć. Pragnęły, by dziewczyny potrafiły powiedzieć „jebać to”, przejrzały kłamstwa, poznały swoją siłę. Pragnęły, by dziewczyny wierzyły, że tym razem może być inaczej, i żeby okazało się to

prawdą.

Zastanawiały się niekiedy, czy nie popełniają błędu. Czy ujarzmienie dzikości, kradzież słów, które mogły się przydać dziewczynie do nazwania swego ja, nie nios-ły ze sobą zagrożenia. Zastanawiały się nad konsekwencjami wpajania dziewczynie, że jest słaba, zamiast ostrzeżenia jej przed własną siłą. Zastanawiały się, czy wiedza jest tożsama z mocą i co się z tą mocą dzieje, gdy nie zechce uznać samej siebie; zastanawiały się, gdzie podziwiała się żądza, która nie zaznała spełnienia, ból, który nie dostąpił odczucia, niewyrażony słowami gniew. Te ich rozważania w głównej mierze dotyczyły tamtej dziewczyny, która mimo wszystko udała się w pewne tajemne miejsce, przyłożyła nóż do bladego ciała, utoczyła krwi. Nad nią właśnie się zastanawiały, cóż wiedziała i co takiego odkryła, jaką opowieść usłyszała bądź sama sobie uplotła, że kres mógł być tylko jeden – dziewczyna samotna w ciemnościach, dziewczyna z nożem i w lesie.

MY

Potem

MY

Już na zawsze najlepsze przyjaciółki

Poszły do lasu trzy dziewczyny, wyszły z niego dwie.
Brzmi to jak początek dowcipu, może zagadki. Ale była to tylko – i zawsze będzie – reszta naszego życia.

Rozważaliśmy wrzucenie ciała do jeziora. Lepiej byśmy się czuły ze świadomością, że przypadło i opuch-łe rozkłada się na dnie. Ale wyobraźcie sobie, co by było, gdyby zabrali się do pogłębiania jeziora bądź gdyby trupa wyciągnął jakiś pechowy rybak.

To musiało wyglądać na samobójstwo. A jedna z nas wszak wiedziała, jak je upozorować.

Wytarłyśmy z noża odciski palców. Zacisnęłyśmy na nim jej palce i rozwiązałyśmy zwłoki. Najgłębsze cięcie zaczynało się przy nadgarstku, a kończyło niemal przy łokciu. „Pamiętaj, wzdłuż, a nie wszerz”. Co do płytszych nacięć, krwawych ran na przedramionach, to miałyśmy nadzieję, że zostaną wzięte za oznakę wahania, przerwane próby nienawykłej do bólu dziewczyny. Spaliłyśmy zakrwawione ubrania, wymazałyśmy tamtą noc.

Kawałki do siebie pasowały. Rok wcześniej jej chłopak poddał się woli lasu. Notatka przy ciele spisana była jej własną dłonią:

„Przepraszam za wszystko, co zrobiłam. To się nigdy więcej nie powtórzy. Tym razem naprawdę”.

Dziewczyna miała problemy, dziewczyna sprawiała problemy. Wszystkie dziewczyny mają problemy i je sprawiają, czyż nie? Chcieli w to uwierzyć, a więc uwierzyli.

Czasem budzimy się z krzykiem. Czasami przeżykamy łzy i leżymy w samotności, wpatrując się w sufit, przypominając sobie, że wszystkie byłyśmy niewinne i wszystkie zawiniłyśmy, a obejmowało to też Nikki Drummond.

Nie wymawiałyśmy jej imienia.

Podczas gdy my układałyśmy ciało w odpowiedniej pozycji i wycierałyśmy odciski palców z noża, papież miał pełne ręce roboty: rehabilitował Galileusza. Powątpiewałyśmy, czy przeżarte przez robaki czterystuletnie zwłoki Włocha, które do tej pory obróciły się w proch, jakoś specjalnie przejmują się tym, że Kościół poszedł wreszcie po rozum do głowy. Ale spróbowaliśmy uczcić triumf zdrowego rozsądku, wyprawiliśmy się na puste pole, skąd mogłyśmy widzieć gwiazdy, przekazywałyśmy sobie butelkę wina i szukałyśmy na niebie pierścieni Saturna, słuchając, jak Indigo Girls wyśpiewują swoją elegię. Noc była głucha i zimna, trawa – wilgotna. Wino nie wprawiało już w słodkie otumanienie, choćbyśmy nie wiem ile wypity.

Tam, w wymykającym się wyobraźni świecie poza Battle Creek, nadciągnęła armia zdroworozsądkowych poglądów. Niech żyje rozdział Kościoła od państwa! Precz z ekonomią podaży! Wiwat seks, narkotyki i saksofonowa interpretacja rock and rolla! Precz z karą śmierci, gejowskim rakiem i Danem „zimniokiem” Quayle’em! Nasz demokratą zawładnął Białym

Domem, hipisowski owoc wyżu demograficznego z palcem na przycisku. Obecnie wszyscy żyliśmy w Ameryce diabła, przynajmniej jeśli słuchać Pata Buchanana. Zawsze lubiliśmy Clintona, gościa o słodkim głosie i wyhodowanych w McDonalddie polikach, bijącego pokłony przed ołtarzem używania sobie. Zupełnie taki jak my, uważaliśmy kiedyś, ale przeszło nam, bo wciąż wierzył w istnienie miejsca zwanego nadzieją.

Rzecz jasna, wybrałyśmy się na pogrzeb. Ludzie się gapili. Wszyscy wierzyli, że Nikki się zabiła. Tyle że zrobiła to w Halloween, noc diabła, a jeszcze w wagonie towarowym pomazanym symbolami szatana. Na dobitkę w tym samym okresie jedna z jej rówieśniczek stała się satanistką i obłożyła klątwą połowę klasy. Gdziekolwiek spojrzeć – ślady diabelskich knowań. Nie gapili się jedynie rodzice i brat Nikki. Siedzieli w pierwszym rzędzie, głowy mieli spuszczone. Jej ojciec płakał. My też chciałyśmy, ale się nie udało.

Może to nam się w głębi duszy podobało. Bali się nas, coś takiego zawsze mile łechce.

Widziałyśmy jednak, że im także przypadło to do gustu. Z chodnikowych kazań przebijała ledwie skrywana duma: mieliśmy rację. Gdyby w Battle Creek istniało tajne stowarzyszenie okultystyczne, byłoby stowarzyszeniem haniebnej uciechy, a oto jego członkowie: kaznodzieje, dyrektor szkoły, gość piszący wstępniaki do lokalnej gazety, gliny, ściągnięci z Pittsburgha eksperci od sekt, każdy, kto udzielał się w telewizji. Obiło nam się o uszy, że po wizycie Geraldo

w naszym mieście matka Kaitlyn Dyer zorganizowała imprezę przed telewizorem i to z siedmioskładnikową sałatką, jakby był Czwarty Lipca. Nas nie zaproszono.

Sypiałyśmy w jednej sypialni, odliczałyśmy czas do matury, po której będziemy mogły się wynieść bez wzbudzania podejrzeń. Nasi rodzice byli gościnni – po Nikki nikomu nie podobała się perspektywa, że dziewczyna może mieszkać na ulicy. Spałyśmy tuż przy sobie. Pachniałyśmy tą samą odżywką i pastą do zębów, nosiłyśmy nawzajem swoje ubrania. Nie mogłyśmy na siebie patrzeć, ale musiałyśmy mieć się na oku. Nasze tajemnice musiały pozostać zapieczętowane, co oznaczało, że już zawsze będziemy się nawzajem pilnowały. Śniłyśmy z otwartymi oczami, wspominając wydawane przez nią dźwięki, przepojoną bólem wielorybią pieśń.

W te niekończące się dni nadal jeździłyśmy. Nigdy w określonym kierunku. Zawsze byle dalej. Docierałyśmy do pustej okolicy, rozpościerałyśmy koc i kładłyśmy się na środku pola umarłych słoneczników. Od horyzontu do horyzontu rozciągał się żółciejący bezkres, na wietrze kołysały się uschłe łodygi.

Brzęczenie i cykanie owadów. Nasze ciała pokryte gęsią skórką. Wiosna w drodze, o wiele za powolna. Sekundy tykające jedna za drugą, odmierzane i głośnie. Życie w środku dziadkowego zegara.

Rozmawiałyśmy o diable, a także o tym, czy w ogóle jest takie coś. Któregoś razu spekulowałyśmy, czy Bóg i diabeł nie są jednym i tym samym i czy nie zawierają się w świętym brzmieniu głosu Kurta, ale już nie byli nam potrzebni ani nasz Bóg, ani diabeł. Rozumiałyśmy już, czym było nam

przeznaczone się stać: kościołem dwojga. I czcić tylko siebie nawzajem.

Gdy nadszedł właściwy czas, wyjechałyśmy. Ściśle według planu, w mroku nocy, z bagażnikiem puchnącym od toreb i maską samochodu celującą na zachód. Nie udałyśmy się do Seattle. Już nie było nasze. Trzymałyśmy rękę na pulsie, widziałyśmy, czym się stało. Spotem reklamowym. Planem filmowym i reklamą Gap. Grunge rządził bezkonkurencyjnie, rewolucję transmitowały telewizje. Seattle podbiło świat, objawiły się jego potencjał i obietnice i nie przetrwało tego.

Kurt też nie. Nie płakałyśmy po nim. Przez krótki czas rozmyślałyśmy o plotkach na temat Courtney, ponieważ wiedziałyśmy, jak łatwo sprawić, by coś przedstawiało się inaczej, ująć wystygłą dłoń i zacisnąć na kolbie broni. Ale w głębi duszy miałyśmy pewność: zrobił to Kurt. Jego palec. Własnoręcznie naciśnięty cyngiel. Był panem własnej śmierci i okazało się, że śmierć boga niczym nie różni się od innych. Żadnego gniewu, smutku czy miłości, żadnego piękna ani głębi. Tym jednym Kurt nigdy nie był: jałowym hałasem, jałową ciszą.

Mogłyśmy pojechać tylko do Los Angeles, gdzie można żyć na powierzchni i się pod nią zagubić jednocześnie. Znalazłyśmy mieszkanie w cieniu autostrady i prace, od których bolały nas stopy, a włosy śmierdziały dymem. Płaciłyśmy czynsz i uczyłyśmy się surfować, udając, że świetnie się bawimy.

Powtarzałyśmy sobie, że tego właśnie chcieliśmy, że wszystko będzie dobrze i że ciągle cię kocham.

Podobały nam się nasze obecne platynowe włosy i to, że wyglądałyśmy jak wszyscy inni. Niekiedy podobało nam się również, że tak bardzo się do siebie upodobniłyśmy, „zupełnie jak siostry”, po raz pierwszy o nas mawiano. W Los Angeles można było się zgubić i urodzić na nowo. Nie mogłyśmy uciec dalej od Battle Creek, bo utopiłybyśmy się w Pacyfiku, i czekałyśmy tu – czekamy – aż fala odpływu zabierze Nikki w przeszłość.

Los Angeles wierzy w przeszłość nie bardziej niż w przyszłość, zupełnie tak jak my. Oszukujemy się, że nie nadejdą dni, gdy nasza skóra zrobi się luźna, piersi nam obwisną, oczy obramują zmarszczki i wgłębienia niemożliwe do przesłonięcia żadnym makijażem, gdy już nie będziemy dziewczynami, które zrobiły coś potwornego, ale kobietami pokutującymi za grzechy obcych, którymi kiedyś były. Nigdy nie wrócimy – będziemy szukać samych siebie na kartonach z mlekiem i tęsknić za domem, z którego tak bardzo chciałyśmy uciec. Będziemy kelnerkami, recepcjonistkami i głosem na drugim końcu linii, ćwierkającym „dziękuję za poświęcony czas” i „życzę miłego dnia”. Będziemy oddawać cześć dziewczynom, którymi ongiś byłyśmy. Nie będziemy miały dzieci, nie będziemy miały córek. Być może któregoś dnia jedna z nas wstąpi w wody oceanu i ta druga nareszcie zostanie sama.

Ale jeszcze nie teraz. Odtrącamy przyszłość. Trzymamy się naszej wspólnej chwili, zastygamy w tym czasie, w którym wciąż jesteśmy dziewczynami, wciąż wiemy, co to ból i jakie rozkosze ze sobą niesie. Wchodzimy do oceanu i kopujemy palcami stóp w piasku przybyłym z bardzo, bardzo daleka, z minionych wieków. Po horyzont wypatrujemy pirackich okrętów i szklanych butelek, niemożliwych cudów znoszonych na brzeg. Nie mamy przed sobą tajemnic – jesteśmy dwiema

częściami jednej całości. Mamy wszystko, czego chcieliśmy, mamy tylko siebie i możemy ufać jedynie dziewczynom, którymi byliśmy dawniej, które szepczą do nas z przeszłości i zapewniają, że tyle wystarczy.

Spis treści

DZIŚ MY. Styczeń–marzec 1992 DEX. Przed Lacey LACEY.
Ja przed tobą DEX. Nasza historia LACEY. Jeśli kłamałam
ONE MY. Kwiecień–lipiec 1992 DEX. Plac zabaw diabła
LACEY. Dobre intencje DEX. Żądź przesilenie LACEY. Więzy
krwi ONE M. Lipiec–październik 1992 DEX. Cięcia papierem
LACEY. Bez końca, bez imienia DEX. O dziewczynie LACEY.
Pachnie duchem młodości DEX. Odpad negujący LACEY. Coś
na przeszkodzie DEX. Buzuje miłość LACEY. Przybądź, jaka
jesteś ONE MY. Halloween DEX. 1992 LACEY. 1991 DEX.
1992 LACEY. 1991 DEX. 1992 LACEY. 1991 DEX. 1992 ONE
MY. Potem MY. Już na zawsze najlepsze przyjaciółki

